



O TYM
KOSZMARZE
WSZYSCY
MILCZĄ... ONA
ZDECYDOWAŁA
SIĘ MÓWIĆ

Marcin
MARGIELEWSKI



**BYŁA ARABSKĄ
STEWARDESĄ**

Prószyński i S-ka

Marcin
MARGIELEWSKI



BYŁA ARABSKĄ
STEWARDEŚĄ

Prószyński i S-ka

CZĘŚĆ I

PROLOG

Emirackie media we właściwy sobie sposób unikały historii filipińskiej stewardesy, która ponad dekadę temu wyskoczyła przez okno swojego mieszkania. Kobieta była w czwartym miesiącu ciąży. Pisano o niej za to szeroko na Filipinach i głośno mówiono w Dubaju, oczywiście tak, by oficjalnie nikt nie usłyszał. Filipińczyków oburzał fakt, że Emiraty odmówiły wydania ciała dziewczyny jej rodzinie. Pochowano ją na pustyni, jak przestępcę. I faktycznie dopuściła się dwóch czynów karalnych – pozamałżeńskiej ciąży i zakazanego przez islam samobójstwa.

Gdyby ciało dziewczyny wróciło do rodziców, jej emiracki chłopak musiałby się z nią pośmiertnie ożenić, a później łożyć na teściów. Takich świństw się nie robi własnym obywatelem. Zwłaszcza że chodzi o jakieś biedne państwko, w którym nie ma nawet ropy, a ludność nadaje się tylko na służących. Do tego jeszcze to samobójstwo... Taki wstyd!

Oczywiście prawie nikt, kto do Dubaju przybył spoza arabskiego świata, w samobójstwo nie uwierzył. Zbyt wiele dziewczyn „wypadło” z bliskowschodnich wysokościorców w bardzo podobnych okolicznościach. Wzmianki o nich można znaleźć w zachodnich mediach, ale na Bliskim Wschodzie się o tym nie pisze. Przecież takie rzeczy się tu nie dzieją.

A jednak się dzieją, i to nierzadko. Wiele z nich dotyczy właśnie stewardes.

Jeśli mieszkasz w Dubaju, Abu Zabi lub w Doha, niemal na pewno znasz jakieś stewardesy lub stewardów. To wielonarodowy tłum fantastycznych ludzi z niemal każdego zakątka globu, stanowiący prawdziwą elitę wśród obcokrajowców. Fakt, że dużo podróżują, znają świat, a dzięki temu są niezwykle otwarci i mają szerokie horyzonty, sprawia, że to świetni kompani.

Ich praca, pożądana przez wielu, ma jednak też ciemne oblicze. Pewnie dlatego nie stronią od alkoholu i imprezują, jakby zaraz miał się skończyć świat. W ten sposób odreagowują trudy idealnej pracy, która nierzadko jest prawdziwym koszmarem. Stres, zmęczenie, ciągle zmiany stref klimatycznych to ich codzienność, ale też tylko tymi problemami mogą się dzielić. O niczym innym nie mówią na głos, przynajmniej dopóki mieszkają i pracują na Bliskim Wschodzie.

Sophie i Adrien to moi francuscy przyjaciele. Oboje latali na pokładzie airbusa A380 do czasu, gdy Sophie przydarzył się przykry wypadek. Podczas jednego z lotów na trasie do Dubaju doszło do turbulencji; w ich efekcie wózek serwisowy przesunął się tak niefortunnie, że zmiażdżył fragment jej palca. Sophie trafiła do szpitala, niestety palec trzeba było amputować. Linie, dla których pracowała, zareagowały niemal natychmiast.

Myślicie pewnie: OK, dziewczyna straciła palec, ale pewnie otrzymała olbrzymie odszkodowanie i nie musi pracować do końca życia. Hmm... otóż nie. Nie w tej części świata. Sophie otrzymała od swoich linii jedynie wypowiedzenie ze skutkiem natychmiastowym. Oficjalnym powodem było niedostosowanie się do tak zwanych *grooming standards* – obowiązkowych cech w wyglądzie stewardesy. Na te bez jednego palca nie było miejsca na pokładzie samolotu, no, chyba że z biletem w jedną stronę do Francji.

Adrien stanął w obronie Sophie, ale wkrótce i on dostał wypowiedzenie. Prawdziwe życie arabskich załóg latających – bez ukrywania nazw i nazwisk – opisał w książce, która do tej pory jest skutecznie blokowana na francuskim rynku. Nikt nie chce zadzierać z potężną korporacją.

Przyznam, że ja też się boję. Zanim podjęliśmy decyzję o wydaniu książki, którą właśnie trzymasz w dłoniach, wraz z moim redaktorem spędziliśmy długie godziny, rozważając wszystkie za i przeciw. Ostatecznie postanowiliśmy jednak, że nie możemy tak po prostu stchórzyć, zwłaszcza że moja bohaterka ryzykuje dużo więcej. Żyjemy w świecie, w którym jedyną obroną przed złem jest odwaga. Po prostu tak trzeba.

Wszystko się zaczęło, gdy tydzień po premierze mojej książki *Jak podrywają szejkwie* dostałem intrygującą wiadomość. Jej autorka zapowiedziała, że ma dla mnie historię na kolejną powieść. Szczegrze mówiąc, była to jedna z wielu podobnych propozycji – ale jedyna, która naprawdę przykuła moją uwagę.

– Byłam arabską stewardesą – napisała, gdy podjęliśmy internetowy dialog. – Nie tylko szejkwie są psycholami. Miałam romans z obrzydliwie bogatym Arabem związanym pośrednio z liniami, dla których pracowałam. To, co mi zrobił, nie mieści się w głowie.

– A co ci zrobił? – chciałem wiedzieć.

– To był absolutny koszmar.

– Bił?

– Wolałabym, żeby bił. Ale nie, nigdy mnie nie uderzył...

Właśnie tym mnie zaintrygowała. Żyjemy w świecie prostych schematów. Zły mężczyzna to ten, który bije kobietę – i o ile bezsprzecznie jest to prawdą, bywają rzeczy gorsze niż fizyczna przemoc. Wkrótce miałem się o tym przekonać.

– To nie będzie historia o żonobijcy ani kolejny podniebny „Grey”, chociaż początkowo na to się zanosilo. Życie pisze niewiarygodne scenariusze – wyjaśniła moja rozmówczyni.

Nauczony doświadczeniem z księciem Abedem, wiem, że warto ryzykować tego typu spotkania, zwłaszcza że tym razem nikt nie miał zamiaru wywozić mnie na pustynię. Umówiliśmy się już na następny dzień.

Gdy tylko ją zobaczyłem, pomyślałem, że idealnie wpisuje się w szablon dziewczyny miliardaera z Zatoki Perskiej. Wysoka, zgrabna blondynka. Piękny uśmiech, klasyczna uroda i gracia urodzonej stewardesy. Nawet w zwykłych dżinsach i bluzie uwodziła wdziękiem.

– Znam tę szminkę – powiedziałem, rozpoznając odcień pomadki charakterystyczny dla stewardes z Dubaju.

– Nadal jej używam – odparła z uśmiechem. – Stare nawyki.

Okazało się, że dziś mieszkamy niedaleko siebie w Warszawie – zupełnie tak jak kiedyś w Dubaju – i mamy kilkoro wspólnych znajomych. Wspominaliśmy, wymienialiśmy się wrażeniami. Było zabawnie i sentymentalnie, aż wreszcie opowiedziała mi pokrótce o swoim romansie z pewnym miliardarem znanym w rejonie Zatoki Perskiej. Od razu wiedziałem, że miała rację – to była historia na powieść. Nie mogłem się doczekać kolejnych spotkań.

– Opowiem ci wszystko ze szczegółami, ale musisz mi nadać pseudonim – zastrzegła. – Nie chcę, żeby ktokolwiek mnie namierzył. Zresztą jego imię też musimy zmienić. I nazwy linii lotniczych nie możemy podać.

– Tego akurat ludzie się domyślą...

– Nawet jeśli, nie podawajmy jej. Nie chcę ich w to mieszać.

– Trudno nie mieszać linii lotniczych w opowieść o stewardesie.

– To nie będzie zwykła opowieść o stewardesie...

To będzie opowieść o Annie, Mohammedzie i o liniach ArabAir. I choć imiona bohaterów, jak też nazwa linii i niektóre szczegóły zostały zmienione, ta historia wydarzyła się naprawdę. Niestety.

ROZDZIAŁ 1

Egzamin

Miałam dwadzieścia jeden lat, indeks filozofii i zero perspektyw. Wiedziałam, że chcę w życiu coś osiągnąć, ale to wie każdy, kto mając dwadzieścia jeden lat, ma indeks filozofii i zero perspektyw. Jak większość wiedziałam też, że kompletnie nie wiem, co zrobić, by zmienić swoją sytuację. Niektórzy moi znajomi z liceum pomału zaczęli startować w korporacyjnym wyścigu szczurów, ale na moim wydziale było inaczej. My rozmawialiśmy o Nietzschem i analizowaliśmy Kanta. Przekonani o intelektualnej wyższości nad resztą społeczeństwa, trwaliśmy w zawieszeniu, popełniając ekonomiczne samobójstwo. Byliśmy skazani na głodowe pensje w zawodach dalekich od tego, który z takim zapałem zdobywaliśmy. Nie oszukujmy się – nikt z nas nie miał szansy zostać zawodowym, świetnie opłacanym filozofem. Byliśmy naiwniakami, którzy wkrótce mieli zostać bandą przeintelektualizowanych frustratów. Nie powiem, lubiłam to, ale wyłącznie jako hobby. Czułam, że w moim wieku powinnam zdobywać świat, a nie rozważać o jego końcu. Zresztą nie wierzyłam, że może się skończyć, podobnie jak coraz mniej wierzyłam w to, że dobrnę do końca tych studiów. Potrzebowałam tylko powodu. Konkretnego, racjonalnego, bez pola do interpretacji i rozważań. Czarno na białym. Potrzebowałam go dla siebie, ale też nie chciałam zawieść babci. Była taka dumna, gdy zaczęłam studiować filozofię. Sama zaczytywała się w dziełach różnych myślicieli, ale w życiu twardo stąpała po ziemi. Miała kotwicę, której mnie brakowało. Wiedziałam, że zrozumie, jeśli tylko podam jej konkretny powód, ale tego wciąż nie miałam.

Tkwiałam w zawieszeniu przez kilka miesięcy. Przeglądałam oferty pracy. Zapisałam się do kilkunastu newsletterów, byłam nawet na paru rozmowach, ale żadna z nich nie dawała nadziei na zmianę. Nawet gdybym się zdecydowała na którąś z ofert, nadal stałabym w miejscu. Od początku studiów pracowałam w kawiarni, ale nie traktowałam tego zajęcia przyszłościowo. Zamiana tacy na słuchawki też nie była rozwiązaniem. Czułam narastającą frustrację, a moja samoocena pikowała coraz niżej z każdym dniem.

Tego dnia miałam egzamin. Chyba z ontologii. Na pewno ustny! Jak zwykle poszłam na uczelnię wcześniej. Lubiałam zdawać jako jedna z pierwszych, szybko mieć to za sobą, a przede wszystkim nie poddawać się zbiorowej psychozie, w jaką wpadają wszyscy oczekujący i atakujący wychodzących z gabinetu profesora pytaniem: „Jak było?”. Atmosfera gęstnieje z godziny na godzinę, a w opowieściach o tym, co się dzieje za drzwiami gabinetu, przelewa się coraz więcej krwi. Unikałam tego, jak mogłam, więc często siedziałam na pustym korytarzu, by wejść na pierwszy ogień. Tego dnia zaraz po mnie pojawiła się Kaśka. Wpadła na korytarz zdyszana, choć do rozpoczęcia egzaminu były jeszcze co najmniej dwie godziny.

– Posłuchaj! – zawołała, z trudem łapiąc powietrze.

– Słucham – odparłam spokojnie, patrząc na nią z niemalym zdziwieniem.

Kaśka wyglądała tak, jakby właśnie się dowiedziała, że arabscy dżihadyści planują zamach na naszą uczelnię, i chciała mnie przed nim ostrzec. Chociaż, szczerze mówiąc, nie wiem, czy zdecydowałabym się na ucieczkę. To mogłoby być najciekawsze wydarzenie w historii wydziału filozofii, a już na pewno najciekawsze, co mnie tu spotkało, od kiedy po raz pierwszy przekroczyłam próg mojej Alma Mater. Kaśka wreszcie odsapnęła na tyle, by wydusić z siebie komunikat:

– Rekrutują do linii lotniczych w Dubaju... ArabAir! Musimy tam pójść...

A jednak Arabowie. Tylko czy ona na głowę upadła?! Linie lotnicze? Przecież to niedorzeczne. Mam zostać stewardesą?

– Kasieńko, o czym ty mówisz, kochanie... Czy ty przypadkiem nie przesadziłaś wczoraj z nauką?

– Z niczym nie przesadziłam!

– Z niczym czy z Nietzschem?

– Posłuchaj, Anka! To dla nas wielka szansa! Już wczoraj chciałam do ciebie zadzwonić, ale gdzieś posiałam ładowarkę, więc przybiegłam tu z samego rana. Wiedziałam, że czekasz w blokach startowych, kujonko. Rejestrację zaczynają za pół godziny. Zdążymy. No chodź!

Kaśka złapała mnie za rękę i pociągnęła.

– A co z egzaminem?! – rzuciłam.

– Właśnie na niego idziemy!

Miała rację. Tego dnia czekał nas prawdziwy, wielogodzinny, intensywny egzamin, którego zdanie kwalifikowało do otrzymania posady w jednej z największych linii lotniczych na świecie.

Dwadzieścia minut później znalazłyśmy się w hotelowym lobby, w którym kłębiło się od elegancko ubranych, wystylizowanych dziewczyn. Okazało się, że zupełnie tego nie planując, doskonale wkomponowałyśmy się w tłum. Wyszukowałyśmy się na egzamin u sędziwego profesora, co wymagało poszanowania starych uniwersyteckich tradycji i idealnego szkolnego mundurka. Doskonale tu pasował.

Kaśka podała mi swoją szminkę.

– Dajesz, maleńka!

– Zwariowałaś? – prychnęłam. – Przecież wiesz, że się nie maluję.

– To zaczniesz. Czerwona szminka jest elementem ich munduru. Na pewno spojrzą na ciebie łaskawiej. – Kaśka ewidentnie odrobiła lekcję.

Postanowiłam nie oponować. Pociągnęłam usta czerwienią i przejrzałam się w lusterku. To nie był codzienny widok, ale musiałam przyznać, że bardzo mi pasował. Przy maskarce już nie dyskutowałam. Grzecznie musnęłam nią rzęsy. Na koniec Kaśka rozpyliła wokół mnie sporą ilość swoich perfum, po czym ogłosiła stan gotowości.

Stanęłyśmy w formującej się niezgrabnie kolejce do jednej z trzech sal. Po chwili podszedł do nas przeraźliwie szczupły, bardzo wysoki chłopak w lotniczym mundurze. W ekspresowym tempie rozdał wszystkim formularze. Robił to tak szybko, że nie pozwalał na jakąkolwiek reakcję, zadanie pytania. Ale o to właśnie chodziło.

Ankiety nie różniły się zbyt od standardowych dokumentów, które wypełnia się w urzędach. Poza jednym: oprócz danych osobowych i kontaktowych należało wpisać informację o posiadanych tatuażach, a na szablonie ludzkiej sylwetki dokładnie wskazać ich umiejscowienie. Nie miałam tatuaży. Babcia chyba mnie zabiła. Jej zdaniem podobne wymysły przekreśliłyby raz na zawsze moje szanse na zamążpójście. Kaśka miała dwie dziury, ale w miejscach osłoniętych ubraniami, a to nie stanowiło przeciwwskazania. Oprócz tatuaży trzeba było podać dokładny wzrost i zaznaczyć, czy zasięg naszych ramion wynosi minimum dwieście dwanaście centymetrów, gdy stoimy na palcach. Nie miałam pojęcia, nigdy tego nie liczyłam, ale zaznaczyłam, że tak.

Dziewczyny wchodziły do pokoi pojedynczo i nie wychodziły z nich, co było lekko niepokojące, ale ponieważ nikt nie ogłaszał alarmu, czekałyśmy dalej. Gdy przyszła nasza kolej, Kaśka weszła pierwsza.

– Tylko nie zwiej – rzuciła do mnie, zanim zniknęła za drzwiami.

Nie miałam zamiaru zwiewać. Pomału zaczynałam sobie wyobrażać, co by było, gdybym faktycznie dostała tę pracę. Miałabym wyjechać z Polski do nieznanego arabskiego kraju i obsługiwać ludzi na pokładzie samolotu? W sumie teraz też ich obsługuję – w kawiarni, a reszta mojego życia zdecydowanie nie jest tak ekscytująca, by przebić wyjazd do Dubaju. Kaśka, tak jak dziewczyny przed nią, nie wyszła z sali. Nie było jej też w środku, o czym się przekonałam, gdy wreszcie i mnie wpuszczono. W niemal pustym pokoju stał stół. Siedząca przy nim dziewczyna wyglądała na stewardesę. Porcelanowa cera, perfekcyjnie ułożone włosy i elegancki toczek zatknięty na czubek głowy. Usta miała pomalowane identycznie jak ja, choć nie byłam pewna, czy na moich został jeszcze choćby ślad szminki. Nie miałam odruchu sprawdzania makijażu, bo do tej pory robiłam go sporadycznie i raczej bez większego talentu.

Kobieta zmierzyła mnie od stóp do głów. Uśmiechnęła się i bez słowa wskazała krzesło.

Natychmiast usiadłam. Tak, na pewno była stewardesą. I to doświadczoną. Wciąż milcząc, wyciągnęła rękę po formularz, który ścisnęłam w dłoniach kurczowo jak przestraszona uczennica. Potulnie go oddałam.

W pokoju panowała absolutna cisza, gdy kobieta analizowała moje dane z niezwykłą atencją, jakby chciała się ich nauczyć na pamięć. W końcu podniosła głowę, włączyła funkcję „uśmiech” i zapytała czystą angielszczyzną:

– Dlaczego chciałabyś pracować dla naszej linii?

Dlaczego chciałabym pracować dla waszej linii? Ja nawet nie wiem, czy w ogóle chcę dla was pracować. To przecież Kaśka mnie tu przyciągnęła, może ona odpowie, bo ja nie bardzo wiem... Dobra, uspokój się, nie rób głupot. Przecież to nie jest wybitnie trudne pytanie. Odpowiedź nie wymaga zakuwania po nocach ani ponadprzeciętnej inteligencji.

– ...czy aby na pewno chcesz dla nas pracować? – Kobieta przerwała niezręczną ciszę, choć w jej głosie nie usłyszałam zniecierpliwienia.

Powiedz coś wreszcie!

– Tak. Bardzo. Przepraszam... – zaczęłam cedzić po angielsku. – Dalajlama powiedział: „Podaruj tym, których kochasz, skrzydła, by mogli latać, korzenie, aby wracali, i powody, aby zostali”.

Co ja wygaduję? To nie jest egzamin z filozofii!

Kobieta zrobiła trudną do określenia minę, ale wydała mi się zaintrygowana. Nie miałam nic do stracenia, więc kontynuowałam:

– Mam korzenie, mam dokąd wracać. Mam kochającą babcię i brata, mam zatem powody, by zostać, ale czuję, że potrzebuję skrzydeł. Chcę latać.

Bardziej filozoficznie już się nie dało. Idiotka! Oni nie szukają filozofa, tylko kelnerki do popychania wózków.

– Interesujące podejście – skomentowała kobieta. – Muszę przyznać, że po wysłuchaniu kilkudziesięciu uzasadnień dotyczących spełniania marzeń, chęci podróżowania i przeżywania przygód twoje jest niezwykle odświeżające. Ale pokład samolotu to nie miejsce na filozofię.

Czyli zdałam czy nie? Dostałam tę pracę? Będę stewardesą czy mogę spokojnie wracać do mojego nudnego, nierokującego życia?

– Dziękuję, to wszystko. Wyjdź, proszę, tylnymi drzwiami.

Jak to? To wszystko? Już? Nie dowiem się niczego więcej? Nie zdążyłam nawet o nic zapytać.

Kobieta ponownie prostym gestem zachęciła mnie do wyjścia z sali. Czy ona ma jakieś supermoce? Jeśli takich umiejętności nabywa się w liniach lotniczych, to wreszcie mam prawdziwy powód, by do nich wstąpić.

Za tylnymi drzwiami stały dziewczyny, które wcześniej zniknęły w poszczególnych salach. Stanowiły tłum owładnięty dokładnie taką samą psychozą, jaką znałam z sesji egzaminacyjnych. Jedne opowiadały o tym, jak fantastycznie im poszło, inne, blade i bliskie omdlenia, z trudem powstrzymywały łzy, przekonane, że nawaliły na całej linii.

– Jesteś! I jak? – spytała pozytywnie nakręcona Kaśka.

– Nie mam pojęcia. Przecież tego nie da się ocenić.

– No niby nie, ale jak czujesz?

– Pieprzyłam coś o Dalajlamie, więc raczej nie zrobię kariery w lotnictwie.

– Co...? Gdzieś ty tam wcisnęła Dalajlamę?

– No widzisz, niby niemożliwe, a jednak... A u ciebie jak?

– Chyba spoko. Mam wrażenie, że wszystkich pytają o to samo.

– I wszyscy to samo odpowiadają! Moja mi tak powiedziała. Ale Dalajlamą nie była zachwycona.

Kilkanaście minut później z wszystkich trzech sal przesłuchań wyszli egzaminatorzy. Stanęli w równym rzędzie, a kobieta, z którą rozmawiałam, oznajmiła, że za chwilę na tablicy pojawią się nazwiska osób, które zakwalifikowały się do kolejnego etapu.

– Osoby te proszone są o pozostanie przed salą. Pozostałym dziękujemy. Reklamacje nie będą

przyjmowane, decyzja jest ostateczna. Do kolejnej rekrutacji można przystąpić nie wcześniej niż po upływie sześciu miesięcy.

To mówiąc, dwie rekruterki weszły do jednej z sal, a mężczyzna przypiął na wystawionej w holu tablicy listę nazwisk, po czym zniknął za drzwiami. Ich pośpiech był zrozumiały i zapewne podyktowany doświadczeniem. Oni doskonale wiedzieli, co nastąpi za chwilę. Przez kolejne pół godziny obserwowałam istny spektakl hysterii. Niektóre dziewczyny skakały z radości, inne zanosili się płaczem. Te, które znalazły swoje nazwisko na liście, pocieszały koleżanki, którym się nie powiodło.

– Ja też rezygnuję. Bez ciebie nigdzie nie pojadę – zarzekała się jakaś laska, przytulając pogrążoną w żalobie towarzyszkę.

– Nie możesz... Idź dalej, ja tu zostanę... – Dziewczyna łkała, jakby grały w pustynnym dramacie.

– Nie zrobię tego!

– Musisz!

– Nie!

Dramatyczna scena rozgrywała się do momentu, gdy ta, która przeszła do kolejnego etapu, zorientowała się, że cały makijaż jej nieszczęśliwej koleżanki znalazł się na jej bluzce.

– *Fuck!* – wrzasnęła. – Jak ja się im teraz pokażę?

– To jednak idziesz...? – wydukała z trudem ta druga.

– Idę się o ciebie kłócić. Dostanę się, a potem załatwię ci tę robotę, zobaczysz. Ale teraz musisz mi dać swoją bluzkę. Przecież nie pójde taka utyłana.

Chwilę później obie zniknęły mi z oczu.

Obserwowałam ludzi dookoła mnie i byłam coraz bardziej zaintrygowana. Ta psychoza była nedorzeczna. A może to ja, studiując zupełnie niepotrzebny kierunek i prowadząc pozbawione znaczenia życie, straciłam prawdziwy ogląd sytuacji? Może to jest coś, o co warto walczyć? Tłum przed tablicą w końcu się przerzedził. Czas sprawdzić, jak mi poszło. Podeszłam na miejsce energicznym krokiem i przesunęłam wzrokiem wzdłuż listy.

Jestem! Kaśka też jest! Super! Skoro los chce, żebym ruszyła w świat, to fajnie będzie mieć towarzystwo. Rozejrzałam się wkoło, ale samej Kaśki nie znalazłam. Chwilę później zaczął się maraton, który do dziś pozostaje w mojej pamięci najbardziej wyczerpującym egzaminem, jaki kiedykolwiek zdawałam. Zanim się zorientowałam w sytuacji, siedziałam w sali, w grupie ośmiu dziewczyn, które – podobnie skonfundowane – próbowały robić dobrą minę do złej gry. Gra może taka zła nie była, ale na pewno było w niej wiele niewiadomych.

Usiadłyśmy na krzesłach ustawionych w krąg. Same dziewczyny. Wszystkie podobne do siebie, jak laski z Instagrama. Tlenione, z mocnym makijażem i nienagannym manikiurem, z ustami w dzióbek, bo inaczej już chyba nie potrafią. Wyprostowane, sztywne, idealnie pasujące do mojego wyobrażenia o stewardesach. Tylko ja taka jakaś... nie z tej bajki. Po przywitaniu i krótkim wstępie prowadzące ten etap rekrutacji postawiły na środku kręgu pudełko i poprosiły, byśmy sięgnęły po jeden ze znajdujących się w nim przedmiotów. Dziewczyny rzuciły się do niego, jakby od tego zależała nie tylko ich praca, ale i życie. Ja ustąpiłam. Do pudełka sięgnęłam jako ostatnia. Wylosowałam mały pusty słoik. Zabawne, bo na pierwszy rzut oka zdecydowanie bardziej pasował do moich współtowarzyszek. Pewnie dlatego żadna z nich po niego nie sięgnęła. Lepiej nie wzbudzać skojarzeń. Poproszono nas, żebyśmy się przedstawiły w kontekście przedmiotu, który wylosowałyśmy, i powiedziały, dlaczego chcemy latać. Na szczęście i tym razem nie musiałam być pierwsza. Do odpowiedzi wyrwała się jedna z dziewczyn; podniosła rękę, jakby była w szkole, jednocześnie tupiąc zatkniętymi w wysokie szpilki stopami. Dzisiaj już nie pamiętam, jak miała na imię, ale Dżesika pasowałoby do niej idealnie. Wylosowała długopis.

– Witam wszystkich bardzo serdecznie, mam na imię Dżesika. Wylosowałam długopis, pewnie dlatego, że bardzo lubię pisać. W wolnych chwilach piszę wiersze, a jak już się przeprowadzę do Dubaju, będę pisać pamiętnik i kartki do rodziny. Dziękuję bardzo za uwagę.

Dżesika finezją pięcioletniej dziewczynki podniosła poprzeczkę, a ja czułam, że powoli zaczyna mnie rozsadzać sarkazm. Klony Dżesiki były równie kreatywne. Charakteryzowały się za pomocą spinaczy, kapsulek kawy i łyżeczek, aż w końcu przyszła moja kolej. Co ja mam wspólnego z pustym słoikiem? Poza tym, że siedzę w towarzystwie osób o inteligencji równej temu naczyniu. Tylko przypadkiem nie powiedz tego na głos! Oczekują przedstawienia? Dostaną je.

– Mam dużo wspólnego z tym słoikiem – zaczęłam. – Jest jak tabula rasa. Pusty. Czekają, by zapełnić go doświadczeniami, wiedzą. Na to właśnie liczę. Chcę, by dzięki tej pracy wkrótce był pełny po brzegi, kipiał od wspaniałych przygód i nowych przyjaciół...

Udało się. Nie powiedziałam, co myślę, tylko to, czego ode mnie oczekiwano. Okazało się jednak, że nie do końca. Dżesika miała pytanie. Znowu podniosła rękę i przebijając bućkami, zapytała:

– Przepraszam, a jak masz na imię? Bo nie powiedziałaś, a w zadaniu było powiedziane, że trzeba się przedstawić.

Co za suć! Pewnie myśli, że dostanie dodatkowe punkty za aktywność i podpierdalanie.

– Faktycznie, przepraszam, masz rację, Dżesiko. Mam na imię Anka – odpowiedziałam z mocno przesadzonym uśmiechem.

Zadowolona?!

Rekruterki zdawały się nie zwracać na nas uwagi. Siedząc poza kręgiem, nieustannie coś notowały. Gdy wszystkie już się przedstawiłyśmy, padło kolejne polecenie. Tym razem miałyśmy przekazać swój przedmiot osobie siedzącej obok, zgodnie z ruchem wskazówek zegara. W moje ręce trafił flakonik z taną wodą perfumowaną.

– Spróbujcie teraz wyobrazić sobie, do czego mogłybyście użyć rzeczy, którą macie w dłoniach. Ale weźcie pod uwagę tylko sytuacje niezgodne z głównym przeznaczeniem tego przedmiotu – poinstruowała nas rekruterka.

Wraz z jej ostatnim słowem ręce Dżesiki i jej dwóch klonów wystrzeliły w górę.

– Tym razem zaczniemy od końca. – Rekruterka spojrzała na mnie. Ostatni będą pierwszymi, cholera jasna. Chętnie oddałabym ten przywilej Dżesice, która z determinacją godną wyższej sprawy wciąż trzymała nad głową przedłużoną tipsami dłoń.

– Przypadł mi w udziale flakon z wodą perfumowaną – odezwałam się. – W razie zagrożenia mogłabym jej użyć, by obezwładnić napastnika, przyskajając mu prosto w oczy... – Oglądałam kiedyś program o samoobronie, w którym polecali tę metodę. – Sam flakon jest idealny do wyciskania resztek pasty do zębów. Wystarczy przejechać jego dnem po tubce, przesuwając to, co w niej zostało, w kierunku otworu. – Kolejna zasłyszana gdzieś złota rada. Nawet nie sądziłam, że takie rzeczy zostają w głowie. Dobra, jeszcze jedna i z czapki. – Schłodzone szkło flakonu można przyłożyć do głowy, jeśli nabiło się guza, a także zlikwidować za jego pomocą worki pod oczami po zarwanej nocy. To chyba tyle.

Rekruterka podziękowała mi i wskazała kolejną dziewczynę, jakby celowo zostawiając Dżesikę na koniec.

Ta jednak miała odzyskać prym już w kolejnym zadaniu. Chodziło o rozwiązywanie problemu. Musiałyśmy zdecydować, co zrobić z malejącą sprzedażą w prowadzonej przez nas firmie. Rekruterki przyglądały się naszemu zachowaniu, interakcjom, notowały niektóre wypowiedzi. Dżesika brylowała. Ogłosiła się prezesem spółki i samodzielnie rozwiązywała problemy, mocno deprecjonując pomysły innych osób. Miałam przeczucie, że więcej się nie spotkamy. Jej przebojowa osobowość dawała jej fory w życiu – bezczelnie często potrafią ugrać więcej – ale na pokładzie samolotu mogłaby się okazać zgubna w skutkach. Przekonana o swojej doskonałości, Dżes w sytuacji kryzysowej zapewne gotowa byłaby usiąść za sterami, co raczej nie skończyłoby się dobrze.

Zgodnie z moimi przewidywaniami w kolejnym etapie rekrutacji Dżesiki już nie było. Niestety nie było też mojej Kaśki. Połączono wszystkie grupy, a w zasadzie to, co z nich zostało. Było nas zaledwie kilkanaście osób. Dostaliśmy testy z języka angielskiego i czterdzieści pięć minut na ich rozwiązanie. Później pożegnano nas standardowym hasłem: „Zadzwonimy do państwa” – i kazano się

rozejść. Trochę mnie to zirykowało. Tyle zachodu, a na koniec formułka wygłaszana z reguły w stosunku do ludzi przegranych. A przecież nawet jeszcze nie sprawdzili naszych testów. Byłam zaskoczona swoją reakcją. Wszystko bowiem wskazywało na to, że zaczęło mi zależeć na tej pracy. Ja naprawdę chciałam, żeby do mnie zadzwonili. Tymczasem czekał mnie dużo ważniejszy telefon.

– Kaśka! Co się stało?

– Nie wiem. Myślałam, że wszystko OK. – W głosie Kaśki usłyszałam zawód. – Bardzo się zaangażowałam, ale chyba nie było mi pisane. A jak u ciebie?

– Powiedzieli, że zadzwonią, ale wiesz, jak to jest. Oni zawsze mówią, że zadzwonią.

A jednak zadzwonili, i to jeszcze tego samego wieczoru. Kazali mi się stawić na kolejne spotkanie rano następnego dnia.

Ten etap zdecydowanie bardziej przypominał klasyczną rozmowę o pracę. Pytali o moje dotychczasowe doświadczenia i oczekiwania, a na koniec mi pogratulowali. To naprawdę się działo! Wkrótce miałam dołączyć do elitarnego klubu załóg latających. Chyba po raz pierwszy w życiu czułam, że moje życie ma cel. Czasami zupełny przypadek wywraca nasze życie do góry nogami. Teraz pozostało mi już tylko czekać na tak zwany *golden call* – oficjalne zaproszenie do Dubaju. Dostałam je już następnego dnia.

Byłam oszołomiona tym, co mnie czeka, ale też zaskakująco przekonana, że chcę zrobić ten krok. Nie było to łatwe. Miałam w sobie gejzer skrajnych emocji. Czułam wyrzuty sumienia wobec Kaśki – ona tak bardzo chciała zostać stewardesą; serce pękało mi na myśl o zostawieniu babci, Maćka i mojego chłopaka, a do tego tak zwyczajnie, po ludzku się bałam. Przecież nigdy nawet nie byłam poza Europą, a samolotem leciałam raz – i nie był to wielki pasażerski samolot, tylko taki mały, krajowy. Teraz to wszystko miało się zmienić. Przygotowywałam się do skoku na bardzo głęboką wodę.

ROZDZIAŁ 2

Stewardesa

Ojca pamiętam przez mgłę i nie są to najlepsze wspomnienia. Pamiętam, jak w dniu mojej komunii biegał za mamą z nożem i głośno krzyczał. Zabrali go policjanci. Widziałam go potem jeszcze tylko kilka razy. Wkrótce ja, mama i mój młodszy brat przeprowadziliśmy się do babci. Miejsca było mniej, ale obecność babci Ptysi rekompensowała wszelkie niewygody.

Babcia Ptysia tak naprawdę ma na imię Krysia, ale gdy byłam małą, nazwałam ją Ptysią i od tego czasu wszyscy tak ją nazywali. Tak czy inaczej, jest absolutnie najukochańszą osobą na świecie. Wiem, że większość wnuków mówi tak o swoich babciach, ale babcia Ptysia naprawdę jest absolutnie wyjątkowa. Swoją miłością i uśmiechem szybko odgoniła czarne chmury, które zawisły nad nami, gdy odeszła mama. To wszystko stało się tak niespodziewanie. Obie – mama i babcia – próbowały uchronić mnie i mojego brata przed smutną prawdą. Gdy sięgam pamięcią do tamtych dni, widzę mamę słabą i bladą. Pamiętam, jak zaczęła nosić na głowie chustki. Myślałam, że ukrywa pod nimi swoje długie kruczoczarne włosy – dziś wiem, że tych włosów już nie miała. Aż przyszedł dzień, gdy babcia łamiącym się głosem, choć bez jednej łzy, powiedziała nam, że mama poszła do nieba, że już do nas nie wróci, ale nadal będzie się nami opiekowała, i że jeszcze kiedyś wszyscy się spotkamy. Nie do końca rozumiałam, jak będzie się nami opiekowała, skoro już nie wróci, ale jeśli babcia Ptysia obiecała, że jeszcze się spotkamy, na pewno tak będzie. Na tym się skupiałam. Każdego dnia czekałam na mamę, a tymczasem babcia robiła wszystko, by nam ją zastąpić.

Naturalnym środowiskiem życia babci Ptysi była kuchnia. Czuła się w niej jak ryba w wodzie i wyczyniała prawdziwe cuda. Zastanawiałam się, jak ona to robi, że wszystko, co wychodzi spod jej ręki, jest takie pyszne. Czasem nawet próbowałam ją zastąpić w kuchni, ale nawet gdy korzystałam z jej przepisów i robiłam wszystko dokładnie tak jak ona, kończyło się klęską. Talentu nie da się podrobić. Zresztą babcia Ptysia wcale nie oczekiwała, że zastąpię ją w kuchni. Pewnie myślała sobie czasami, że dobrze by było, żebym się nauczyła gotować, bo przecież kiedyś będę miała męża i dzieci – a wiadomo: jedyną szansą na to, by mąż i dzieci nie chodzili głodni, jest kobieta stercząca przy garach – ale nigdy nie wywierała na mnie presji. Babcia jest z pokolenia, w którym świat narzucał ludziom role. Mężczyźni mieli swoje zadania, kobiety swoje. Z przywilejami było raczej tak, że mężczyzna nabierał ich mnóstwo w momencie, gdy kobieta praktycznie je traciła. W momencie ślubu. Mężczyźni byli silni, mądrzy i zaradni. Kobiety słabe, głupie, a bez męskiego wsparcia także niewiele warte. Mimo że babcia zdawała się być pogodzona z tym porządkiem rzeczy, była jednocześnie jego całkowitym zaprzeczeniem. Silna, pracowita i bardzo mądra, zdawała się być całkowicie samodzielną jednostką, niezależną od żadnego samca. O dziadku nigdy nie wspominała. Nie miałam okazji go poznać. Pytałam o niego tylko na początku, kiedy w przedszkolu zorientowałam się, że babcie czasami występują w towarzystwie dziadków, ale Ptysia unikała odpowiedzi. Z czasem przyzwyczaiłam się do myśli, że babcia Ptysia jest jedna, ale wystarcza mi za cały świat.

Pierwszych dziewiętnaście lat życia spędziłam w Świebodzicach, uroczym miasteczku na Dolnym Śląsku, oddalonym od Wrocławia o jakieś czterdzieści minut jazdy pociągiem. Mieszkaliśmy przy niezbyt długiej ulicy na skraju miasta, w jednym z trzypiętrowych domów, w którym każde z pięter mieściło dwa dość ciasne mieszkania. Domy były szare od sadzy, a ich spadziste, pokryte przypalaną dachówką dachy sprawiały wrażenie, jakby chciały otoczyć mieszkańców troskliwą opieką. Sąsiedzi byli dla siebie życzliwi, ale zdawało się, że swoje prawdziwe opinie trzymają w czterech ścianach domów. Wszyscy tu bowiem wiedzieli o sobie wszystko, a firanki w oknach zawsze skrywały czyjś wzrok.

Jako mała dziewczynka czułam się w Świebodzicach wspaniale. Fabryka czekolady, sąsiedztwo zamku Książ, jazda konna latem, łyżwiarstwo figurowe zimą i babcia odganiająca ciemne chmury –

wszystko to sprawiało, że dorastałam w silnym przekonaniu, że pisana mi jest przyszłość księżniczki. Z czasem zaczęłam dostrzegać mankamenty w scenariuszu mojej bajki, a w liceum wiedziałam już, że księżniczki z małych miasteczek lądują na kasie w Biedronce. Nie miałam wątpliwości – musiałam stamtąd uciec. Wtedy jeszcze nie wiedziałam, że kiedyś znajdę swojego księcia i faktycznie zostanę jego księżniczką. Nie wiedziałam też, że będzie to najgorsze, co mi się w życiu przydarzy.

Tymczasem rolę księcia wziął na siebie Robert. Nie był bohaterem popularnej bajki, raczej takiej, w której książę należy do niższych warstw klasy średniej; zamiast na rumaku jeździ na deskorolce, a zamiast lśniącej zbroi ma na tyłku mocno wytarte dżinsy. Był za to mój – i ślepo we mnie zakochany. Ja chyba też go kochałam, ale byłam w ten związek dużo mniej zaangażowana.

Robert był przystojny, a przynajmniej w liceum nieźle się zapowiadał. Trochę chudy, jednak na siłowni dzielnie pracował nad tężyzną. Wysoki, z ładną chłopięcą twarzą, szlachetnymi rysami i gęstą czupryną blond włosów. Wyglądał trochę jak ci spoglądający z fotografii przystojni chłopcy z Hitlerjugend – mokry sen Adolfa. I choć Robert nienawidził tych porównań, nie szczędziłam mu ich. Przecież ci chłopcy byli bardzo przystojni. A że mieli nie po kolei w głowach? Mój książę był poukładany i romantyczny, a do tego starał się być dobrym chłopakiem, ale chyba oboje nie byliśmy gotowi na poważny związek. Wtedy jeszcze zupełnie nie rozumiałam miłości. Szczerze mówiąc, trochę mnie to wszystko krępowało. W małych miasteczkach trudno przeżywać beztroską licealną miłość, bo wszyscy wokół mają jakąś dziwną obsesję planowania młodym życia. Gdy tylko pojawialiśmy się w pobliżu jakiejś ciotki, wujka lub żadnej sensacji sąsiadki, słyszeliśmy pytania o ślub i żarty o dzieciach. A przecież sami byliśmy dziećmi. Te z pozoru niewinne sugestie przerażały nas i oddalały od siebie. Żadne z nas nie miało ochoty na przyszłość, którą próbowano nam zaprojektować, nawet nie byliśmy pewni, że czeka nas jakaś wspólna przyszłość.

Babcia Pysia uwielbiała Roberta, a i ja cieszyłam się sporą sympatią ze strony jego rodziców. Często wpadałam do nich na weekendowe obiady – jego mama robiła najpyszniejsze gołąbki na świecie, a w tygodniu moja babcia dokarmiała Roberta jak własnego wnuczka.

Robert zawsze był bardzo zaradny. W szkole słynął ze swojego komputerowego geniuszu, ale miał też ciemną stronę. Swoje hobby – zacięcie do łamania kodów i haseł – raczej ukrywał przed światem. Kręciło go hakowanie, co czasami mnie przerażało.

– Przecież to nielegalne! – protestowałam.

– Nielegalne jest, jak komuś robisz krzywdę – tłumaczył. – Ja hakuję dla sportu, dla ćwiczeń, chcę się sprawdzić!

– Ale to i tak nielegalne...

– Przestań, psujesz całą zabawę! – mówił zawsze, po czym, nie zważając na moje protesty, chwalił się włamaniem do szkolnego dziennika elektronicznego albo do komórki Tadka, największego kujona w szkole. Robert wysyłał Tadowi miłosne SMS-y od Julii, szkolnej *queen bee*¹, która oprócz zniewalającej urody cieszyła się tytułem największej suki naszego rocznika. Tadek nie był brzydki, ale miałam wrażenie, że nieświadomie robi wszystko, by przypadkiem nikt nie zauważył, że niezłe z niego ciacho. Tak czy inaczej, Julia na pewno nie zwróciłaby na niego uwagi. Ostatecznie z hakerskich sztuczek Roberta nic nie wyszło, ale chyba paradoksalnie pomogły one Tadowi. Zrozumiał, że nie ma u Julii szans i że w sumie to dobrze, bo potraktowała go okropnie. Jeszcze przed maturą znalazł sobie fajną dziewczynę.

Mimo że Robert nie miał ochoty na zakładanie rodziny, w planowaniu okazał się zdecydowanie lepszy ode mnie. Któregoś dnia poinformował mnie, że po maturze wyjeżdżamy do Wrocławia.

– Ja idę na politechnikę, a ty... ty, gdzie tam sobie chcesz. Wynajmiemy kawalerkę, wieczorami będziemy pracować i jakoś to będzie.

Nie była to propozycja szczególnie kreatywna – podobny plan mieli niemal wszyscy nasi znajomi – ale ponieważ sama nie miałam alternatywnego pomysłu, nie zgłosiłam sprzeciwu.

Po wakacjach przeprowadziliśmy się do Wrocławia, zamieszkaliśmy w małej kawalerce niedaleko centrum i rozpoczęliśmy dorosłe życie – w wersji, na jaką żadne z nas tak naprawdę nie miało ochoty. Mijaliśmy się, próbując pogodzić studia z dorywczą pracą. Wkrótce staliśmy się bardziej

współlokatorami niż parą.

Po dwóch latach pozbawionego uniesień życia nagle stanęłam przed szansą na jego zmianę – dostałam pracę w czołowych liniach lotniczych na świecie. Gdy oświadczyłam Robertowi, że wyprowadzam się do Dubaju, odczułam swoistą ulgę. On jednak zareagował w sposób, który do dziś wywołuje we mnie drżenie.

– Błagam, nie rób tego... – Klęczał przede mną ze łzami w oczach. Nigdy wcześniej nie widziałam go w takim stanie. – Nie możesz tak... Ja przepraszam, wiem, że to moja wina. Wszystko się zmieni...

– To nie twoja wina... To nie jest niczyja wina! – przekonywałam. – Po prostu muszę spróbować.

– Jeszcze cię odzyskam – zapowiedział na koniec tak smutnym głosem, że serce mi się ścisnęło. Czułam, że pomimo rutyny, która wdarła się w nasz związek, Robert nie jest mi zupełnie obojętny, ale nie mogłam... nie chciałam zrobić kroku w tył. Sprawy zaszły za daleko, a ja wiedziałam, że praca w Dubaju to coś, na co od dawna czekałam. Zwrot, który obudzi mnie do prawdziwego, dorosłego życia.

Zamknęłam drzwi naszej wynajmowanej kawalerki, symbolicznie zamykając pewien rozdział w moim życiu.

Babcia Pysia bardzo przeżywała mój wyjazd, ale pilnowała się, by nawet jednym słowem nie wzbudzić we mnie wątpliwości.

– Przepraszam, że cię zostawiam, babciu... – Targały mną wyrzuty sumienia.

– Przecież ty mnie wcale nie zostawiasz. – Babcia uśmiechała się ciepło, ale wiedziałam, że bardzo się martwi. – Będziesz latać po całym świecie, będziesz przylatywać do Polski, a my tu z Maciusiem zawsze na ciebie będziemy czekać.

To było bardzo trudne pożegnanie, ale babcia miała rację – zrobię wszystko, by jak najczęściej przylatywać do Polski.

– Trzymaj się, siostra. I ogarnij tam sobie jakiegoś szejka – żartował mój brat. – Przydałaby mi się dobra fura. – Maciek miał wtedy szesnaście lat, nie mógł się doczekać, kiedy wreszcie zrobi prawo jazdy i usiądzie za kółkiem swojego samochodu. Próbował błaznować, ale wiedziałam, że będzie za mną tęsknił.

– Przylecicie do mnie z babcią, jak tylko się tam zdomowię – obiecałam. – A tymczasem opiekuj się nią i bądź grzeczny.

W dniu wylotu byłam sparaliżowana strachem. Samego lotu bałam się najmniej, ale myśl o tym, że za parę godzin moje życie diametralnie się zmieni, odbierała mi powietrze. Nie wiedziałam, czy dobrze robię. Ale wiedziałam jedno: przekonam się o tym tylko wtedy, gdy spróbuję. Usiadłam w fotelu i drżącymi dłońmi chwyciłam pasy. Szczęk zapinanej klamry w jakiś niewytłumaczalny sposób mnie uspokoił. Klamka zapadła. Nie ma odwrotu. Lecisz.

W Dubaju uderzyło mnie nie tylko pustynne powietrze, ale i tamtejsza rzeczywistość, tak inna od znanej mi dotychczas. Zamieszkałam w jednym z wieżowców należących do moich linii lotniczych przy niezwykle ruchliwej Sheikh Zayed Road niedaleko Burj Khalifa2. Miejsca, które do tej pory znałam tylko z widokówek i telewizji, teraz miałam na wyciągnięcie ręki. Czułam się tym przytłoczona i nieco zagubiona, ale jednocześnie bardzo podekscytowana.

Podobno świetnie trafiłam – ludzie walczą o mieszkanie w tym budynku. Uchodzi za prestiżowy i doskonale położony. Apartament, który miałam dzielić z dwiema innymi stewardesami, miał trzy sypialnie, przestronną łazienkę i olbrzymi salon. Podłoga była wyłożona beżowymi kafkami polerowanego gresu, który doskonale utrzymywał chłód. W moim pokoju stały łóżko, szafa i biurko. Był ascetyczny i ewidentnie czekał, aż tchnę weń więcej życia. Rozpakowałam się dość szybko, a wtedy poczułam olbrzymią pustkę. Jakbym na własne życzenie przyjechała w miejsce, gdzie nikt na mnie nie czeka, nikt mnie nie kocha, nikt nie tęskni. Cały stres ostatnich godzin puścił i zaniósłam się

płaczem. Łkałam w głos tak długo, aż w końcu zmęczenie wzięło górę. Pierwszej nocy w Dubaju zasnęłam na mokrej od łez poduszce, z głową pełną wątpliwości i sercem przepełnionym tęsknotą za bliskimi.

Następnego dnia zrobiłam rzecz, która z perspektywy czasu wydaje mi się dość zabawna, wtedy jednak miała wręcz terapeutyczną moc: sprawdziłam, czy w Dubaju jest Ikea. Była! Natychmiast tam pojechałam. I nie chodziło mi tylko o urządzenie swojego pokoju – sklepy Ikei wyglądają tak samo na całym świecie, a ja pragnęłam, by coś w tym zupełnie obcym mi miejscu wyglądało tak jak w Polsce. Żeby było znajome. Ikea w dubajskim Festival City3 pod tym względem mnie nie zawiodła.

Już kolejnego dnia musiałam jednak stawić czoło rzeczywistości. Zgodnie z otrzymanymi wcześniej instrukcjami rano pojawiłam się w siedzibie Aviation College4. Po ukończeniu szkolenia miała się rozpocząć moja przygoda z lataniem. Nadal nie do końca docierało do mnie, że wkrótce zostanę stewardesą, ale cieszyło mnie, że wreszcie robię coś, co jest konkretne i namacalne. Tutaj nic nie było przypadkowe. Właśnie zostałam wmontowana w tryby doskonale działającej maszyny.

Szkolenie odbywało się w głównej siedzibie ArabAir, w stylizowanym na kształt samolotu budynku położonym w Deira – starej części Dubaju niedaleko lotniska. Znalazłam się w grupie kilkudziesięciu osób z całego świata. Wyglądaliśmy jak aktorzy amerykańskiego serialu, którego producenci dbają o równość rasową. Byli wśród nas ludzie skośnoocy, ciemnoskórzy i zupełnie biali. Europejczycy, Afrykańczycy, Amerykanie i Azjaci. Poczułam się trochę nieswojo. Nigdy wcześniej nie miałam okazji obcować z tak międzynarodowym towarzystwem. W całym swoim życiu nie widziałam tylu osób różnych ras. Wszyscy dumni, wyprostowani, uśmiechnięci – i równie przerażeni jak ja. Byliśmy tu nowi, zagubieni, obcy. To z pozoru mało przyjemne uczucie jest najlepszym spoiwem relacji, jakie tworzą się pomiędzy ludźmi, którzy przyjeżdżają do Dubaju z całego świata. Łgniemy do siebie, bo wszyscy jesteśmy w tej samej sytuacji. Wtedy jeszcze nie wiedzieliśmy, że najbliższe sześć tygodni to jedyna możliwość nawiązania przyjaźni. Później, latając, nie będzie już na to szans. Regularnie będziemy widywać tylko swoich współlokatorów – załoga na pokładzie zawsze będzie losowa. ArabAir zatrudnia kilkanaście tysięcy stewardes i stewardów, na każdym locie tworzy się nowa załoga. Ludzie się poznają, a po powrocie do Dubaju rozstają – kolejne spotkanie jest wyłącznie kwestią przypadku.

Kazano nam nałożyć identyczne czerwone polówki, podzielono nas na kilkusobowe grupy i ruszyliśmy po wiedzę. Nigdy nie sądziłam, że załogi latające muszą jej opanować aż tyle. W tamtym okresie na zawsze porzuciłam swoje wyobrażenie o pracy „pokładowej kelnerki”. Podawanie posiłków i napojów to wierzchołek góry lodowej tego nieprawdopodobnie wymagającego zawodu.

– Hej, jestem Lola – przywitała mnie śliczna dziewczyna mówiąca z hiszpańskim akcentem.

– Hej, Anna!

Pytanie o to, skąd jesteś, to w Dubaju standard. Najpierw jest klasyczne „How are you?”5, chociaż to nikogo nie interesuje, a natychmiast po nim pada „Where are you from?”6. Tak zaczyna się większość rozmów.

– Jak się tu odnajdujesz? – spytała Lola, gdy już miałyśmy za sobą formalności.

– Szczerze mówiąc, mam ochotę uciec.

– Doskonale to rozumiem. Ale zostań, damy radę – powiedziała całkiem przekonująco, choć była w identycznej sytuacji jak ja. A potem dodała coś, co miało być żartem dla rozładowania atmosfery, a okazało się przepowiednią. Dokładnie pamiętam jej słowa: – Na ucieczkę jeszcze przyjdzie czas.

Po szkoleniu widziałam się z Lolą tylko kilka razy, a zaledwie raz byłyśmy w tej samej załodze.

Kurs zaczął się od straszenia. Opowiedziano nam o zasadach obowiązujących w naszym nowym kraju i w liniach, w których wkrótce mieliśmy zacząć latać. Oto mieszkamy w miejscu, które kusi wolnością i za wolność surowo karze. Zabronione jest picie alkoholu, chyba że jesteśmy w klubie lub hotelu z licencją. Za posiadanie lub zażywanie narkotyków można nawet stracić życie. Zabronione są kontakty seksualne poza związkiem małżeńskim, jak również publiczne okazywanie czułości. Nie ma mowy o pornografii ani o przywożeniu do Dubaju wieprzowiny. Nie wolno przeklinać, a w czasie

ramadanu nie wolno publicznie pić nawet wody. Wkrótce miałam się przekonać, że granica pomiędzy tym, co wolno, a czego nie jest bardzo płynna.

To było dopiero preludium do nieprawdopodobnie wymagającego szkolenia, w czasie którego nauczyłam się dużo więcej niż podczas dwóch lat studiowania filozofii. Tam bujałam w obłokach. Tutaj wreszcie dowiedziałam się, jak to możliwe, że kilkaset ton żelastwa jest w stanie unieść się w powietrze i bez trudu pokonać kilkanaście tysięcy kilometrów.

Nigdy wcześniej nie zastanawiałam się na przykład, dlaczego okna w samolotach są okrągłe. Gdy w latach pięćdziesiątych pierwsze maszyny pasażerskie zaczęły latać na dużych wysokościach, zaczęto zwiększać ciśnienie w kabinie, by lot był bezpieczny dla życia pasażerów i załogi. Pierwszym samolotem pasażerskim, w którym zastosowano tę metodę, był legendarny De Havilland Comet. Jego okna wtedy jeszcze były kwadratowe. W tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym trzecim roku doszło do pierwszej katastrofy w historii lotnictwa. Kanadyjski De Havilland Comet lecący z Londynu do Sydney rozbił się w Pakistanie. Kilka miesięcy później kolejny samolot tego typu rozleciał się w powietrzu na drobne kawałki kwadrans po wystartowaniu z lotniska w Rzymie. Niedługo lotniczym światem wstrząsnęła kolejna tragedia – tym razem De Havilland Comet lecący z Londynu do Johannesburga spadł do Morza Śródziemnego.

Śledczy mieli ręce pełne roboty. Cud techniki okazał się wielką porażką lotnictwa i mógł zniweczyć wysiłki tych, którzy marzyli o tym, by człowiek wzbił się w powietrze. Sekcje zwłok ofiar wszystkich tych katastrof wykazały podobne uszkodzenia płuc i głowy – wskazujące na nagłą dekompresję kabiny. Gdy zaczęto badać pod tym kątem wraki, okazało się, że winne są właśnie kwadratowe okna. Pod wpływem ciśnienia kadłub nieco się rozszerza, co przy kwadratowych oknach powodowało rozszczelnienie. Zastosowanie okrągłych okien całkowicie wyeliminowało problem.

A dlaczego samoloty są z reguły białe? Okazuje się, że jest po temu wiele powodów – i żadnym z nich nie jest rasizm. Przede wszystkim biała farba jest tańsza. Przy ponad tonie farby potrzebnej na pomalowanie airbusa A380 to całkiem ważny aspekt, ale też najbardziej prozaiczny. Są bowiem dużo ważniejsze. Przede wszystkim biały kolor odbija promienie słoneczne, dzięki czemu kadłub samolotu nie nagrzewa się zbyt. Poza tym na białym idealnie widać wszystkie uszkodzenia i pęknięcia, więc łatwiej jest skontrolować stan techniczny samolotu. Biały samolot odbijający światło słoneczne odstrasza ptactwo i redukuje ryzyko zderzenia. W razie katastrof białe szczątki samolotu są też łatwiejsze do odnalezienia. A skoro już mowa o kolorach i katastrofach – okazuje się, że słynna czarna skrzynka, o której poszukiwaniach często mówi się po wypadkach lotniczych, wcale nie jest czarna, tylko pomarańczowa. Czarną byłoby trudniej odnaleźć, nawet mimo wysyłanego przez dwadzieścia osiem dni po katastrofie sygnału lokalizacyjnego.

Nie miałam też pojęcia o tym, że na pokładzie samolotu znajduje się tyle zaskakujących przedmiotów i instalacji. Ot na przykład kajdanki. Bardzo przydatny i – jak wkrótce miałam się przekonać – dość często używany sprzęt. Jest też siekiera (ta na szczęście nigdy nie była mi potrzebna) na wypadek katastrofy lub jakiejś innej ekstremalnej sytuacji.

Nie wiedziałam też, że samoloty są monitorowane, a umieszczone w kabinie kamery nagrywają zachowanie pasażerów, na wypadek gdyby musiały być dowodem w sprawie. Podgląd z tych kamer mają też piloci, a sygnał jest zapisywany w czarnych skrzynkach.

Nauczyłam się, co robić, gdybym uratowana z katastrofy musiała przetrwać w ekstremalnych warunkach, jak znaleźć pożywienie w dżungli, wodę na pustyni czy schronienie w regionach wiecznej zimy. Ta przerażająca wizja przeraża znacznie mniej, gdy wiesz, co może ci uratować życie. Pod tym względem szkolenie robi z nas – stewardes i stewardów – prawdziwych bohaterów. Potrafimy nawet odebrać poród.

Najbardziej ekscytujący był jednak moment, gdy wsadzono nas do symulatorów lotu i mogliśmy się zmierzyć z ekstremalnymi zjawiskami – od silnych turbulencji po pożar na pokładzie. Turbulencje, które z reguły wywołują największy strach wśród pasażerów, okazały się niemal kompletnie niegroźne – na pewno nie tak jak głupota pasażerów, którzy ewakuując się z samolotu, bardziej się martwią o bagaże niż o własne życie. To właśnie ewakuacji samolotu poświęcono na kursie

najwięcej uwagi. Musieliśmy się nauczyć technik opanowania paniki i reanimowania omdlałych, krótko mówiąc: reagowania w sytuacjach, których prawdopodobnie żadne z nas nigdy nie doświadczy, ale gotowość na nie jest sednem pracy załogi każdego samolotu.

Gdyby jeszcze szkolenie przygotowało nas na kretyńskie zaloty niewyżytych Hindusów, głupie pytania ze strony kreatywnych pasażerów czy najbardziej obrzydliwe sytuacje z udziałem wszelkiego rodzaju wydzielin ciała, mogłabym stwierdzić, że zostałam w pełni przygotowana do pracy stewardesy. Niestety powyższe tematy już wkrótce musieliśmy odrobić w ramach zadania domowego.

Po intensywnych dwóch miesiącach czekał nas egzamin, a dopiero po jego zdaniu otrzymywaliśmy licencję do latania. Nasze nazwiska mogły się pojawić w planie lotów. Nie mogłam się doczekać tej chwili. Byłam podekscytowana jak dziecko pierwszego dnia szkoły. Z czasem ekscytacja minęła, ale przyjemny dreszcz emocji towarzyszył mi niemal przy każdym locie.

– Hej, jestem Kale7, jak jarmuż! Wreszcie się spotykamy! – Śliczna ciemnoskóra dziewczyna powitała mnie w korytarzu naszego apartamentu.

– Witaj, Kale jak jarmuż – odpowiedziałam, puszczając do niej oko. – Jestem Anna.

– OMG8, czy wszystkie laski w Polsce mają tak na imię? Jesteś trzecią Polką, którą poznaję, i trzecią Anną.

– Jest nas około miliona.

– Miło cię poznać. Już myślałam, że się nie spotkamy.

– Szczerze mówiąc, ja też myślałam, że będę tu mieszkać sama.

– Witaj w świecie linii lotniczych. Spotkania nie są tu łatwe, ale damy radę. Właśnie wróciłam z Dżakarty. Kupiłam na lotnisku prosecco. Musisz mi wszystko o sobie opowiedzieć.

Otwartość Kale bardzo mnie zaskoczyła, ale i ucieszyła. W jednej chwili poczułam się jak w domu.

– Cathy wraca dziś z LAX9, powinna do nas dołączyć za jakieś dwie godziny. Ta stara alkoholiczka na pewno przywiezie świeżą dostawę alko, więc dziś pijemy! – zapowiedziała z radością Kale.

Kale okazała się Amerykanką o jamajskich korzeniach. Latała od kilku lat. Zaczynała w jakichś lokalnych liniach w Stanach, a potem ruszyła w świat. W Dubaju mieszkała od blisko dwóch lat. Jej piękną twarz o oliwkowej cerze otaczała burza drobnych loków. Teraz były wolne, ale wkrótce miałam się przekonać, że do pracy więzi je w pieczołowicie upiętym koku. Kale była wyluzowana i szalona jak jej afro, a jednocześnie potrafiła być niezwykle poukładana, trzeźwo oceniała każdą sytuację i do wielu tematów podchodziła zachowawczo. Była głosem rozsądku tam, gdzie innym – często i mnie – go brakowało.

Zgodnie z zapowiedzią jeszcze tego samego wieczoru dołączyła do nas Cathy, Brytyjka o urodzie rasowej modelki, którą zapewne odziedziczyła po rosyjskiej matce. Pergaminowa cera, blond włosy, szlachetne rysy. Gdyby nie jej usposobienie, mogłaby udawać arystokratkę z królewskich dworów.

Arabska stewardesa nie powinna być seksowna. Krój kobiecych mundurów linii ArabAir celowo jest bardzo zachowawczy, wręcz nieco workowaty, by nie kusić pasażerów. Ale Cathy nawet w mundurze wyglądała jak seksbomba. Leżał na niej niczym najbardziej ekstrawagancka kreacja z wybiegu. Niektórzy wyglądają świetnie niezależnie od tego, co na siebie włożą, Cathy była nie tylko piękna, ale i zupełnie szalona. Szybko znalazłyśmy wspólny język. Wkrótce miałam się przekonać, że to nie będzie zwykła przyjaźń.

Swój pierwszy lot – do pobliskiego Kuwejt – pamiętam bardzo dokładnie. Wstałam kilka godzin wcześniej, niż powinienam. Zresztą chyba w ogóle nie spałam tamtej nocy – nie mogłam się doczekać, kiedy nałożę mój idealnie wyprasowany mundur. Upięłam włosy zgodnie ze wskazówkami

ze szkolenia. Zrobiłam delikatny makijaż, wykończony intensywnie czerwoną szminką. Rajstopy, spódnica, bluzka, buty na obcasie, marynarka i toczek. Torebka w dłoń. Byłam gotowa.

Na lotnisko dotarłam dwie godziny przed planowanym lotem. Wszystko odbyło się zgodnie ze scenariuszem, który poznaliśmy w szkole. To był lot typu turn-around¹⁰. Był dla mnie niezwykle ekscytujący, choć tak naprawdę nie wydarzyło się nic ciekawego. Może poza jedną dość zabawną sytuacją. W pewnym momencie szefowa pokładu wcisnęła mi w dłoń czarny worek na śmieci i poprosiła, żebym przeszła się po samolocie i zebrała próbki powietrza z różnych jego części. Nie pamiętałam tej procedury ze szkolenia, ale byłam tak zestresowana, że nie zamierzałam dyskutować. Przeszłam z workiem przez niemal cały samolot, machając nim w powietrzu. Ani przez moment nie pomyślałam o tym, że nawet jeśli faktycznie mogłabym w ten sposób zebrać próbki powietrza, w worku na pewno wymieszałyby się za sobą. Po kilku minutach wróciłam do szefowej pokładu i zameldowałam wykonanie zadania. Wtedy cała załoga zaniosła się śmiechem. To był mój chrzest. Taką inicjację ma za sobą większość członków załóg latających, choć nie zawsze wygląda ona tak samo. Niektórzy jeszcze przed wejściem pasażerów na pokład musieli zaprezentować swoje umiejętności surferskie, pływając na tacy przez środek samolotu. Inni gonili papier toaletowy, którego jeden koniec znajdował się na dziobie, a drugi w toalecie, mniej więcej na środku kadłuba. Starsi stewardzi wrzucali zwinięty koniec do toalety i spuszczaali wodę. Ciśnienie w muszli powodowało, że papier wzbijał się w powietrze i pędził przez kabinę samolotu jak zerwany z linki latawiec. Zadaniem młodzika było go dogonić. Takie zabawy stanowiły wstęp do naprawdę ciężkiej harówki.

Na temat pracy w załodze latającej wciąż pokutuje zupełnie mylne przekonanie. Ładnie ubrane, nienagannie umalowane, precyzyjnie uczesane laski przechadzające się po pokładzie i upominające pasażerów, by zapięli pasy czy wyłączyli komórki. Roznoszą napoje, jedzenie, zbierają śmieci. Podróżują po całym świecie, a i męża na pokładzie mogą poznać.

Najbardziej skorzy do pokładowych romansów są wspomniani już Hindusi. Zaloty zwykle mają miejsce w trakcie serwowania posiłków – od hinduskiego żołądka do serca krótka droga.

– Życzy pan sobie rybę czy kurczaka?

– A jaka to część kurczaka? – Z pozorów niewinne pytanie w ustach hinduskiego flirtiarza nabiera zupełnie innego sensu. I już wiem, dokąd to zmierza.

– Piers, proszę pana.

– Piersi to ja lubię, ale takie, jak ma pani.

Wow, cóż za finezja.

– Więc jak? Rybka, kurczak czy darujemy sobie obiadek?

– Poproszę kurczaka. Ale mam nadzieję, że chociaż deserek będzie lepszy.

Gdzie on się uczył flirtować? Obstawiam kebab-shop na obrzeżach Nowego Delhi.

– Deserki mamy pyszne, ale tylko dla grzecznych pasażerów – odpowiadam. – Życzę smacznego.

W takich sytuacjach dziewczyny często zamieniają się z chłopakami albo z innymi koleżankami na alejki, tak by natrętny flirtiarz nie miał kolejnej okazji do zaczepki. Napalony Hindus ma jednak sporo z kleszcza – nie poddaje się tak łatwo i z reguły przez resztę lotu próbuje zwrócić na siebie uwagę, machając rękami, nadużywając przycisku wzywającego obsługę, zagadując w kolejce do toalety... Niektórzy walczą o uwagę, nawet opuszczając samolot.

– Wciąż czekam na ten deser – słyszę podczas pożegnania w Dubaju.

– Polecam Ice Cream Lab w Dubai Mall – odpowiadam. – Moim zdaniem najlepsze desery w mieście.

Słyszę, jak z trzaskiem łamie się kolejne hinduskie serce. Nie przejmuję się jednak. Sanjay (duże prawdopodobieństwo, że tak ma na imię) jest równie zaprawiony w boju o kobiece serca jak stewardesy w odrzucaniu zalotów. Na pewno sobie poradzi.

Latanie nauczyło mnie pokory, ale też w dużym stopniu ukształtowało moje poczucie własnej wartości. Większość pasażerów to kulturalni ludzie, ale zawsze trafi się jakiś niedowartościowany podróżnik, który kupił bilet w najniższej cenie promocyjnej i nie wie, że obsługujemy pasażerów, ale

nie jesteśmy ich służącymi. Czasami brak zrozumienia przybiera spektakularny wymiar. Latając w klasie ekonomicznej, widziałam już chyba wszystko. Pasażerowie naprawdę potrafią zaskoczyć.

Co zrobić z dzieckiem, które ma pełną pieluchę? Przewinąć! Gdzie? Najlepiej na miejscu. Przecież stolik zamontowany przed każdym pasażerem nadaje się do tego idealnie, a wędrowka z maluchem do toalety to zbyt duża niedogodność. Poza tym współpasażerowie na pewno się ucieszą, czując uroczy smrodek. Zdarzają się jednak niewdzięcznicy, którzy nie potrafią docenić zaszczytu obcowania z przewijanym tuż obok maleństwem. Tacy często spotykają się z głośnym oburzeniem matki: „Ale co panu to przeszkadza? Przecież on jest malutki! Pan kupy nie robi?”. No i trzeba interweniować. Zwracanie uwagi przewijającej dziecko matce grozi zamieszkami, a w najlepszym przypadku awanturą. W każdym razie ryzyko lądowania awaryjnego wzrasta znacząco. A co zrobić z wypełnioną po brzegi pieluchą? To zależy od okoliczności. Jeśli do lądowania zostało mało czasu, można ją wcisnąć w kieszeń fotela albo zostawić pod siedzeniem. Jeśli natomiast lot potrwa jeszcze kilka godzin, najlepiej przy pierwszej nadarzającej się okazji wręczyć pampersa stewardesie...

Latanie nauczyło mnie sarkazmu – to doskonały mechanizm obronny. Oczywiście na pokładzie nie można sobie pozwolić na wygłaszanie uwag, ale wyładowanie się do wewnątrz, w myślach, bardzo pomaga. Są jednak tacy, którzy dają głośny upust swojej niechęci do trudnych pasażerów – w sprytny sposób mieszają na przykład „fuck you” z „thank you”, żegnając wysiadających. Wygłaszane ciągiem i mechanicznie brzmią niemal tak samo, a można dać ujście nagromadzonej przez kilkanaście godzin lotu frustracji.

– Mile High¹¹ na ogonie! – rzucił nonszalancko Steve, przechodząc przez środkową galley¹², gdzie ja i Lola rozlewałyśmy napoje do nocnego serwisu. Pamiętam dokładnie ten lot, bo niezwykle rzadko spotykamy znajomych wśród załogi, a gdy się to zdarza, atmosfera od razu staje się serdeczna jak w rodzinie. Lolę znałam ze szkolenia, a Steve to australijski chłopak Anisa, przyjaciela Cathy. Poznaliśmy się na jakiejś imprezie; w Dubaju to wystarczy, by nawiązać choćby powierzchowną przyjaźń.

– Przerwywamy czy zostawiamy?

– Dajmy im chwilę, przerwywanie jest niezdrowe. – Steve puścił do mnie oko.

Do tak zwanej *love in the air*¹³ dochodzi z reguły po pierwszym serwisie, gdy pasażerowie są już najedzeni, często też po kilku drinkach. Temperatura w kabinie wzrasta, a światła są przyciemnione, by pasażerowie mogli wypocząć. Sytuacja ta jest też zbawienna dla załogi – nie trzeba się użerać z potencjalnie uciążliwymi podróżnymi, gdyż większość ludzi śpi. Niektórym jednak w takich okolicznościach zbiera się na amory. Zawsze fascynował mnie temat seksu w samolocie. Dlaczego ludzie tak bardzo pragną przeżyć orgazm na wysokości ośmiu czy dziesięciu tysięcy kilometrów w łazience, która z trudem mieści jedną osobę? Ani to wygodne, ani podniecające, często wręcz niebezpieczne – może się skończyć kontuzją przy niespodziewanej turbulencji, a w ekstremalnych sytuacjach nawet awaryjnym lądowaniem i aresztem. Pokład samolotu zgodnie z prawem stanowi terytorium państwa, w którym samolot jest zarejestrowany. Seks w samolocie Emiratów Arabskich nie różni się zatem niczym od seksu uprawianego w publicznej toalecie w Dubaju – a ten jest niemal gwarantowanym sposobem na poważne kłopoty. Do tego dochodzi kwestia higieny. Po kilku godzinach lotu podłogi w toaletach dosłownie płyną moczem. Nawet w najlepszych liniach lotniczych – i nawet jeśli tego nie widać...

Mniej więcej na co drugim *long haul*¹⁴ ktoś próbuje uprawiać seks. Nie wszyscy robią to w łazience. Często dziewczyna zasypia na kolanach swojego chłopaka, a chwilę później pod kocem rozpoczyna się seria energicznych, posuwisto-zwrotnych ruchów. Mogą one świadczyć o kilku rzeczach: albo dziewczyna jest duszona i walczy o powietrze, albo dostała ataku padaczki, albo właśnie obciąża swojego facetowi. Co zabawne, pasażerowie często są przekonani, że obsługa tego nie widzi. Fakt, że nie reagujemy, jest ukłonem w ich stronę. Ale gdy harce zaczynają sprawiać dyskomfort pozostałym pasażerom, wkraczamy do akcji.

Seks w samolocie uprawiają również pasażerowie podróżujący samotnie. Niestety koce pokładowe służą nie tylko do ochrony przed zimmem. Co ciekawe, „te rzeczy” robią nie tylko panowie.

Kobiety coraz częściej walczą o prawo do orgazmu na pokładzie. Panie mają w tej kwestii nieco łatwiej i tylko nieliczne zaliczają wpadki. Byłam początkującą stewardesą, gdy zostałam wezwana na tył samolotu przez zaniepokojonego pasażera klasy ekonomicznej. Nie wiedział, co się dzieje z siedzącą przy oknie kobietą – wydawało się, że śpi, ale co jakiś czas drżała i wydawała niekontrolowane jęki.

– Może powinniśmy ją obudzić? – zasugerował pasażer. – Może ma epilepsję?

Na pomoc ruszyłam razem z bardziej doświadczoną koleżanką. Ta bez skrupowania pochyliła się nad kobietą.

– Czy wszystko w porządku, Ma’am15? – zapytała.

Kobieta nie zareagowała, więc stewardesa delikatnie trąciła jej ramię.

– Ma’am, czy wszystko w porządku? – powtórzyła.

Pasażerka ocknęła się z błogim uśmiechem i rozanielonym wyrazem twarzy.

– Tak... hmm... idealnie – westchnęła, po czym zamknęła oczy i wtuliła twarz w przyklejoną do okna poduszkę.

Mężczyzna, który nas zaalarmował, wyraźnie uspokojony, wrócił na swoje miejsce, a my poszliśmy z powrotem do galley. Wciąż nie wiedziałam, o co w tym wszystkim chodzi. Uświadomiła mnie dopiero moja koleżanka:

– Pani siedziała na vibratorze!

– Co? Nieeeee... Skąd wiesz?

– Kochana, uwierz mi, jeszcze kilka lotów i ty też będziesz to wiedzieć.

Nie myliła się. Po niedługim czasie trafnie rozpoznawałam panie, które przeżywają skrytą przyjemność, a nawet w duchu im kibicowałam. Zawsze lepszy orgazm niż stres związany z lataniem. Moje podejście do tematu zmieniło się nieco, gdy po locie znalazłam na pokładzie ewidentnie używany vibrator, o którym zapomniała jedna z rozochoconych pasażerek. Drogie panie, to wspaniale, że lubicie seks, ale swoich chłopaków zabieramy ze sobą po podróży. Nawet jeśli są zrobieni z silikonu i zasilani bateriami.

1 Z ang. – królowa pszczoła – pot. popularna, atrakcyjna dziewczyna, która wykorzystuje urodę, by dominować nad osobami w swoim otoczeniu.

2 Najwyższy budynek na świecie, symbol Dubaju.

3 Z ang. – miasto festiwalu – popularna handlowo-mieszkalna dzielnica Dubaju.

4 Szkoła Lotnicza, każda z dużych linii lotniczych na Bliskim Wschodzie ma swój własny ośrodek szkoleniowy dla przyszłych kadr.

5 Z ang. – Jak się masz?

6 Z ang. – Skąd jesteś?

7 Z ang. – jarmuż; również imię żeńskie.

8 Skrót od ang. *Oh my God* – O mój Boże!

9 Kod lotniska międzynarodowego w Los Angeles.

10 Lot w tę i z powrotem.

11 Mile High Club – w żargonie lotniczym pary, które uprawiają seks na pokładzie samolotu.

12 Część samolotu, w której przygotowywane są posiłki i napoje.

13 Z ang. – miłość w powietrzu.

14 Z ang. – lot długodystansowy.

15 Skrót od ang. *madam* – pani, tu: Proszę pani.

ROZDZIAŁ 3

Pasażer

To był okropny lot. DXB16–MUC17. Jeden z najbardziej wstrząsających w mojej lotniczej karierze, choć zdarzyło się kilka konkurencyjnych. Do dziś pamiętam numer miejsca, na którym siedział starszy, na oko siedemdziesięcioletni, zadbany i bardzo dobrze ubrany mężczyzna – trzydzieści siedem K. Był Niemcem i miał na imię Dieter. Prawdopodobnie wracał do domu. Była noc. Większość pasażerów próbowała spać, nieliczni kręcili się niecierpliwie po pokładzie lub stali w przedśionkach do toalet, próbując wykonywać ograniczone ćwiczenia rozciągające. Obsługiwałam tylną galley, gdy podeszła do mnie młoda filigranowa dziewczyna i okraszonym niemieckim akcentem angielskim spytała, czy dałoby się coś zrobić z przykrym zapachem, który mocno utrudnia jej podróż. Z reguły niestety nie da się z tym nic zrobić – trudno wpłynąć na fizjologię kilkuset osób na pokładzie – ale nie mogłam jej zignorować. Ewidentnie nie należała do pasażerów w typie „płacę – wymagam” i była dość mocno skrzępowana swoją uwagą. Jej partner, który zajmował miejsce tuż przy przejściu, podobno odradzał jej niepokojenie załogi, ale gdy dziewczyna wstała, sam poczuł, jak bardzo poważny jest problem, i przybiegł tuż za nią.

Podeszłam do miejsca wskazanego przez kobietę. Faktycznie, zapach był nie do zniesienia. Na mój widok pasażerowie pobliskich rzędów również zaczęli narzekać, niektórzy w dość dosadny sposób. Tylko jeden mężczyzna pozostawał spokojny – śpiący pasażer na miejscu numer trzydzieści siedem K. Gdy do niego podeszłam, wszystko stało się jasne. Staruszek zmarł we śnie, a rozluźnione mięśnie, co często się zdarza, spowodowały wypróżnienie. Poprosiłam pasażerów o zachowanie spokoju i natychmiast zawiadomiłam szefową pokładu, a ta wydała polecenia reszcie załogi. Kapitan podjął decyzję o kontynuowaniu lotu, co oznaczało, że przez kolejne cztery godziny załoga będzie musiała robić wszystko, by jak najmniej pasażerów dowiedziało się o tym, co się stało.

Na szczęście udało się nam znaleźć osiem pustych miejsc i przesadzić współpasażerów nieszczęsnego staruszka. Niektórzy załapali się na klasę biznes, inni musieli zostać rozdzieleni ze współtowarzyszami, ale tylko jedna pani bardzo głośno wyrażała swoje niezadowolenie.

– Starcy powinni siedzieć w domu, a nie latać po świecie! – krzyczała, nie zważając na to, że budzi pasażerów.

Istniało duże prawdopodobieństwo, że przez jej wrzaski pasażerowie wpadną w panikę. Na szczęście jeden ze stewardów szybko odciągnął furiatkę na bok. Nie wiem, co jej powiedział, ale jakimś cudem nie odezwała się więcej ani słowem.

Przykryliśmy kocem naszego staruszka, a potem zużyliśmy całą butelkę odświeżacza, by przykryć nieprzyjemny zapach. W samolotach nie ma żadnego specjalnego miejsca na martwe ciało, więc w takiej sytuacji nie ma wyjścia – trzeba zostawić nieboszczyka na jego fotelu. Co jakiś czas któraś ze stewardes podchodziła do rzędu trzydziestego siódmego i dyskretnie rozpylała kolejną porcję odświeżacza.

Po lądowaniu, kiedy pasażerowie opuścili już pokład, jeszcze raz podeszłam do staruszka. To dziwne, ale chciałam go zapamiętać. Pewnie kompletnie go nie obchodziło, ale było mi przykro, że odszedł w taki sposób. Był eleganckim mężczyzną, wyglądał na człowieka wykształconego i z klasą, a jego śmierć została sprowadzona do odrażającej fizjologii.

Monachium to był dla nas pechowy port. Jeszcze zanim zaczęliśmy regularnie latać do tego portu, nasz samolot lecący do Nowego Jorku musiał tam lądować awaryjnie. Sprawa była bardzo głośna, odbiła się szerokim echem w mediach, a w internecie do dziś można znaleźć filmy dokumentujące to wydarzenie. Niewiele osób jednak wie, co tak naprawdę wydarzyło się na pokładzie – poza tym, że lądowanie związane było z zagrożeniem życia jednego z pasażerów. Prawda jest taka, że samolotem leciała Pakistanka z dwójką dzieci – dorosłym synem i jedenastoletnią córką.

Dziewczynka była wyraźnie chora, do samolotu została dowieziona na wózku inwalidzkim, bo słała się na nogach. Kobieta zapewniała, że to tylko osłabienie; na dowód przedstawiła opinię lekarską, która wykluczała chorobę zakaźną (to wiązałoby się z natychmiastowym skreśleniem ich z listy pasażerów ze względu na bezpieczeństwo pozostałych osób). Matka przykryła dziecko kocem i dziewczynka zasnęła, jeszcze zanim samolot oderwał się od pasa startowego. Załoga przez cały czas z atencją obsługiwała kobietę i jej syna, chcąc ulżyć im w trudach podróży z chorą dziewczynką. Już nad Europą samolot wpadł w turbulencje, a kapitan włączył sygnalizację „zapiąć pasy”. Wtedy jedna ze stewardes, sprawdzając, czy pasażerowie zastosowali się do zaleceń, przypadkowo odkryła, że śpiąca dziewczynka jest zupełnie śina. Rozpoczęto natychmiastową reanimację i podjęto decyzję o awaryjnym lądowaniu. Dziewczynka nie odzyskała przytomności. Na lotnisku w Monachium jeszcze przez blisko godzinę walczono o jej życie. Bezskutecznie. Dziecko zmarło. Ta tragiczna historia ma jeszcze smutniejszy wydźwięk, jeśli wziąć pod uwagę reakcję matki dziewczynki. Kobieta nie wysiadła z samolotu. Nie pobięła za swoją córką. Zgodnie z prawem nie musiała. Została przesłuchana przez policję na pokładzie, po czym... ruszyła w dalszą podróż, zostawiając swoje martwe dziecko. Tłumaczyła, że spieszy się na ślub syna. Tego, który leciał razem z nią. Ślub miał się odbyć w Kanadzie, a jeśli teraz by wysiadła, nie zdążyłaby na przesiadkę w Nowym Jorku. Cóż, w muzułmańskiej kulturze synowie są ważniejsi od córek.

Dwa lata minęły jak jeden dzień. Były ekscytujące, pełne podróży i nowych znajomości, ale w moje życie powoli wkradała się rutyna. Wszystko, przed czym przestrzegły mnie moje bardziej doświadczone koleżanki, okazało się prawdą. Hongkong za pierwszym razem jest niesamowity, za drugim porywa, za trzecim czujesz się w nim jak w domu, za czwartym... No cóż, za czwartym nie chce ci się już nawet wychodzić z hotelu. Coraz częściej krzywiłam się na loty, które kiedyś bardzo mnie cieszyły. Wiedziałam, że nadchodzi czas na zmiany. Nadal chciałam latać, świat wciąż mnie fascynował, ale potrzebowałam czegoś nowego. W takich sytuacjach ludzie pracujący w liniach lotniczych starają się o awans lub odchodzą. Dla jednych awansem jest przejście do elitarnych załóg latających na airbusie A380 – największym samolocie na świecie; dla innych to po prostu przejście do klasy biznes lub klasy pierwszej. Przejście takie poprzedza nieprawdopodobnie trudny egzamin. Ja jednak zdałam go bez większych przeszkód.

Nagle znalazłam się w zupełnie innym świecie. Nie ukrywam – z perspektywy pierwszej klasy trudno się oprzeć pokusie spojrzenia na klasę ekonomiczną z góry. Zarówno pasażerowie, jak i obsługująca ich załoga zlewają się w jedną, nieokrzesaną, żądną taniego latania masę. Starłam się wystrzegać takiego myślenia, bo sama do tej pory podróżuję wyłącznie klasą ekonomiczną, ale pierwsza klasa to naprawdę inny świat.

„W razie katastrofy z pierwszej klasy też zostaje miazga”, powtarzała mi często Kale, dbając o to, by sodowa nie uderzyła mi do głowy. Jedno jest pewne: w razie katastrofy z klasy pierwszej zostaje miazga opatrzona logotypami wielu drogich marek, w której jest naprawdę sporo złota. A dla pasażerów, których miałam teraz obsługiwać, nie było to bez znaczenia.

Podróżni w klasie pierwszej są traktowani jak gwiazdy – i to już od momentu, gdy przestąpią próg swojego domu czy hotelu. Na lotnisko są dowożeni przez ArabAir eleganckimi mercedesami lub bmw. Trafiają prosto do trzeciego terminalu dubajskiego lotniska, gdzie mieści się strefa check-in dla pasażerów klasy pierwszej i klasy biznes. Stanowisk do odprawy jest tu dużo więcej niż dla klasy ekonomicznej, tak by pasażerowie nie musieli długo czekać. Ludzie przyzwyczajeni do tego, że świat kręci się wokół nich, nie lubią czekać. Po odprawie oczekujący na samolot bogacze mogą skorzystać z luksusów oferowanych przez spa, restauracje, strefy biznesowe i rekreacyjne. Wszystko tu sprawia zamierzone wrażenie zbytku. Ma się przelewać, ma być w nadmiarze, ma być na wyrost. Strefa dla VIP-ów ma bezpośredni dostęp do gates 18 dla pierwszej klasy. Pasażerowie zwykle nie mają kontaktu z tymi z niższych klas – wsiadają do samolotu wejściem umiejscowionym tuż przy kabinie pilotów. Na pokładzie witani są po nazwisku i odprowadzani do przestronnych kapsuł, które przypominają

luksusowe pokoje hotelowe w wersji mini. W boeingach 777, którymi latałam, jest ich tylko sześć, a każda aż kipi od przepychu. Wszystkie są wyposażone w bardzo wygodne fotele, które na życzenie pasażera (oczywiście z pomocą załogi) zmieniają się w wygodne, ponaddwumetrowe łóżka. Są one wykonane w opracowanej przez NASA technologii *zero gravity*¹⁹ pozwalającej na tłumienie przeciążeń i turbulencji. W każdej kabinie jest telewizor – podróżni mogą wybierać spośród dwustu pięćdziesięciu kanałów z filmami, serialami, gramy, a nawet telewizją na żywo. Jakby tego było mało, jest jeszcze darmowy bezprzewodowy internet. Każdy pasażer dostaje kosmetyczkę z kosmetykami od Bulgari i piżamę uszytą ze specjalnej tkaniny zapobiegającej przesuszaniu skóry (to jedna z największych bolączek związanych z podróżowaniem samolotem). Minibar jest wypakowany przekąskami i napojami bezalkoholowymi; o te z procentami dba załoga. W menu są oczywiście najdroższe i wyłącznie ekskluzywne alkohole z Dom Pérignon na czele. Każdy z pasażerów jest witany daktylami i tradycyjną arabską herbatą bądź szampanem. I niemal nigdy nie słyszy od załogi słowa „nie”. Mamy sprawić, żeby niemożliwe stało się możliwe, a lot był absolutnie niezapomniany. Swoje życzenia pasażerowie mogą zgłaszać, łącząc się z obsługą za pomocą videofonu. Pierwszą klasą latają szejkowie z rodzinami, bogaci biznesmeni, politycy i gwiazdy show-biznesu. Czasami obsługiwane ich jest naprawdę wspaniałą przygodą, czasem absolutnym koszmarem. Jedno jest pewne: w *pointy end*²⁰ nic nie jest pewne. O ile w klasie ekonomicznej pasażerowie potrafią być nieznosni, ale mimo wszystko przewidywalni, o tyle po pasażerach klasy pierwszej można się spodziewać niemalże wszystkiego. Tego, co spotkało mnie ze strony jednego z nich, nie byłam w stanie przewidzieć nawet w najśmielszych snach.

Tego dnia nie zapomnę nigdy. DXB–JFK²¹, godzina ósma trzydzieści rano. Nie byłam zachwycona kolejnym lotem do Nowego Jorku, a moim jedynym planem na pobyt w mieście było przespanie całego wolnego czasu. Zamierzałam bez wyrzutów sumienia być absolutnym słamclickerem²², nawet jeśli miałabym się zmierzyć z krytycznymi spojrzeniami kolegów. To jednak mało prawdopodobne – w tym zawodzie sen jest towarem tak deficytowym. Poza tym ile razy można zwiedzać to samo miasto. Perspektywa przespania całego pobytu w luksusowym hotelu była zdecydowanie bardziej kusząca.

Właśnie tego dnia spotkaliśmy się po raz pierwszy. Był pasażerem kabiny dwa F. Jednym z dwóch, jakich mieliśmy do obsłużenia. Pierwszym gościem był pakistański milioner niezbyt hojnie obdarzony wzrostem, ale dzielnie nadrabiający braki wagą. Był idealnym przykładem na to, że w życiu nie można mieć wszystkiego. Drugi mężczyzna był absolutnym zaprzeczeniem tej tezy. Niepokojąco zjawiskowy, wysoki, świetnie zbudowany, pięknie pachnący i niezwykle elegancki Arab miał w sobie coś, co powodowało, że nie byłam w stanie utrzymać wzroku na wysokości jego twarzy. Zresztą nie tylko ja. Mark, jeden z nielicznych znanych mi heteroseksualnych stewardów, który tego dnia dzielił ze mną obsługę, zachowywał się jak zawstydzona dziewczynka.

Pasażer doskonale wiedział, że nas onieśmiela – zapewne już nie raz spotkał się z taką reakcją – ale nie sprawiał wrażenia wyniosłego. Przywitał się, skłaniając głowę, a wtedy ja, kretyńka, wyciągnęłam do niego dłoń. Nie wiem, co mnie podkusiło. To gest absolutnie zakazany w liniach lotniczych, a w arabskiej kulturze po prostu niedopuszczalny. Arab nie podaje kobiecie dłoni, a już na pewno ona nie robi tego pierwsza!

Zaraz mnie zwolnią, pomyślałam. Wprawdzie świadkiem mojej wpadki byli tylko Mark i kapitan – obaj są Europejczykami – ale i tak zachowałam się skandalicznie. Tymczasem mężczyzna ujął moją dłoń, uśmiechnął się szeroko, po czym tak samo powitał kapitana i Marka. Uratował mnie. Chyba wiedział, że jeśli tego nie zrobi, mogę mieć kłopoty. Wciąż czułam jego dotyk. W myślach próbowałam przywołać się do rozsądku. Mało skutecznie. Nie byłam w stanie wyobrazić sobie, jak mam obsługiwać kogoś, kto sprawia, że mam tak potworną treść. W moich drżących dłoniach lampka Dom Pérignon z dwa tysiące dziewiątego roku buzowała od piany. Przynajmniej są zajęte, nie będę chciała ich nikomu podawać.

Czekałam, aż kapitan wygłosi upragnione: „All crew, ready for take off!”²³. Będę mogła się uspokoić i przestać zachowywać jak kretynka. Karny język zdecydowanie mi się należał. Niestety – kapitan ogłosił półgodzinne oczekiwanie na start. Lampki wzywające obsługę z obu kabin zapaliły się niemal jednocześnie.

– Biorę Romeo, ty weź Pakistańca – rzucił Mark.

Spojrzałam na niego z wyrzutem. Natychmiast zrozumiał, że nie podoba mi się ten podział.

– Jesteś pewna? Mnie wszystko jedno, żaden nie jest w moim typie, ale tobie chyba nie jest obojętne... – rzucił z ironicznym uśmiechem.

Nie mogłam pozwolić na te kpiny.

– Jest mi równie obojętne jak tobie. Biorę paka!

Gdy tylko pojawiłam się w jego kabinie, pakistański biznesmen spytał, czym spowodowane jest moje opóźnienie, ale zanim zdążyłam odpowiedzieć, Mark złapał mnie za ramię i mruknął:

– Idź do dwa F.

Wyglądał na niezadowolonego i jakby... zazdrosnego? Okazało się, że pasażer zażyczył sobie, żebym to ja obsługiwała go przez resztę lotu. Byłam równie szczęśliwa, co przerażona. Zaliczyłam już jedną sporą wpadkę, a czternastogodzinny lot dawał mi szansę na setki innych. Ale tak bardzo chciałam znowu znaleźć się w jego towarzystwie, że emocje wzięły górę.

Mężczyzna poprosił o kolejną lampkę szampana i zapytał o moje imię.

– Anna... – wydukałam.

– Miło mi cię poznać, Anno. Jestem Mohammed, Mo – odparł, po czym... podał mi dłoń.

Po raz kolejny znalazłam się w sytuacji, która marszczy brew niejednego arabskiego konserwatysty. W niektórych kręgach mogłaby być uznana za prostytutkę, a w liniach, dla których pracowałam, była surowo zakazana. Tym razem jednak to on wyciągnął rękę. Wiedziałam, że zrobił to specjalnie, jakby chciał powiedzieć, że wcześniejsze faux pas było zwyczajnym gestem, że nie ma z tym żadnego problemu. Odrzucenie uścisku byłoby w tej sytuacji chyba jeszcze większym nietaktem. Podałam mu dłoń. Złapał ją na chwilę, po czym delikatnie puścił. Mogłabym trzymać go za rękę podczas startu, gdyby tylko się bał. Mogłabym usiąść na jego kolanach, pogłaskać po czarnych lśniących włosach, pocałować...

Uspokój się, idiotko! On wcale nie wygląda na przerażonego, jest po prostu miły. A ty ewidentnie musisz sobie znaleźć chłopca.

Uśmiechnął się, a ja, nie chcąc przedłużać niezręcznej sytuacji i stwarzać okazji do kolejnej wpadki, zapytałam:

– Czy mogę pomóc w czymś jeszcze?

– Jestem przekonany, że możesz, ale do tego wrócimy już w obłokach – odparł nieco zawadiackim tonem.

Czy on ze mną flirtuje? Idiotka! Przecież tacy jak on rozmawiają w ten sposób z każdą dziewczyną. No, przynajmniej z tymi ładnymi. Boże, on myśli, że jestem ładna! Uśmiechnęłam się.

– Zatem życzę przyjemnego lotu, panie Sayeed. – Starałam się ocalić resztki profesjonalizmu.

– Z pewnością będzie niezwykle przyjemny – odpowiedział z ujmującym uśmiechem.

Po raz pierwszy byłam oczarowana pasażerem. Widziałam tysiące przystojnych, świetnie zbudowanych mężczyzn. Widziałam stewardesy niemal bijące się o to, by obsługiwać pokładowych przystojniaków. Siebie takiej natomiast nie widziałam jeszcze nigdy.

W końcu kapitan ogłosił przygotowanie do startu. Usiadłam w *jump seat* i pośpiesznie wstukałam w przeglądarkę w moim telefonie nazwisko tajemniczego pasażera. Po chwili czytałam: „Mohammed Abdul Al Sayeed – najstarszy syn potentata rynku nieruchomości. Firma buduje prestiżowe budynki w całej Azji. Wykształcony w Oksfordzie. Właściciel sporej części fortuny ojca. Inwestuje w firmy technologiczne i w rozwój sztucznej inteligencji. Kilka lat temu wszedł w posiadanie jednej ze znanych drużyn piłkarskich. Playboy. Ikona stylu. Miłośnik szybkich aut. Właściciel stadniny ogierów”.

Czułam się jak nastolatka, która spotkała swojego idola z plakatu. Musiałam się uspokoić. Start

samolotu był do tego idealną okazją. To przecież tylko bardzo miły pasażer. A ty jesteś zwykłą stewardesą. Weź się w garść!

Kiedy byliśmy już prawie na wysokości przelotowej i można było odpiąć pasy, mój pasażer zażyczył sobie obiad. Zamówił gravad lax z łososia z cytrynowymi blinami i ogórkiem oraz ravioli ze szpinakiem i orzeszkami pini podawane w sosie z pieczonych pomidorów. Do tego Chivas Regal Royal Salute, dwudziestojednoletnią szkocką whisky. Tak, pamiętam to zamówienie do dziś.

Podczas serwisu był szarmancki, ale nie wychodził poza zwyczajową grzeczność. Po obiedzie zamknął się w swojej kabinie, a po dwóch godzinach lotu wezwał mnie do siebie ponownie.

– W czym mogę pomóc, panie Sayeed?

– Mów mi Mo. Myślałem, że już się sobie przedstawialiśmy.

– Tak, ale to dość niezręczne, obowiązują nas pewne zasady...

– Te zasady są dla bogatych dupków, którzy chcą się dowartościować... Proszę, mów mi Mo.

– Tak jest panie Say... to znaczy Mo.

– No, od razu lepiej.

Przez chwilę tylko patrzył na mnie z łagodnym uśmiechem, co bardzo mnie krępowało.

– Czy mogę ci w czymś pomóc? – ponowiłam pytanie.

– Mam wszystko, czego potrzebuję. Ale bardzo chętnie napiłbym się kawy...

– Już podaję. – Chciałam się odwrócić, ale mnie zatrzymał.

– ...chętnie napiłbym się kawy z tobą. W Nowym Jorku.

– To chyba nie jest dobry pomysł. Po tak długim locie mogłabym wystraszyć wszystkich w kawiarni.

– W to nie uwierzę. Tak piękna istota może być tylko ozdobą.

Oj, nie widziałeś mnie bez makijażu, w piżamie i kapciach!

– Wrócimy do tego na miejscu – odrzekłam, zachowując marne resztki profesjonalizmu.

– Trzymam cię za słowo. – Mo uśmiechnął się tak szeroko, jakby właśnie usłyszał moją zgodę.

Odmowy nie brał pod uwagę.

Reszta lotu przebiegła zupełnie zwyczajnie. Po lądowaniu Mo pożegnał się z załogą i wysiadł jakby nigdy nic. Nawet jeśli zdecydowałabym się na tę kawę, nie wiedziałam, gdzie i kiedy mielibyśmy ją wypić. Czyli jednak slam-click. Trudno, przynajmniej odpocznę. Na pewno będę miała o kim śnić.

Gdy tylko dotarłam do hotelowego pokoju, padłam jak długa na łóżko. Przez chwilę tylko leżałam nieruchomo. Uwielbiałam ten moment po olbrzymim wysiłku związanym z lotem. Zawsze dopiero po jakimś czasie byłam w stanie zdjąć mundur i przygotować się do odpoczynku, choć nie raz zdarzyło mi się po prostu zasnąć i obudzić po kilku godzinach, z trudem orientując się w sytuacji. Zmiany stref czasowych, odwodnienie, promieniowanie, hałas i kilometry schodzone po pokładzie odbijają się na organizmie. Czasami baterie po prostu się wyczerpują. Po kwadransie podjęłam odważną decyzję: zdejmę mundur i przygotuję się do snu jak normalny człowiek. Dopiero gdy podniosłam się z łóżka, zauważyłam na toalecie piękny bukiet białych kwiatów. Załogi latające śpią z reguły w luksusowych hotelach, ale nigdy nie witają nas kwiatami. Zaintrygowana podeszłam do wazonu. Kwiaty skrywały minimalistyczny w formie, odręcznie wypisany bilecik. „Jesteś niebem. Zadzwoń. Mo”. Był też, równie starannie wykaligrafowany, numer telefonu. Nie rozpoznałam numeru kierunkowego – na pewno nie był amerykański ani emiracki. Zapewne Mo miał numer międzynarodowy, wcale by mnie to nie zdziwiło. Mimo wcześniejszych emocji teraz nie byłam w stanie wykrzesać z siebie wielkiej ekscytacji. Byłam tak zmęczona, że decyzję o tym, kiedy i czy w ogóle zadzwonić, postanowiłam odłożyć na później.

Kilkugodzinny sen, w który zapadłam już po chwili, ostudził emocje, pozwolił mi nabrać dystansu, a może po prostu przywrócił mi rozum. Nie spotkaliśmy się w Nowym Jorku. Nie odważyłam się zadzwonić. Oczywiście randka z takim facetem byłaby pewnie bardzo miła, ale bałam

się konsekwencji. Uświadomiłam sobie, że mogę być w ten sposób sprawdzana przez linie lotnicze. Niby kawa z pasażerem nie jest oficjalnie zakazana, a poza krajami arabskimi nie ma nawet żadnego drożnego podtekstu, ale gdy opadły emocje, postanowiłam posłuchać głosu rozsądku. A może po prostu stchórzyłam? Należeliśmy do dwóch różnych światów. On, nawet jeśli faktycznie był mną zainteresowany, raczej nie widział we mnie kobiety na resztę życia, a ja z pewnością w jednej chwili straciłabym dla niego głowę. To nie miało ani przyszłości, ani większego sensu. Nie zmieniało jednak faktu, że flirt z arabskim playboyem był soczystym kąskiem na babskie ploteczki, dlatego jeszcze przed lotem powrotnym upewniłam się, że Cathy i Kale będą w Dubaju, kiedy wrócę. Musiałam z nimi porozmawiać!

Dziewczyny oczywiście zaczęły od googlowania.

– *Yummy!* Megaciacho – orzekła Kale.

– Ja pewnie nie byłabym w stanie się oprzeć – wtórowała jej Cathy. – Przeleciałabym go jeszcze na pokładzie.

– Tak, wiemy, że masz problemy z opieraniem się, – Kale się zaśmiała.

– Dziwka! – rzuciła Cathy, choć wiedziała, że trochę sobie zapracowała na tę opinię.

Cathy była świadoma swojej urody i chętnie korzystała z uwagi, jaką obdarzali ją mężczyźni. Raczej też nie robiła z tego tajemnicy. Zazdrościłam jej tej pewności siebie. Gdyby to ona znalazła się w orbicie zainteresowań Mo, zapewne właśnie rozmawiałybyśmy o tym, jaki jest w łóżku. Nie zastanawiałaby się, czy zadzwonić. Była przebojowa i potrafiła korzystać z życia. Czasem okazywało się to dla niej zgubne, ale ja na swojej powściągliwości też nie wychodziłam najlepiej.

Cathy była ucieleśnieniem wszelkich stereotypów na temat stewardes: zjawiskowa, seksowna, przykuwająca uwagę pasażerów i sypiąca z przystojnymi pilotami. Seks uprawiała dla sportu i nie wstydziła się tego, choć w Dubaju to stąpanie po cienkiej linie.

Była w związku typu on & off²⁴ z Geoffem, australijskim pilotem, który traktował ją tak samo jak ona jego. Oboje obdarzeni olśniewającą urodą, nie mogli się od siebie odkleić, gdy byli razem. Osobno przyklejali się jednak do innych, równie urodziwych. Geoff nie był jedynym pilotem, z którym spała Cathy, a ona nie była jedyną stewardesą, która przewinęła się przez łóżko Geoffa. Mieli jednak do siebie słabość i często przedstawiali się jako para.

Cathy niemal z każdego lotu wracała z jakąś pikantną historią. Trzech Brazylijczyków w Rio, seks z bardzo heteroseksualnym ladyboyem²⁵ w Bangkoku, trójkąt z pilotami w Paryżu, mineta w wykonaniu pasażera poznanego na locie do Amsterdamu... Ona robiła to wyłącznie dla własnej przyjemności jako urodzona hedonistka, ale zdarzają się w tym zawodzie dziewczyny, które potrafią znacznie zwiększyć swoje dochody, obsługując pasażerów na pokładzie (lub poza nim). I bynajmniej nie mam na myśli obsługi, jakiej uczono nas w szkole. Kilka lat temu podczas lotu do Tokio jedną ze stewardes przyłapano na uprawianiu seksu z pasażerem w toalecie. Jak już wspomniałam, toalety w samolocie są absolutnie obrzydliwe, a stewardesy wiedzą o tym najlepiej, ale widocznie kwota siedmiu i pół tysiąca dirhamów²⁶ rekompensuje każdy dyskomfort. Po przyłapaniu dziewczyny okazało się, że ten proceder ma szerszy zasięg i jest doskonale zorganizowaną machiną, w której kilka starszych stażem stewardes zapewnia bogatym pasażerom „obsługę” tych młodszych. ArabAir próbowało ukreślić głowę skandalowi, zwalniając i deportując obrotne pracownice, ale sprawa i tak przedostała się do zachodnich mediów. Zepsuty Zachód nie podszedł jednak do niej tak radykalnie jak dbający o pozory Arabowie. Skandal był obyczajowy, raczej zabawny i nie wpłynął w żaden sposób na dobre imię linii, czego bardzo się obawiano. Jeśli miał jakiegokolwiek echo, to tylko pozytywne – jestem przekonana, że szansa na spotkanie ze stewardesą, która od bycia symbolem seksu przejdzie do czynów, skusiła niejednego spragnionego przegrod faceta. W konsekwencji tamtej afery zaostrzono kontrole pokładowe. Czy gwarantuje to, że do podobnej sytuacji już nigdy nie dojdzie? Na pewno nie. Czy niektóre stewardesy nadal dorabiają sobie w ten sposób? Na pewno tak.

Ja na razie nawet nie potrafiłam pójść z pasażerem na zwykłą kawę, ale i tak znalazłam się

w centrum zainteresowania. Cathy i Kale zadawały mnóstwo pytań i podzieliły się w kwestii doradztwa. Kale uważała, że powinnam zostawić sprawy własnemu biegowi i zapomnieć o Mohammedzie.

– To się nie skończy dobrze, moja droga. Takie rzeczy nigdy dobrze się nie kończą.

– Co ty chrzanisz! Takie rzeczy zawsze kończą się dobrym orgazmem. Wiesz, co to orgazm? – kpiła Cathy.

– Nie, nie wiem. Możesz nam opowiedzieć.

– No dobra, Anka, opowiadaj, jaki on jest – zachęcała podekscytowana Cathy.

– Jest cudowny. To naprawdę facet z marzeń. Przysłał mi do pokoju kwiaty z bilecikiem. Prosił, żebym zadzwoniła...

– I...?

– I nic. Nie zadzwoniłam.

– Jak to nie zadzwoniłaś?

– No tak to. Jestem skończoną idiotką i nie byłam w stanie się na to zdobyć.

– Chcesz mi powiedzieć, że nie byłaś w stanie wziąć do ręki telefonu, wybrać numeru i zadzwonić do kolesia, którego nazywasz facetem z marzeń? Faktycznie jesteś skończoną idiotką.

Tego wieczoru upiłyśmy się jak zwykle, gdy w naszym apartamencie pojawia się dużo przywiezionego z lotniska prosecco, a żadna z nas nie ma na gardle bottle-to-throttle²⁷.

Pamiętny okazał się również mój następny lot: DXB–LHR28, godzina siódma dwadzieścia pięć. Idealna pora, by w nocy wylądować w jakimś londyńskim klubie. W Londynie zgodnie z planem mieliśmy być krótko po południu. Byłam w świetnym humorze i miałam olbrzymią ochotę na zabawę. Wtedy nie wiedziałam jeszcze, jak się skończy ten wieczór... i jak dalece będzie inny od moich planów. Przeleciałam wzrokiem listę pasażerów, ale zrobiłam to automatycznie. Mieliśmy full²⁹ we wszystkich klasach.

Również w pierwszej klasie wszystkie sześć miejsc tego dnia było zajęte. To oznaczało sporo pracy, ale wiedziałam, że o ile nie trafi się nam żona jakiegoś szejka, nie powinno być większych kłopotów. Żony szejka nie było. Za to w ostatniej chwili w rękawie prowadzącym do drzwi samolotu pojawił się uśmiechnięty, piękny i charyzmatyczny... Mohammed Al Sayeed.

– *What are the odds!*³⁰ – krzyknął na mój widok z dziecięcym zachwytem.

Byłam zaskoczona i nieco zawstydzona, ale przede wszystkim byłam bardzo szczęśliwa. Obiecałam sobie, że tym razem dam się zaprosić na randkę. Oczywiście jeśli tylko zechce mnie na nią zaprosić. Nie jestem przesadna, ale taki zbieg okoliczności musiał coś oznaczać. Trafienie na tego samego pasażera na dwóch lotach z rzędu jest niemal niemożliwe. Traktowałam to jak znak z niebios, choć zwykle daleka jestem od wiary w tego typu zjawiska.

Mohammed Al Sayeed nie zaprosił mnie jednak na randkę. Był miły, szarmancki, uroczy. Uśmiechał się, żartował, rozmawiał – ale nie wychodził poza zwykłą pokładową kurtuazję. Wsiadając z samolotu, po prostu się pożegnał i zniknął. Znowu sobie coś wkręciłam. Znak z niebios, dobre sobie! Ot, zwykły przypadek, nic więcej.

Do hotelu dotarłam mocno zawiedziona. Chciało mi się płakać, a cała ochota na wyjście do klubu wyparowała. Nie mogłam uwierzyć, że tak po prostu zaprzepaściłam szansę na potencjalną miłość mojego życia. Zainteresował się mną piękny, bogaty, wykształcony, szarmancki mężczyzna. Wszystko mogło się potoczyć jak w romantycznym filmie z naprawdę dobrym zakończeniem. Mogłam zostać jedną z tych obrzydliwie bogatych i nieprawdopodobnie zakochanych dziewczyn, które mają wszystko – wielką miłość i fortunę do dyspozycji.

Wzięłam prysznic i przez dobrą godzinę siedziałam beczynn timerze w hotelowym szlafroku, aż w końcu postanowiłam, że jednak wyjdę. W centrum Londynu zawsze dzieje się coś ciekawego, a ja potrzebowałam się rozerwać. Ubrałam się tak, by w razie czego bez obciachu wyskoczyć na parkiet, ale nie wyglądać głupio, jeśli noc zakończę, jedząc *beef curry fried rice*³¹ z chińskiego *take away*³².

Zjechałam do hotelowego lobby i pospiesznie ruszyłam do wyjścia, gdy nagle mój wzrok zatrzymał się na sofie. Siedział na niej on – Mohammed Al Sayeed we własnej osobie. Wyglądał na zrelaksowanego, z nonszalancko zarzuconą nogą na nogę. Na mój widok uśmiechnął się szeroko. Byłam tak zaskoczona, że musiałam wyglądać jak jakieś spłoszone zwierzę.

Jak już wspominałam, załogi latające z reguły śpią w hotelach wysokiej klasy. Ale jednak nie są to hotele, w których zatrzymują się arabscy arystokraci i miliarderzy. Nie wierzyłam, że Mo zatrzymał się właśnie tutaj. Spotkanie biznesowe o tej porze też raczej nie wchodziło w grę. I wtedy do mnie dotarło! Oczywiście! Przecież nie jestem jedyną stewardesą, która zatrzymała się w tym hotelu. Cekał na inną szczęściarę. Było za późno, by go zignorować. Uśmiechnęłam się więc i ruszyłam przed siebie. Po chwili byłam na chodniku przed hotelem. Drzwi obrotowe nie zdążyły zrobić za mną pełnego obrotu, gdy usłyszałam:

– Anno, poczekaj!

Mohammed wybiegł z budynku i stanął przede mną.

– Dlaczego mnie unikasz? Dlaczego przede mną uciekasz? Uraziłem cię czymś?

Brzmiał jak chłopiec, który dostał lanie, a kompletnie nie rozumiał swojej winy. Ten widok ścisnął mnie za serce. A więc był tam dla mnie. Nie było żadnej innej stewardesy. Byłam jedyna!

– Nie unikam cię... – wydukałam.

– Odnoszę inne wrażenie. Nie zadzwoniłaś. W samolocie wydawało mi się, że mnie unikasz, a teraz uciekasz...

– Przepraszam, nie miałam takich intencji... W Nowym Jorku trochę się przestraszyłam...

– Przestraszyłaś się? Czego? Naprawdę myślisz, że jestem taki straszny?

– Nie, to nie tak... Po prostu nie wiedziałam, co o tym wszystkim myśleć. To trochę irracjonalne, ale po prostu nie wiedziałam, czy powinnam...

– Rozumiem, nie jestem w twoim typie.

– Mo, dobrze wiesz, że jesteś w typie każdej kobiety. – Uśmiechnęłam się nieśmiało.

– No, chyba nie każdej. A na pewno nie tej, która od pierwszej chwili zawładnęła moim umysłem i sercem.

– Chyba przesadzasz. Nie mam takiej mocy.

– Widocznie nie wiesz, jak silna jest twoja moc. Od dnia, kiedy cię zobaczyłem po raz pierwszy, nie mogę przestać o tobie myśleć.

Nie byłam w stanie dłużej się opierać, zastanawiać, co powinnam zrobić, a czego nie. Nie wiem, kiedy Mo zdążył wezwać kierowcę, ale w czasie, gdy rozmawialiśmy, pod hotel podjechał elegancki czarny jaguar. Mo podeszedł do drzwi, otworzył je i zaprosił mnie do środka. Sam wszedł z drugiej strony.

– Więc dokąd jedziemy? – zapytał.

– Szczerze mówiąc, miałam zamiar zjeść coś bardzo niezdrowego i bardzo brytyjskiego, a potem dać się porwać nocy.

– Cóż, z reguły karmią mnie zdrowo i raczej nie po brytyjsku...

– Zaufaj mi, będzie pysznie!

Zlokalizowałam w Google Maps Waterloo Road i podałam mój telefon kierowcy.

– Nie pamiętam dokładnie numeru, ale jak dotrzemy na Waterloo Road, poprowadzę pana – powiedziałam.

– Dokąd mnie porywasz? – zapytał mój towarzysz.

– Czujesz się porwany? Spokojnie, jesteś bezpieczny. Postanowiłam cię nakarmić. Problem w tym, że to jedzenie na wynos.

– To żaden problem. Wiem już nawet, gdzie możemy je zjeść.

Jakieś pół godziny później znaleźliśmy się przed Chinese Canteen przy Waterloo Road. Z pewnością było to najbardziej obskurne miejsce, w jakim Mo kiedykolwiek gościł, ale zdawał się znosić dzielnie ten fakt.

– Zjem to, co ty. Zamów – poprosił.

– Dwa razy *beef curry* bez cebuli i dwa razy *egg fried rice*. Wszystko pakowane osobno – zarządziłam jak stały bywalec.

Mo tymczasem położył na obdrapanej, lepkiej szklanej ladzie dwa nowiuteńkie banknoty pięćdziesięciofuntowe i rzucił do sprzedawcy:

– Resztę zatrzymaj.

Chudy i niezwykle obrotny młody Chińczyk oniemiał z wrażenia. Osiemdziesiąt funtów napiwku przy dwudziestofuntowym rachunku nie zdarza się często. Nie zdarza się nigdy!

Kilkanaście minut później wewnątrz eleganckiego, wyłożonego czarną skórą i miękkim welurem jaguara wypełnił intensywny zapach curry. Musiałam przyznać, że pasuje jak wół do karety.

– To teraz moja kolej. *Yalla!* – rzucił Mo.

Kierowca nie czekał na dalsze instrukcje. Doskonale wiedział, jaki jest kolejny etap naszej nocnej eskapady.

Kwadrans później samochód zatrzymał się przy Strand na dziedzińcu hotelu Savoy³³ – jednego z najdroższych i najbardziej luksusowych hoteli w Londynie. Obsługa otworzyła drzwi jaguara i wygramoliłam się na zewnątrz, przekonana, że jestem jedynym w historii hotelu gościem, który zamiast wartego tysiące funtów bagażu przyjechał tu z przeźroczystą reklamówką pełną jedzenia dla biedoty. Ze względu na towarzystwo Mo obsługa nie zareagowała, ale wiedziałam, że gdyby nie on, zostałabym stąd usunięta jak śmieć z ulicy.

– Czy ty jesteś poważny? – mruknęłam do mojego towarzysza. – Chcesz jeść chińszczyznę w Savoyu?

– Myślałem, że jedzenie *take away* zabiera się do domu, a ja mieszkam właśnie tutaj – odparł Mo z uśmiechem. – Dawaj tę torbę, nie będziesz tego nosić.

Wyjął z mojej dłoni siatkę, a potem po prostu złapał mnie za rękę. Podobała mi się ta wymiana. Trzymając się za ręce, przemaszerowaliśmy dumnie przez hall prosto do wind, a potem do jego apartamentu. Tam bez zażenowania ani skrupułów zjedliśmy najtańszy posiłek, jaki kiedykolwiek spożywano w murach tego hotelu, popijając go najdroższym szampanem z karty. To był wieczór skrajnych kontrastów, ale Mo był wyraźnie zachwycony.

– To było bardzo hinduskie jak na brytyjskie jedzenie kupione u Chińczyków, ale muszę przyznać, że warte grzechu – stwierdził po posiłku i dodał: – Mam nadzieję, że to nie ostatni grzech tego wieczoru.

Tak jak postanowiłam, nie oparłam się Mo, gdy zrobił pierwszy krok. Kochaliśmy się do świtu. Było cudownie. Był czuły i władczy jednocześnie. A do tego miałam wrażenie, że jego ciało wytwarza uwodzicielski, niemożliwy do odparcia zapach. Facet z marzeń.

16 Kod międzynarodowego lotniska w Dubaju.

17 Kod międzynarodowego lotniska w Monachium.

18 Z ang. – bramy – na lotnisku bramki prowadzące bezpośrednio do rękawa podłączonego do samolotu lub do dowożących do niego autobusów.

19 Z ang. – zero grawitacji.

20 Z ang. – zaostrzona końcówka, dziób – w żargonie lotniczym określenie pierwszej klasy umiejscowionej z reguły w przedniej części samolotu, a więc tuż przy jego dziobie.

21 Kod międzynarodowego lotniska Nowy Jork-JKF.

22 Z ang. *slam* – trzask oraz *click* – klik, dźwięki towarzyszące zamykaniu drzwi, w lotniczym slangu *slam-clicker* to członek załogi, który zamyka się w pokoju hotelowym po przylocie i opuszcza go dopiero na zbiórkę przed kolejnym lotem.

23 Z ang. – załoga gotowa do startu – komenda wydawana przez kapitana na krótko przed startem, oznaczająca, że wszyscy członkowie załogi mają zająć miejsca i zapiąć pasy.

24 Z ang. – włącz i wyłącz – tu: często zrywany i ponownie zawiązywany związek.

25 Transseksualna kobieta, która po częściowej operacji zmiany płci zachowała męskie narządy płciowe.

26 W przeliczeniu blisko 8000 zł.

27 Z ang. – butelka do przepustnicy – termin używany przez załogi latające do określenia czasu, jaki dzieli je od momentu picia alkoholu do rozpoczęcia kolejnej zmiany (czyli do przesunięcia dźwigni przepustnicy sterującej ciągiem samolotu). Czas ten w zależności od linii lotniczych wynosi od 8 do 24 godzin.

28 Kod lotniska London-Heathrow.

29 Z ang. – pełny – tu: wszystkie miejsca na pokładzie zajęte.

30 Z ang. – Jakie są szanse – tu w znaczeniu: Co za przypadek!

31 Hinduska potrawa z wołowiny przyprawionej curry, podawana z ryżem przesmażonym z dodatkiem jajka.

32 Popularne w Wielkiej Brytanii punkty z azjatyckim jedzeniem, prowadzone najczęściej przez rodziny chińskich imigrantów.

33 Otwarty w 1889 r. luksusowy hotel w centrum Londynu, znany m.in. z tego, że w czasie wojny mieścił się w nim gabinet premiera Winstona Churchilla, a po koronacji królowej Elżbiety II odbył się w nim bal na jej cześć.

ROZDZIAŁ 4

Ghaf

– To twój telefon? – zapytał mnie szef pokładu po odprawie przed powrotnym lotem do Dubaju.

– Tak. Nie mam pojęcia, w którym momencie go zgubiłam – odparłam. – Byłam przekonana, że już go nie odzyskam.

– Dostarczono go na lotnisko z informacją, że należy do ciebie. Możesz go odebrać. Masz sporo szczęścia, zgubione telefony rzadko wracają do właścicieli.

Pamiętałam, że telefon miałam jeszcze wieczorem w samochodzie Mo, ale gdy wróciłam do swojego hotelu, nie mogłam go już znaleźć. Byłam zrozpaczona, bo wiedziałam, że nie będę w stanie się z nim skontaktować. Myślałam też o babci i Maćku. Wiedziałam jednak, że nie zrobię nic, dopóki nie dotrę do Dubaju. Tam kupię nowy aparat i wyrobię duplikat karty z tym samym numerem. To była jedyna szansa na odzyskanie niektórych kontaktów. Mentalnie pogodziłam się już z tą stratą, a teraz los sprawił, że mogłam odetchnąć z ulgą. Faktycznie miałam szczęście.

Pasażerów pierwszej klasy w boeingu 777 wita pięknie podświetlona ażurowa sylwetka drzewa ghaf, zdobiąca główną ścianę przy wejściu. Emiraczczyki uznają je za swoje narodowe drzewo i otaczają niezwykłym kultem, czasami graniczącym z lekką obsesją. Za ścięcie drzewa grozi tu kara więzienia, a jego sadzenie jest niezwykle modne. Wielkie korporacje szcycą się fundacjami, których zadaniem jest obsadzanie kraju drzewami tego gatunku. Swoją niezwykłą karierę ghaf zawdzięcza umiejętnościom zapuszczania korzeni na kilkadziesiąt metrów w głąb w poszukiwaniu wilgoci. Jest w stanie utrzymać zielone liście nawet w czasie suszy, a jego obecność na pustyni zawsze zwiastowała, że gdzieś w głębi znajduje się źródło życiodajnej wody, co dla beduinów do czasu odkrycia złóż ropy było największym skarbem. W całym Dubaju jest zaledwie około pięciu tysięcy drzew ghaf. Każde dokładnie skatalogowane i chronione jako skarb narodowy.

Ghaf jest też uważany za cud medycyny Bliskiego Wschodu. Jego kwiaty mają przeciwdziałać poronieniu, kora podobno leczy reumatyzm, kaszel, astmę, a nawet rany po ukąszeniach skorpionów i węży. Krótko mówiąc, drzewo cud. Mimo że islam surowo zakazuje wiary w zabobony, jedną z najbardziej żywych w tym regionie jest legenda o sześciu drzewach ghaf, które są ogrodzone i odcięte od postronnych. Uchodzą za nawiedzone przez dżiny i duchy. Ludzie opowiadają o nich nieprawdopodobne rzeczy. Podobno zostały posadzone na starożytnym cmentarzysku, co zapewne wyjaśniałoby występowanie w ich pobliżu postaci bezgłowego kupca czy łkających dziewczyn. Niemal każdy starszy Emiraczczyk zna inną historię mówiącą o tych drzewach; wszyscy twierdzą też, że wiedzą, gdzie się znajdują, nikt jednak nie podaje szczegółów. Tłumaczą, że lepiej nie wiedzieć. Naukowcy też mają w tej sprawie sporo do powiedzenia i wcale nie twierdzą, że opowieści o zjawach występujących w pobliżu drzew ghaf są przesadzone. Okazuje się, że rośliny te w nocy wydzielają olbrzymią ilość dwutlenku węgla, który może powodować halucynacje u wędrowców szukających schronienia pod jego konarami. To one mogły dać początek niezwykłym opowieściom o nawiedzonych drzewach.

Czasami myślę, że moja historia w dużej mierze przypomina noc spędzoną pod drzewem ghaf. Toksyczne i niebezpieczne, a jednocześnie piękne, szanowane i podziwiane. Z pozoru cudowne, w rzeczywistości trzymające w śmiertelnie trującej pułapce. Zapierające dech w piersiach i zabierające tlen jednocześnie. Wszyscy go pragną, jakby nie zważając na to, że może być śmiertelnym zagrożeniem...

Z Londynu wróciłam cała w skowronkach. Mo nie leciał ze mną; ze względu na interesy został w Wielkiej Brytanii jeszcze na kilka dni. W międzyczasie odbyłam kilka krótkich lotów. Kiedy wrócił, natychmiast zadzwonił. Zdziwiło mnie, gdy powiedział, że nie miał nic wspólnego z moim odnalezionym telefonem.

– Kochanie, wierz mi, gdybym wiedział, że zgubiłaś komórkę, przysłałbym ci zupełnie nową – przekonywał. – Jesteś warta wszystkiego, co najlepsze.

Umówiliśmy się na naszą pierwszą randkę w Dubaju. Bez taniej wołowiny w curry, za to prawdopodobnie z horrendalnie drogim szampanem. Mieliśmy się spotkać u Mo.

– Kierowca będzie po ciebie o ósmej – zapowiedział.

Nie mogłam się doczekać spotkania. Na początku związku każda minuta rozłąki jest jak cała wieczność. Fantazjowałam o Mo niemal bez przerwy. Żałowałam, że dziewczyny są na swoich lotach, bo bardzo potrzebowałam komuś o nim opowiedzieć. Zadzwoniłam więc do babci. Trochę się bałam tej rozmowy. Babcia jest bardzo mądrą kobietą, ale mieszka w konserwatywnej Polsce, która uparcie pielęgnuje irracjonalną niechęć do Arabów, podsycaną przekonaniem o wyższości chrześcijaństwa, zwłaszcza religii katolickiej, nad islamem. Babcia była wierząca, ale na szczęście nie była dewotką.

– A on ci krzywdy nie robi, dziecko moje kochane? – zapytała, gdy przekazałam jej wieści.

– Babciu, nie wiem, czy byłby w stanie skrzywdzić muchę. To naprawdę świetny facet, bardzo europejski...

– Ja to ostatnio złe sny miałam. Może dlatego w ciemnych barwach świat widzę. Ale jeśli mówisz, że to dobry człowiek... Zawsze rozważna byłaś, rozsądna, tylko miłość czasami rozum odbiera. Twoja mama też pechowo się zakochała...

– Babciu, Mo nie jest taki jak tata. Jestem przekonana, że nigdy by mnie nie uderzył.

– Niech nawet nie próbuje, bo przylecę tam i osobiście wsadzę mu w dupę rurę z tą ich ropą.

Babcia była pobożną, uprzejmą staruszką do czasu, gdy w grę wchodziło bezpieczeństwo jej najbliższych. Wiedziałam, że w razie gdyby ktoś chciał skrzywdzić mnie lub Maćka, była gotowa na wiele.

Kochana Pysia...

W windzie robiło się coraz goręcej, a ja kompletnie nie wiedziałam, co się dzieje. Po moim dobrym humorze nie było śladu. Randka, na którą tak się cieszyłam, w jednej chwili zmieniła się w koszmar. Prywatna winda w luksusowym budynku z penthouse'ami stanęła chwilę po tym, jak do niej wsiadłam. Starłam się zachować spokój. Nie mam klaustrofobii, a podczas szkolenia na stewardesę niejednokrotnie byłam w dużo gorszym położeniu. Wiedziałam, że ktoś w końcu mnie stąd wyciągnie i że nie powinno mi zabraknąć tlenu, bo windy są wyposażone w wentylatory, ale racjonalnego podejścia starczyło tylko na jakiś czas. Mój telefon nie miał zasięgu. Próbowałam dzwonić do Mo, ale szyb windy skutecznie zakłócał sygnał. Nikt nie reagował na moje wołanie. Nikt się nie zgłaszał, gdy naciskałam przycisk alarmowy. Każda minuta zdawała się wiecznością. Uwięziona w ciasnej kapsule, tkwiłam między piętrami tego pełnego przepychu budynku.

Oddychanie sprawiało mi coraz więcej trudności. Dotarło do mnie, że wentylatory nie działają. Było zupełnie cicho. W windzie powoli kończył się tlen. Próbowałam go oszczędzać, ale strach napędzał moje serce i nie mogłam uspokoić oddechu. Rozpłakałam się. Wiedziałam, że ktoś w końcu mnie tu odnajdzie, ale zaczynałam wątpić, czy zdąży, zanim się uduszę. Czułam, jak moje ciało powoli wpada w odrętwienie. Nie ruszałam się, nie miałam na to siły. Zresztą żaden z moich ruchów nie był w stanie zmienić mojego położenia. Pamiętam jeszcze myśl o pogodzeniu się z losem. Później wszystko rozplynęło się we mgle.

Ocknęłam się kilka godzin później w chłodnej jedwabnej pościeli. Rozejrzałam się. Byłam w zjawiskowym apartamencie Mo. To tutaj miałam spędzić upojny wieczór u boku najcudowniejszego

mężczyzny na świecie. Zamiast tego niemal przypląciłam życiem usterkę techniczną dźwigu.

– Nareszcie jesteś, kochanie! Umierałem ze strachu. – Mo wszedł do sypialni, gdy tylko usłyszał, że się poruszyłam. – Bałem się, że cię stracę. Lekarz podał ci tlen, ale nie odzyskiwałaś przytomności. Uspokajał mnie i na szczęście miał rację. Nie daruję tego administratorom budynku. To ich wina! Jak się czujesz?

W sumie nie potrafiłam odpowiedzieć na to pytanie. Żyłam, co było sporym sukcesem, biorąc pod uwagę okoliczności. Czułam się zaskakująco dobrze, co niewątpliwie było zasługą litrów kroplówek wpompowanych w moje żyły.

– Chyba jest OK... Bałam się tylko, że już nigdy cię nie zobaczę... – Po moich policzkach popłynęły łzy. Byłam zaskoczona swoją reakcją. To prawdopodobnie stres w ten sposób próbował znaleźć ujście. Przecież to niemożliwe, żebym była aż tak zakochana. A może byłam?

Rozpłakałam się na dobre. Mo przytulił mnie do swojej piersi, skrytej pod pięknie pachnącą, doskonale skrojoną koszulą w biało-niebieskie prążki. Wtedy wpadłam w jeszcze większą rozpacz. Nie byłam w stanie się uspokoić.

– No już, *habibi*... Nie płacz – szeptał. – Przy mnie nic ci nie grozi. Już zawsze będziemy razem, a ja nie pozwolę nikomu cię skrzywdzić. Jesteś moja i nikomu cię nie oddam.

Jego ciepły głos powoli mnie uspokajał. Zasnęłam w ramionach Mo.

Związek z Mohammedem nie był łatwy. Oboje często wyjeżdżaliśmy – on w interesach, ja w związku z pracą. Tęsknota miała się stać stałym elementem naszego życia, ale tak to już jest w Dubaju. To hub34 przesiadkowy dla milionów turystów z całego świata, a rezydenci często nie są w lepszej sytuacji. Nawet mieszkający w Dubaju ekspaci35 pracujący dla wielkich korporacji często spędzają życie na walizkach, co sprawia, że albo sami tęsknią, albo są obiektem tęsknoty, najczęściej jednak i jedno, i drugie.

Ja tęskniłam za Mo. Nie wiedziałam, czy on podziela tę tęsknotę, ale zawsze, gdy rozmawialiśmy, zapewniał mnie o tym żarliwie. A rozmawialiśmy, gdy do mnie dzwonił. Ja bowiem nigdy nie byłam w stanie dodzwonić się do niego. To musiało mi wystarczyć. Moje życie i tak wypełniały loty, odsypianie ich i przygotowywanie się do kolejnych.

Od czasu incydentu z windą minęły blisko dwa tygodnie. Nie widzieliśmy się w tym czasie, a ja łapałam się na tym, że niemal bezustannie myślę o Mo. Ludzie, którzy zaczynają się spotykać, z reguły spędzają ze sobą mnóstwo czasu. I choć my od początku wiedzieliśmy, że będziemy go mieli mniej, randka raz na dwa tygodnie wydawała mi się niewystarczająca, żeby naszą relację nazywać związkiem. A może to ja wskoczyłam na głęboką wodę, a Mo wcale nie miał zamiaru się angażować. Nie, niemożliwe. Przecież mówił, że należę do niego, że już mnie nie wypuści...

Cathy była zniecierpliwiona moim marudzeniem. Jej stosunek do facetów trochę przypominał jedzenie czereśni – wybierasz soczysty egzemplarz, zjadasz, wypluwasz pestkę. Była niezwykle świadomą dziewczyną, uważającą, że mężczyźni są środkiem, a nie celem, i doskonale znającą kobiece sposoby na poprawę humoru.

– Zbieraj się! Jedziemy na shopping! – zakomunikowała tonem nieznoszącym sprzeciwu. Moje usta wykręciły się w grymasie zwiastującym, że będę marudzić, ale zanim zaczęłam, rzuciła: – Nie chcę tego słyszeć. Je-dzie-my!

Nie miałam wyjścia. Nie chciałam być sama, bardzo lubiłam Cathy, a na podorędziu nie miałam żadnego logicznego argumentu, który uzasadniałby odmowę.

Ruszyliśmy do Dubai Mall. Było poniedziałkowe przedpołudnie. Po białych chłodnych posadzkach tej gigantycznej, największej na świecie galerii handlowej sunęły z wolna grupki kobiet ubranych w czarne abaje. Turystów o tej porze dnia i roku – był lipiec – jest w Dubaju stosunkowo niewielu. Dookoła było spokojnie i błogo.

– Mocca frappe z podwójną bitą śmietaną na początek – zarządziła Cathy, której nienaganna figura mogłaby wskazywać na to, że nawet nie wie, co to bita śmietana.

– Nie wiedziałam, że pijesz takie rzeczy – zdziwiłam się.

– Życie trzeba sobie osładzać. A poza tym w nocy spaliłam sporo kalorii. – Koleżanka puściła do mnie oko. – Geoff jest w mieście.

– Szczęściara. Ja nie widziałam Mo od dwóch tygodni – powiedziałam bliska łez.

– Nie rozumiem, skąd ten smutek. Powinnaś się w międzyczasie dobrze bawić. Chyba nie zamierzasz marnować życia na czekanie.

– Ja tak nie potrafię...

– Tak, czyli jak?

– No wiesz, nie potrafię się w tych sprawach wyluzować. Miałam do tej pory tylko jednego chłopaka i wszyscy myśleli, że będzie moim mężem. Przez jakiś czas sama tak myślałam.

– Beznadziejny przypadek. Kompletnie nie rozumiem, dlaczego laski w każdym facecie, który się nimi zainteresuje, widzą od razu przyszłego męża. Ale szanuję różnice między nami. – Uśmiechnęła się przewrotnie. – Chodź, jeśli chcesz, zobaczymy, jak będziesz wyglądała jako pani Sayeed.

Cathy chwyciła mnie za rękę i pociągnęła za sobą. Złapałam kubek z resztą mojego frappe i lotem ślizgowym wypadłam z kawiarni. Niemal biegnąc, próbowałam dotrzymać kroku Cathy, która nadal kurczowo trzymała moją dłoń. Puściła ją, dopiero gdy obie stanęłyśmy na pierwszym stopniu ruchomych schodów wiodących na górę, do części galerii z obrzydliwie drogimi sklepami luksusowych marek. Pomału orientowałam się w jej planie, ale nie zdążyłam powiedzieć ani słowa. Cathy położyła swój długi, zgrabny palec na moich ustach, ograniczając jakiegokolwiek werbalne protesty.

– Potrzebujemy czegoś absolutnie zniewalającego dla tej młodej damy – rzuciła do sprzedawczyni w salonie Fendi, po czym nachyliła się do jej ucha i coś szepnęła. Nie wiem co, ale sprzedawczyni zareagowała ze sporym entuzjazmem. Zniknęła na jakiś czas, by wrócić z piękną czarną suknią przewieszoną przez ramię. Jej koleżanka, idąca za nią z namaszczeniem, niosła kolejną, a następna jeszcze jedną.

– Wyskakuj z tych dresów – zarządziła Cathy, niemal wpychając mnie do eleganckiej przebieralni.

Chwilę później stałam przed lustrem w zniewalająco pięknej sukni z żakardową górą ozdobioną misternie haftowanymi kwiatami i seksownie wyciętym dołem, a Cathy obfotografowywała mnie z każdej strony.

– Wysłałam ci te foty. Wyglądasz zjawiskowo!

Muszę przyznać, że miała rację. I naprawdę poprawiła mi humor. My, kobiety, bywamy takie proste w obsłudze. Wskakujesz w seksowną kieckę i świat od razu wydaje się lepszym miejscem. Nabrałam ochoty na więcej.

W Fendi spędziłyśmy sporo czasu. Zaczęło mi się robić szkoda pracujących tam Filipinek, które skakały wokół nas z wielkim namaszczeniem, nie mając szans na premię od sprzedaży. Na jedną z tych sukienek musiałabym pracować rok. Ale nagle przypomniałam sobie, kim jestem – i że zwykle to ja skaczę wokół pasażerów, którzy mają mnie za nic. Ja przynajmniej miałam skrupuły.

– Weźmiemy tę pierwszą – rzuciła nagle Cathy.

– Pogięło cię?! – wykrzyknęłam.

– A co, nie podoba ci się?

– Jest piękna, ale...

– Zróbmy tak: skoczmy w jeszcze jedno miejsce, a jak tam niczego nie wybierzemy, wrócimy tutaj – powiedziała moja kumpela.

Wyczulałam jej intencje. Cathy była mistrzynią w dawaniu kosza. Potrafiła to zrobić w dowolnie wybrany sposób – boleśnie albo bardzo subtelnie. Filipinki właśnie dostały kosza w delikatny sposób, zapewne do końca dnia licząc, że wrócimy.

Wyszliśmy ze sklepu z szerokimi uśmiechami.

– Lepiej? – zapytała Cathy.

– Lepiej!

– No widzisz! Zawsze powtarzam, że na chandrę pomaga albo założenie zajebistej kiecki, albo zdjęcie jej w odpowiednim towarzystwie.

Resztę dnia spędziłyśmy, szwendając się bez większego celu. Rano Cathy miała lot, więc o prosecco nie mogło być mowy, ale godnie zastąpiła je pizza. Ja miałam jeszcze jeden dzień wolny i obiecałam sobie, że nie spędzę go na zamartwianiu się, choć miałam nadzieję, że Mo wreszcie się odezwie.

Obudziło mnie stukanie do drzwi. Gupta! Chłopak na posyłki pracujący w naszym budynku. Miły Hindus nadrabiający braki w angielskim szerokim uśmiechem. Pomagał nam czasami z bagażami. Można było go poprosić o odebranie prania, przyniesienie zakupów... Nigdy nie odmawiał. Był zatrudniony przez administratorów budynku, którzy płacili mu głodową pensję. Gupta jednak nie mógł narzekać. Wielokrotność wypłaty zgarniał z napiwków, bo z jego szerokiego spektrum usług korzystali niemal wszyscy mieszkańcy wieżowca.

Chłopak przywitał mnie uśmiechem, a potem wręczył elegancką torbę. Tym razem nie czekał na napiwek, tylko zniknął za rogiem, rzucając szybkie, okraszone twardym hinduskim akcentem: „Bye M’am”³⁶. Jego zachowanie zdziwiło mnie nie mniej niż sama przesyłka. Zniosłam torbę do pokoju i sięgnęłam po jej zawartość. W dużym luksusowym pudełku pośród delikatnej jak pergamin bibuły leżała suknia, którą wczoraj przymierzałam w Dubai Mall. Wyjaśnienie znajdowało się na bileciku leżącym na dnie pudełka: „Piękna w sukni. Jeszcze piękniejsza bez. Tęsknię, Mo”.

Moje serce szalało od skrajnych emocji: od „tęsknisz, to zadzwoń, dupku” po „jak cię nie kochać”. Włożyłam suknię. Pasowała idealnie. W pudełku były jeszcze genialne, doskonale pasujące szpilki. Musiałam przyznać, że wyglądam zjawiskowo, choć dopiero co zwlekłam się z łóżka. Co te drogie szmaty potrafią zrobić z człowieka. Wciąż wdzięczyłam się przed lustrem, gdy w progu stała Kale. Właśnie wróciła z trzydniowego lotu.

– Wow! – zawołała. – Dostałaś nominację do Oscara?

Ucieszyłam się na tę szczerą reakcję, ale gdy usiadłyśmy w salonie i opowiedziałam jej o ostatnich wydarzeniach, diametralnie zmieniła podejście.

– Chcesz mi powiedzieć, że byliście na zakupach same, a on jakimś cudem dowiedział się, którą sukienkę przymierzałaś? – zapytała, marszcząc brwi.

– Tak! Niesamowite, nie?

– Niesamowite? Dziewczyno! Przecież on cię śledzi! To jakiś *creep*³⁷!

– O czym ty mówisz? – Zmarkotniałam. – To świetny facet.

– Serio nie widzisz, że to totalny stalker³⁸. Skąd wiedział, że byłaś na zakupach i co mierzyłaś?

– Nie wiem... Cathy wrzucała coś na insta. Robiła mi zdjęcia...

Trochę się zaniepokoiłam. Może Kale miała rację? Przejrzałam konto Cathy na Instagramie. Nic. Ostatnie zdjęcie było sprzed dwóch dni. Z Geoffem. To nie mogła być ona.

– Jestem przekonana, że on cię śledzi – skwitowała Kale.

– Zwariowałaś! Po co miałyby to robić? Nawet do mnie nie dzwoni. Zresztą na pewno jest na to jakieś logiczne wytłumaczenie.

– Myśl, co chcesz. Dla mnie to zbyt dużo zbiegów okoliczności. Spotkałaś go na dwóch lotach z rzędu. To się nie zdarza. Potem idziesz na randkę i psuje się winda...

– Z windą na pewno nie miał nic wspólnego! – Teraz to już przesadziła.

– Nie wiem, czy miał. Ja tylko próbuję to podsumować. Martwię się o ciebie. Doskonale wiesz, co się stało z Evelyn. Ona też długo nie widziała nic złego w zachowaniu swojego arabskiego kochasia.

– Nikt tak naprawdę nie wie, co się stało z Evelyn. Poza tym nie widzę związku. – Ta rozmowa coraz bardziej mnie drażniła.

– Wiem, że nie widzisz. W tej chwili nie widzisz wielu rzeczy. Zupełnie jakby cię omamił, oślepił.

– Przepraszam, że nie widzę kryminalisty w bogatym Arabie kupującym sukienkę lasce, która mu się podoba. Nie wiem, co powoduje twoją niechęć do Mo, ale może już o tym nie rozmawiajmy!

Byłam rozczerowana reakcją Kale. Nie wiedziałam, czy faktycznie kieruje nią troska, czy raczej zazdrość. Ale porównanie mojej historii z tym, co spotkało Evelyn, wydawało mi się sporym nadużyciem.

Owszem, nasze początki może były nieprawdopodobne, ale równie nieprawdopodobna jest wygrana na loterii – a jednak niektórym się zdarza. Incydent z windą był przerażający, jednak Mohammed nie miał z nim nic wspólnego, przecież nie zablokował jej specjalnie. A sukienka... no cóż, to był po prostu nieprawdopodobnie miły prezent. Chwilę później byłam już absolutnie pewna, że to tylko projekcje Kale i nie ma się czym przejmować – Mo zadzwonił.

– Wreszcie jestem w Dubaju, cały twój. Co powiesz na randkę wieczorem?

– Tak. To znaczy... Jutro mam lot, ale tak!

– Obiecuję, że będziesz w formie i zdążysz do pracy. Muszę cię zobaczyć. Będę po ciebie za godzinę.

Było wczesne popołudnie, a sukienka od Mo bardziej pasowała na wieczór, ale postanowiłam nagiąć zasady. Wskoczyłam pod prysznic i zrobiłam makijaż.

Godzinę później siedziałam w jego grafitowym bugatti.

– Jakaś ty piękna...

– To zasługa tej sukienki.

– Wierz mi, to tak nie działa. To absolutnie twoja zasługa, sukienka jest tylko marnym dodatkiem.

– Marnym? Wiem, ile kosztowała!

– Kochanie, i tak nie jest ciebie warta.

Mo potrafił czarować. Gdy jechaliśmy do jego apartamentu, miałam jednak mieszane uczucia. Z jednej strony kierował mną irracjonalny strach na wspomnienie feralnego wieczoru w windzie, a z drugiej – bardzo się cieszyłam, że będziemy sam na sam. Chciałam, żeby zdjął ze mnie tę piękną kieckę, chciałam zerwać z niego jego ubranie, chciałam, żeby świat zniknął. I dokładnie tak się stało. Kochaliśmy się do zachodu słońca, jakbyśmy chcieli nadrobić stracony czas i zyskać trochę na zapas.

Kiedy wycieńczeni wtuliliśmy się w siebie, w mojej głowie zaczęły się pojawiać pytania. Odganiałam je. Bałam się, że wszystko zepsuje. Byłam zła na Kale, że zasiała we mnie niepewność.

– Udało ci się wyjaśnić tę sprawę z windą? – spytałam cicho.

– Odpowiedzialni za usterkę technicy zostali już deportowani. To się nie powtórzy.

Nie wiem, czy deportacja kilku techników, najpewniej pochodzących z Indii, mogła zagwarantować, że winda się nie zepsuje. Na ich miejsce z pewnością zatrudniono innych, równie tanich, z porównywalnymi kompetencjami. Ale zdążyłam się przyzwyczaić do emirackiej mentalności, a zgodnie z nią deportacja z kraju załatwia wiele problemów.

– Biedni, pewnie nie mieli na to wpływu...

Mo zerwał się z łóżka.

– Jak to nie mieli? Narazili cię na ogromny stres i niebezpieczeństwo. Musieli ponieść karę!

– Dobrze, już dobrze... nie denerwuj się. Lepiej mi powiedz, skąd wiedziałeś, że przymierzałam wczoraj tę sukienkę.

Spojrzał na mnie wyraźnie zaskoczony.

– Jak to skąd? Przecież wysłałaś mi swoje zdjęcie. Wyglądałaś niesamowicie, więc natychmiast ją dla ciebie zamówiłem.

– Nie wysłałam ci żadnego zdjęcia!

Sięgnęłam po swój telefon. On sięgnął po swój.

– Bąbelku, a skąd bym je miał? Dostałem od ciebie. – Pokazał mi wiadomość ze zdjęciem nadaną z mojego numeru. W historii moich wiadomości również było zdjęcie wysłane do Mo. To samo, które zrobiła Cathy. Czyżby to ona je wysłała? Ja nie pamiętałam, żebym to zrobiła. Może w ten sposób chciała dać znać Mo, że za nim tęsknię. I wygląda na to, że jej się udało. Wprawdzie nie wiedziałam, jak pokonała zabezpieczenie w postaci kodu PIN, ale cel uświęca środki.

– Przepraszam, kompletnie o tym zapomniałam. Uwierz mi, to nie miało być żadne wymuszenie.

Mo się zaśmiał i wrócił do łóżka.

– Przecież wiem, jesteś na to zbyt skromna. Masz klasę. To mnie w tobie urzekło.

Pocałował mnie w usta, a ja wtuliłam głowę w jego pierś. Jeszcze jedno pytanie i będziemy mieli za sobą trudne sprawy. Nie podnosząc głowy, wyszeptalam:

– Mo... kim my właściwie dla siebie jesteśmy?

– Mój głupiutki bąbelku, co to za pytanie? Jesteśmy dwójką ludzi, którzy mieli szczęście wpaść na siebie, żeby zostać razem do końca świata.

– Ale przecież nie mamy dla siebie czasu. Ty znikasz. Nie dzwonisz. Nie odbierasz. Nie odpisujesz. Tęsknię, gdy cię nie ma.

– Ja też tęsknię, ale musisz zrozumieć, że to nie jest takie proste. Chcę, żebyś była częścią mojego świata, ale mogę cię do niego wpuszczać krok po kroku. Zaufaj mi, tu nie chodzi o mnie. Chcę cię ochronić.

To brzmiało nieco złowieszczo. Przed czym chciał mnie chronić? Mówił to jednak tak troskliwie, jakby jego jedynym celem było moje dobro. Nie bardzo potrafiłam zrozumieć, na czym miało polegać to stopniowe wprowadzanie do jego świata. Nie rozumiałam, dlaczego muszę się godzić na ciągłą tęsknotę, ale bałam się, że jeśli będę naciskać, stracę go. Po co mu taka jęcząca laska, kiedy może mieć każdą.

Spędziliśmy razem jeszcze kilka godzin, a potem wróciłam do siebie. Gdyby nie lot, zostałabym z Mo. Najchętniej już na zawsze.

Kiedy po kilku dniach wróciłam do Dubaju, czekał na mnie niespodziewany powrót do przeszłości. Pod moim domem stał Robert, uśmiechnięty, z bukietem kwiatów. Odruchowo rzuciłam mu się na szyję. Naprawdę bardzo się ucieszyłam na jego widok. Nie bez znaczenia była zwykła tęsknota. Kiedy mieszkasz z dala od swojej ojczyzny, każda osoba, która ci o niej przypomina, automatycznie staje się bliska.

– Co ty tu robisz? – spytałam, wciąż nie dowierzając, że go widzę.

– Przyjechałem cię zobaczyć.

– Serio? Tak po prostu?

– No dobra, nie tylko. Ale nie chcę o tym mówić tutaj. Może dasz się zaprosić na kolację?

Wprawdzie byłam bardzo zmęczona po locie, ale Robert sprawił, że wróciła mi energia. Naprawdę się ucieszyłam. I naprawdę chciałam spędzić z nim czas.

Okazało się, że Robert przyleciał do Dubaju nie tylko ze względu na mnie. On również postanowił się tu przenieść. Złożył aplikację do jakiejś firmy z branży IT, przeszedł kilka etapów rekrutacji, a teraz przyjechał na finalną rozmowę. Wcale się nie zdziwiłam, że go chcieli. Był komputerowym geniuszem. Nie byłam tylko pewna, czy ja go chcę. Wiedziałam, że jego powrót do mojego życia całkowicie je skomplikuje. Podejrzywałam, że Robert chce mnie odzyskać. Przecież przed moim wyjazdem sam to zapowiedział...

Przyszli po mnie nad ranem. Gdy wyszłam z mojej sypialni, stali już w korytarzu. Musiała ich

wpuścić obsługa budynku. Dwóch śniadych, z metra ciętych policjantów. Mówiąc do mnie, nie patrzyli mi w twarz. To lokalny sposób wyrażania szacunku niewiastom, nieprawdopodobnie irytujący dla kobiet spoza tego kręgu kulturowego, a w rozmowie z policjantami szczególnie niepokojący. Poprosili o mój paszport. Jeden z nich odszukał stronę ze zdjęciem, chwilę ją studiował, po czym włożył dokument do tylnej kieszeni spodni.

- Mogę wiedzieć, o co tu chodzi? – zapytałam. – Dlaczego zabiera pan mój paszport?
- Proszę się ubrać. Pojedziemy na komisariat – odparł, kompletnie ignorując moje pytania.
- Na komisariat? Dlaczego? Czy jestem o coś oskarżona?
- Ma pani pięć minut. W przeciwnym razie zabierzemy panią w szlafroku.

Tego nie chciałam. Wróciłam do swojego pokoju i ubrałam się pospiesznie. W łazience przemyłam twarz, starając się powstrzymać galopadę myśli. Nawet nie byłam przestraszona. Zaskoczenie blokowało wszystkie inne emocje. Wiedziałam, że sprawa zaraz się wyjaśni, bo przecież nie zrobiłam absolutnie nic, co wymagałoby interwencji policji.

Trafiłam na komisariat w Al Barsha, centralnej części Dubaju, nieopodal Mall of the Emirates. Spory, wykładany kafelkami gmach, ewidentnie zaprojektowany przez średnio utalentowanego architekta bez gustu. Przed budynkiem flaga, na elewacji olbrzymie zdjęcie prezydenta Zjednoczonych Emiratów Arabskich i jego zastępcy. Standard w tutejszych urzędach. A na dziedzińcu dwa smukłe, posępne drzewa ghaf, złowieszczo tańczące w pustynnym wietrze.

Przez całą podróż policjanci nie chcieli ze mną rozmawiać, mimo że wielokrotnie pytałam o powody zatrzymania. Kiedy dotarliśmy na miejsce, również w milczeniu poprowadzili mnie przez długie zakratowane korytarze. Na końcu jednego z nich stało kilka lekko obdrapanych krzeseł. Ta część korytarza była odcięta od reszty zamykaną kratą. Kazali mi usiąść i czekać, po czym krata zamknęła się za mną. Znalazłam się w swoistym areszcie, kompletnie nie wiedząc, czym zawiniłam. Nie dowiedziałam się tego przez kolejne pięć godzin. Emiraccy policjanci nie słyną z pośpiechu. Tempo ich pracy jest zbliżone do tego, z jakim poruszałby się koala nadużywający xanaxu. Narastała we mnie frustracja. Gdyby chociaż powiedzieli mi, co takiego zrobiłam. Niestety musiałam czekać. Nie była to moja pierwsza wizyta na komisariacie w Al Barsha. Byłam tu już rok wcześniej. Wspomnienia tamtych strasznych chwil wróciły do mnie ze zdwojoną siłą.

34 Z ang. – centrum, główna siedziba.

35 Potoczna nazwa imigrantów, od ang. *expat*, *expatriate* – przesiedleńca.

36 Z ang. – Do widzenia, proszę pani.

37 Z ang. – dziwak, kreatura, popapraniec.

38 Z ang. – prześladowca.

ROZDZIAŁ 5

Sati

Początek kwietnia, tuż po czwartej nad ranem. Jest jeszcze ciemno. Zapłakana dziewczyna, z trudem łapiąca powietrze, biegnie ulicą w dzielnicy Bur Dubai. Alkohol wypity w klubie, w którym jeszcze dwie godziny temu doskonale się bawiła, utrudnia ucieczkę. Szukając ratunku, wbiega do budynku mieszkalnego Al Afaf. Przerażona, bosa.

– Ktoś próbuje mnie zabić! – krzyczy i rusza w kierunku wind.

Dostawca gazet, który właśnie wsiada do jednej z nich, próbuje się dowiedzieć, jak jej pomóc.

– Ktoś próbuje mnie zabić! Ktoś próbuje mnie zabić! – powtarza.

– Kto? Musimy zadzwonić na policję!

– Nie! – krzyczy dziewczyna w panice i biegnie w kierunku klatki schodowej. Chwilę później schody w okolicach trzeciego piętra zasnuwa czarny gęsty dym z gaśnicy proszkowej. Dziewczyna znika.

Cathy była typową party girl³⁹. Zawsze zastanawiałam się, skąd bierze siły na latanie i imprezowanie. Ja po długim locie byłam nieżywa przez co najmniej pół doby; jej na regenerację wystarczył prysznic i kawa, której wlewała w siebie hektolitry. Wydawać by się mogło, że zna wszystkich, a jeśli kogoś w towarzystwie nie знаła, szybko nadrabiała braki. Jej najbliższym przyjacielem był Anis, bardzo przystojny Tunezyjczyk. Oboje mieli słabość do imprez, alkoholu i seksu. I oboje lubili w łóżku mężczyzn.

Anis był gejem i kompletnie tego nie ukrywał, choć przy swojej męskiej aparycji mógłby. W pracy zapewne się z tym nie afiszował, ale w towarzystwie Cathy całkowicie puszczały mu hamulce. Wszyscy wiedzieli, że Cathy i Anis gustują w facetach; podobno nawet zdarzyło się im przespać z tym samym pilotem. Taka przyjacielska wymiana dóbr.

Evelyn, śliczna Szkotka, dołączała do Cathy i Anisa, kiedy tylko pozwalał jej na to grafik. Mieszkała w naszym budynku i była nieprawdopodobnie ujmującą osobą. Wiecznie roześmiana, bardzo gadatliwa i niesamowicie otwarta. Dobrali się jak w korcu maku. Ta trójka była w stanie rozkręcić każdą imprezę i dawała gwarancję dobrej zabawy, dlatego gdy tylko miałam okazję, dołączałam do nich bez wahania.

Doskonale się uzupełniali. Cathy była otwarta, znajomości zawierała bez problemu, niemal mimowolnie, raczej nie miała hamulców. Anis był mistrzem sarkazmu; z powodzeniem mógłby zostać gwiazdą stand-upu. Jego złośliwe komentarze wygłaszane w towarzystwie zawsze wywoływały salwy śmiechu. Był niezwykle elokwentny, znał sześć języków. Jedyną zauważalną wadą jego intelektu był fakt, że kompletnie się nie orientował w geografii, a nazwy krajów pamiętał tylko dzięki spotkanym na wyjazdach kochankom (w sumie to też jest jakaś metoda). Evelyn w tej grupie była tą rozsądną. Reagowała zawsze, gdy któreś z nich bliskie było przesady. Nie oznaczało to, że była nudna, po prostu zawsze wydawała się najtrzeźwiejsza. Albo po prostu mniej piła, albo szkockie geny pozwalały jej na zachowanie względnej trzeźwości mimo wielu wypitych drinków. Szkoci i Irlandczycy to potrafią.

Evelyn była świetną dziewczyną nie tylko na imprezach. Wpadała do nas czasami – i zawsze robiła fantastyczne wrażenie, co niewątpliwie było efektem wciąż obecnego na jej twarzy zaraźliwego uśmiechu.

W kwestii życia uczuciowego Evelyn była skryta, ale mając rzeczniczkę w osobie Cathy, w zasadzie niczego nie musiała mówić. Cathy lubiła publicznie zadawać pytania o jej szejka, mimo że Evelyn niechętnie na nie odpowiadała. Zwierając się z romansu właśnie Cathy, musiała jednak liczyć się z tym, że temat wypłynie wraz z kilkoma lampkami szampana. To nie tak, że Cathy była plotkarą,

ona po prostu nie rozumiała do końca konceptu trzymania języka za zębami, a już kompletnie nie widziała do tego powodu, jeśli chodziło o seks i romanse. Dla niej to był temat jak każdy inny.

Evelyn interesował się pewien Arab. Był bardzo bogaty, nie był jednak szejkiem. Ludzie często stosują uproszczenia, nazywając bogatych mieszkańców Zatoki Perskiej szejkami, co oni sami zresztą często chętnie sugerują mniej świadomym przybyszom z Zachodu. Na tej nieświadomości „jadą” zresztą również panowie z biedniejszych krajów tego regionu. Wystarczy, że nałożą białą kandurę i błysną podróbą rolexa w złotym kolorze, a już awansują w świadomości (czy raczej nieświadomości) wielu dziewczyn z Zachodu. Robią to nawet w krajach takich jak Egipt czy Tunezja, które z szejkami mają bardzo niewiele wspólnego. Wystarczy jednak, że popularny egipski kurort nazywa się Sharm El Sheikh, by ściągać tysiące kobiet żądnych przygód z szejkami. Wystarczy drobna stylizacja i zalotne spojrzenie, by uwieść dowolną samotnie spędzającą urlop niewiastę. Często to zwykłe, choć dość kosztowne dla pań romanse, ale czasami bywają okupione utratą dosłownie wszystkiego – bywa, że nawet życia. Mężczyzna Evelyn wymyślał się tym stereotypom. I choć udawanie szejka mogło mu przychodzić całkiem łatwo z powodu silnych biznesowych powiązań z dubajskim dworem, on faktycznie był multimilionerem.

Evelyn miała doskonałe warunki, by zostać obiektem pożądania arabskiego konesera piękna. Naturalnej urody długowłosa blondynka ze świetną figurą. Nieco pełniejsza w kształtach od Cathy, ale wciąż bardzo szczupła. Doskonale nadawałaby się na drugą lub trzecią żonę szejka. Ale fakt, że wciąż latała po świecie jako stewardesa, świadczył o tym, że jej arabski bogacz raczej nie miał wobec niej poważnych zamiarów. Evelyn nie zaprzeczała, gdy Cathy opowiadała wszem wobec o jej miłosnych podbojach, ale rzadko je komentowała i chyba była tym dość mocno skrzepowana.

Poznali się w Armani Prive, ekskluzywnym klubie, który szczyci się najbardziej prestiżową lokalizacją w mieście – znajduje się w Burj Khalifa, najwyższym budynku na świecie. To było w czasie, kiedy jeszcze latałam w klasie ekonomicznej i niemal każdy lot musiałam odreagować. Najlepiej działała noc przetańczona w dobrym klubie. Zawsze skręcało mnie, gdy wiedziałam, że Cathy, Anis i Evelyn są razem w Dubaju, a ja kilka tysięcy kilometrów od nich. To była jedna z tych nocy. Szykowałam się do lotu powrotnego z Sydney, gdy Evelyn, Cathy i Anis ruszali na podbój Dubaju. Ubrani w najlepsze ciuchy, wypielęgowani i pachnący. Cel? Zwracać na siebie uwagę i bawić się, jakby świat miał się skończyć następnego dnia.

Miał na imię Ahmed. Był nieco przedwcześnie łysiejącym, szerokim w barach arabskim macho o doskonale przystrzyżonym, zadbanym zarostcie. Biała koszula, rozpięta do połowy owłosionej klaty, purpurowa aksamitna marynarka, na głowie pół litra żelu. Balansował na granicy kiczu, ale sprawiał wrażenie kolesia, który nie ma kłopotów z płaceniem rachunków – może nawet nie do końca wie, że rachunki się płaci. Za pośrednictwem jednego ze swoich ochroniarzy zaprosił do swojego stolika Evelyn i Cathy. Anis w tym czasie zakochiwał się w jakimś udającym hetero przystojniaku, który tylko dla sportu flirtuje z chłopakami. Dziewczyny były same. Wiedząc, że takie zaproszenie to okazja, by napić się drogiego szampana, chętnie przystały na zaproszenie. Dla Ahmeda i męskiej części jego gości to nie był zwykły dżentelmeński gest, a Evelyn i Cathy doskonale o tym wiedziały. Wiedziały też, że na tym etapie znajomości mogą się wycofać w odpowiednim momencie. Było nieoczekiwane miło. Ani Ahmed, ani żaden inny z siedzących przy jego stoliku mężczyzn nie zrobił niczego, co mogłoby zwiastować nieczne zamiary. Zapewne Ahmed wydał wyraźny zakaz, bo już wtedy, przy nieco bliższym poznaniu Evelyn, zdecydował, że zostanie ona jego dziewczyną. Poprosił o jej numer, a Evelyn mu go dała. On chyba też jej się spodobał. Nie był Adonisem, ale miał w sobie urok nieco zakompleksionego chłopaka, skrywany pod fasadą mięśni i groźną miną. Wszystkie tak wpadamy – uwodzi nas męskość, jesteśmy pod urokiem kompleksów, które na początku przybierają formę chłopięcej nieśmiałości. Ale każda dziewczyna powinna wiedzieć, że mięśnie i kompleksy to bardzo niebezpieczna mieszanka.

Po tamtym wieczorze Evelyn i Ahmed zaczęli się spotykać. Po kryjomu oczywiście. On nie był jeszcze żonaty, więc randkowanie z Europejką mogło wywołać skandal. Takie dziewczyny nie nadają

się na pierwsze żony. Ona nie chciała robić sensacji i narażać się na plotki. Nawet Cathy przez długi czas o niczym nie wiedziała. Sprawa się wydała, dopiero gdy Evelyn odwołała któreś z kolei wyjście do klubu.

– Stara, o co chodzi? Obraziłaś się? Nie uwierzę, że znowu masz ciotę! – walnęła Cathy prosto z mostu.

To wtedy Evelyn opowiedziała jej, że spotyka się z Ahmedem. Oczywiście wiązało się to z serią niewygodnych pytań fizjonomiczno-fizjologicznych, ale wkrótce Cathy wyczuła, że Ahmed to chyba coś więcej niż tylko przelotny romans.

Evelyn na jakiś czas zniknęła z afisza. Latała, a każdą wolną chwilę spędzała z Ahmedem. Była w stałym kontakcie z Cathy i wydawała się szczęśliwa. Nawet Cathy zdawała się akceptować ten związek, mimo że monogamia była dla niej czymś w rodzaju nowotworu, który należało jak najszybciej wyciąć i zaleczyć chemią, najlepiej w postaci drogiego alkoholu. I chyba miała nadzieję, że Evelyn szybko wróci do zdrowia.

Ahmed lubił uchodzić za członka rodziny królewskiej, choć tak naprawdę nie był z nią nawet spokrewniony. Interesy z dworem i miliardy na koncie pozwalały mu jednak na rozciąganie wokół siebie arystokratycznej aury błogosławionego przez prestiż i przywileje. Fakt, że nie imponował urodą, dość skutecznie tuszował drogimi ubraniami i szerokim uśmiechem. Pochodził z tradycyjnej beduińskiej rodziny z Ras Al Khaimah, o której chętnie opowiadał. Miał trzech braci i jedną siostrę, która niestety krótko przed tym, jak Evelyn poznała Ahmeda, zaginęła w niewyjaśnionych okolicznościach. Niewyjaśnione były jednak tylko z pozoru. Sam Ahmed nie miał oporów, by mówić o tym, co naprawdę stało się z Lamis. Powiedział to nawet Evelyn:

– Zhańbiła naszą rodzinę!

– Jak to „zhańbiła”? I co się z nią stało?

– To, co się dzieje z tymi, którzy ściągają hańbę na rodzinę – odpowiedział z uroczym uśmiechem i pocałował Evelyn w usta, władczo przytrzymując jej głowę. Potem odwrócił się do okna. Był nerwowo. Wyraźnie nie mógł sobie poradzić z emocjami. To wtedy Evelyn po raz pierwszy naprawdę się go przestraszyła. Ale nie odpuściła.

– Zabiłeś ją? – spytała wprost.

Ahmed odwrócił się gwałtownie, wyraźnie porażony tak odważnym pytaniem.

– *Habibi*, nigdy w życiu bym tego nie zrobił! To moja siostra! Skąd ci to przyszło do głowy?

Evelyn się zmieszała.

– Przepraszam, kochanie... Po prostu to zabrzmiało tak, jakbyś wiedział, co się z nią stało.

– Bo wiem. Ale nigdy bym jej nie zabił. To byłoby niegodziwe.

Evelyn coraz bardziej chciała poznać prawdziwą historię Lamis. Długo trwali w milczeniu, aż Ahmed przerwał ciszę:

– Lamis była uroczym dzieckiem. Takim słodkim. Uwielbiała mnie i naszych braci, a my wprost za nią przepadalśmy. Nazywaliśmy ją promyczkiem, bo w naszym męskim świecie zawsze rozjaśniała nawet najpochmurniejsze dni.

Gdy Evelyn dostrzegła w jego oczach łzy, spłoszony natychmiast je wytarł. Zrobiło się jej głupio za te niedorzeczne oskarżenia. Ahmed ewidentnie przeżywał śmierć Lamis.

– Kochanie, nie mów nic więcej...

– Przepraszam, to bolesne wspomnienia.

– To ja przepraszam. Bardzo mi przykro... Nie chcę, żebyś do tego wracał.

– To wciąż świeża rana, nie ma jej z nami zaledwie od kilku miesięcy.

Ahmed mocno przytulił Evelyn.

– Utrata ukochanych osób zawsze bardzo boli. – Oddychał ciężko. – Nie chciałbym cię stracić. Teraz to ty jesteś moim promyczkiem.

Z czasem w związku Evelyn i Ahmeda zaczęły się pojawiać problemy. Zresztą były one do przewidzenia. On pochodził z bardzo konserwatywnej rodziny o beduińskich tradycjach, czego nie był w stanie zmienić ani jego ekstrawagancki, nowoczesny styl życia, ani fortuna, której się dorobił. Imponowały mu dziewczyny Zachodu, ale pod warunkiem, że były w stanie się stać dziewczynami Wschodu. Evelyn nie była w stanie. Nie chciała słyszeć o rezygnacji z latania, o konwersji na islam, o ślubie, o którym coraz częściej wspominał jej ukochany, choć zawsze dodawał, że nie może być jego pierwszą żoną. To też coraz wyraźniej przekreślało ich wspólną przyszłość. Ahmed nie chciał jednak rezygnować, a Evelyn, bardzo w nim zakochana, stwierdziła, że zostawi sprawy własnemu biegowi.

Do czasu...

– Przyjedź do mnie, kochanie. Tak bardzo się stęskniłem. – Takie słowa ujmują za serce zawsze, a tym bardziej, gdy żyje się z dala od domu. To, że po długim locie czeka na ciebie ktoś stęskniony, jest bezcenne.

Evelyn była skonana po dwunastogodzinnej podróży, ale postanowiła wziąć prysznic i pojechać do Ahmeda. Wysłał po nią samochód i dwie godziny później byli już razem.

Nie była to jednak wymarzona randka.

– Dlaczego nie odbierasz moich telefonów? – zapytał na powitanie tonem dalekim od tego, którym jeszcze przed chwilą zapewniał ją o tęsknocie.

– Jak to? Przecież odebrałam... rozmawialiśmy...

– Nie mówię o tym! Odebrałaś w Dubaju, ale nie odebrałaś tam, gdzie byłaś... o ile gdziekolwiek byłaś!

– Ahmed, pracowałam... Mój telefon był wyłączony. Nie wiedziałam, że dzwoniłeś. Nie dostałam żadnych powiadomień.

– Pewnie, że nie dostałaś. Wszyscy dostają, tylko ty, biedactwo, nie. Kurwisz się i tyle! – Dyszał jej w twarz wyziewami whisky, której sporą ilość wypił przed spotkaniem.

– Nie muszę tego wysłuchiwać. – Evelyn zwróciła się w kierunku drzwi, wiedząc, że dyskusja ze wzburzonym i wyraźnie pijanym Ahmedem nie ma większego sensu.

– Nigdzie dziś nie pójdziesz, dziwko! Jesteś moja, a ja pilnuję swojej własności. Rozbieraj się!

Przerażona Evelyn złapała za klamkę. Drzwi jednak były zamknięte. Wiedziała, że będzie musiała ulec mężczyźnie. Podszedł do niej i uderzył ją w twarz otwartą dłońią. Zachwiała się, ale nie upadła. Spojrzała mu prosto w oczy z niekłamaną pogardą. Wydawało się, że przywróciło mu to rozsądek, ale nie zmieniło sposobu narracji.

– To było tylko delikatne ostrzeżenie. – Pociągnął ją za sobą i rzucił na sofę, po czym jednym agresywnym ruchem zdarł z niej ubranie.

Zatykając dłońią usta Evelyn, gwałcił ją przez kilkanaście minut. Przerywał na łyk alkoholu i wracał z jeszcze większą agresją. Evelyn nie krzyczała. Wiedziała, że i tak nikt jej tu nie usłyszy. Płakała tylko po cichu, zastanawiając się, jakim cudem znalazła się w takim położeniu, jak to się mogło stać. A potem odpłynęła. Zasnęła, a może zemdląła... Zmęczenie pracą i niespotykany finał wieczoru odebrały jej świadomość.

Obudziła się następnego dnia ubrana w jedwabną piżamę, w objęciach Ahmeda. Wyglądał tak niewinnie. Obrazek pasujący do poranka następującego po romantycznej nocy, a nie po obrzydliwym gwałcie. Evelyn była skonfundowana. Przez chwilę myślała, że wszystko, co pamięta z ubiegłego wieczoru, było tak naprawdę złym snem, ale piekące otarcia na wewnętrznych stronach ud dowodziły, że ten koszmar zdarzył się naprawdę. Zgwałcił ją jej ukochany. Facet, za którym tęskniła zawsze, gdy nie było go obok. A zrobił to, by zaznaczyć ją jako swoją własność.

Dziewczyna wiedziała, że musi zrobić wszystko, by wydostać się z jego łóżka, z jego willi, zniknąć z jego życia. Wiedziała też, że nie może zrobić tego zbyt gwałtownie. Skoro wczorajszy akt oznaczał, że jest własnością Ahmeda, musiała grać swoją rolę do czasu, aż będzie bezpieczna.

– Dzień dobry, słoneczko – przywitał ją, przecierając oczy dłońmi.

– Dzień dobry. – Evelyn uważała, by jej głos nie zdradził goryczy. Miała grać kobietę złamaną.

I zadowoloną z tego faktu. Pierwszy krok wtajemniczenia na drodze do zostania kobietą Wschodu.

– Dobrze spałaś?

– Rewelacyjnie. Potrzebowałam tego po tym locie. Po takich lotach zwykle śpię jak zabita – odparła jakby nigdy nic.

Ahmed pocałował ją w czoło i przytulił.

– Cieszę się, że jesteś tu, gdzie twoje miejsce. A teraz wskakuj pod prysznic. Dam znać obsłudze, że jesteśmy gotowi na śniadanie. Umieram z głodu.

Evelyn zgodnie z rozkazem ruszyła do łazienki, by wziąć prysznic. Był jej bardzo potrzebny. Czuła, jak wraz ze spływającą po jej ciele wodą zmywa cały ból i wstyd gwałtu. Ich miejsce zaczęła zajmować wściekłość. Nie, jeszcze nie teraz! Wytrzymaj! On nie może wyczuć w tobie siły. Przecież wczoraj ci ją odebrał!

Nałożyła jedwabny szlafrok, przeczesła włosy, spryskała się perfumami i zeszła do przestronnej jadalni.

– *Habibi*, jak zwykle zniewalająca! – zawołał uradowany Ahmed.

Siedział przy stole w oślepiająco białej kandurze z gazetą w dłoni i uśmiechem na twarzy. Evelyn pocałowała go w policzek, po czym obeszła stół i usiadła naprzeciwko, na przygotowanym dla niej miejscu. Przez jakiś czas trwali w milczeniu. On czytał, popijając kawę, ona siedziała nad szklanką soku. Nie była w stanie nawet myśleć o jedzeniu. Wściekłość skręcała jej żołądek, a próba zatuszowania jej uśmiechem tylko potęgowała to uczucie.

W końcu Ahmed odłożył gazetę i zaczął jeść.

– Po śniadaniu muszę ci coś pokazać – zapowiedział.

Evelyn nie była zainteresowana niczym, co miał jej do pokazania, ale udawała, że jest odwrotnie.

Po posiłku zabrał ją do swojego gabinetu i kazał usiąść. Na jego mahoniowym biurku, stylizowanym na kolonialne, leżało pokryte bordowym zamszem pudełko. Otworzył je i podał Evelyn.

– Pytałaś ostatnio o Lamis. Przypomniałem sobie o jedynej pamiętce, jaka mi po niej została. Pomyślałem, że może cię zainteresować.

W pudełku leżała elegancko złożona czarna tkanina.

– Proszę, możesz jej dotknąć... weź ją do ręki – zachęcał mężczyzna, wyraźnie czekając na reakcję Evelyn.

Ta podniosła tkaninę, by odkryć, że jej krawędzie są nadpalone. Ułożona w pudełku sprawiała wrażenie całości, podniesiona okazała się jedynie fragmentem z przypaloną, nadtopioną krawędzią. Makabrycznym haftem.

– Tyle z niej zostało. Reszta jej shalli spaliła się kompletnie. – Tym razem nie było łez. Głos mu się nie łamał. Przeciwnie, był stanowczy i cyniczny.

– Ty wiesz, co się z nią stało! – zawołała Evelyn, nie zważając na konsekwencje. Wiedziała, że może go zirytować, ale to było silniejsze od niej.

– Nigdy nie mówiłem, że nie wiem... – Ahmed podszedł do niej z uśmiechem. Natarczywie pocałował ją w usta, przytrzymując jej twarz oburącz. A potem, patrząc jej prosto w oczy, podjął: – Wiem często więcej, niżbym chciał... Naprawdę wolałbym nie wiedzieć, co zrobiła Lamis. Nie chciałbym też wiedzieć tego, co robisz ty, ale tak już mam, że wiedza sama mnie znajduje. Chyba jestem przeklęty. A potem już nie mam wyjścia...

Evelyn siedziała w milczeniu, przerażona i sparaliżowana. Nie do końca wiedziała, co ma na myśli Ahmed, ale domyślała się już, jaki los spotkał Lamis. Nadal nie rozumiała jednak gry, w jaką wciąga ją mężczyzna. Do czego to wszystko zmierza? Zaprzeczył, gdy spytała, czy zabił swoją siostrę, a jego reakcja wskazywała na to, że naprawdę za nią tęskni. Teraz robił wszystko, by skierować podejrzenie na siebie. Czyżby po to, by ją przestraszyć? Zaczynała zdawać sobie sprawę, że Ahmed używa opowieści o siostrze, by ją ostrzec. Może nawet ją zmyślił, co wcale nie świadczyłoby na jego korzyść. Mówił, że wie, co robi? Co miał na myśli? Od kiedy zaczęli się spotykać, Evelyn nawet nie była na żadnej imprezie. Cały swój czas dzieliła między pracę i spotkania z nim. Nawet na wyjazdach

starła się odsypiać, byle tylko mieć siłę na randki po powrocie. Kompletnie nie rozumiała jego zachowania, chorych podejrzeń, bezpodstawnych domysłów. Czuła, że nie żartował, ale nie mogła zrozumieć, skąd u niego taka nagła zmiana. Wydawał się wyluzowany. Wiedział doskonale, że Evelyn spędza z nim cały swój wolny czas, a on wydawał się całkowicie to akceptować.

Z przerażeniem stwierdziła, że musi już wracać do siebie, by przygotować się na kolejny lot. Gdy jednak powiedziała o tym Ahmedowi, ten ponownie ją zaskoczył.

– Oczywiście, kochanie. Dokąd tym razem?

– Tokio. Wracam w czwartek.

– Zatem nie mogę już się doczekać czwartku. Mój kierowca zaraz cię odwiezie. W sypialni znajdziesz ubrania. Te wczorajsze do niczego się już nie nadają – powiedział z troską, tak jakby przed chwilą jej nie straszył, jakby wczorajszy gwałt był tylko sennym koszmarem, jakby to nie on podał jej ciuchy. – Obiecuję, że będę cierpliwie czekał. A po twoim powrocie wymyślę dla ciebie coś specjalnego.

Ahmed był człowiekiem honoru. Zawsze dotrzymywał słowa.

Bóg Shiva-Rudra nie był ulubieńcem swojego teścia, natchnionego Dakshy, który swą boską płodnością zaludnił ziemię. Dakshy nie podobał się styl Shivy, który był hipsterem wśród hinduskich bogów. Ascetycznie ubrany, zapalony jogin z brudnymi od popiołu włosami. Shiva nie zamierzał robić nic, by się przypodobać Dakshy. Kochał jego córkę i to mu wystarczyło. By okazać swą pogardę dla zięcia, Daksha nie zaprosił go na rytuał składania ofiary bogowi Wishnu, co było najwyższą formą obrazy i miało wywołać boską zazdrość. Wishnu jest bowiem jedną z trzech postaci najwyższej boskiej trójcy w hinduizmie obok Brahmy i samego Shivy. Potwarzy nie mogła znieść córka Dakshy – Sati. Z rozpaczy, na znak nieposłuszeństwa ojcu i w dowód oddania mężowi niespodziewanie rzuciła się w ogień ofiarny podczas ceremonii.

Wieść o tym akcie błyskawicznie dotarła do Shivy, który w odwecie stworzył Kali – żądną krwi boginię wojny i śmierci, i Bhajravę – bożka zniszczenia. Urządzili oni pogrom podczas zorganizowanej przez Dakshę ceremonii, a sam Shiva uniósł z pogorzeliska idealnie zachowane ciało ukochanej i wędrował z nim przez świat do czasu, aż zmieniło się ono w popiół.

Sati odrodziła się ponownie jako Parwati – córka Himalajów. I ponownie została żoną Shivy. Stała się też symbolem bezgranicznego oddania mężowi, a jej czyn – wzorem do naśladowania. Od czasów starożytnych kobiety z własnej woli lub pod przymusem mieszkańców wiosek, w których mieszkały, poddawane były rytuałowi samospalenia, wchodząc w ogień trawiący ciało zmarłego małżonka. Nieliczne wdowy, które uniknęły tego okrutnego losu, czekał ostracyzm. Golono im głowy, zakazywano używania makijażu i wykluczano ze społeczeństwa, traktując gorzej niż zwierzęta. Często śmierć w płomieniach okazywała się dużo łaskawszym sposobem na odejście z tego świata, bo kobiety, które nie poszły w ślady Sati, często i tak czekała agonía.

Jednym z najwcześniejszych wspomnień Ashisha były płomienie stosu pogrzebowego tańczące wokół jego zmarłego ojca. Ten traumatyczny widok zapamiętał dokładnie, mimo że nie miał wtedy jeszcze nawet trzech lat. Tego dnia pożegnał nie tylko ojca, ale i matkę. Kobieta weszła w płomienie za zmarłym mężem, dokonując *sati* – zakazanego od czasów brytyjskiej kolonii, ale do dziś wciąż praktykowanego na indyjskiej prowincji. We wsi Tuspilar, w stanie Madhya Pradesh w centralnych Indiach, spłonęła niejedna wdowa. W rodzinie Ashisha z życiem pożegnały się w ten sposób jego trzy ciotki, a i mama nie była ostatnia. *Sati* było drogą do osiągnięcia świętości. Alternatywą było wykluczenie ze społeczeństwa. Trudno sobie wyobrazić, że matka dwanaściorga dzieci dobrowolnie rzuca się w ogień i robi to wyłącznie ze strachu przed gniewem wsi, ale taki los spotykał wiele kobiet, które straciły mężów. Ashish przez całe życie wierzył, że ten czyn był oznaką bohaterstwa i dobrowolnym przejściem do świętości. Czczył swoją matkę jak boginię i nigdy nie rozstawał się z jej

jedynym, mocno sfatygowanym zdjęciem. Miał dużo szczęścia, był jednym z pięciorga rodzeństwa, które dożyło dorosłości, choć tak naprawdę dla większości z nich zaczęła się ona z chwilą śmierci rodziców.

Gdy już ich nie było, Ashish trafił pod opiekę starszego rodzeństwa, ale jego dzieciństwo ostatecznie się skończyło, kiedy w wieku sześciu lat poszedł do pracy i zaczął wypasać krowy. Nigdy nie chodził do szkoły, ale gdy jako nastolatek trafił na przedmieścia Delhi i podjął pracę u miejscowego leciwego szewca, pojawiła się szansa na zdobycie edukacji. Sam szewc pracował kiedyś w posiadłości byłego brytyjskiego zastępcy króla, dzięki czemu doskonale opanował język angielski. Staruszek traktował Ashisha jak syna i postanowił, że zanim odejdzie z tego świata, nauczy go mówić w języku, z którym będzie mógł wyruszyć po lepszą przyszłość. To był punkt zwrotny w życiu Ashisha. Moment, w którym dostał szansę na wyrwanie się z ubóstwa. Doskonale zdawał sobie z tego sprawę i bardzo przykładął się do nauki. Kilka lat później znowu został sam. Stary szewc zmarł, a Ashish z całych sił starał się zastąpić go w pracy. Zaczynało mu się nieźle powodzić. Siły pozwalały mu na przyjmowanie większej liczby zleceń, robił też buty, które cieszyły się dużą popularnością. Wkrótce stać go było na założenie rodziny. Poślubił Drishti, osieroconą córkę sąsiadów, w której kochał się od dawna. Wkrótce w ich domu pojawiło się pierwsze dziecko. A potem pięcioro kolejnych.

Ashish robił wszystko, by utrzymać rodzinę, ale wraz z jej powiększaniem zwiększały się też potrzeby, a on był jedynym żywicielem. Sił było coraz mniej, pieniędzy nie przybywało. Pękało mu serce, gdy widział, jak jego bliscy z każdym dniem staczają się w otchłań nędzy. Bardzo chciał ich przed tym uchronić i cały czas się modlił, by bogowie, jak kiedyś, odmienili jego los. Gdy dowiedział się o rekrutacji do pracy w Dubaju, był przekonany, że to kolejna podsunięta przez bogów szansa. Miał zostać kierowcą. Nie umiał wprowadzić prowadzić samochodu, nigdy nie siedział za kółkiem, ale nie brakowało mu determinacji. Za pieniądze odłożone na najczarniejszą godzinę wykupił kurs, a za pożyczone złożył aplikację w agencji. Wkrótce po dopełnieniu formalności otrzymał zaproszenie do Dubaju. Łzy napływały mu do oczu na myśl o zostawieniu rodziny, ale wiedział, że tęsknota to cena, jaką będzie musiał zapłacić za to, by jego najbliżsi żyli dostatnio. Niczego nie pragnął bardziej.

– Wróć. A tymczasem co miesiąc będę wam przysyłał pieniądze. Zaoszczędzę, ile się da, a potem wróć, wróć na pewno – zapewniał.

– Boję się, że już cię nie zobaczę – płakała Drishti.

– Zobaczysz. To przecież nie jest koniec świata. Dzięki temu naszym dzieciom niczego nie zabraknie. Będziemy je nawet mogli posłać do szkoły – argumentował, a żona wiedziała, że ma rację.

W Dubaju Ashish trafił na dwór arabskiego miliardera. Miał zasilić szeregi jego kierowców, ale szybko okazało się, że wyróżnia się dwiema rzeczami: świetną znajomością języka angielskiego i absolutnym beztalenciem za kierownicą. Paradoksalnie ten deficyt otworzył przed nim wielką szansę. Dobra znajomość angielskiego to wśród hinduskiej służby rzadkość. Nie można było tego tak po prostu zignorować. Ashish został chłopcem na posyłki. Ranga powierzanych mu zadań rosła, aż trafił do pierwszego szeregu służby biznesmena. Awans pozwolił Ashishowi utrzymać rodzinę na wysokim poziomie, zbudować dom w Indiach i odwiedzać bliskich częściej, niż mógł zamarzyć. Życie nie mogło być lepsze. A jednak wkrótce los rzucił mu pod nogi kolejną kłodę.

Po locie z Tokio Evelyn nie wróciła do siebie. Ahmed wysłał po nią samochód na lotnisko. Zgodziła się do niego wsiąść, by go nie drażnić. Wiedziała, że opór nie ma sensu. Mimo wszystko wciąż miała nadzieję, że sytuacja się zmieni, że wróci cudowny czas z początków ich związku. Drżała o to, co ją czeka. Wcześniej obiecywała sobie, że już nigdy się z nim nie spotka, ale nie potrafiła tak po prostu o nim zapomnieć. Przecież jego zachowanie mogło być spowodowane wieloma czynnikami; przecież to dobry człowiek... Może był czymś zdenerwowany, a i alkohol pewnie zrobił swoje. A może to przez narkotyki. Od dawna podejrzewała, że zażywa kokainę. Poza tym ona też była zmęczona i rozdrażniona po długim locie. To mogło wpłynąć na jej percepcję.

Gdy się spotkali po raz kolejny, była już pewna, że dobrze zrobiła, dając Ahmedowi jeszcze jedną szansę. Przywitał ją jak stęskniony szczeniak. Podbiegł do niej z uśmiechem i wyściskał. Kochali się pod prysznicem, na stole, aż w końcu bez sił opadli na łóżko i zasnęli.

Gdy się obudziła następnego dnia, Ahmeda nie było w łóżku. Wszedł do sypialni ubrany w kandurę, pachnący i... wściekły.

– Wstawaj, leniwa kurwo! – krzyknął.

A więc kolejna zmiana nastroju.

– Ahmed, kochany...

– Nie wkurwiał mnie, dziwko. Wstawaj mówię!

Evelyn nie wiedziała, jak się zachować, przede wszystkim jednak nie wiedziała, dlaczego Ahmed znowu zmienił się w potwora. W pośpiechu zabrała swoje rzeczy i próbowała się ubrać, gdy podszedł do niej, złapał ją za twarz i trzymając za podstawę czaszki, pociągnął ją za sobą, idąc tyłem w kierunku fotela. Następnie usiadł na nim i przycisnął jej głowę do swojego krocza. Przyduszał ją, a Evelyn mu się poddała. Wiedziała, że nie ma z nim szans. Podniósł kandurę i wepchnął wyprężonego członka w jej usta. Opuścił tkaninę, tak że dziewczyna znalazła się w pułapce. Dusił się napierającym na krtań penisem. Robiło się coraz goręcej. Zaczynało jej brakować powietrza. Próbowwała je łapać, ale szamotanina stawała się coraz trudniejsza. Chwilę później straciła przytomność. Dopiero wtedy odpuścił. Podniósł kandurę i rzucił Evelyn na podłogę. Była bezwładna, ale i tak uderzył ją z całej siły w twarz. Raz, drugi... Potem jeszcze raz. Na koniec wymierzył jej mocnego kopniaka pod żebra. Odzyskała przytomność, choć świat nadal wirował.

– No, jesteś wreszcie! Wypierdalaj stąd, dziwko. Nawet do obciążania się nie nadajesz – powiedział z odrazą.

Evelyn nie zamierzała zwlekać. Zabrała swoje rzeczy i wybiegła z posiadłości tak szybko, jak tylko była w stanie. Tym razem obiecała sobie, że to był ostatni raz.

39 Z ang. – imprezowiczka.

ROZDZIAŁ 6

Karo-kari

Przedmieścia Raku to kwintesencja emirackiej klasy średniej. Jest tu bogato jak w mieszkalnych dzielnicach Dubaju, a warte miliony wille pod względem przepychu nie ustępują tym dubajskim. Ambitni mieszkańcy Ras Al Khaimah chcą być podziwiani tak jak dubajczycy, mają w sobie jednak dużo więcej naturalności, są bardziej gościnni, ale też dużo bardziej konserwatywni. To często wybuchowa mieszanka, która nieświadomych i naiwnych może złapać w pułapkę. Ujęci gościnnością i otwartością, często stają się zakładnikami dawnych zwyczajów, konwenansów i prymitywnych wierzeń.

W tradycyjnych rodzinach kobiety mają do spełnienia ściśle określoną rolę. Emiracka dziewczynka po osiągnięciu dorosłości, która tradycyjnie następuje w dniu pierwszej miesiączki, ma zostać żoną – i w tej kwestii raczej nie ma wyboru. Na szczęście edukacja, a także postęp technologiczny i ekonomiczny sprawiły, że w Emiratach nie wydaje się już za mąż małych dziewczynek, ale to, co odroczone w czasie, i tak jest nieuniknione.

W kraju, w którym ludność lokalna nie musi pracować, a za samo istnienie jest sowicie opłacana przez władców, motywacja do zdobycia dobrego wykształcenia i pracy jest znikoma. Zwłaszcza wśród kobiet, które szkoły traktują raczej rekreacyjnie, wiedząc, że ich jedyną powinnością w życiu jest wyjście za mąż i założenie rodziny. Edukacja im w tym nie pomoże, a co najwyżej może to utrudnić. Wyedukowane kobiety odczuwają zupełnie nierozumianą przez arabskich konserwatystów potrzebę samostanowienia, a to nie jest cecha pożądana u płci pięknej.

Nawet jeśli dziewczyna należy do tych wyzwolonych, nie nosi nikabu, a jej bogato zdobiona abaja jest wyłącznie symbolem statusu, a nie obowiązkiem wynikającym z tradycji, nawet gdy sama prowadzi samochód i bez większych ograniczeń spotyka się ze znajomymi, w temacie swojej przyszłości jest całkowicie zależna od woli rodziny. To rodzice wybiorą jej przyszłego męża, a nawet jeśli go nie wybiorą, muszą go zaakceptować. Ich veto jest ostateczne i nie podlega apelacji. To i tak najbardziej liberalny scenariusz. Bywa gorzej.

Lamis miała szesnaście lat, gdy zakochała się bez pamięci. Jak wiele jej rówieśniczek, swojego chłopaka poznała w galerii hand-lowej. Robiące wrażenie nieprawdopodobnego przepychu Mall of the Emirates to wbrew pozorom jedno z najbardziej romantycznych miejsc na świecie. Niby zwykła galeria handlowa, ale oprócz zakupowej rozpusty ma tu miejsce istny festiwal miłości, podczas którego młodzi mężczyźni i kobiety wymieniają się kontaktami, używając do tego niezwykle wymyślnych sposobów. W przelocie dyskretnie podają sobie karteczki z numerami, zostawiają je na kawiarnianych stolikach, czasami nawet korzystają z usług turystów, którzy nie rozumieją, dlaczego młodzi potrzebują pośredników. Ta z pozoru dziwna, pozbawiona większego sensu gra dla pochodzących z konserwatywnych rodzin chłopców i dziewcząt jest jedynym sposobem na poznanie partnera – poza związkami aranżowanymi przez rodziców. Ci ostatni często wysyłają za swoimi pociechami szpiegów, służbę lub, co gorsza, członków rodziny. Przyłapana na niecznej schadzce niewiasta może mieć spore kłopoty. Dość powiedzieć, że jeśli zostanie w ekspresowym tempie wydana za mąż, może się uznać za szczęściarę.

Spotykali się w każdy czwartek wieczorem. Zawsze w tych samych miejscach i o tej samej porze, choć bez umawiania. Przypadkowe spojrzenia i uśmiechy, gaszone w pośpiechu, zanim ktokolwiek zdąży się zorientować, że mają adresata. Przełom nastąpił dopiero po kilku miesiącach. Lamis, coraz bardziej zniecierpliwiona faktem, że nie może po prostu poznać chłopaka, który tak bardzo jej się podoba, wzięła sprawy w swoje ręce. Któregoś dnia spojrzała na niego inaczej niż zwykle. Nie uciekała wzrokiem. Patrzyła mu w twarz, podnosząc do ust kubek z kawą. Ich wzrok spotkał się na chwilę. Kiedy ruszyła w jego kierunku, nieco sploszony odwrócił się do swojego kolegi.

Nie powinien na nią patrzeć, na pewno nie w jej twarz. To przecież niegrzeczne. Dziewczyna tymczasem minęła go i wrzuciła pusty kubek do stojącego obok kosza na śmieci. Nie wytrzymał i odwrócił się za nią. Jej spojrzenie mówiło wszystko. Chwilę później miał jej numer. Zapisany na białym kubku po kawie, tuż pod imieniem, które napisał barista. Wreszcie mogli się poznać.

Hakim miał dziewiętnaście lat i był rodowitym dubajczykiem. Mieszkał w usianym drogimi willami Mirdif, zamieszkanym głównie przez klasę średnią i zachodnich imigrantów z rodzinami. Jeździł dwuletnim czarnym hummerem, którego dostał od starszego brata, i nie musiał się szczególnie martwić o przyszłość, choć zakończył edukację na szkole średniej i nie miał ochoty na jej kontynuowanie. Zdawał się być idealnym kandydatem na męża dla dumnej Emiratk. Ale Lamis nie kalkulowała. Hakim przykuł jej uwagę wyglądem i stylem bycia. Kiedy spotkali się po raz pierwszy sam na sam, wiedziała już, że odda mu serce. Mimo kiepskiego wykształcenia świetnie władał słowami, a jego romantyczne usposobienie dawało mu fory u kobiet. Zwłaszcza tak młodych i niewinnych jak Lamis.

Jako para bez ślubu spotykali się po kryjomu; wymykali na ukradkowe przejażdżki i szybkie randki na parkingach centrów handlowych. Poza tym nieustannie do siebie pisali. Wkrótce Lamis była zakochana po uszy, a Hakim nie widział poza nią świata. Byli bardzo szczęśliwi, ale jednocześnie przerażeni tym, że jeśli którakolwiek z rodzin dowie się o ich potajemnych schadzkach, prawdopodobnie nigdy więcej się nie zobaczą. Nie mieli jednak wyjścia. Nie chcieli zrezygnować z tego, co ich połączyło. Oboje wiedzieli, że jeśli tylko Allah na to pozwoli, zostaną małżeństwem.

– Myślisz, że twoi rodzice mnie zaakceptują? – zmartwiła się Lamis, gdy Hakim po raz pierwszy spytał, czy zechciałaby zostać jego żoną.

– Pokochają cię – zapewniał, choć wcale nie był tego pewien. – Ale czy twoi zaakceptują mnie?

Dziewczyna milczała. Wiedziała, że raczej nie ma na to szans. Bała się reakcji ojca, jednak największą trwogą zdejmowali ją bracia. Z jednej strony Hakim był wymarzoną kandydatem na męża, ale z drugiej nie był ich wybrankiem. To oni mieli zdecydować, za kogo wyjdzie ich ukochana córka i siostra. Ich promyczek. Fakt, że to ona musiała im go przedstawić, mocno godził w ich honor. Do tego pozwoliła mu się dotknąć, a to było niewybaczalne. Lamis powinna wchodzić w związek małżeński jako czysta, nieskalana kobieta. W razie czego istniała jeszcze możliwość chirurgicznego przywrócenia dziewictwa. Hakim był gotowy za to zapłacić, ale zawsze istniało ryzyko, że sprawa wyjdzie na jaw. A wtedy narażą się nie tylko rodzinie, ale i prawu. W Emiratach zakazane akty są pozornie dozwolone, dopóki wiadomość o nich nie dotrze do organów ścigania. Wtedy nawet utrata dziewictwa przed ślubem kończy się w więzieniu.

Opisane w Koranie hurysy, które odzyskują dziewictwo tuż po stosunku, to dziś już nie tylko obietnica nagrody w raju. Kobiety na Bliskim Wschodzie wzorem mitycznych niewiast coraz częściej chirurgicznie przywracają sobie błonę dziewiczą. Hymenoplastia to jedna z najbardziej popularnych operacji wykonywanych w Emiratach. Dziewictwo z odzysku kosztuje około dwóch tysięcy euro. To mało inwazyjny zabieg. Decydują się na niego panienki, które młodzieńcza chęć sprowadziła na manowce, a także wierne żony, które chcą na nowo rozpalić swoich mężów. Jest to też idealny sposób na zwiększenie swojej atrakcyjności, gdy jest się rozwódką. Arabowie mają obsesję dziewictwa – znane są przypadki unieważnionych małżeństw ze względu na przerwana błonę dziewiczą. Przyłapana na podobnej niegodziwości dziewczyna (choćby zupełnie niewinna, bo błona może zostać przerwana nawet w trakcie zwykłych ćwiczeń) zawsze kończy w więzieniu.

Chociaż na terenie Dubaju i Abu Zabi istnieje wiele legalnych klinik oferujących hymenoplastię, wszystkie są ściśle kontrolowane. Dziewicom zdeflorowanym podczas przedmałżeńskiego seksu z pomocą idzie chirurgiczne podziemie, gdzie takie zabiegi wykonuje się potajemnie i dużo taniej. Niestety takie rozwiązanie wiąże się z ryzykiem zdrowotnym. Wiele Arabek decyduje się też na takie zabiegi za granicą. Kliniki chirurgii plastycznej w Londynie czy Paryżu już dawno odkryły gigantyczny popyt na „drugie dziewictwo” i oferują zabiegi skrojone na miarę potrzeb

współczesnych arabskich hurys.

Lamis bardzo chciała, by jej rodzina pokochała Hakima. Nie miała zapędów, by zostać wyzwoloną Emiratką. Chciała być żoną i hołdować tradycji. Ale pragnęła też kochać swojego przyszłego męża – i sama go wybrać.

Ze swojej miłości do Hakima zwierzyła się najpierw Ahmedowi. Ich ojciec zmagał się z wieloma chorobami i coraz częściej rolę głowy rodziny przejmował jego pierworodny. Dla Lamis, jako najstarszy z braci, Ahmed był największym autorytetem. Gdy się urodziła, on był już nastolatkiem. Wprost oszalał na jej punkcie. Bawił się z nią, rozpieszczał, traktował jak najdroższy skarb. Ufała mu. Wiedziała, że ją zrozumie.

– Moja mała Lamis, mój promyczek chce mnie opuścić... – westchnął głęboko, gdy mu się zwierzyła.

– Nie chcę. Przecież wiesz, jak bardzo cię kocham, bracie. Chciałam powiedzieć o tym tobie pierwszemu, bo wiem, że zrozumiesz...

– Rozumiem, ale nie mogę tego pojąć. Dla mnie na zawsze pozostaniesz małą, niewinną dziewczynką. Chociaż wiem, że niewinność już straciłaś... – Ahmed zawiesił głos. – Bo straciłaś, prawda?

Lamis spuściła wzrok. Nie wiedziała, czy zaprzeczyć, czy przyznać się, do czego doszło między nią a Hakimem. Ale przecież rozmawiała z ukochanym bratem. Jemu mogła powiedzieć.

– Ale ja chcę zostać jego żoną i tylko z nim sypiać. Przecież to nieważne, przed ślubem czy po... I tak chcę mu się oddać na zawsze.

– Moja mała Lamis, jak ty niczego nie rozumiesz...

Ahmed nie był w stanie kontynuować tej rozmowy. Nie potrafił pogodzić się z tym, że jego ukochana siostra nie jest już dzieckiem, że oddała się innemu mężczyźnie, że zrobiła to przed ślubem, a przede wszystkim – że zrobiła to bez zgody ojca i swoich braci.

– Oddaj mi telefon – rzucił oschle.

Zaskoczona Lamis chciała zaprotestować, ale powstrzymała się. Wiedziała, że to wymaga czasu, że Ahmed jest w tej chwili w szoku i musi poukładać sobie te wszystkie wiadomości w głowie. Z czasem na pewno zrozumie, przecież bardzo ją kocha. Posłusznie podała bratu swój różowy iPhone. Ahmed złapał go i pospiesznie wyszedł z pokoju.

Rezydencją miliardera, dla którego pracował Ashish, wstrząsnęła seria koszmarnych wypadków. Jeden z najbliższych współpracowników jego szefa, pochodzący z Bombaju Rajit, popełnił poprzedniej nocy samobójstwo. Rajit – w hierarchii będący wyżej od Ashisha – często zlecał mu rozmaite zadania, ale zawsze był przyjacielski i pełen optymizmu. Nie do wiary, że targnął się na własne życie! To Ashish znalazł go z przestreloną czaszką i pistoletem w dłoni. Nie wiadomo, dlaczego to zrobił. Nawet nie zostawił listu pożegnального. A przecież wydawał się szczęśliwy, świetnie zarabiał, był blisko szefa, a ten bardzo go chwalił.

– Nie wiedziałem, że ma pistolet – relacjonował Ashish swojej żonie. – To był straszny widok! W Indiach zostawił rodzinę. Mam nadzieję, że u nich wszystko w porządku, ale jestem przekonany, że w razie potrzeby nasz boss zajmie się nimi. To bardzo dobry człowiek. Bardzo się przejął, choć sam teraz ma czas wielkiego smutku...

Smutek szefa był spowodowany niepewnością związaną z tajemniczym zniknięciem jego siostry. Dziewczyna wdała się w pozamałżeński romans i prawdopodobnie uciekła ze swoim wybrankiem. Rozpoczęto poszukiwania, ale na razie nie przyniosły rezultatów. Jej chłopaka ujęto bardzo szybko. Na początku twierdził, że nie zna dziewczyny, a potem, że nie wie, co się z nią stało. Boss zaangażował olbrzymie środki w poszukiwania siostry, a i dla policji jej znalezienie stało się priorytetem. Głównym podejrzanym był oczywiście chłopak, z którym potajemnie się spotykała.

– Od kilku dni nie mogę się do niej dodzwonić, chociaż ma włączony telefon. Po prostu nie odbiera. Zupełnie tego nie rozumiem – tłumaczył policjantom młodzieniec. – Przecież możecie namierzyć jego sygnał. Na pewno ma go przy sobie!

Po przesłuchaniu chłopak pozostał w areszcie. Nawet jeśli nie miał nic wspólnego ze zniknięciem dziewczyny, nadal był podejrzany o kontakty pozamałżeńskie. Telefon poszukiwanej w końcu namierzono w jej rodzinnym domu. Okazało się, że przez cały czas leżał w jej sypialni. Podłączony do ładowarki, z setkami nieodebranych połączeń.

To Rajit dowodził prywatnymi poszukiwaniami dziewczyny. W stan gotowości postawiono wszystkich ochroniarzy biznesmena, ale nie przyniosły one żadnych oczekiwanych rezultatów. Tydzień później na pustyni, kilkadziesiąt kilometrów od Raku, znaleziono spalone szczątki. Ponieważ odkrycie nie było pierwszym tego rodzaju, policja rutynowo przeprowadziła identyfikację. Badania DNA potwierdziły, że ofiarą jest poszukiwana siostra bossa. Policjanci umorzyli śledztwo i wypuścili podejrzanego chłopaka, jakby nagle pojawiły się jakieś tajemnicze dowody na jego niewinność. Sprawa oficjalnie została uznana za samobójstwo, co było tyle niedorzeczne, co ostateczne. Policjanci wykazali się szczerym zrozumieniem dla prawdziwych sprawców śmierci dziewczyny. Ten, kto to zrobił, musiał mieć bardzo ważny powód – a skoro miał powód, nie należy się wtrącać. Rodzina ma prawo bronić swojego honoru i żadne kodeksy nie powinny tu mieć znaczenia. Poza tym jednym – honorowym.

Wśród muzułmanek żyjących w bardzo tradycyjnych rodzinach karo-kari budzi grozę. Pod tą nazwą znane jest głównie w Pakistanie, ale termin ten nie jest obcy mieszkańcom prowincji krajów całego Bliskiego Wschodu. Jego ofiarą padają z reguły kobiety, dużo rzadziej mężczyźni – z reguły tylko ci homoseksualni. Lista wskazań do przeprowadzenia karo-kari u kobiet jest znacznie dłuższa. Może nim być zbyt zachodni – zdaniem rodziny – styl bycia albo wybór partnera. Do znacznie poważniejszych zbrodni należy przedmałżeński seks (nawet jeśli był gwałtem) albo zmiana wiary. Do zabójstw honorowych wciąż dochodzi niezwykle często i mimo sankcji w wielu krajach ich liczba wcale znacząco nie maleje.

Dla tradycyjnych rodzin znacznie gorszą karą od więzienia czy stryczka jest splamiony honor. Tylko śmierć może zmyć hańbę. Dane dotyczące zjawiska karo-kari są często zaniżane, bo w państwach, w których zaczęto je penalizować, natychmiastowo wzrastała liczba samobójstw lub wypadków wśród młodych kobiet. W Jordanii i Brunei wciąż jest ono respektowane przez prawo, zwalniające z kary mężczyznę, który zabija w obronie honoru, a w Arabii Saudyjskiej jest zakazane tylko pozornie i tak jak w wielu innych państwach łagodnie traktowane przez policję, która wykazuje się olbrzymim zrozumieniem dla sprawców. Oczywiście przypadki karo-kari upozorowane na samobójstwa często są sprawdzane pobieżnie i trafiają do akt jako sprawy zamknięte.

Po kilku tygodniach żałoby w posiadłości miliardera wszystko powoli wracało do normy. Ashish przejął obowiązki Rajita. Teraz miał już bezpośredni kontakt z bossem i jeszcze więcej pieniędzy. Niestety krótko po awansie podupadł na zdrowiu.

– Kiepsko wyglądasz... Czy wszystko w porządku, kochanie? – martwiła się Drishti podczas ich cotygodniowej rozmowy na Facetime.

– To tylko stres, dużo pracy, trochę boli mnie brzuch, ale wszystko będzie OK. Nie ma się czym martwić, jestem tu pod dobrą opieką lekarzy, zaraz dojdę do siebie.

Ashish walczył z bólem przez wiele miesięcy, aż pewnego dnia w trakcie pracy stracił przytomność. Było jasne, że potrzebuje pomocy lekarskiej. Został zawieziony do szpitala. Diagnoza dołożyła cegiełkę do czarnej serii – zaawansowany rak żołądka, przerzuty, nic już nie da się zrobić. Ashishowi zostało maksymalnie sześć miesięcy życia.

Ashish słał się na nogach. Ledwo wstał z łóżka, znowu na niego padał. Jeszcze moment i leki przeciwbólowe zaczną działać. Jeszcze tylko chwila. Ocknął się po kwadransie, gdy ostry ból niemal zupełnie minął, ćmił tylko w oddali, na tyle dyskretnie, by Ashish przez kolejne kilka godzin mógł funkcjonować jak zawsze, na pełnych obrotach. Na szczęście na wezwanie bossa miał się stawić dopiero za godzinę. Do tego czasu będzie już zupełnie sprawny.

Szef przyjął go z uśmiechem.

– Usiądź, mój przyjacielu! – Wskazał krzesło naprzeciwko swojego biurka.

Ashish był w jego gabinecie już wiele razy, ale nigdy w nim nie siedział. Boss nigdy też nie zwracał się do niego osobiście. Mężczyzna przycupnął niepewnie na krawędzi krzesła i spuścił głowę. Ciszę panującą w pokoju zakłócał tylko jego ciężki oddech. Był bardzo zmęczony.

– Słyszałem o twojej diagnozie. Ogromnie mi przykro – powiedział łagodnie szef, na co Ashish jeszcze niżej pochylił głowę. – Może chciałbyś wrócić do rodziny?

– Nie – odparł w pierwszym odruchu, obawiając się, że boss chce go zwolnić. Nie mógł jeszcze wrócić, musiał zarobić więcej pieniędzy, tak by po jego śmierci wystarczyło im na jak najdłużej.

– To znaczy chciałbym... ale martwię się o ich przyszłość. Chcę pracować, dopóki będę mógł... – Głos mu się łamał.

Boss zamilkł. Podeszedł do okna i przez chwilę patrzył w jego jasne światło, kiwając od czasu do czasu głową, jakby coś rozważał. Następnie wrócił do biurka i zapytał:

– A gdybym cię zapewnił, że niczego im nie zabraknie? Wykszałcę twoje dzieci, dokończę budowę domu, a na koncie twojej żony będzie wystarczająco dużo pieniędzy, by nie musiała się o nic martwić.

Ashish nie mógł w to uwierzyć. Nie miał innych marzeń! Gdyby mógł się pozbyć choroby, wszystko byłoby inaczej, ale w tej sytuacji jego jedynym pragnieniem była świadomość, że odchodzi z tego świata spokojny o przyszłość swoich bliskich.

– To... to byłoby spełnienie moich marzeń – szepnął.

– Wspaniale. Zatem chętnie je spełnię. Ty w zamian zrobisz dla mnie tylko jedną drobną rzecz.

Boss był człowiekiem honoru. Zawsze dotrzymywał słowa. Ashish czuł, że może mu zaufać. Dla niego taka oferta brzmiała jak jeszcze jedna szansa od bogów. Zmartwienie o przyszłość rodziny trawiło go nie mniej niż rak. Bał się, że popadną w nędzę, a teraz miał szansę ich przed tym uchronić. Oczywiście, że się zgodzi. Zgodzi się na wszystko.

Jeszcze tego samego wieczoru siedział w samolocie do Nowego Delhi. Miał trzy dni, by się pożegnać z rodziną, a potem wrócić i dobić targu z szefem.

Lot z nigeryjskiego Lagos do Dubaju nie należał do najprzyjemniejszych. Samolot wpadł w długotrwałe turbulencje, co u niektórych pasażerów wywołało sporą panikę. Turbulencje, nawet intensywne, raczej nie są groźne, ale to zawsze dużo pracy dla obsługi pokładu. Sytuacji nie ułatwiał fakt, że kapitan kilkakrotnie prosił załogę, by zajęła miejsca siedzące i zapięła pasy – to wywoływało jeszcze większy niepokój wśród pasażerów. Niestety dla jednej z pasażerek lot okazał się naprawdę niebezpieczny. Nie wytrzymała stresu i dostała zapaści. Konieczna była natychmiastowa reanimacja, co na skaczącym jak rollercoaster pokładzie nie jest sprawą łatwą. Evelyn bez wytchnienia robiła kobiecie masaż serca; na szczęście już po kilku minutach ta odzyskała przytomność. Czuła się na tyle dobrze, że samolot mógł kontynuować kurs bez konieczności lądowania w najbliższym porcie.

Do Dubaju dotarli planowo, a kobieta prosto z lotniska została zabrana do szpitala. Zmęczona i zestresowana Evelyn wiedziała, że tylko szaleństwo w towarzystwie Cathy i Anisa jest w stanie przywrócić ją do formy. Oboje wracali dopiero następnego dnia, więc miała czas, żeby się porządnie wyspać przed nadchodzącą balangą. Cathy nie mogła się jej doczekać, uważając powrót Evelyn do klubowego życia za swoje zwycięstwo. „Wiedziała, że wróci ci rozum. Żaden facet nie jest wart tego, by rzucać dla niego przyjaciół. Jutro ruszamy w miasto i świat jest nasz!”, zapowiedziała kilka dni

wcześniej.

Wychodząc z lotniska, Evelyn wpadła na Ahmeda. Oczywiście nie było w tym cienia przypadku. Odrzucane telefony i odsyłane prezenty powodowały, że jego determinacja rosła. Postanowił więcej nie wysługiwać się kurierami i zawalczyć o jej powrót osobiście. Evelyn zignorowała go, gdy rzucił się w jej kierunku z naręczem kwiatów.

- Evelyn, kochanie...
- Nie jestem twoim kochaniem! Nie chcę mieć z tobą nic wspólnego! – krzyknęła.
- Dlaczego mnie odrzucasz?
- Dobrze wiesz dlaczego! Nic, co zrobisz, nie zmieni mojej decyzji. Zapomnij o mnie!
- Nie mogę!
- To już twój problem. Ja wymazałam cię z mojego życia.

Evelyn się nie złamała, choć przez moment była tego bliska. Bała się, że Ahmed w swej determinacji będzie próbował porwać ją z lotniska, i starała się trzymać jak najbliżej pozostałych członków załogi, z którymi maszerowała przez terminal. Nie był w stanie nic zrobić. Po raz pierwszy poczuła, że ma nad nim przewagę. Postawiła na swoim. Ostatecznie zakończyła związek z Ahmedem. Była z siebie dumna. Tej nocy spała spokojnie. Bardzo spokojnie.

Byłam w Kapsztadzie, gdy Cathy, Evelyn i Anis ruszyli na klubowe tournée. Odwiedzili kilka miejsc, zanim wylądowali w Barasti. Nazwa tego klubu, jednego z najpopularniejszych w mieście, nawiązuje do beduińskich chat z czasów sprzed odkrycia na tych terenach ropy. Ale poza tradycyjną nazwą miejsce to ma niewiele wspólnego z konserwatyzmem. Klub nie cieszy się najlepszą sławą ze względu na okupujące go prostytutki, a co za tym idzie – ich klientów, ale z pewnością gwarantuje fantastyczną zabawę.

Mnie tamtego wieczoru fantastyczna zabawa ominęła. Wróciłam do domu około południa następnego dnia. Spodziewałam się relacji z nocnych szaleństw i zbiorowej walki z kaczem, ale zamiast tego usłyszałam wiadomość, która zmroziła mnie do szpiku kości. Nigdy tego nie zapomnę. Zapłakana Cathy siedziała w salonie, wpatrując się w jeden punkt. Była jak zahipnotyzowana. Jej bladość, zapuchnięte od płaczu oczy i rozczochrane włosy sprawiały, że nie dostrzegałam w niej śladu zjawiskowo pięknej dziewczyny.

- Cathy, co się stało? – spytałam cicho, ale ona nie zareagowała.

Usiadłam obok i złapałam jej bezwładną dłoń. Wtedy zaczęła płakać. Drugą ręką, w której trzymała wymiętoszoną chusteczkę, próbowała osuszyć łzy. Starała się coś powiedzieć, ale kolejne próby kończyły się spazmami. W końcu udało się jej opanować.

- Evelyn... Ona nie żyje... – wydusiła.

Zrobiło mi się słabo.

– Jak to nie żyje? Co się stało?! – Przerazona słowami Cathy, nie wiedziałam, co powiedzieć. Gonitwa pytań i kompletny szok. Przecież to niemożliwe. Jak to się mogło stać?

Cathy wciąż patrzyła w jeden punkt. Mówiła z wielkim wysiłkiem:

- Znaleźli ją dziś w Al Mankhool, podobno popełniła samobójstwo. Wyskoczyła z Al Afaf.
- Evelyn? Samobójstwo? To jakiś ponury żart! Ona nigdy by się nie zabiła.

Może nie znałam Evelyn bardzo dobrze, ale na tyle, by wiedzieć, że była ostatnią osobą, która targnęłaby się na swoje życie. Nie, to nie było możliwe. Bardziej pasowała mi na kogoś, kto przekonałby samobójcę do zejścia z dachu. Sama nie targnęłaby się na własne życie.

– Wiem... Ktoś ją wypchnął... Na bank! Ale te pizdy z policji już zawyrokowały, co się stało. Pewnie doskonale wiedzą, kto za tym stoi. Ale wiesz, jak jest w tym kurewskim kraju. Tutaj prawda ma drugorzędne znaczenie.

- Skąd to wszystko wiesz?

– Właśnie wróciłam z posterunku. Pół bloku przesłuchali na miejscu, ale mnie i Anisa zabrali na komisariat. Ty zresztą też masz wezwanie. Byliśmy wczoraj razem w klubie, więc uznali, że coś wiemy. Tylko że my niczego nie widzieliśmy! Byliśmy w Barasti, a potem Anis zniknął gdzieś ze swoimi ciotkami. Ja tańczyłam z kilkoma gośćmi... Myślałam, że Evelyn też jest z nami. Była,

jestem tego pewna... A potem rozplynęła się w powietrzu. Wiesz, jak jest na imprezach, wszyscy mieliśmy w czubie. Przecież w klubie nikt nikogo nie pilnuje, nie prowadzi za rączkę. W życiu nie pomyślałabym, że to się tak skończy. Gdybym wiedziała, nie spuszczałabym jej z oka. Ale samobójstwo? Przecież to bzdura!

– Z Barasti do Al Mankhool jest spory kawałek. Jak ona się tam znalazła?

– Nie wiem, podobno pojechała z jakimś facetem... Raczej wątpię, że na własne życzenie. Miała dość kolesi po tym całym Ahmedzie.

– Myślisz, że to on?

– Jeśli tak, nigdy się nie dowiemy prawdy. Będą mu kryć dupę.

– Ale przecież Evelyn jest... była Brytyjką! – Wciąż nie mogłam uwierzyć, że nie żyje. – To będzie międzynarodowy skandal.

– Nie, jeśli wszyscy uwierzą w wersję o samobójstwie. A te skurwysyny już się o to postarają.

– Jesteś pewna, że to ona? Może zaszła jakaś pomyłka? – Próbowałam się chwycić skrawków nadziei w tej kompletnie beznadziejnej sytuacji.

– Niestety, nie ma wątpliwości. Jej rodzice i brat już tu lecą. Biedni ludzie...

To wtedy po raz pierwszy znalazłam się na posterunku w Al Barsha. Kilka godzin później usiadłam przed policjantem, żeby powiedzieć wszystko, co wiem o Evelyn – o tym, co mogło być przyczyną jej śmierci. I zrobiłam to tylko po to, by się przekonać, że Cathy miała rację – powody śmierci są już ustalone, udział osób trzecich wykluczony, a prawda nigdy nie wyjdzie na jaw.

Nie wiadomo jak, nie wiadomo dlaczego... Wiadomo, że pijana i rozbawiona Evelyn wsiadła do limuzyny w towarzystwie przystojnego Hindusa. Nie wiadomo też, co się wydarzyło w samochodzie, ale kamery monitoringu miejskiego uchwyciły moment, jak nad ranem wybiega z niego w panice. Kilka metrów za nią biegł mężczyzna. Na nagraniach widać, jak bosa pędzi przez 7th Street w Bur Dubai, starej części Dubaju, i wbiega do budynku mieszkalnego Afaf.

Na nagraniach z lobby apartamentowca widać, jak w recepcji krzyczy coś do obsługi, po czym wypada na klatkę schodową. Z zeznań stróża i dostawcy gazet wynika, że Evelyn bała się kogoś, kto jej zdaniem próbował ją zabić.

Chwilę później ktoś zwalnia zawleczkę gaśnicy proszkowej i całą klatkę schodową zasnuwa szary duszący dym. Gdy opada, okazuje się, że okno na trzecim piętrze jest otwarte, a na jego framugach widać odciski w pyle ślady drobnych dłoni. Na podłodze leżą damskie buty, otwarta brązowa torebka z rozrzuconą wokół zawartością i zawleczka od gaśnicy.

Ciało Evelyn leżało na chodniku. Zginęła na miejscu. Mimo wielu wątków wskazujących na to, że zginęła z czyichś rąk, policja uznała jej śmierć za samobójstwo i zamknęła sprawę. Nagranie z kamer nie zmieniło tego orzeczenia. Nie zmieniły go też starania rodziny o ponowne rozstrzygnięcie. Decyzja policji była ostateczna i poza rodziną nikt jej nie zakwestionował, mimo oczywistych dowodów na to, że Evelyn przed swoją śmiercią uciekała, goniona przez zabójcę. Policjanci wytłumaczyli to jako urojenia chorej psychicznie osoby, która rzekomego zabójcę po prostu sobie wyobrażała.

Tego samego dnia, ponad godzinę później, z dziesiątego piętra pobliskiego budynku wyskoczył jeszcze jeden człowiek. Hindus. Tutaj też sprawa była jasna. Sekcja zwłok wykazała, że cierpiał na zaawansowanego raka żołądka. Prawdopodobnie chciał ze sobą skończyć, zanim robi to choroba.

Ahmed był człowiekiem honoru. Zawsze dotrzymywał słowa.

CZĘŚĆ II

ROZDZIAŁ 7

Apaszka

Na komisariat w Al Barsha, na którym siedziałam już od kilku godzin, poprzedniego dnia wpłynęła skarga od oburzonego obywatela. Jakiś skurwysyn przyniósł policjantom zrobione telefonem zdjęcia mające dowodzić, że jestem prostytutką. Na zdjęciu byłam w objęciach Roberta.

– Przecież my tylko się witaliśmy. To mój były narzeczony, przyjechał mnie odwiedzić – tłumaczyłam policjantowi o tępym spojrzeniu. Wyglądał na znudzonego i kompletnie niewzruszonego moją historią.

– Mamy zgłoszenie o prostytutce. Czy to jest twój mąż?

– Mówiłam już, że to mój były narzeczony, nie jest moim mężem.

Policjant westchnął jakby z ulgą. Swoim wyjaśnieniem pomogłam mu zawyrokować. Dzięki temu nie będzie musiał pracować nad tym dochodzeniem ani chwili dłużej, niż to konieczne. Wystarczy spisany raport z informacją o moim przyznaniu się do winy i wnioszek o deportację albo postawienie mnie przed sądem. Ale to już będzie zależało od jego przełożonych. On zrobił swoje, wykazał się zmysłem detektywistycznym i dorwał kolejną antyislamską ładacznicę.

– Czyli jednak prostytutka – mruknął leniwie.

– Jaka prostytutka? Nie jestem żadną prostytutką! prostytutki uprawiają seks za pieniądze, ja tylko się przywitałam z moim przyjacielem.

– Publicznie. Czyli prostytutka. Mamy zgłoszenie o prostytutce – powtórzył policjant. Brzmiał tak, jakby do jego mózgu nie dopływała właściwa ilość tlenu. Jego tok rozumowania też na to wskazywał.

– I co z tego? A jakbyście mieli zgłoszenie o ataku terrorystycznym, to też byłabym mu winna? Przecież to idiotyzm! – Emocje wzięły górę; było mi wszystko jedno, co ze mną zrobią. Mogą mnie nawet deportować.

Po przesłuchaniu, które nie przyniosło żadnego rozwiązania, zostałam odprowadzona do celi. Tym razem prawdziwej.

– Co ze mną będzie? Żądam wyjaśnień. Mam chyba jakieś prawa? – pytałam w desperacji.

Nie miałam pojęcia, że nie mam żadnych. Jako podejrzana mogę co najwyżej milczeć, a jako potencjalna prostytutka powinnam zacząć się modlić, by skończyło się to dla mnie tylko deportacją. Naprawdę było mi wtedy wszystko jedno. Byłam tak zirytowana, że nie wyobrażałam sobie dalszego mieszkania w Emiratach. Co to za kraj, gdzie za kompletnie wydumane przestępstwo mogą cię przetrzymywać w areszcie!

Krew się we mnie gotowała. Byłam gotowa faktycznie dać im powody do aresztowania, ale wiedziałam, że muszę się uspokoić. Nie wiem, ile czasu minęło od chwili zatrzymania, ale w końcu, zmęczona stresem, zdążyłam przysnąć. Obudził mnie policjant. Otworzył kraty, przekręcając przyczepiony do grubego pęku klucz najgłośniej, jak to było możliwe. Kazał mi wyjść. Na korytarzu oddał mi moje zarekwirowane wcześniej rzeczy osobiste. Bez żadnych wyjaśnień zostałam odprowadzona do hallu. Byłam wolna. Tak po prostu.

Od śmierci Evelyn do chwili, gdy poznałam Mo, minął ponad rok. To wystarczyło, by moja czujność zasnęła głębokim snem. Kale często wytykała mi analogie, ale ja kompletnie ich nie dostrzegałam. Przede wszystkim Mo nie był damskim bokserem – był romantyczny, czuły, delikatny. Nie wpisywał się w żadne stereotypy, w które Kale usilnie próbowała go wcisnąć. Nie miał w sobie niczego z rodzinnego mafioso, a beduińskie unoszenie się honorem z byle powodu uważał za przejaw skrajnego prymitywizmu. Poza tym fakt, że jest bogatym Arabem, nie musiał jeszcze oznaczać, że to jakiś psychol opłacający płatnych zabójców, by pozbyć się niewygodnych osób.

Nasz związek był daleki od ideału, ale to dlatego, że nasze drogi przecinały się bardzo rzadko.

Zbyt rzadko. Brakowało mi go. Irytowało mnie, że nie mogę po prostu zadzwonić, gdy go potrzebuję. Zupełnie jakbym była kochanką żonatego mężczyzny. Ale Mo nie był żonaty. Byłam tego pewna, choć nigdy o tym nie rozmawialiśmy. Kiedy tylko naprawdę go potrzebowałam, potrafił stanąć na wysokości zadania, a przynajmniej sprawiać takie wrażenie. Czasami wrażenie w zupełności wystarczy, tak jak dubajskiej policji wystarczy zgłoszenie przewrażliwionego na punkcie moralności znudzonego obywatela.

– Przykro mi, że musiałaś przez to przechodzić. Wiesz, dlaczego cię nękali? – zapytał Mo ze szczerą troską, gdy opowiedziałam mu o pechowym incydencie.

– Za prostytutkę! – wypaliłam.

– Jesteś prostytutką? – Zaśmiał się. – Nie wiedziałem. Czekam zatem na rachunek. No, mam nadzieję, że mnie stać.

– Głupi! Oczywiście, że nie jestem. Przywitałam się ze znajomym publicznie, a jakaś kurwa zrobiła mi zdjęcia i zeznała na policji, że ma dowód na to, że jestem dziwką. Czasami kompletnie nie rozumiem tego kraju. Gdyby rząd przestał płacić ludziom za zużywanie powietrza i zagonił ich do roboty, może nie mieliby czasu na takie rzeczy. Jak można w ten sposób postępować? Gdzie tu dowód na prostytutkę? – Ciągłe się irytowałam.

– No już, już... nie denerwuj się. – Mo mnie przytulił. – Najważniejsze, że już jesteś ze mną i nic ci nie grozi. Swoją drogą chciałbym wiedzieć, co to za znajomy, którego tak obściskiwałaś, że aż cię aresztowali.

– Wcale go tak nie obściskiwałam. A poza tym nie ma o czym mówić. To dla ciebie żadna konkurencja.

– No mam nadzieję.

Telefon zadzwonił w środku nocy. Dzwonił długo i uparcie. Odebrałam w półśnie, po omacku. Dzwonił Maciek.

– Co się stało? – spytałam ledwo przytomna.

– Już myślałam, że nie odbierzesz! Babcia miała wylew. Jest w szpitalu. Nieprzytomna. Lekarze nic konkretnego nie mówią – wyrzucił z siebie na jednym tchu.

Zastrzyk adrenaliny w jednej chwili postawił mnie na nogi. Wiedziałam, że muszę czym prędzej polecieć do Polski.

– Przylecę tak szybko, jak to możliwe. Opiekuj się babcią. Powiedz jej, że niedługo będę...

– Jest nieprzytomna, nie usłyszysz tego.

– I tak jej powiedz.

Natychmiast napisałam do menedżera z prośbą o wolne, a w międzyczasie zarezerwowałam bilet. DXB–WAW40, szósta trzydzieści pięć rano następnego dnia. Kupiłam bilet jak normalny podróżny, nie mogłam ryzykować *stand by*.

Pracownicy linii lotniczych mogą korzystać z wysokich rabatów na bilety. Określa się je jako non-rev – *no revenue*, co oznacza, że linia lotnicza na nich nie zarabia. W większości przypadków w arabskich liniach lotniczych pracownicy muszą pokryć wyłącznie dziesięć procent wartości biletu, opłaty lotniskowe i podatki. To naprawdę tanie latanie, ale ma też swoją ciemną stronę. Z takim biletem otrzymują status *stand by*, co oznacza, że nie mają zagwarantowanego miejsca w samolocie. Muszą czekać na koniec boardingu, by dowiedzieć się, czy wszystkie miejsca są zajęte, czy może znajdzie się dla nich jakieś wolne. Czasami wychodzą na tym świetnie, dostając miejsca w wyższej klasie, ale muszą też być gotowi na trudy podróży na *jump seat* albo koczowanie na lotnisku w oczekiwaniu na kolejny, oby mniej obłożony lot.

Musiałam mieć pewność, że dostanę się na samolot. Wiedziałam, że kolejna doba czekania będzie dla mnie katogą, ale nie mogłam wyjechać bez zgody przełożonego. Wprawdzie następny dzień miałam wolny, ale nie zdążyłabym wrócić z Polski na kolejny lot. Na szczęście mój menedżer nie miał nic przeciwko. Zostałam zdjęta z grafiku na tydzień.

Kiedy już miałam wszystko załatwione, zadzwoniłam do Mo. Oczywiście nie odebrał, ale oddzwonił.

– Muszę jechać do Polski – oznajmiłam. – Moja babcia jest w ciężkim stanie.

– Bardzo mi przykro, kochanie. Może polecę z tobą?

To było niezwykle miłe z jego strony. W każdej innej sytuacji powiedziałabym „tak”, ale nie tym razem. Musiałam się zająć babcią, nie mogłam zaprzętać sobie głowy Mo. Już wiele razy myślałam o tym, że muszę go zabrać do Polski, ale to miały być wakacje, a nie tour po szpitalach. Chciałabym, żeby czuł się w moim kraju jak ważny gość, a teraz byłoby to zupełnie niemożliwe.

– To nie jest dobry pomysł, nie tym razem...

– Powiedz mi, co mogę zrobić, żeby ci pomóc. Wiem, że jest ci ciężko.

Brzmiał na szczerze przejętego.

– Dziękuję, po prostu odbieraj telefon. Zadzwonię, jak będę cię potrzebowała.

– Postaram się, obiecuję. A jeśli nawet się nie dodzwonisz, ja oddzwonię w pierwszej wolnej chwili. Słowo!

To musiało mi wystarczyć. Zresztą miałam wtedy zupełnie inne zmartwienia. Chciałam jak najszybciej znaleźć się w domu. Złapać za rękę babcię, przytulić brata. Godziny dzielące mnie od wylotu dłużyły się niemiłosiernie. Odchodziłam od zmysłów. W końcu nie wytrzymałam i krótko po północy pojechałam na lotnisko. Jakby to miało cokolwiek zmienić. Próbowałam zająć myśli czytaniem, muzyką, medytacją – nic nie pomagało, ale dzięki tym próbom w końcu doczekałam się momentu, gdy otworzono odprawę biletową. I tu czekało mnie spore zaskoczenie.

– Dlaczego odprawiasz się tutaj? Masz przecież bilet w pierwszej klasie. – Pracownica lotniska po wstukaniu mojego nazwiska do systemu dobrze wiedziała, że jestem stewardesą, co tym bardziej ją zdziwiło. Pasażerowie, którzy nie wiedzą, w której kolejce powinni stanąć, to standard, ale stewardesy z reguły orientują się w tym doskonale. Poza tym stewardesy nie latają pierwszą klasą, tylko żebrzą o miejsce na *stand by*.

– Pierwszą klasą? Masz na myśli upgrade? – spytałam zaskoczona.

Dostałam miejsce w pierwszej klasie. W tej, w której pracowałam. Zupełnie zdezorientowana, zachowywałam się trochę tak, jakby to miał być mój pierwszy lot. Nigdy wcześniej nie byłam pasażerką pierwszej klasy. Ta niewyjaśniona zamiana nie była jednak uśmiechem losu ani przywilejem związanym z pracą w liniach lotniczych. Tak dobrze nie ma.

– Nie, masz wykupiony bilet w pierwszej klasie – odparła dziewczyna. – Pełnopłatny.

I wtedy do mnie dotarło. Oczywiście! To Mohammed. Nie wiedziałam, jak i kiedy zmienił moją rezerwację, ale nie miało to dla mnie większego znaczenia. Byłam absolutnie zachwycona tym, że w trudnych dla mnie chwilach próbuje zrobić wszystko, by umilić mi życie.

Na pokładzie czekała na mnie jeszcze jedna niespodzianka. Stewardesa wręczyła mi tłoczone, eleganckie pomarańczowe pudełko, mówiąc, że to prezent od anonimowego wielbiciela. Już sobie wyobrażam plotki, jakie w galley musiał wywołać ten niewielki pakunek. W środku była przepiękna granatowo-złota apaszka Hermès z limitowanej kolekcji, na oko warta jakieś dwa tysiące dolarów. OK, nie dajmy się zwariować, żadna apaszka nie jest tyle warta, ale Mohammed na pewno mniej za nią nie zapłacił. W pudełku był też liścik: „Jestem z Tobą, nawet gdy nie ma mnie obok Ciebie. Mo”.

Ech, prawdziwy poeta... Ku własnemu zaskoczeniu rozplakałam się. Stres związany z babcią, napięcie spowodowane niepewnością i gest Mo okazały się bardzo łzawą mieszanką. Zawiązałam apaszkę na szyi jeszcze przed startem. Pasowała idealnie. Mo miał naprawdę świetny gust.

Po wylądowaniu na Okęciu dostałam od obsługi informację, że na hali przylotów czeka na mnie kierowca. Faktycznie czekał. Miał na imię Roman i odwiózł mnie do domu luksusową limuzyną. Przez całą drogę ignorował moje pytania, uśmiechając się tylko. Adresu też ode mnie nie chciał. Doskonale

wiedział, dokąd ma jechać. Nie pytałam skąd, nie interesowało mnie to za bardzo. Nie miałam teraz głowy do prowadzenia śledztwa, choć przyznam, że przez chwilę byłam tym zaniepokojona. W głowie słyszałam już głos Kale: Ten twój Arab to psychopata! Dowiedział się nawet, gdzie mieszka twoja rodzina! Nie, to było niedorzeczne. Mo naprawdę się o mnie troszczył, a fakt, że zadał sobie trud, by się dowiedzieć, gdzie mieszka moja babcia, świadczył tylko na jego korzyść.

Kiedy dotarłam na miejsce, Maciek właśnie wychodził do szpitala. Spędzał w nim praktycznie cały czas, a do domu wpadał tylko po to, żeby się wykąpać i przebrać. Padliśmy sobie w ramiona. Zawsze wiedziałam, że w razie gdyby babci stało się coś złego, mam tylko jego, ale teraz poczułam to z całą mocą. On też potrzebował mojej obecności. Przez całe życie był tym najmłodszym, siłą rzeczy wszyscy się nim opiekowali – i nagle został sam. Teraz to on musiał się zaopiekować babcią. Był bardzo dzielny, ale gdy mnie zobaczył, rozkleił się. Nie mówiliśmy wiele. Oboje skupialiśmy się na zaklinaniu rzeczywistości.

I chyba nam się udało. Kiedy dotarliśmy do szpitala, lekarz powiedział, że babcia przetrwała kryzys, a skutki wylewu nie powinny być trwałe. Była duża szansa, że paraliż lewej strony ciała ustąpi, a przy dobrej rehabilitacji babcia powinna wrócić do formy sprzed choroby.

– To fantastycznie, że zdecydowali się państwo na przeniesienie babci do prywatnej kliniki rehabilitacyjnej – dodał z uznaniem. – U nas też ma doskonałą opiekę, ale sami państwo wiecie, jak jest... Na NFZ są limity i rehabilitacja nie jest tak intensywna, a tu trzeba działać szybko, bo pacjentka ma naprawdę spore szanse na wyzdrowienie. Twarda z niej sztuka.

Ja i Maciek spojrzeliśmy po sobie.

– O jakiej klinice pan doktor mówi? – zapytał mój brat.

Teraz to lekarz wydawał się zdziwiony.

– No jak to? Mam w karcie informację o tym, że na życzenie rodziny rehabilitacja będzie kontynuowana w prywatnej klinice we Wrocławiu.

– Ale to my jesteśmy rodziną i nic o tym nie wiemy... – powiedziałam, wciąż nie mogąc się otrząsnąć z zaskoczenia. – Bardzo byśmy chcieli zapewnić babci jak najlepszą opiekę i taka klinika nie jest wykluczona, ale jeszcze nie mieliśmy okazji się tym zająć.

– Wygląda więc na to, że ktoś państwa wyręczył. – Doktor zapisał coś na kartce i podał mi. – Proszę, oto adres kliniki. Tam zapewne dowiedzą się państwo szczegółów. Jeśli babcia będzie dochodziła do zdrowia w takim tempie, za kilka dni będziecie ją mogli przenieść. To świetni specjaliści.

Byliśmy zaskoczeni, ale poczuliśmy niesamowitą ulgę. Wraz z nią polały się łzy.

Ponieważ babcia była już przytomna, poszliśmy do niej natychmiast. Spojrzała krytycznie na nasze zapuchnięte od płaczu oblicza.

– Płakać będziecie na pogrzebie, a i to za wiele lat. Na razie nigdzie się nie wybieram – powiedziała z uśmiechem i przytuliła mnie, gdy nachyliłam się nad jej łóżkiem. Czułam, że jest jeszcze słaba, jej uścisk nie był taki jak zwykle, ale bardzo się starała i uśmiechała od ucha do ucha. Przez całe życie trenowała robienie dobrej miny do złej gry.

– Przepraszam, te łzy jakoś same lecą... – wyszlochałam. – Och, babciu...

Byłam kompletnie rozklejona, ale jednocześnie bardzo szczęśliwa, że nadal ją mam. Pozostało jeszcze tylko zadzwonić do tej prywatnej kliniki. Nietrudno było się domyślić, że sponsorem leczenia był niejaki Mohammed Al Sayeed.

– Znasz go? – zapytał Maciek.

– Znam – odpowiedziałam z tajemniczym uśmiechem.

I choć wtedy mój brat odpuścił, wiedziałam, że ta rozmowa będzie musiała mieć ciąg dalszy.

Przed szpitalem czekał na nas Robert. Kolejne zaskoczenie tego dnia. Zdążyłam przywyknąć. Maciek powiedział mu o chorobie babci, bo zawsze traktował go jak członka rodziny, był w niego wręcz zapatrzonny. Jeszcze jako smarkacz widział w nim starszego brata, a Robert doskonale się wcielał

w tę rolę. Maciek bardzo przeżył nasze rozstanie, chyba nawet bardziej niż mój wyjazd. Po cichu chyba liczył na to, że się zejdziemy, jak już przejdą mi te „dubajskie fanaberie”.

– Miło cię widzieć – powitał Roberta. – Dobrze wiedzieć, że można na ciebie liczyć.

– Przepraszam, nie mogłem wcześniej.

– Ważne, że jesteś.

Dla mnie też było to ważne. Uścisnęłam go na powitanie.

Ten dzień spędziliśmy razem, na wspomnieniach i żartach. Bardzo mi to pomogło. Na pożegnanie Robert powiedział:

– Do zobaczenia w Dubaju.

Ale ze mnie egoistka! Nawet nie zapytałam, jak mu poszła rozmowa. Czy dostał pracę, o którą się starał?

Dostał!

– Czekam tylko na papiery. Wkrótce będziemy się widywać częściej.

Szczerze się ucieszyłam, choć wiedziałam, że to zwiastuje kłopoty. Wtedy jednak nie chciałam tego analizować. Nie mogłam stanąć Robertowi na drodze do kariery. On kiedyś uszanował mój wybór, choć wiele go to kosztowało. Byłam mu to winna.

– Powiesz mi, kto to jest ten Mohammed jakiś tam? – zapytał Maciek, gdy zostaliśmy sami.

Zmieszałam się, a on doskonale wiedział, co to oznacza.

– Zakochałaś się w szejku?

– On nie jest szejkiem – zrobiłam unik, ale Maciek nie dawał za wygraną:

– Wygląda mi na bogatego Araba, więc pewnie szejk... Zakochałaś się?

– OK, nie jest szejkiem, ale tak, jest bogaty. I tak, jestem w nim zakochana.

– A co z Robertem? Wiesz, że dla ciebie przeprowadza się do Dubaju?

– Rozstaliśmy się. Nie chcę mu robić nadziei.

– Serca nie oszukasz...

– Kiedy ty tak dorosłeś, Maciuś? – Nie mogłam się nadziwić. – Ale masz rację, nie da się oszukać uczuć.

– A ten Arab? Jest dla ciebie dobry? Mam nadzieję, że nie każe ci chodzić w czarnych szmatach i bić pokłonów przed Allahem. – Szczera troska w głosie mojego brata usprawiedliwiała chwilowy przejaw ignorancji.

– Nie każe. Jest zupełnie niearabski i zupełnie cudowny. Nie widziałam go w kandurze, nigdy się nie modli, chyba nawet nie wierzy w Allaha. Bardzo się mną opiekuje.

– Brzmi spoko. Dla mnie może być. Lubię Roberta, ale chodzi o to, kogo ty lubisz.

– Ja też lubię Roberta. Ale Mo kocham.

– No, to kłamka zapadła. – Braciszek posłał mi ciepły uśmiech. – Przywieź go tutaj. Babcia na pewno chętnie go pozna.

– Przywiozę, ale teraz ona jest najważniejsza.

Babcia stawiała na nogi w bardzo szybkim tempie. Nawet lekarze nie kryli zdziwienia.

– A kto by miał czas chorować – powiedziała, gdy już następnego dnia maszerowałyśmy szpitalnym korytarzem.

– Tylko błagam, nie forsuj się, czas trochę odpocząć. – Nie mogłam się nadziwić, jak szybko wraca do formy.

– Odpoczywać będę w trumnie. Teraz mam co robić.

Cała Ptysia!

Kilka dni później zawieźliśmy ją do obłędnie drogiej – opłaconej w całości przez Mo – prywatnej kliniki we Wrocławiu.

Wróciłam do Dubaju z olbrzymimi wyrzutami sumienia. Zdażyłam w samą porę przed kolejnym lotem.

DXB–LHR41. I déjà vu. Na liście pasażerów ten jeden – mój ulubiony. Znowu! To już na pewno magia. Albo manipulacja.

– Jak ty to robisz? – spytałam, gdy byliśmy już na wysokości przelotowej. – To nie może być przypadek. Po raz trzeci spotykamy się na pokładzie tego samego samolotu. Przecież to nie może się dziać tak po prostu. To jak wygrana na loterii.

– Wygrałem na loterii, kiedy spotkałem cię po raz pierwszy. Ale masz rację, nasze spotkania to nie przypadek.

Czyli jednak tym steruje. Ale jak? Przecież do systemu zarządzającego grafikami mają dostęp nieliczni.

– Po prostu Allah chce, żebyśmy byli razem, i łączy nas ze sobą w niebiosach.

Ach, Allah... Klasyczne arabskie wyjaśnienie niewyjaśnionego. Nie sądziłam, że Mo się do tego ucieknie, ale musiałam przyznać, że był mistrzem słowa. Potrafił ubrać każdą bzdurę w takie zdania, że serce topniało.

– Przede wszystkim muszę ci podziękować – powiedziałam. – To, co zrobiłeś dla mojej babci... dla mnie, jest niesamowite. Nie wiem, jak to wszystko ogarnąłeś.

– Powiedzmy, że mam swoje sposoby – odparł. – A dziękować nie masz za co. Księżniczki mają swoich rycerzy właśnie po to, by ratowali je z opresji, pomagali w ciężkich chwilach.

Jeszcze moment i nie będę w stanie pracować, tylko się na niego rzucę.

– Jestem twoją księżniczką?

– Najpiękniejszą ze wszystkich księżniczek świata.

– No teraz to przesadziłeś... Ach, i ta boska apaszka! Za nią też dziękuję. Jest przepiękna...

– Masz ją przy sobie?

– Oczywiście. Nie mogę jej nosić do munduru, ale pokażę ci, jak dolecimy.

– Pokażesz mi tylko apaszkę? – Mo puścił do mnie oko. – Swoją drogą masz już plan na Londyn?

– Przede wszystkim chciałam się wypać, bo ostatnio nie miałam ku temu zbyt wielu okazji, ale te plany mogą się zmienić... – Teraz to ja mrugnęłam.

– A co powiesz na towarzystwo? I specjalny pokaz apaszki?

– Ty nie masz żadnych spraw w Londynie?

– Mam, ale wszystkie przegrywają z tobą.

Cały mój czas wolny w Londynie spędziliśmy razem. Najpierw poszliśmy na cudowną randkę w South Kensington. Tym razem nie było chińczyzny na wynos, ale wyborna włoska kuchnia. Miałam na sobie piękną obcisłą, szafirową sukienkę, a na szyi zawiązałam apaszkę od Mo. Pasowała idealnie.

– Zapierasz dech w piersiach – skomentował z zachwytem.

– To pewnie dzięki tej ślicznej apaszce.

– Nie żartuj, ta szmatka nie ma z tym nic wspólnego. To ty jesteś dla niej ozdobą.

Przez kolejną dobę praktycznie nie wychodziliśmy z łóżka, nadrabiając zaległości w seksie i w spaniu. Posiłki zamawialiśmy do pokoju, a telefony wyłączyliśmy. Zupełnie się w tym zatraciłam – i było mi cudownie. Wieczorem jednak dopadły mnie wyrzuty sumienia. Nie powinnam tak znikać. Nie teraz. Nie kiedy babcia wciąż jest w klinice, a Maciek ma na swojej głowie wszystkie problemy.

Włączyłam telefon. Zawibrował, gdy tylko złapał zasięg. SMS od Maćka całkowicie mnie zmroził: „Babcia nie żyje”.

40 Kod międzynarodowego lotniska Warszawa-Okęcie.

41 Kod międzynarodowego lotniska London-Heathrow.

ROZDZIAŁ 8

Amal

Nogi się pode mną ugięły. Zrobiło mi się słabo. Nie byłam w stanie utrzymać telefonu w dłoni. Wypadł, a ja osunęłam się na podłogę. Przez chwilę nie mogłam wykonać żadnego ruchu. Czułam się jak sparaliżowana. Jakby cała krew wyparowała z moich żył. Za chwilę moim komórkom zabraknie tlenu. Obumrą. I dobrze. Przynajmniej nie będzie bolało.

Babcia nie mogła odejść... Nie mogła! Przecież jej potrzebuję, a ona doskonale o tym wie. Mówiła, że będzie z nami jeszcze długie lata. Mogłam zostać w Polsce! Ale przecież już było lepiej, wszystko było na dobrej drodze...

W mojej głowie toczył się monolog, który w pewnym momencie po prostu się urwał. Mo musiał się obudzić, bo kolejne, co pamiętam, to jak próbuje mnie ocucić, całuje moją twarz, potrząsa mną delikatnie.

– Jesteś! Co się stało? Zemdląłeś! Kochanie, co jest?

Nie byłam w stanie wydusić z siebie słowa, wskazałam więc na mój telefon. Podał mi go. Powoli wracała mi świadomość. Z dużym wysiłkiem wstukalałam kod i odblokowałam ekran. Moim oczom znów ukazało się to okrutne zdanie. Pokazałam je Mo.

– Nie rozumiem. To po polsku. O co chodzi?

– Moja babcia... nie żyje...

W chwili, gdy powiedziałam to na głos, rozsłochałam się tak, jakby ktoś otworzył tamę ze łzami. Po prostu zanosilałam się od płaczu. Wiedziałam, że muszę czym prędzej zadzwonić do Maćka, a potem natychmiast lecieć do Polski. Na szczęście byłam w Londynie. Mogłam się dostać do kraju w kilka godzin. Biedny Maciuś, musi przeżywać absolutny koszmar i jest z tym wszystkim sam...

Wybrałam numer brata.

– Maciuś... – łkałam.

– Ania? Co się stało? – Był zaniepokojony, ale raczej nie załamany. – Dlaczego płaczesz?

– Jak to dlaczego...? – Jego reakcja mnie zirytowała. – O czym ty mówisz!

– Co się stało?

– Co się stało? Przecież wysłałeś do mnie wiadomość... Babcia... – cedziłam przez łzy.

– Nie wysyłałem żadnej wiadomości. Babcia ma się świetnie, robi nieprawdopodobne postępy, wiesz, jaka jest. Dlaczego płaczesz?

Zamurowało mnie.

– Przecież dostałam od ciebie SMS-a... Był taki straszny... Jeśli nie ty go wysłałeś, to kto? Ktoś musiał to wysłać z twojego telefonu... Zostawiałeś gdzieś komórkę?

– Wiesz, że się z nią nie rozstaję. Jest albo w mojej kieszeni, albo w rękach... Co było w tym SMS-ie?

– Że... że... babcia nie żyje.

– Sądziś, że żartowałam z takich rzeczy? Zwariowałaś?! – Maciek wyraźnie się zdenerwował.

– Tak, chyba naprawdę zwariowałam. Zaraz wyślę ci screen, to sam zobaczysz. Daj mi chwilę. Oddzwonię.

Rozłączyłam się i spojrzałam na ekran telefonu. Po wiadomości nie było śladu! Nie było jej też na liście SMS-ów. Co jest grane? Przecież tego nie zmyśliłam!

– Mo, widziałeś tę wiadomość... Proszę, kochanie, powiedz, że widziałeś. Nie wiem, co się ze mną dzieje... – Byłam bliska utraty zmysłów. Kompletnie nie rozumiałam, o co w tym wszystkim chodzi.

Mo wzruszył ramionami.

– Dla mnie wszystkie zdania po polsku wyglądają tak samo, ale wierzę ci. Może wykasowałaś tę wiadomość przez przypadek?

Tak, to było jedyne logiczne wytłumaczenie. Ale w dalszym ciągu nie rozumiałam, jakim cudem Maciek wysłał mi SMS-a, o którym nie miał pojęcia. Tego raczej nie da się zrobić przypadkiem. Zadzwoiłam do niego ponownie.

– SMS zniknął. Nie ma go. Ale był, przysięgam...

– Siostrzyczko, błagam, wyśpij się. To na pewno przez stres tych ostatnich dni. Zapewniam cię, że wszystko u nas w porządku.

Maciek miał rację. Potrzebowałam snu. W ramionach Mo mogłam spać spokojnie. Przy nim czułam się całkowicie bezpiecznie.

Następnego dnia musiałam wrócić do codziennego drylu i przygotować się do lotu. Mo miał jeszcze zostać w Londynie, ale ja musiałam wracać. Byłam wdzięczna, że jest ze mną w trudnych chwilach. Jego pomoc była nieoceniona. Oczywiście lot do Warszawy w pierwszej klasie był zbytkiem, podobnie jak apaszka czy szofer, ale klinika dla babci – to był dar nie do przecenienia. W życiu nie byłoby mnie stać na taki szpital, choć życie i zdrowie babci były dla mnie warte każdej ceny.

Wciąż wracałam myślami do dziwnej sytuacji z SMS-em. Skąd się wziął? I w jaki sposób zniknął? Naprawdę się obawiałam, że coś jest ze mną nie tak. Nie byłoby to w sumie nic dziwnego. Wieczny jet lag i stres związany z chorobą babci sprawiły, że zaczynałam wariować. Ale czy naprawdę mogłam sobie to wszystko wyobrazić?

– Zobaczmy się za kilka dni w Dubaju. – Mo pocałował mnie czule na pożegnanie.

Nie mogłam się doczekać. W sumie cieszyłam się na powrót do Dubaju. Chciałam znowu przejąć kontrolę nad swoim życiem i emocjami. Odpocznę. Pójdę na plażę. Zafunduję sobie reset systemu.

Mój idealny plan zepsuła Kale. Gdy tylko wróciłam do domu, podała mi najnowszy numer magazynu „Grazia”. Jego emiracka edycja cieszy się olbrzymią popularnością i jest swego rodzaju kompendium wiedzy na temat tego, jak się ubrać, gdzie bywać i co słyszeć u światowych i bliskowschodnich gwiazd.

– Czytaj! Jeden z materiałów powinien cię szczególnie zainteresować – powiedziała z przekąsem.

Przeglądałam magazyn z lekkim niepokojem, ale i ciekawością. Po chwili wszystko stało się jasne. Na jednej ze stron zobaczyłam zdjęcie, na którym Mohammed, mój Mo, idzie za rękę z piękną długowłosą dziewczyną o bliskowschodniej urodzie. Podpis nie pozostawiał pola do interpretacji: „Emiracko-jordańska modelka Amal z mężem Mohammedem Al Sayeedem”.

Z mężem? Co za skurwysyn! Zarzekał się, że jestem jego jedyną, że mnie kocha! Więc tak jak podejrzewałam, byłam tylko przygodą na boku. Stewardesą, z którą można gdzieś polecieć, którą można bez skrępowań przelecieć...

Byłam zdruzgotana. I to wszystko akurat w momencie, gdy zaczynałam naprawdę wierzyć w jego oddanie. Kale nie triumfowała. Wiedziała, że mnie to zrani, ale wiedziała też, że nie będę jej miała za złe, że mi o tym powiedziała. Przecież to nie jej winą, że Mohammed wiódł podwójne życie. Jedno trzeba mu oddać: genialnie się maskował.

– Przykro mi, że musiałam ci to pokazać, ale naprawdę bardzo się martwiłam – powiedziała Kale, gdy sama nie podjęłam rozmowy. – Nie ufałam mu ani przez chwilę, ale wołałabym się mylić...

– Miałas rację. Przepraszam, że ci nie wierzyłam. Byłam kompletnie zaślepiona. Ale teraz już wiem, że słowa tego oszusta nie są nic warte.

– Wkrótce o nim zapomnisz. Czas goi wszystkie rany, nawet te zadane sercu.

– To nie będzie takie proste. – Westchnęłam. – Ja go naprawdę kocham.

– On nie zasługuje na twoją miłość. Sama widzisz...

Nie potrafiłam płakać. Zupełnie jakbym w ostatnim czasie wylała wszystkie łzy. Wiedziałam tylko, że muszę się skonfrontować z Mo. Potrzebowałam zamknięcia. Chciałam wykrzyczeć mu w twarz, że jest kłamcą, zdrajcą i obłudnikiem. Omotał mnie tylko po to, by się zabawić. Tymczasem w domu miał piękną żonę. Przecież było oczywiste, że jej dla mnie nie zostawi. Musiałby być kompletnym idiotą. Ona jest zjawiskową modelką, a ja pokładową kelnerką. Służę do obsługiwania i spełniania zachcianek, nie do pokazywania się światu. A może jednak ją zostawi? Może to tylko pozory?

Musiałam się z nim jak najprędzej spotkać.

Przez dwa dni przed jego przylotem do Dubaju dosłownie bombardowałam go telefonami. Oczywiście żadnego z nich nie odebrał. Kiedy wrócił, zadzwonił do mnie jak gdyby nigdy nic.

– *Habibi!* Cudownie cię słyszeć...

– *Habibi?* Może raczej *hubby*42! Daruj sobie, mężusiu!

Mo zaśmiał się głośno. Co za cynizm!

– Widzę, że jesteś na bieżąco z prasą kobiecą. – Czyli wiedział, o co chodzi.

– Najwyraźniej tylko z niej mogę się dowiedzieć prawdy. Ciebie bowiem na nią nie stać! – wykrzyczałam.

– Kochanie, uspokój się. To naprawdę nie jest tak, jak myślisz.

– Wiesz co, myślałam, że jesteś bardziej oryginalny. „To nie tak, jak myślisz?”. Serio? Tak mówią pozbawieni kręgosłupa moralnego faceci do zdradzanych kobiet.

– Ale ja cię nie zdradzam!

– Och, przepraszam! Faktycznie, zdradzasz swoją żonę. Mnie tylko posuwasz!

– Błagam, pozwól mi wytłumaczyć – jęknął. – Spotkajmy się dziś u mnie, a zobaczysz, że jest zupełnie inaczej. Błagam! Tylko ten jeden raz. Sama się przekonasz, że media nie zawsze pokazują całą prawdę.

Brzmiał niezwykle przekonująco. To był jego największy talent. Dziś nie wiem, jak to się stało, ale zgodziłam się na to spotkanie. Kiedy zaczynaliśmy rozmowę, byłam taka wściekła, a jednak po raz kolejny udało mu się nakłonić mnie do zrobienia tego, co chciał. Chyba podświadomie chciałam poznać jego wersję, chciałam, żeby mnie przekonał. Nawet jeśli to ma być kłamstwo, niech sprawi, że w nie uwierzę. Niech zrobi coś, żeby wszystko znów było jak dawniej.

Włożyłam najlepsze ciuchy, jakie znalazłam w szafie. To miał być finałowy akt farsy zatytułowany: „Zobacz, gnoju, co straciłeś”. Wysiadłam z prywatnej windy Mo, tej samej, w której jakiś czas temu omal nie straciłam życia. Tym razem się nie bałam. Byłam tak nabuzowana, że nic nie mogło mnie zbić z tropu. Gdyby nawet winda stanęła, odpaliłabym ją własną energią.

Przywitał mnie w drzwiach szerokim uśmiechem. Wyglądał zabójczo! Ewidentnie on też był przygotowany do odegrania swojej roli w tej sztuce, tylko w jego przypadku finałowy akt nosił tytuł: „Jesteś pewna, że chcesz z tego zrezygnować?”.

Oczywiście, że nie byłam, ale nie miałam ochoty na rolę kochanki. Zwłaszcza że Amal była zjawiskowo piękna i tylko absolutny idiota mógłby tak po prostu wymienić ją na mnie. Mo nie próbował mnie pocałować. Wiedział, że będę grać zimną sukę. Naprawdę znał się na kobietach. Pewnie dlatego tak łatwo przychodziło mu rozkochiwanie ich w sobie.

Weszłam i stanęłam na środku salonu z hardą miną. Niby co takiego miałoby zmienić moje zdanie?

I wtedy zauważyłam, że nie jesteśmy sami. Na skórzanej sofie siedziała kobieta. Doskonale wiedziała o tym, że przyjdę. Wstała z gracją. Na jej twarzy malował się szeroki uśmiech, podkreślający idealnie równe i nieskazitelnie białe zęby. Podeszła do mnie krokiem rasowej modelki i wyciągnęła dłoń na przywitanie.

– Anna? Witaj, jestem Amal – powiedziała to tak, jakbyśmy znali się od dawna.

Amal! Oczywiście, to ona. Żona Mo. Na żywo była absolutnie olśniewająca. Wyglądała jeszcze piękniej niż na zdjęciach w magazynie. Jej długie, idealnie proste i lśniące włosy stanowiły odpowiednią ramę dla dzieła sztuki, jakim była jej perfekcyjna twarz. Do tego figura i wzrost modelki. Ubrana w białą obcisłą sukienkę Hervé Léger i srebrne szpilki od Gucciego. Amal i Mo byli dla siebie stworzeni – oboje bez skazy. Najwyższa forma ludzkiego piękna, jaką nosiła ta planeta... i ja. Może nie najbrzydsza, ale przy nich wyglądałam jak wioskowy kocmołuch, i to nawet w tej najlepszej, mającej wywoływać zazdrość wersji. Okazało się jednak, że oceniam się zbyt surowo.

– Miałaś rację. Jest piękna! – powiedziała Amal, uśmiechając się do Mo, jakbym wcale nie stała obok. Mrugnęła do niego, a on uśmiechnął się rozbajając.

– Mówiłem ci. Jest wspaniała – recenzowali mnie, nadal nie zważając na moją obecność.

Sytuacja stawiała się coraz bardziej niezręczna.

– Mo, co tu się, do cholery, dzieje...

– Wszystko ci opowiem, ale najpierw usiądźmy i napijmy się wina. Będzie zdecydowanie przyjemniej.

Ale wcale nie miało być przyjemnie! Miała być awantura i wrywanie włosów! Mimo to wino wydało mi się godną propozycją. Zawsze przecież możemy wrócić do wersji z awanturą. Po winie będzie tylko znacznie ciekawiej. Poza tym chciało mi się pić. Woda być może byłaby rozsądniejszym wyborem w tej sytuacji, ale nie kwestia napojów była tu istotna. Zachowanie małżonków bardzo mnie intrygowało. Może faktycznie powinnam wysłuchać tego, co mają mi do powiedzenia?

Wino pomaga się zrelaksować, a ja w ostatnim czasie żyłam w nieustannym napięciu. W krótkim czasie wypiałam dwie lampki i zaczęło mi szumieć w głowie. Chyba byłam gotowa na wyjaśnienia.

– Masz zamiar mi w końcu powiedzieć, o co tu chodzi, czy planujesz jakiś tani trójkąt...

– Trójkąt to bardzo dobry pomysł. – Mo usiadł obok Amal i objął ją. – Poznaj Amal, to moja oficjalna żona.

– Tyle wiem – burknęłam jak naburmuszona nastolatka.

– Nie, nie, nie, kochanie – przemówiła Amal łagodnie. – Chyba nie rozumiesz. Najważniejszym słowem jest „oficjalna”.

– Widzisz – podjął Mo – Amal i mnie łączy wielka przyjaźń, wspomnienia z dzieciństwa, ale to w zasadzie tyle.

– Łączy was jeszcze małżeństwo – rzuciłam wciąż obrażonym głosem.

– Mój głupiutki bąbelek.

Jego bezczelność nie miała granic. Nazywał mnie tak często, ale żeby robić to przy żonie!

– Łączy nas fikcyjne małżeństwo.

– Jak to fikcyjne?

– Białe! Amal jest piękną kobietą, ale nie interesuje się zbytnio facetami... jest lesbijką, a ja jej przykrywką. Czego się nie robi dla przyjaciół. – Mo i Amal stuknęli się lampkami z winem.

Byłam całkowicie zbита z tropu. Mo miał żonę, ale w zasadzie tak, jakby jej nie miał. Piłam trzecią lampkę wina i coraz trudniej przychodziło mi analizowanie faktów, ale byłam szczęśliwa, że znów pojawiła się szansa dla mnie i Mo. Amal to lesbijka, więc nawet jeśli jest jego oficjalną żoną, nie daje mu tego, czego on potrzebuje.

– Czyli nigdy ze sobą nie spaliście? – spytałam dla pewności.

– Nigdy. Przynajmniej nigdy nie uprawialiśmy seksu. Kiedy byliśmy dziećmi, nasi rodzice bardzo się przyjaźnili i od samego początku nas swatali. Urwało się po śmierci mojej mamy, ale ja i Amal pozostaliśmy w kontakcie. Zawsze traktowałam ją jak siostrę, więc kiedy powiedziała mi o swojej orientacji, wymyśliłam fikcyjny ślub, żeby jej pomóc. Nasi rodzice w kwestiach muzułmańskiej moralności nie są tak wyluzowani jak my, na pewno nie do tego stopnia, by przełknąć fakt, że mają córkę lesbijkę. To stąd ta cała ściema, choć gdyby nie orientacja Amal, pewnie zostalibyśmy prawdziwym małżeństwem – mówił Mo. – Chociaż nie, to byłoby trochę dziwne...

– Totalnie dziwne – zgodziła się Amal. – Mo to genialny przyjaciel, ale wiesz, natury nie oszukasz. Kocham kobiety. A ty jesteś niesamowita.

– Uważaj, ona jest moja! – Mo się zaśmiał, co bardzo mi się podobało.

Przesiadł się obok mnie, złapał mnie za szyję i pocałował namiętnie. Nie byłam już na niego zła, a resztki silnej woli rozpuściło szalejące w moich żyłach wino. Zamknęłam oczy i dałam się ponieść. Chwilę później moje usta spotkały się z ustami Amal. Całowała cudownie. Nie pamiętam szczegółów, ale to było transcendentne doświadczenie. Co jakiś czas docierała do mnie mglista myśl o tym, żeby to przerwać – jestem zupełnie heteroseksualna i nie pociągają mnie kobiety – ale obecność Mo sprawiała, że w dziwny sposób podobało mi się to, co robi ze mną Amal. Byłam pieścizną przez dwa boskie zjawiska, ucieleśnienie kipiącej kobiecości i najlepszą wersję męskości. To był pierwszy i ostatni trójkąt w moim życiu. Pierwszy i ostatni seks z kobietą. Ale w moich wspomnieniach seks z Amal na zawsze pozostanie wyjątkowym doświadczeniem. Byłam pijana winem i oszołomiona tym, co się dzieje, ale nie zaprotestowałam. Szczęśliwa, że odzyskałam Mo, poddałam się bez reszty.

Amal wyjechała następnego dnia. Mieszkała ze swoją dziewczyną w Paryżu, a do Dubaju przyjeżdżała tylko od czasu do czasu, by zorganizować jakąś medialną ustawkę z „mężem”. Dzięki temu wszyscy byli zadowoleni, a że była wziętą modelką, mieszkanie w Paryżu nie budziło niczych podejrzeń. Znowu miałam mojego Mo tylko dla siebie.

Honor jest abstrakcyjnym pojęciem i potrafi pchnąć do okrutnych czynów. W jego obronie ludzie są w stanie zrobić najbardziej niewiarygodne rzeczy, nawet swoim bliskim. Historii o arabskich i indyjskich stewardesach, które straciły życie w – delikatnie mówiąc – niewyjaśnionych okolicznościach, jest mnóstwo. I zawsze w tle pojawia się urażony honor rodziny bądź męża. Niektóre z nich nawet nie wychodzą na światło dzienne, bo rodziny z nadszarpniętym honorem często zmuszają kobiety do odejścia z pracy, zanim... No właśnie: zanim.

Manpreet Pal była stewardesą linii Air India. To w pracy poznała swojego przyszłego męża, trzy lata od niej starszego technika Anupa. Jej rodzicom nie było to w smak, ale ostatecznie pogodzili się z wyborem córki. Para pobrała się w dwa tysiące dwunastym roku, a wkrótce potem urodziła się im córeczka. Oboje byli bardzo szczęśliwi. Mieszkali w służbowym mieszkaniu w Meenambakkam niedaleko rodziców Manpreet, co bardzo ułatwiało młodym życie. Kiedy oboje pracowali, dziadkowie opiekowali się ich dzieckiem. Tego dnia Anup miał się pojawić w pracy o czternastej, a Manpreet obsługiwała lot Chennai–Muskat o szesnastej piętnaście. Żeby nie robić żonie kłopotu z odwożeniem dziecka, Anup odstawił dziewczynkę do dziadków wcześniej. Potem pojechał do pracy, dzięki czemu Manpreet mogła spokojnie przygotować się do lotu.

Nie pojawiła się jednak na pokładzie samolotu. Po powrocie z pracy Anup znalazł ją wiszącą w ich sypialni. Nie zostawiła żadnego listu pożegnalnego, a jej rodzice wyjaśnili policji, że o jej śmierć obwiniają załamanie nerwowe spowodowane przepracowaniem. Mimo że wiele wskazywało na udział osób trzecich, sprawę zamknięto jako wyjaśnioną, a za jedyną przyczynę zgonu uznano samobójstwo.

Zaledwie dwudziestoletnia Anupama Acharya, stewardesa indyjskich linii Jet Airways należących w dużej części do emirackich linii Etihad, wkrótce miała poślubić swojego chłopaka, dwudziestoczteroletniego Samara, który był pilotem. Ich plany legły w gruzach, gdy pewnego dnia około 3 nad ranem dziewczyna wyskoczyła z piątego piętra mieszkania Samara, w budynku Jheel Darshan Apartments w Powai, północno-wschodniej dzielnicy Bombaju. Wyskoczyła oficjalnie, bo ani sposób, ani powody tak dramatycznego kroku nie są wiarygodne – rzekomo Anupama popełniła samobójstwo, ponieważ Samar chciał ją powstrzymać od palenia. Indyjskiej policji to wystarczyło, by zamknąć sprawę.

Latająca dla dubajskich linii Emirates Merisa Ryu pochodziła z Japonii. W Dubaju znalazła nie tylko pracę, ale i miłość swojego życia. Wyszła za przystojnego Tunezyjczyka. Niedługo po ślubie

znaleziono ją martwą w ich wspólnym mieszkaniu. Jej mąż został aresztowany. Mimo że kamery uchwyciły go wychodzącego z mieszkania krótko po śmierci kobiety, utrzymywał, że znalazł ją martwą osiem godzin po czasie, który uznano za moment zgonu Merisy. Nie przyznał się do winy. W toku śledztwa stwierdził, że miał powody podejrzewać żonę o niewierność, ale zaprzeczył, jakoby miał cokolwiek wspólnego z jej śmiercią. Został oczyszczony z zarzutów, do czego prawdopodobnie przyczyniło się zeznanie o niewierności. Na Bliskim Wschodzie w takich przypadkach łatwo o złagodzenie wymiaru kary, a nawet uniewinnienie, bo zarówno policja, jak i sądy wykazują się wobec sprawców sporą dozą zrozumienia.

Od kiedy poznałam Amal, widywaliśmy się z Mo dużo częściej. Co najmniej jakby odkrycie jednej z jego tajemnic spowodowało, że nie musi tracić czasu na jej ukrywanie. Zbliżyliśmy się do siebie. Dowiedziałam się znacznie więcej o jego rodzinie. Łączyło nas to, że oboje straciliśmy matki, kiedy byliśmy jeszcze dziećmi, choć jego mama odeszła w dość nieoczekiwany, żeby nie powiedzieć dziwny sposób. Była w kwiecie wieku i nie chorowała. Nic nie zapowiadało jej nagłej śmierci. Gdy odeszła, ojciec Mo zajął się wychowaniem trzech synów. Sprowadzało się ono jednak do inauguracyjnej musztry i wspólnej wizyty w meczecie. Potem opiekę nad synami zlecił swojej drugiej żonie, z którą miał jeszcze dwie córki, młodsze siostry Mo, bo jako biznesmen nie miał zbyt wiele czasu na życie rodzinne.

Mo nie znosił swojej macochy, a kontakty z ojcem wspominał bardziej jako lekcje biznesu niż rozmowy o życiu ojca i syna. Jako pierworodny był szkolony na przyszłego partnera i dziedzica fortuny. Było to dość mechaniczne i bezduszne, ale wiązało się z częstszym przebywaniem w domu ojca, a każda okazja do ucieczki od macochy była dla niego bezcenna.

Rodzina Al Sayeed od czasów beduińskich mieszkała w Dubaju i zajmowała się głównie handlem. W okresie rewolucji technologicznej zapoczątkowanej przez szejka Zayed'a jej członkowie zyskali ogromne wpływy i od tego czasu tylko je umacniali, zawsze będąc blisko rodziny królewskiej. Zarówno ojciec, Mo, jak i jego bracia studiowali w Paryżu i Stanach Zjednoczonych. Wykształceni, władający trzema językami byli idealną mieszanką bliskowschodniej i zachodniej kultury. Już dorastając, Mo stał się swoistym lokalnym celebrytą, a zainteresowanie mediów bardzo sprytnie wykorzystywał do kreowania wizerunku arabskiego księcia, mimo że nie miał arystokratycznych korzeni.

– Nie brakowało ci mamy? – spytałam któregoś dnia.

– Oczywiście, że brakowało. Umarła, gdy miałem czternaście lat. Zniknęła tak nagle. Nigdy nie chorowała. Przynajmniej nie wiedzieliśmy o tym. A potem nagle zasłabła i po prostu odeszła.

– Ludzie tak po prostu nie umierają.

– Czasami umierają.

Sabira Al Sayeed była rodowitą Emiratką. Za ojca Mo wyszła z rozsądku, zeswatana przez rodziców. Trzydzieści lat temu status Emiratek różnił się od tego, który mają dziś. Były dużo bardziej potulne i bez tupania nóżką godziły się na wybieranie im mężów. Współcześnie zdarzają się już rodziny, które pozwalają młodzieży na własne wybory, nie jest to częste, ale kilka dekad temu było wprost nie do pomyślenia. Sabira nie była nieprawdopodobnie szczęśliwa w małżeństwie, nie przypadł jej w udziale los arabskiej księżniczki, mimo że wyszła za bogacza. Akceptowała jednak przywary swojego męża. O tym, jak bardzo źle wybrali jej rodzice, przekonała się dopiero kilkanaście lat później, gdy w wyniku poważnego konfliktu z małżonkiem zażądała rozwodu.

Ojciec Mo był strasznym despotą. Traktował rodzinę protekcyjnie i przedmiotowo, a najsurowszym sędzią był dla swojej żony. Na rozwód nie chciał się zgodzić. Nie było ryzyka, że straci dzieci, bo te zgodnie z emirackim prawem zawsze zostają przy ojcu, próbę odejścia traktował jednak jako potwarz i plamę na jego męskim honorze. Choć ten jego zdaniem Sabira splamiła nie tylko żądaniem rozwodu. Do rozstania nie doszło, przynajmniej nie do takiego, jakie planowała kobieta. Wkrótce po zakomunikowaniu mężowi swoich planów niespodziewanie zmarła.

– Nie sądzisz, że twój ojciec mógł mieć z tym coś wspólnego? – spytałam niemal odruchowo.

To było o jedno pytanie za dużo. Mo się zachmurzył. A potem chłodnym, cynicznym głosem, przez zaciśnięte ze złości zęby, wycedził:

– *Khalas*. Koniec.

Nigdy jeszcze go takiego nie widziałam. To naprawdę wyprowadziło go z równowagi, a dla mnie było jedynie potwierdzeniem, że wie, co tak naprawdę stało się z jego matką. Sprawa śmierci Sabiry długo mnie nurtowała. Byłam pewna, że jego ojciec maczał w tym palce. Nie miałam oczywiście dowodów, to przecież mógł być zbieg okoliczności, ale takie przypadki są w tej części świata zbyt częste, by można je było po prostu ignorować. Mam wrażenie, że dla rodzin też jest to dość jasne, ale z jakiegoś powodu nikt nie docieka prawdy.

Kilka dni po tej feralnej rozmowie pojechaliśmy do Mall of the Emirates na kolację i zakupy. Rano wróciłam z Sydney, a już wieczorem byłam gotowa na kolejne trzy dni w towarzystwie mojego ukochanego. Zdawało się, że nadal jest na mnie obrażony. Między nami pojawił się dziwny chłód. Czy chował do mnie urazę? Zaprzeczał, gdy o to pytałam, ale zachowywał się dziwnie. Był zamyślony i niedostępny. Przyjechał po mnie swoim grafitowym bugatti z dwucyfrową rejestracją. Takie kosztują tu nawet kilka milionów dolarów, ale ludziom o statusie Mohammeda po prostu nie wypada mieć innych. Podobnie jak nie wypada im parkować swoich wypasionych fur na publicznych parkingach. Jednak bywają wyjątki. Gdy znaleźliśmy się w okolicach galerii, Mo, zamiast podjechać jak zwykle do recepcji valet parking i oddać kluczyki usłużnemu Pakistańczykowi, pojechał na parking publiczny, dostępny dla wszystkich. Zdziwiło mnie to; zdążyłam już się przyzwyczaić do tego, że Mo korzysta z wszelkich udogodnień zarezerwowanych dla bogaczy, a już na pewno robił to, gdy chodziło o jego samochody. Zaparkował w rogu, na pustawej, lekko osłoniętej części najwyższej kondygnacji parkingu.

– Poczekaj tu na mnie. Zaraz wrócę – rzucił i pośpiesznie wysiadł z samochodu.

Zupełnie mnie zatkało. Mieliśmy iść razem, a tymczasem on po prostu zniknął w jednej chwili, zatraskując za sobą drzwiczki. Pomyślałam, że może ma dla mnie jakąś niespodziankę i lepiej, żebym się nie wychylała, by jej nie zepsuć. Zdecydowałam, że cierpliwie poczekam. Po kilku minutach klimatyzacja w samochodzie ucichła. Próbowałam ją włączyć, ale najwyraźniej automatycznie działała tylko przez jakiś czas po wyłączeniu silnika. Wnętrze auta szybko zaczynało się nagrzewać. Na zewnątrz, mimo że słońce już zachodziło, było grubo ponad trzydzieści stopni, co szybko zaczęłam odczuwać. W pewnym momencie nie byłam już w stanie wytrzymać duchoty. Postanowiłam wysiąść i wejść do galerii. Okazało się jednak, że nie mogę. Mo zablokował drzwi. Pewnie przypadkiem, przecież nie uwięziłby mnie tu celowo, przecież na pewno wróci... Szukałam sposobu na uwolnienie się, ale panel sterowania był wyłączony. Nie było szans na opuszczenie okien ani automatycznie, ani mechanicznie. Nie miałam wyjścia, musiałam czekać.

Obserwowałam parking w nadziei, że pojawi się na nim ktoś, kto wybawi mnie z opresji, ale wokół nie było żywej duszy. Samochód stał z dala od wejścia do budynku. Emiraccy nie lubią chodzić, dopóki nie jest to absolutnie konieczne. Zaczęłam zdawać sobie sprawę z tego, że pomoc z zewnątrz raczej nie nadejdzie. Starłam się powstrzymać panikę – oddychać spokojnie i odganiać złe myśli. Zastanawiało mnie, jak to jest, że ostatnimi czasy ciągle staję się więźniem małych przestrzeni, bez hojnej ilości tlenu i dostępu do klimatyzacji. Nie tak dawno w identyczny sposób walczyłam o powietrze i spokój w windzie. Powoli wprowadziłam się w stan letargu. Odpłynęłam. Zasnęłam. A może zemdlałam.

Obudziłam się z zimnym ręcznikiem na czole. Wciąż siedziałam w samochodzie, teraz już idealnie schłodzonym. Mo pędził jakimiś bocznymi uliczkami; nie bardzo wiedziałam, gdzie jesteśmy.

– Dzięki Allahowi! Tak się przestraszyłam!

– Zamknąłeś mnie w podgrzewanej puszcze...

– Kochanie, nie było mnie pięć minut!

Kłamał. Nie było go przynajmniej godzinę. To wiedziałam na pewno.

– Bzdura! Zrobiłeś to specjalnie.

– Głupiutki bąbelek. Powiedz mi, dlaczego miałbym to zrobić? Kocham cię żywą. Lubię gorące laski.

– Dlatego próbowałeś mnie ugotować?

– Kochanie, skończ z tym, proszę. Przypadkowo zablokowałem drzwi, to fakt, ale można je było odblokować od środka. O tutaj! – Wskazał palcem małą klódeczkę podświetloną na niebiesko. – Wystarczy dotknąć. Jeśli kiedykolwiek zdarzyłoby się to ponownie, po prostu wysiądź. Ale obiecuję, że nigdy więcej cię tak nie zostawię.

Byłam pewna, że tej klódeczki tam nie było, a nawet jeśli była, nie była aktywna. Przecież nie przeoczyłabym tak oczywistej rzeczy! A może wysoka temperatura zaburzyła moją percepcję? Może po prostu jej nie dostrzegłam? To faktycznie nie mogło trwać tak długo. Mo na pewno nie zostawiłby mnie w samochodzie na pewną śmierć. Po co mu skandal z martwą, uwięzioną w samochodzie laską. To pewnie nie przekreśliłoby jego przyszłości – jest Emiraczykiem, do tego obrzydliwie bogatym – ale mogłoby mu sprawić sporo kłopotu.

– Przepraszam, że zepsułam nam wieczór – powiedziałam.

– Głupiutki bąbelek. Niczego nie zepsułaś. Nie powinienem był cię spuszczać z oczu. Takie skarby się trzyma przy sobie. – Złapał mnie za kolano i przesunął dłoń w górę uda. Nie wiem dlaczego, ale zapragnęłam, by mnie wziął. I zrobił to, jak tylko dotarliśmy do jego apartamentu. Był taki cudownie czuły, delikatny i władczy zarazem. Nie potrafiłam się na niego gniewać. Byłam w nim bezgranicznie zakochana.

Rano na poduszce Mo znalazłam kopertę. Jego część łóżka była już idealnie zasłana, a z łazienki dobiegał szum wody. Moje imię na kopercie pozbawiło mnie skrupułów. Jej zawartość jednak mocno mnie zawstydziła. W środku były dwa zdjęcia, a na nich ja w objęciach Roberta. Dokładnie te zdjęcia pokazał mi policjant z komisariatu Al Barsha. Skąd miał je Mo? Zrozumiałam, że chce mi dać nauczkę, pokazać, że nie powinnam niczego przed nim ukrywać. Zostałam przyłapana, chociaż Mo pewnie nie uwierzy, że nic się między nami nie wydarzyło. Czułam się głupio, bo wiedziałam, jak bardzo przykro było mi, gdy zobaczyłam zdjęcia jego i Amal.

Weszłam do łazienki. Mo stał pod prysznicem, zupełnie nagi. Był taki męski.

– Wiesz, że to nic nie znaczy... – powiedziałam cicho.

– Wiem.

– To mój były chłopak. Przyjechał w odwiedziny, a w zasadzie odwiedził mnie przy okazji.

– Wiem.

– Bardzo cię przepraszam. Wiesz, że cię kocham...

Tak bardzo chciałam, żeby i tym razem zareagował tak samo.

– Wiem. Ja też cię kocham. Chciałem tylko, żebyś wiedziała, że musisz uważać, bo wścibscy ludzie są wszędzie i wiele osób będzie chciało nam zaszkodzić. Pilnuj się i nie prowadź z innymi facetami. – Owinął biodra śnieżnobiałym ręcznikiem, a potem podszedł i pocałował mnie namiętnie.

– I jeszcze jedno, uprzedź tego twojego Roberta, że mu cię nie oddam. Jesteś moja.

Darzyłam Roberta wieloma pozytywnymi uczuciami, ale chciałam należeć tylko do Mo. To ostrzeżenie bardziej mnie ucieszyło, niż zatrwożyło. Obaj byli dla mnie ważni, ale to Mohammed był władcą mojego serca. I nic nie było w stanie tego zmienić.

42 Z ang. *husband* – mąż, *hubby* – mężuś, pieszczotliwie lub ironicznie.

ROZDZIAŁ 9

Pattaya

Alkohol na pokładzie samolotu jest dla wielu pasażerów jednym z najważniejszych elementów podróży. Są w stanie poświęcić dla niego swoją godność, bagaż, żonę, cokolwiek trzeba. W ArabAir najczęściej piją pasażerowie lotów na trasach tak zwanych *dry countries*⁴³. Są w stanie w bardzo krótkim czasie znieczulić się do nieprzytomności, co nie jest trudne przy działaniu ciśnienia, które powoduje, że jeden drink wypity na pokładzie samolotu działa tak jak dwa spożyte na ziemi. W alkoholizowaniu się na pokładzie samolotu z pewnością pomaga też fakt, że zasłonięte okna i metalowy kadłub chronią grzesznego muzułmanina przed gniewnym wzrokiem Allaha. Można więc pić nie tylko bezpiecznie, ale i bezkarnie. Załogi mają z tym prawdziwy kłopot, bo odmawianie alkoholu trzeźwym pasażerom jest sprzeczne z polityką ArabAir, natomiast odmawianie go pijanym grozi awanturą, a nawet pobiciem.

Trudno zliczyć, ile razy zostałam zwyzywana za odmowę podania alkoholu, a biorę pod uwagę tylko te sytuacje, w których wyzywano mnie po angielsku (niedopici pasażerowie, by wyrazić swoje niezadowolenie, często przedstawiają się na arabski). Najbardziej niebezpieczna sytuacja, w jakiej uczestniczyłam, miała miejsce podczas lotu do Iranu. Na prośbę szefowej pokładu wspomagałam serwis w klasie ekonomicznej ze względu na chorobę jednej z dziewczyn. Nie miałam nic przeciwko, to był miły powrót do przeszłości. Do czasu.

Do lądowania w porcie Chomeiniego w Teheranie zostało nieco ponad pół godziny. Właśnie kończyliśmy serwis, gdy ewidentnie przerażony faktem, że wkrótce zostanie wygnany z alkoholowego raj, jegomość zaczął przeraźliwie wrzeszczeć i ubliżać wszystkim dookoła. W pewnej chwili wstał i zaczął biegać po pokładzie jak opętany. Jeden ze stewardów próbował go uspokoić, ale ten wyrwał się i wyskoczył do przedziału tuż przy drzwiach ewakuacyjnych. W pewnym momencie, bez namysłu, w absolutnym amoku, złapał za dźwignię drzwi i próbował ją przesunąć. Gdyby mu się udało, życie straciliby pasażerowie siedzący najbliżej wyjścia, zostaliby po prostu wysrani, a w kabinie doszłoby do dekompresji, która mogłaby spowodować krwawienie z uszu u każdego z pasażerów, a nawet utratę słuchu. To wszystko oczywiście pod warunkiem, że udałooby się nam bezpiecznie wylądować. Otwarte w czasie lotu drzwi ewakuacyjne były już powodem kilku katastrof.

Na szczęście krewki Irańczyk został uderzony przez rosnącego pasażera siedzącego w pierwszym rzędzie. To osłabiło go na chwilę, ale nie odpuścił; nadal próbował otworzyć drzwi. Dopiero kilka kolejnych ciosów od tego samego pasażera zakończyło jego próby. Mężczyzna odzyskał przytomność krótko przed lądowaniem. Spętany plastikowymi taśmami, wkrótce trafił w ręce policji.

Ten lot wykończył mnie psychicznie. Zdałam sobie sprawę, jak niewiele dzieli mnie od utraty życia. Wystarczy o jeden drink za mało – albo o kilka za dużo. Potrzebowałam wakacji.

Wspólny urlop w Tajlandii wydawał mi się absolutnie fantastycznym pomysłem. Wreszcie nie musielibyśmy się nigdzie spieszyć, zniknąć, tęsknić. Miałam trochę wyrzutów sumienia, bo do tej pory wakacje zawsze spędzałam w Polsce. Tak rzadko widywałam się z babcią i Maćkiem, że trzydzieści dni urlopu w roku i tak wydawało mi się niezbędnym minimum w ich towarzystwie, ale nie mogłam się oprzeć pokusie wyjazdu z Mo. Sprawdzenia się w prawdziwym związku, dwadzieścia cztery godziny na dobę. Życia razem, choćby w hotelu. Marzył mi się luksusowy kurort z dala od tłumów, jakaś pusta plaża wolna od wyrzucanych przez ocean plastikowych butelek. Marzył mi się on, ciągle przy mnie. Nie mogłam się doczekać. Nie zadawałam pytań. Zresztą i tak pewnie by na nie nie odpowiedział. Zasłaniałby się tajemnicą, tym, że chce mi zrobić niespodziankę.

Na podróż założyłam moją ulubioną apaszkę. Tę, którą dostałam od Mo w czasie podróży do

Polski. Nie wiedziałam, czy będzie pasować do miejsca, w które lecimy, ale wiedziałam, że zrobię mu tym przyjemność. Po wspnianym, luksusowym locie, podczas którego non stop robiliśmy sobie zdjęcia jak szaleni młodzi w podróży poślubnej, wylądowaliśmy w samym oku cyklonu. Jeśli Paryż jest stolicą mody, Hollywood stolicą filmu, a Sydney stolicą surferów, to oddalona od Bangkoku o jakieś dwie godziny jazdy samochodem Pattaya na pewno jest stolicą seksturystyki. Tyle z marzeń o rajskiej plaży. Wprawdzie z naszego apartamentu w położonym w sercu miasta hotelu Hilton mieliśmy widok na zatokę z niemal lazurową, przynajmniej z daleka, wodą, to fakt, że usiana ona była setkami łódek i platform, nad którymi latały dziesiątki paralotni, nie nastrajał mnie optymistycznie.

Słynąca z seksturystyki Pattaya to kurort, który powstał z dawnej wioski rybackiej. Na jego popularność z pewnością wpłynęło położenie nad Zatoką Tajską, zaledwie sto dwadzieścia kilometrów od Bangkoku. Swoją sławę miejscowość zawdzięcza żołnierzom amerykańskim, którzy w czasie wojny z pobliskim Wietnamem stacjonowali w Tajlandii, a do Pattai przyjeżdżali na urlop. Młodzi Amerykanie oprócz słońca, plaży i dobrego jedzenia potrzebowali też seksu, coraz częściej i chętniej oferowanego przez piękne dziewczyny z tego regionu. W wiosce zaczęły powstawać bary i kluby go-go. Ze względu na liberalne podejście do seksu Pattaya wkrótce zaczęła przyciągać prostytutki z całego kraju, a wśród nich sporo ladyboyów, dla których zarabianie ciałem było często jedyną szansą na przetrwanie. Sława stolicy seksu poszła w świat i obecnie Pattaya ściąga miliony turystów rocznie. Nie tylko tych, którzy są żądni seksualnych wrażeń, ale też szukających egzotyki rodzin z dziećmi.

– I jak? – zapytał Mo, wychodząc spod prysznica krótko po tym, jak dotarliśmy na miejsce.

Stałam na balkonie, przyglądając się okolicy i zastanawiając się, skąd ten pomysł. Podeszedł do mnie w samym ręczniku, wciąż jeszcze ociekający wodą, i mocno przytulił od tyłu. Nie byłam do tego przyzwyczajona. W Dubaju raczej by tego nie zrobił. Na pewno nie publicznie. Wtedy dostrzegłam pierwszy plus tego wyboru. Postanowiłam zapomnieć o minusach.

– Cudownie.

– To cudownie. Zobaczysz, będzie nam tu wspaniale. To bardzo fajne miejsce. Mili ludzie...

Wielokrotnie bywałam w Tajlandii, ale nigdy nie wychyliłam głowy poza Bangkok i Phuket, z którymi ArabAir mają regularne połączenia. Zawsze wystarczył mi hotelowy basen i trochę zwiedzania, na więcej zwyczajny *layover* raczej nie pozwala. To był pierwszy raz, kiedy byłam tu bez konieczności stawienia się na lot za kilkanaście godzin.

– Tak, Tajowie są bardzo mili, w końcu to *land of smile*⁴⁴.

– No, Tajki też bywają miłe. – Mo uśmiechnął się znacząco.

– Tylko bez takich, bo będę zazdrosna.

– Kochanie, zazdrość to bardzo dobra cecha. Świadczy o sile naszych uczuć. Ale spokojnie, nie masz się czego obawiać.

– Zobaczymy. Jak cię zobaczą w seksownych szortach, które spakowałeś, mogą cię rozszarpać.

– Albo bez... – droczył się ze mną.

– No bez na pewno cię nie zobaczą! Już ja się o to postaram.

Chwilę potem postarał się on. Dwie godziny seksu to idealne antidotum na upiorny jet lag. Znika bez śladu. Teraz już rozumiem, dlaczego Cathy czy Anis rzadko narzekali na tę zawodową przypadłość. Powinni to opatentować. Załogi latające oprócz mundurów, diet i luksusowych hoteli powinny mieć zapewnioną obsługę zawodowych posuwaczy.

Wkrótce okazało się, że Mo uwielbia być adorowany. Spacer promenadą w Pattai stał się dla mnie prawdziwym koszmarem. Zblazowane dziwki z przyklejonymi butaprenem uśmiechami oblepiały go jak szarańcza, wyczuwając kasę i nie robiąc sobie nic z faktu, że trzyma mnie za rękę.

– Stanął ci, nie zaprzeczaj – rzuciłam ze śmiechem na widok jego uniesionych w strategicznym miejscu spodenek.

Podniósł rękę, jakby chciał uniknąć ostrzału, i z miną przyłapanego na onanizmie nastolatka przyznał:

- Winny! Co z tym zrobimy?
- Nie wiem, kochanie. Może zapytasz którąś ze swoich nowych narzeczonych. One z pewnością znalazłyby rozwiązanie twojego problemu.
- Myślę, że nawet one nie znają się na tym tak jak ty...
- Dość osobliwy komplement. Chcesz powiedzieć, że znam się na obciążaniu lepiej niż tajskie dziwki?
- Nie, po prostu robisz to lepiej!
- Czyli masz porównanie?!
- Nie wygram dziś z tobą. – Pociągnął mnie za rękę. – Chodź, spadamy do hotelu. Nie mogę tak chodzić po mieście.

I znowu było cudownie. Podobały mi się te wakacje. Wreszcie byłam sobą. Fakt, że mogłam się w końcu wyluzować, spowodował, że poczułam się u boku Mo pewniej. Przestałam być wyłącznie adorowaną kruchą istotką, która wiecznie mdlała i musiała być ratowana. Ta rola zresztą nigdy mi nie odpowiadała. Wiedziałam, że trudno być w partnerskim związku z Arabem, ale miałam wrażenie, że to może się udać.

Pierwsze dni upływały nam jak nowożeńcom w czasie miesiąca miodowego. Brak rajskiej plaży kilka metrów od hotelu rekompensował luksusowy basen, a przede wszystkim niezwykle towarzystwo. Nigdy wcześniej – i nigdy później – nie uprawiałam seksu z taką intensywnością. W końcu wakacje w światowej stolicy seksturystyki zobowiązują. Tyle że ja stanowiłam monogamiczną mniejszość.

Po leniwych dniach spędzanych na czytaniu, opalaniu, pływaniu, uprawianiu seksu i jedzeniu nieprawdopodobnych potraw przychodziły barwne i głośnie wieczory. Przynosiły lekkie wytechnienie od upałów i olbrzymie wyzwanie dla wszystkich zmysłów. Snuliśmy się po wąskich uliczkach, na których sprzedawcy walczyli o klienta, niekiedy dosłownie. Prażone małe ośmiorniczki, podrabiane perfumy, wielokolorowe vibratory, żywa vagina z rzeźgą w gratisie – wszystko na przestrzeni kilkudziesięciu metrów i wszystko za grosze. A do tego niezapomniane wrażenia. Słynny ping-pong show można było zobaczyć tylko po wejściu do klubu, ale nieprzekonani już przed nim mogli wyjąć piłeczkę z majtek promoterek. Patrząc tylko po ulicach Pattai, można by śmiało zaryzykować tezę, że tenis stołowy jest najpopularniejszym sportem na świecie.

Do wydawania kasy na erotyczne uciechy zachęcał nie tylko tenis. Filigranowe dziewczyny na masywnych kilkunastocentymetrowych szpilkach, minimalistyczne w kwestii okryć wierzchnich, próbowały tańczyć przy rurach ustawionych wzdłuż popularnych deptaków Girls Town i Walking Street. Umordowane upałem i wielogodzinną pracą wiły się leniwie, kompletnie ignorując rytm muzyki. Od czasu do czasu któraś przerywała taniec i wycierała rurę od góry do dołu brudną szmatą z mikrofibry. To nie był element podrywu, to czysty pragmatyzm. Śliskie od potu drażki przestają spełniać swoją funkcję. Co jakiś czas któraś z nich nachylała się nad klientem i dawała się wymacać za sto batów wciskane z nadmierną pieczołowitością w majtki. Jeśli ma szczęście, będzie mogła chwilę odpocząć – zdjąć ciężkie buty, położyć się na mocno sfatygowanym materacu w obskurnym pokoiku nad klubem i rozłożyć nogi. To będzie jakieś pięćset batów. No, chyba że klient coś utargował. Największe szczęściary wracają z klientami do ich hoteli. To nie tylko szansa na porządny prysznic, ale i okazja do większego zarobku. A może klient będzie chciał narzeczoną? Taką na tydzień. Wtedy to już pełnia szczęścia. Trzeba tylko wyskoczyć z minimum siedmiu tysięcy batów i być przygotowanym na dodatkowe wydatki typu kolacje i prezenty, a na koniec prawdopodobnie na utratę wszystkiego, co wartościowe. Ale chętnych i tak nie brakuje. Chociaż mimo olbrzymiego popytu w tym wypadku podaż nadal go przewyższa. Każdego dnia tysiące starych, obleśnych dziadów z grzybicą zamiast paznokci i nuklearnym oddechem prowadzi tu za rękę swoje *me-love-you-long-time*⁴⁵ narzeczone z tygodniowym abonamentem na seks, na który we własnym kraju nie mają najmniejszych szans.

Byłam szczęśliwa, że mogę to wszystko oglądać z dystansu, trzymana za rękę przez mojego

ukochanego. Współczułam tym dziewczynom, nawet jeśli próbowały obłąpywać Mo. Zdarzały się nawet takie, które próbowały podrywać mnie, wiedząc, że takie klimaty kręcą facetów. Mo pozostawał ślepy na ich wdzięki, choć dawał upust wszelkim podnieciom, gdy tylko przekraczaliśmy próg naszego apartamentu. Nie miałam mu tego za złe. Był zdrowym, młodym mężczyzną. Najważniejsze, że ostatecznie to ze mną łądował w łóżku.

– Jesteś najwspanialszą kobietą na świecie – powiedział chwilę po tym, jak po raz kolejny doprowadził mnie do orgazmu.

– Zwariowałeś?

– Tak, na twoim punkcie!

Tuż po śniadaniu źle się poczułam. Świat wirował dookoła nawet wtedy, gdy zamykałam oczy. Wzięłam prysznic w nadziei, że chłodna woda pozwoli mi dojść do siebie, ale nie poskutkowało. Zwymiotowałam.

Fuck! Jestem w ciąży! Pigułki antykoncepcyjne ze względu na pracę i związany z nią ciągły rozstrój hormonalny w końcu nie zadziałały! Pierwsza myśl mnie zmroziła. Czułam się zbyt koszmarnie, żeby się z tego cieszyć. Nie wiedziałam też, czy ucieszyłby się Mo – i czy przypadkiem nie skończyłoby się przymusową aborcją. A jeśli faktycznie jestem w ciąży i Mo będzie chciał tego dziecka? Czy zostanę panią Sayeed? Hmm... to pewnie scenariusz na wyrost, ale w arabskim kraju konieczny do rozważenia już na wstępie. Pozamałżeńską ciążą jest w Emiratach przestępstwem karanym wieloletnią odsiadką. Wprawdzie teoretycznie mogłam zostać jego drugą żoną – pierwsza była w połowie Emiratką, w połowie Jordanką, a Emiratką po ojcu, więc się liczy. Drugą mogła zostać Europejka. Oczywiście po odpowiednich przeróbkach w kwestii religii, zachowania, ambicji i celów życiowych.

Nie, na tę opcję jednak nie byłam gotowa. Nie byłam też gotowa do roli matki, ale nie wiem, czy zdecydowałabym się na aborcję. Choć gdyby to było warunkiem naszego dalszego związku, pewnie tak. Ale czy na pewno chciałabym być z facetem, który stawia takie warunki? Nie!

Czułam się tak fatalnie, że w końcu Mo postanowił wezwać lekarza. Musiałam wyglądać tragicznie, bo wydawało mi się, że sam pobladł z przerażenia. Zdziwiło mnie, że wezwany do pokoju tajski lekarz okazał się Arabem. Emiraczykiem w dodatku. Luksusowe hotele miewają różne zaskakujące usługi. Zatrudnienie lekarza narodowości gości, którzy zostawiają tu miliony dolarów, nie wydaje się szczególnie wyszukaną fanaberią. Rozmawiali długo i po arabsku, pewnie nie tylko o stanie mojego zdrowia. Lekarz mnie zbadał, a potem dał mi lekarstwa. Zasnęłam po nich na długie godziny.

To był bardzo dziwny stan. Zdawało mi się, że jestem całkowicie świadoma, a jednak pozostawałam jakby w półśnie. Nie mogłam się ruszyć. Leżałam na sofie w sypialni, oglądając rozgrywane się na łóżku straszliwe sceny. Ewidentnie kilka dni oglądania Tajek oblepiających Mo na każdym kroku dało mi się we znaki. To było zupełnie irracjonalne. W łóżku roilo się od nagich, jędrnych ciał młodych dziewczyn, które w rozmaitych konfiguracjach obsługiwały Mo i mojego lekarza. Chciałam się czym prędzej obudzić z tego chorego snu, ale nie mogłam. Moje ciało było wiotkie i kompletnie nie chciało reagować. Przestać śnić! – nakazałam sobie. Tymczasem sen trwał, a sceny coraz bardziej zakrawały na wulgarne porno. Zdawało mi się, że Mo nadziewający na swojego penisa drobną Tajkę patrzy na mnie z uśmiechem. Następnie zrzuca ją i wchodzi w następną, a potem wraz z lekarzem obaj penetrują kolejną. To był absolutny koszmar. Ewidentny efekt wszystkiego, czego przez ostatnie dni naoglądałam się na ulicach Pattai. Mówi się, że sny są często projekcją skrawków świadomości, przeżytych wydarzeń i największych obaw. Ten chyba właśnie taki był. Niesamowite, że mój umysł zareagował w ten sposób na wszystkie łąszące się do Mo dziwki. Przecież on cały czas trzymał mnie za rękę, przecież ani na moment nie puścił. Nie było się czego obawiać, bo nawet najbardziej luksusowa z ulicznych dziwek była mocno poniżej jego standardów. Poza tym gdyby chciał się z nimi zabawić, na pewno nie przyjechałby tu ze mną. To wszystko działo się w mojej głowie, było efektem choroby, leków, projekcją mojego nie do końca sprawnego umysłu.

Następnego dnia wszystko ustało. Zniknęły nudności i ból głowy. Obudziłam się jak nowo narodzona w pachnącej, idealnie białej pościeli – w łóżku, które w moim śnie obserwowałam z sofy.

– Jak się czujesz, skarbie? – Mo, świeży i pachnący, pochylił się, by mnie pocałować.

– Chyba dobrze... Nie wiem, co mi się stało... – Podniosłam się ostrożnie. – Kompletnie mnie odcieło.

– Przespałeś prawie dobę. Lekarz zapewnił mnie, że nic ci nie będzie, ale na wszelki wypadek po powrocie zrobimy ci wszystkie badania. Nie mogę pozwolić, by mój skarb chorował...

– A może to nie choroba? – podsunęłam nieśmiało.

– A co?

– No wiesz... Nie używamy prezerwatyw, a moje pigułki...

– Nie, ciążę wykluczył – zapewnił Mo bez wahania. – A co? Chciałabyś mieć takiego małego Mo?

– Duży na razie w zupełności mi wystarczy. Ale kto wie, jak się postarasz...

– No przecież się staram!

– Ewidentnie za mało. – Puściłam oko do Mo, co okazało się wystarczającym sygnałem do działania.

I znowu był niesamowity w łóżku. Wydobywał ze mnie pokłady głęboko skrywanej kobiecości. Nawet nie wiedziałam, że seks może być tak przyjemny. Wiem, to truizm. Oczywiście seks uprawia się dla przyjemności, ale ja nigdy wcześniej nie miałam okazji odczuć jej tak wyraźnie. Z Robertem chyba nawet nigdy nie przeżyłam prawdziwego orgazmu. Z Mo był gwarantowany. Za każdym razem. Co najmniej jakby było to spełnienie jego ambicji. Najważniejszy punkt programu, zwany też punktem G.

Nie chciałam wracać, ale rzeczywistość rządzi się swoimi prawami. Ten powrót bolał podwójnie – nie tylko wracałam do pracy, to dało się przeżyć, ale wracałam do spotykania się z Mo. Zamiast zasypiać każdej nocy i budzić się każdego poranka w jego masyśnych ramionach, znów miałam chodzić na sporadyczne randki. Musiałam jednak myśleć pozytywnie. Porównując, ile czasu spędzaliśmy razem na początku naszej znajomości, a ile teraz, było coraz lepiej, wszystko szło w dobrym kierunku. Nie chciałam tego zepsuć marudzeniem.

Przez tydzień nie rozmawiałam z babcią ani z Maciem. Zadzwoiłam do nich tuż po przylocie do Tajlandii, żeby powiedzieć, że wszystko u mnie w porządku. Babcia martwiła się każdym moim lotem, choć starała się nie mówić tego na głos. Często dla jej dobra nie mówiłam jej, kiedy i gdzie lecę, ale o wakacjach musiała wiedzieć. Chciałam, żeby miała o Mo jak najlepsze zdanie. W końcu chłopak, który zabiera dziewczynę w egzotyczną podróż, w jej rozumieniu jest wart uwagi. Na szczęście w czasie mojego urlopu świat się nie zawalił, a wręcz przeciwnie. Nie licząc okresowego niedowładu lewej nogi, babcia Ptysia była już całkiem zdrowa.

– Musisz przyjechać koniecznie, bo zostawiłaś tu tę śliczną jedwabną chustkę – powiedziała, gdy skontaktowałam się z nią po urlopie. – Była poplamiona, chyba krwią. Pewnie znowu ci z nosa leciała. Ale uprałam ją. Nie martw się, ja się znam na jedwabiu, nic nie zniszczyłam...

– Jaką chustkę, babciu?

– No tę taką kremowo-granatową. Piękną, ze złotym wzorem. Byłaś w niej u mnie w szpitalu, jak przyjechałaś wtedy, co to wam tyle kłopotu narobiłam.

Zakrwawiona chustka w domu mojej babci? Nie mogła być moja. W zasadzie jedyna chustka, jaką posiadałam, to apaszka od Mo. Ale tę miałam przy sobie.

– Babciu, to pewnie nie moja...

– Twoja, dziecko kochane! Jak Maciuś wróci, to ci zdjęcie przyśle, przypomnisz sobie na pewno.

Następnego dnia obudził mnie SMS od Maćka: „Babcia mnie męczy, żebym ci to wysłał”. Na moim ekranie pojawiło się zdjęcie, które zmroziło mnie do szpiku. Przedstawiało moją apaszkę. Tę samą, którą dostałam od Mo na pokładzie samolotu do Warszawy. Tę, którą miałam ze sobą

w Londynie i Tajlandii. Nie byłam w międzyczasie w Polsce, nie mogła się tam tak po prostu pojawić. Ta historia zbiła mnie z tropu, ale przecież musiała mieć jakieś logiczne wyjaśnienie. Natychmiast zadzwoniłam do Maćka.

– Siostra, robisz dym o jakąś szmatkę – marudził. – Babcia szaleje, że mam ci wysłać jej fotę. O co chodzi?

– No właśnie to próbuję ustalić. Nie wiem, skąd ta apaszka się u was wzięła.

– Pewnie ją zostawiłaś.

– Problem w tym, że zabrałam ją ze sobą. Na bank! I na pewno nie była zakrwawiona.

– Nie wiem, ale ona tu leży... Zresztą czy to w ogóle ważne, przecież to tylko jakaś chustka.

– Sama chustka nie jest ważna. Ważne jest to, jak się tam znalazła.

Maciek nie do końca zdawał sobie sprawę z tego, co mnie przerażało. Żeby go uświadomić, postanowiłam wysłać mu zdjęcie mojej apaszki. Sięgnęłam do walizki, której ciągle jeszcze nie rozpakowałam po powrocie z Tajlandii. Przeszukałam ją całą. Potem jeszcze kabinówkę. I torebkę. Znowu wróciłam do walizki. Apszki nie było. Sięgnęłam pamięcią do wszystkich momentów, kiedy miałam ją na szyi już po powrocie z Polski. Byłam w stu procentach pewna, że ją miałam.

Mo jakby w ogóle mnie w niej nie zapamiętał.

– Myślałem, że ci się nie podoba – powiedział, gdy go zaalarmowałam. – W ogóle o niej nie wspominałaś. Stwierdziłem, że pewnie nie trafiłem w twój gust...

– Ale jak to? – zdziwiłam się. – Przecież nawet rozmawialiśmy o niej w Londynie... Miałam ją na sobie podczas kolacji w South Kensington, pamiętasz? Potem założyłam ją, jak lecieliśmy do Bangkoku. Żartowałeś nawet, że mam ci zrobić pokaz w tej apasce.

– Naprawdę nie pamiętam żadnej z tych sytuacji. Ale przecież to tylko apaszka, mogę ci kupić milion takich.

– Mo, ja odchodzę od zmysłów. Jestem pewna, że zabrałam ją z Polski, tymczasem babcia znalazła ją w swoim domu. Do tego zakrwawioną. Ktoś robi sobie ponure żarty.

– Kochanie, ciesz się, że ta chustka jest dla ciebie taka ważna. Jeśli chcesz, kupię ci nową, identyczną. Ale pamiętaj, to tylko kawałek materiału w wysokiej cenie.

Mo zupełnie nie rozumiał, co wtedy przeżywałam. Nie rozumiał tego też Maciek, nawet babcia nie widziała w tym nic dziwnego. Świecie przekonana, że zabrałam apaszkę z Polski, po rozmowie z Mohammedem zaczęłam w to wątpić. Nie miałam szans w tej nierównej grze.

I wtedy przypomniało mi się, że przecież lecąc do Bangkoku, robiliśmy sobie z Mo zdjęcia! Musiałam być na nich w apasce. Nadzieja szybko okazała się płonna. Zdjęć nie było w moim telefonie. Wśród setek fotografii zrobionych na wakacjach nie było żadnej, na której miałabym apaszkę.

Cały świat wydawał mi się znać logiczne wyjaśnienie tej sprawy i tylko ja upierałam się przy swojej wersji. To był albo wynik skrajnego zmęczenia, albo zaczynającego się u mnie obłądu. Chciałam wierzyć, że jednak to zmęczenie.

Praca w liniach lotniczych wymusza pewien rytm, a ten daje poczucie stabilności, gruntu pod nogami. Nawet w chmurach. To było mi bardzo potrzebne. Sytuacja z apaszką, a wcześniej zatrucie na koniec cudownego tygodnia z Mo sprawiły, że byłam wykończona psychicznie. Dawno tak się nie cieszyłam na lot.

Seul. Bezproblemowy serwis z fajną ekipą. Grzeczni pasażerowie. Liczba idiotycznych pytań poniżej normy. Posiłków z kurczakiem nie zabrakło (taka sytuacja na pokładzie grozi wybuchem zamieszek, choć raczej nie na kierunkach azjatyckich). Lot mnie nie zmęczył i bardzo się cieszyłam na dobę w stolicy Korei. Wtedy jeszcze nie wiedziałam, że moja radość przerodzi się w absolutny koszmar...

Tuż po dotarciu do hotelu dostałam wiadomość od Kale. W załączniku był filmik. Zaskoczyło mnie to, ale też zaintrygowało. Ponieważ nagranie długo się ładowało, zostawiłam telefon na łóżku

i poszłam pod prysznic. Kiedy wróciłam, moim oczom ukazał się kolejny element coraz bardziej zatrważającej układanki.

To była scena z mojego snu z Pattai! Mo patrzył w ekran, a po chwili kamera przesunęła się, ukazując jego nagi poruszający się rytmicznie tors. Z kolejnym ruchem kamery zobaczyłam wijącą się z rozkoszy filigranową Tajkę, którą Mo energicznie posuwał. Nagranie się urwało. Miałam wrażenie, że w moim ciele nie została ani kropla krwi.

Liczba pytań, które zbombardowały moją głowę, mnie przerastała. Było mi słabo. Przecież ja już to widziałam! Tylko że to był sen. Jestem tego absolutnie pewna. A jeśli to był sen, dlaczego oglądałam go na ekranie swojego telefonu? I skąd Kale wzięła ten film? Pamiętam jej minę wyrażającą bezgłośnie a-nie-mówiłam, gdy wręczała mi egzemplarz magazynu ze zdjęciem Amal i Mo. A teraz wysłała mi kolejny dowód na niewierność mojego faceta. Ale jak go zdobyła? Przecież nie było jej obok. Poza tym to był tylko sen!

A może to się wydarzyło gdzie indziej? Kiedy indziej? Może to film z czasów, gdy ja i Mo jeszcze nie byliśmy razem? Choć wydawało mi się mało prawdopodobne, żeby dopuścił do wycieku tak intymnych nagrań. Mo to nie Kim Kardashian, nie musiał zdobywać popularności na rzekomym wycieku pornograficznych nagrań z sobą w roli głównej.

Tak, to musiało być stare nagranie. Na pewno. Apartamenty hotelowe wyglądają podobnie. Mo pewnie był w Tajlandii nie raz. Ta wersja mnie uspokoiła, ale wbrew sobie ponownie obejrzałam nagranie. I to był błąd.

W jednej chwili scenariusz, do którego zdążyłam już się przyzwyczaić, legł w gruzach. Oglądając film po raz drugi, dostrzegłam szczegół, który doprowadził mnie na skraj załamania. Tajska dziwka, która rozkładała nogi przed Mo, miała na szyi moją apaszkę!

Czyli jednak miałam ją na urlopie? Ale jeśli tak, jak znalazła się w Polsce? I jak Kale weszła w posiadanie tego filmu? Wiedziałam, że muszę z nią porozmawiać, ale zbierałam się dobre dwie godziny. Nie wiedziałam, co mam jej powiedzieć, o co zapytać. Poniosłam sromotną klęskę. A potem było jeszcze gorzej...

– Kale, co ma znaczyć ten film? Skąd w ogóle go masz? To musi być jakiś marny montaż...

Kale była ewidentnie zaskoczona moimi pytaniami. Dziwne – musiała się ich spodziewać, kiedy wysyłała tę koszmarną wiadomość.

– Uspokój się, proszę... O jakim filmie mówisz?

– Kale, proszę, nie udawaj! Dobrze wiesz... O tym, na którym Mo uprawia seks...

– Kochanie, Mo i wasz seks kompletnie mnie nie interesują.

– Nie uprawia go ze mną, przecież wiesz! – nie wytrzymałam. – Po co udajesz? Ten film został wysłany z twojego telefonu!

Dlaczego Kale udaje zdziwioną? Przecież nigdy nie lubiła Mo. Ten film tylko wzmacnia jej teorię, że Mo to zdrajca i manipulant.

– Posłuchaj, opcje są dwie – odparła ze spokojem. – Albo ktoś inny wysłał go z mojego telefonu, co jest mało prawdopodobne, bo mam go cały czas przy sobie, albo ty kompletnie zbzikowałeś, co w sumie nie byłoby dziwne przy takim narzeczonym...

– On nie jest moim narzeczonym – weszłam jej w słowo.

– Twoje szczęście.

– Wiem, że jesteś na niego cięta. Ale jeśli myślisz, że w ten sposób mnie do niego zniechęcisz, to grubo się mylisz. Przecież widać, że to fotomontaż.

Tak naprawdę nie znałam się na tych sprawach na tyle, by dostrzec, co jest montażem, a co nie. Ale nawet jeśli to byłby montaż, jak wytłumaczyć, że ta dziewczyna ma na szyi moją apaszkę, że uprawia seks z moim facetem, a wszystko to widzę na nagraniu, które wysłała mi moja przyjaciółka!

Rozłączyłam się, bo miałam już dość kłamstw Kale. Postanowiłam jeszcze raz obejrzeć ten film, jak skończona masochistka. Chciałam znaleźć dowody, że nagranie zostało sfabrykowane – przecież czasami można je dostrzec, nawet gdy jest się w tych kwestiach dyletantem. Był tylko jeden problem. Film zniknął z mojego telefonu, jakby nigdy go tam nie było. Dokładnie tak jak wiadomość

o śmierci babci. Zero, nic, ani śladu.

Resztę pobytu w Korei przesiedziałam w pokoju. Byłam zrozpaczona i przerażona. Chyba naprawdę traciłam zmysły. To wszystko zaczynało się układać w senny koszmar, w którym funkcjonuję w pułapce własnego umysłu. Wszyscy dookoła zdają się być normalni, a ja jedna żyję chorymi rozeniami o tajemniczych znikających apaszkach i relacjach filmowych z własnych snów, które wysyła mi zazdrosna przyjaciółka. Bałam się powiedzieć o tym Mo. Bałam się, że mnie zostawi, gdy pomyśli, że zwariowałam. Po co mu pierdolnięta laska? Tylko że gdy układałam sobie w głowie zdania, którymi miałabym mu to wszystko opowiedzieć, każde z nich brzmiało jak wypowiedziane przez osobę niespełna rozumu. Nawet jeśli nią nie byłam, na pewno byłam na dobrej drodze, by się nią stać.

43 Z ang. – suche kraje – państwa, w których panuje prohibicja, takie jak Arabia Saudyjska i Iran.

44 Z ang. – kraina uśmiechu.

45 Z ang. – ja-kochać-ciebie-długo – obietnica, jaką często słyszą klienci tajskich prostytuttek.

ROZDZIAŁ 10

Deportacja

Mohammed nie odbierał moich telefonów. Ani tych z Seulu, ani tych po powrocie. Znowu zapadł się pod ziemię. Tymczasem zadzwonił Robert. Był w Dubaju. Zdenerwowany i roztrzęsiony.

– Ania? Nie mogę uwierzyć... Jesteś!

– Co się stało? Nie brzmisz najlepiej!

– Jestem w areszcie! Im kompletnie odbiło... – Na tym rozmowa się urwała.

Próbowałam oddzwonić na wyświetlony numer, ale raz za razem słyszałam tylko recytowany damskim głosem arabski komunikat, którego kompletnie nie rozumiałam.

Przerażona zadzwoniłam do Maćka.

– Robert polecił dziś do Dubaju – oznajmił mój brat. – Dostał tę robotę. Myślałam, że wiesz... Teraz jeszcze musicie mnie tam coś załatwić. No i babci.

Maciek ewidentnie nie wiedział nic o tym, co się stało z Robertem. Potwierdził jednak, że polecił do Dubaju. Dlaczego trafił do aresztu? Jezu, mam nadzieję, że nie próbował niczego przemycić! Robert nie zażywał narkotyków, ale w czasach licealnych nie stronił od trawki. Może wpadł w szemrane towarzystwo? Tutaj się nie patyczkują z przemytnikami.

A może to jego hakerstwo? Może nadepnął na odcisk komuś niewłaściwemu i go dorwali. Nie wiedziałam, co robić, ale wiedziałam, że jedyną osobą, która może pomóc, jest Mohammed.

Oczywiście nie odbierał telefonu. Próbowałam raz za razem. W końcu oddzwonił.

– Chcesz, żebym wyciągnął z aresztu twojego byłego faceta. Jesteś tego pewna?

– To dobry chłopak, nie wierzę, że zrobił coś, co zasługuje na areszt.

– Tego nie możesz wiedzieć. Czasami nawet najbliższe osoby potrafią nas mocno zaskoczyć.

– Ale ja go znam...

– Wiem. I wcale mi się ta znajomość nie podoba. Ale zrobię, co w mojej mocy.

Byłam mu niesamowicie wdzięczna, choć jego słowa i stanowczy, nerwowy ton nie napawały mnie optymizmem. Nie był zadowolony z tego, że wstawiam się za jego bezpośrednią konkurencją. Nie potrafił jednak tak po prostu mi odmówić.

Przygotowując się do kolejnego lotu, nerwowo sprawdzałam telefon w nadziei, że Mo zadzwoni, jeszcze zanim wylecę. Niestety nie było od niego żadnej wiadomości. Do ostatniej chwili. Do momentu startu. Wiedziałam, że przez kolejne kilkanaście godzin lotu do Toronto trudno będzie się ze mną skontaktować. Martwiłam się bardzo. Paradoksalnie ta sytuacja sprawiła, że wszystkie troski związane z apaszką, filmem, moją kondycją psychiczną zeszły na dalszy plan. Teraz liczyło się tylko to, by pomóc Robertowi.

Telefon włączyłam, gdy tylko koła samolotu dotknęły asfaltu pasa. Mohammed nie zadzwonił, ale przysłał mi zdjęcie Roberta. Skulony, blady z przerażenia, w kajdankach. Pod zdjęciem było pytanie: „To ten?”.

Zadzwoniłam natychmiast. Mo jakby czekał na moją reakcję.

– To Robert! Co z nim?

– No siedzi, bo narozrabiał.

– Ale jak to? Przecież przyjechał tu do pracy... Przemycił narkotyki?

– Nie, próbował się dobrać do tego, co nie jego.

Czyli jednak. Cholerny haker!

– Co z nim teraz będzie?

– Załatwiam mu bilet powrotny. Zostanie deportowany. A ty, kochanie, w międzyczasie zmień

swój PIN do telefonu i zastanów się, komu ufasz.

– Jak to...? O czym ty mówisz?

– Pamiętasz ten SMS o śmierci babci, o którym mi mówiłaś? Rzekomy film pornograficzny ze mną w roli głównej? To jego hakerskie triki. Muszę przyznać, że umiejętności ma imponujące, ale tu chodzi o ciebie... Nie mogę pozwolić na to, żeby ktoś cię krzywdził. Wysyłał te wiadomości z numerów bliskich ci osób, żeby wywołać w tobie niepokój, może po to, żebyś do niego wróciła, przestraszona i zła na resztę świata. Nie wiem, co mogło siedzieć w jego głowie. Przepraszam, że ci nie wierzyłem. Za tą sprawą z zakrwawioną apaszką też pewnie stoi! – Mo był wyraźnie poruszony.

Moja troska o Roberta w jednej chwili zmieniła się w bezgraniczną złość. Czyli to on! Kurwa mać! Jak mogłam mu wierzyć? Nadal nie wszystko rozumiałam, ale nie chciałam tego ponownie analizować. Robert wiele razy pokazywał mi, co potrafi zrobić, używając swojego komputera i jakichś skomplikowanych skryptów, ale w życiu nie sądziłam, że sama stanę się jego ofiarą. Wiedziałam, że robił to z zazdrości, jednak nie rozumiałam, dlaczego próbował doprowadzić mnie do takiego obłędu. Żeby potem zwalić wszystko na Mo? Co za perfidia!

Resztką moich uczuć do niego wyparowała w jednej chwili. Po rozmowie z Mohammedem nie mogłam sobie znaleźć miejsca. W końcu wzięłam telefon i wstukałam treść wiadomości: „Dziękuję, mój kochany. Wyrzuc go z mojego życia! Jestem tylko Twoja!”.

Po kilku godzinach on znowu zadzwonił.

– Załatwiłem mu, że zostanie po prostu deportowany. Nie wpuszczono go do Emiratów i już nigdy nie będzie cię tu nękać. Jesteś bezpieczna.

Po powrocie z Kanady spotkaliśmy się niemal natychmiast. Mo czekał na mnie, wiedząc, jak bardzo go potrzebuję.

– Zmieniłaś PIN?

– Natychmiast!

– Bardzo dobrze. Jeśli chcesz, możesz mi zostawić swój komputer. Moi specje sprawdzą go dokładnie, bo bardzo możliwe, że do niego też się dostał. Miał na twoim punkcie absolutną obsesję. W sumie gościa rozumiem, ale mocno przegiął...

– Mnie to mówisz? – Nagle coś sobie uświadomiłam. – Jednego tylko nie rozumiem: skąd wiedziałeś o filmie, który wysłała mi Kale?

– Jak to skąd? Przecież sama mi o nim powiedziałaś.

– Nie powiedziałam. Próbowałam się do ciebie dodzwonić, ale bezskutecznie.

– Skarbie, no pomyśl, skąd mógłbym wiedzieć? Oczywiście, że od ciebie!

Nie pamiętałam tego telefonu, ale może faktycznie w stresie w końcu się do niego dodzwoniłam. Tylko czy naprawdę bym tego nie pamiętała?

– Powiesz mi, skąd się wziął ten film? – naciskałam. – Był bardzo realistyczny.

– Mówiłem ci już, kochanie, to musiał być fotomontaż. Dzisiaj wystarczy proste oprogramowanie, by wstawić czyjąś twarz, nawet taką ze statycznego zdjęcia, w sekwencję scen. Nigdy nie widziałas pornoli z gwiazdami Hollywood?

Nie widziałam, ale Mo już przy kolejnym spotkaniu odsłonił przede mną ten zupełnie dla mnie nowy świat. Nie miałam pojęcia, że ludzie robią takie rzeczy! Sieć jest przeładowana montażami znanych twarzy na pornograficznych zdjęciach i w wyuzdanych filmach. To wyjaśniało, skąd Robert wziął to nagranie.

– A Kale? – drążyłam. – Dlaczego to ona wysłała mi ten film?

– Nie wysłała. Dla wprawnego hamera to bułka z masłem. Bez problemu potrafi nadać dowolną wiadomość z dowolnego telefonu, a przynajmniej sprawić, żebyś miała takie wrażenie. Bardzo mi przykro, kochanie, że musiałaś przez to przejść.

– A mnie nie. Cieszę się, że mam to już za sobą. Trochę żałuję, że po tym, co zrobił, nie siedzi teraz w więzieniu.

– Powiedz tylko słowo... – Mo puścił do mnie oko.

– Nie, zostawmy to. Lepiej skupmy się na nas.

Nie wiedziałam, czy Mohammed jest w stanie zrobić coś jeszcze Robertowi, ale byłam zadowolona, że został on deportowany z Dubaju i nie ma prawa wstępu do kraju. Niestety nie był to ostatni raz, kiedy słyszałam słowo „deportacja”.

Czekała mnie rozmowa z Kale. Umówiliśmy się w Dubaju na nasz tradycyjny babski wieczór. Cathy miała do nas dołączyć po swoim locie. W sumie dobrze się złożyło, że zaczęliśmy wieczór sam na sam. Musiałam przeprosić Kale.

– No coś ty. – Machnęła ręką. – Wszystkie głupiejemy z miłości.

– Wiesz, ale ja byłam pewna, że to ty mi wysłałaś ten film...

– Jeśli dostałaś go z mojego numeru, to oczywiste, że byłaś tego pewna. Trudno za każdym razem podejrzewać, że nie pisze do ciebie przyjaciółka, tylko psychopatyczny były chłopak...

Kochana Kale! Była taka wyrozumiała.

– Nadal nie lubię tego twojego Mo – dodała – ale muszę przyznać, że nabił kilka punktów swoją postawą w sprawie Roberta. On chyba naprawdę cię kocha.

– Kocha, kocha... czasami wciąż nie wierzę w swoje szczęście, w to, że go spotkałam. Teraz już jestem pewna jego uczuć.

– No twoja sprawa. Moim zdaniem to on miał szczęście, że spotkał ciebie. I pamiętaj, na razie mu odpuszczam, ale będę czujna! – zapowiedziała z uśmiechem. – Nurtuje mnie tylko jedno: czy ty mu powiedziałaś o tym filmie i o apasce?

– Wydawało mi się, że nie, ale on twierdzi, że tak. W sumie to nie wiem... No, ale chyba musiałam mu powiedzieć... Tak, na pewno mówiłam...

– Kochanie, wybacz, ale nie brzmisz, jakbyś była pewna choćby jednego swojego słowa.

Kale miała rację. Wcale nie byłam tego pewna. Ale w tamtym okresie nie byłam pewna wielu rzeczy, które działy się w moim życiu. To był czas pełen napięć i niepewności, a spirala nakręcała się coraz bardziej.

W końcu dotarła do nas Cathy i impreza rozkręciła się na dobre. Pamiętam, że momentami śmiałam się tak, że brakowało mi tchu. Postanowiliśmy, że tej nocy nigdzie nie wychodzimy. To miał być babski wieczór. Wtedy jeszcze żadna z nas nie zdawała sobie sprawy z tego, że ostatni w tym gronie.

Na Bliskim Wschodzie AIDS jest nazywane chorobą moralności i jako taka traktowane z niezwykłą pogardą. Nawet nosiciele wirusa nie są tu tolerowani. Według prawa większości krajów GCC46 obecność HIV we krwi rezydenta jest podstawą do natychmiastowej deportacji. Ubiegający się o rezydenturę cudzoziemiec musi być zdrowy, w dobrej kondycji fizycznej i wolny od chorób zakaźnych, dlatego zanim zostanie mu przyznany status, musi się poddać badaniom lekarskim, wśród których jest prześwietlenie klatki piersiowej (dla wykrycia gruźlicy) oraz badanie krwi na obecność wirusa HIV, żółtaczkę czy kiły. Mimo protestów organizacji walczących o prawa człowieka władze tych krajów nie odstępują od twardego prawa, nawet gdy wiąże się to z zagrożeniem życia cudzoziemca. W przypadku wykrycia choroby lub nosicielstwa natychmiastowo deportują ubiegającego się o rezydenturę lub jej przedłużenie. Zdarza się, że taka osoba, traktowana jako zagrożenie dla otoczenia, trafia najpierw do więzienia, zwykle jednak jest wydalana z kraju w trybie natychmiastowym.

Rutynowe losowe badania krwi załóg latających przeprowadzane są regularnie, głównie ze względu na bezpieczeństwo lotu – w celu ewentualnego wykrycia substancji odurzających. Przy okazji przeprowadzane są wyrwykowe testy na HIV. Ponadto raz do roku każdy członek załogi jest poddawany takiemu badaniu przy okazji odnawiania licencji.

Kłopoty mogą mieć nawet turyści – wprawdzie nie są oni badani, ale nie mogą wwozić do większości krajów Zatoki Perskiej leków retrowirusowych, branych przez nosicieli HIV. Przyłapani na tym mogą zakończyć wakacje przymusowym powrotem.

Można powiedzieć, że Cathy sama sobie była winna. Ale w moich oczach i tak padła ofiarą skrajnej hipokryzji. W chwili, gdy zawaliło się jej życie, a w jej krwi wykryto obecność wirusa HIV, musiała wziąć udział w okrutnym, niezwykle upokarzającym spektaklu zorganizowanym przez linie lotnicze, dla których pracowała przez wiele lat, i władze kraju, o którym zawsze mówiła z dumą. Nie pamiętam, dokąd miała lecieć. Wiem tylko, że nie poleciała. Wywołano ją z briefingu, który odbywa się przed każdym lotem, a na jej miejsce natychmiast wstawiono osobę z tak zwanego STB47. Cathy otrzymała permanentny status UTF48. Wręczono jej dokumenty rozwiązujące umowę o pracę i poproszono o paszport. Przestraszona i zdezorientowana, oddała dokument. Miała go odzyskać na lotnisku. Ale przecież była już na lotnisku.

Chwilę później siedziała w samochodzie, który zabrał ją do naszego apartamentu. Dostała czterdzieści minut na spakowanie się. Nawet nie wiedziała, że w jej sytuacji to najwyższa forma uprzejmości, na jaką zdobywają się linie. Zdarza się, że pracownicy są deportowani prosto z miejsca, w którym zostali ujęci. Przez cały czas towarzyszyło jej dwóch mężczyzn – jeden w mundurze linii lotniczych, drugi w kandurze. Patrzyli na nią z politowaniem, jakby nią gardzili. Cathy z trudem powstrzymywała łzy, ale po latach pracy w zawodzie potrafiła zachować zimną krew. Spakowała podstawowe rzeczy. Reszta została w jej pokoju. Gdy wyszła do przedpokoju, mężczyźni podążyli za nią.

– Róbcie, co musicie. Jestem gotowa – powiedziała tonem skazańca prowadzonego na szafot.

– Gdzie twój mundur? – zapytał jeden z nich.

– Został w szafie. Chyba nie będzie mi już potrzebny.

Mężczyzna założył niebieskie gumowe rękawiczki i wrócił do sypialni Cathy po mundur. Z obrzydzeniem włożył go do czarnego worka i zawiązał.

Odwieźli Cathy na lotnisko. Przez kilka godzin pozostałych do odlotu mężczyzna w kandurze nie spuszczał jej z oka. Nawet do odprawy biletowej jej nie dopuścił. Choć to nie do pomyślenia, obeszło się bez jej udziału. Cathy zakończyła swoją przygodę z Dubajem w bardzo przykrych okolicznościach. Została z niego wyrzucona jak śmieć. Bez możliwości pożegnania się z przyjaciółmi, bez czasu na odwiedzenie ulubionych miejsc. W jednej chwili stała się zagrożeniem dla społeczeństwa.

Troska o zdrowie obywateli i rezydentów mogłaby być powodem do aplauzu, gdyby nie fakt, że stanowi tylko kolejny przejaw hipokryzji rządzących. Tajemnicą poliszynela jest, że wielu posiadaczy emirackich paszportów również ma HIV. Jedynym krajem, który zorientował się, że wirusa da się ujarzmić – i w ten sposób nie doprowadzać do jego rozprzestrzeniania się – jest Katar. Od niedawna leczy swoich obywateli (choć obcokrajowców nadal deportuje). Reszta udaje, że problemu nie ma, bo przecież pozbywa się niebezpiecznych jednostek. Tymczasem Emiraczczy podróżują po świecie, spotykają się z turystami, którzy nie są poddawani testom, a do tego stronią od prezerwatyw, które w ich mniemaniu są uwłaczającym ich godności wymysłem zachodniego świata.

Efekty można jedynie szacować, bo Emiraty nie przyznają się do skali problemu. Od wirusa nie są wolni również arabscy arystokraci. Na Bliskim Wschodzie od dawna plotkuje się o sowiec sponsorowanej prywatnej klinice leczącej członków rodzin królewskich, którzy są nosicielami HIV. Miałyby się ona znajdować tam, gdzie nikt się tego nie spodziewa – w trawionym kryzysem humanitarnym Jemenie. Nawet jej umiejscowienie pokazuje zaściankowość myślenia o tym problemie. Jak leczyć, to w luksusowej klinice – ale oby dalej od domu.

Kiedy wróciłam do domu z kolejnego lotu, nie miałam pojęcia, co się wydarzyło. Zdziwiło mnie, że pokój Cathy jest otwarty, ale nie zajrzałam do środka. W korytarzu leżały gumowe niebieskie

rękawiczki. To też było dziwne, ale nie na tyle, by spowodowało mój niepokój. Kale dowiedziała się o wszystkim wcześniej. Nawet nie pamiętam skąd.

– Deportowali ją! Rutynowe testy wykazały, że prawdopodobnie zakażyła się wirusem HIV – powiedziała ze łzami w oczach, ironicznie naśladując sztywne formułki wypowiedziane przez zaprogramowanych, bezmyślnych urzędników.

– Ale tak od razu...?

– Przecież oni się nie patyczkują! Deportują rezydenta, gdy tylko wyjdzie, że jest zakażony. To dlatego robią te testy na samym początku, zanim dadzą ci rezydenturę.

Byliśmy załamane. Telefon Cathy milczał. Na Facebooku nie było jej od kilkunastu godzin. Nie miałyśmy od niej żadnej informacji. Nie zostawiła żadnej kartki. Pozostało nam tylko cierpliwie czekać.

Nagle Kale się ożywiła:

– Cathy zostawiła sporo swoich rzeczy. Spakujmy je! Jeśli faktycznie ją deportowali, możemy je wysłać albo dostarczyć przy okazji lotu.

Byłam pod wrażeniem przytomności jej umysłu. Kale zawsze zachowywała zimną krew.

Poszliśmy do pokoju Cathy i w kilkanaście minut zebraliśmy wszystko, co w nim zostawiła. Uwinęliśmy się, chwilę zanim zadzwonił dzwonek do drzwi. Delegacja linii lotniczych. Dwóch facetów i dziewczyna. Wszyscy w mundurach. Zapytali, czy mogą wejść i zająć nam chwilę. Bardzo oschle i rzeczowo poinformowali nas, że Cathy została deportowana „z powodu złamania prawa i regulaminu linii”. Potem dodali, że wkrótce wprowadzi się do nas nowa lokatorka.

– Tylko w tym chorym kraju choroba jest złamaniem prawa! – powiedziała Kale, zamykając za nimi drzwi. – Turystów jakoś nie badają! A te kurwy, które dają dupy w hotelach albo wylapują klientów na ulicach? Nie wierzę, że wszystkie są zdrowe!

Nie poznawałam jej. Zniknięcie Cathy bardzo ją zabolowało. Zresztą dla mnie też nie było to łatwe. Mimo ograniczonego czasu i napiętych grafików naprawdę się ze sobą zaprzyjaźniłyśmy.

Po chwili zadzwonił do mnie roztrzęsiony Anis. Wieści szybko się rozchodzą.

– Nie mogę się dodzwonić do Cathy. To prawda?

– Niestety tak. Byli u nas z linii... Potwierdzili to oficjalnie.

– *Fuck!* Jebane skurwysyny! – Anis był bardzo wzburzony. Dla Cathy był jak młodszy brat, doradca do spraw łóżkowych, kreator wizerunku, powiernik tajemnic. – Jadę do was!

Przyjechał w ciągu kilkunastu minut. Tego wieczoru urządziliśmy sobie coś w rodzaju stypy, czekając na wiadomości od Cathy jak na znak z zaświatów. Anis nie miał ochoty nigdzie wychodzić, choć niemal każdego wieczoru, kiedy był w Dubaju, podpisywał listę obecności w jakimś klubie.

– Bez Cathy to nie to samo – powiedział ze łzami w oczach. – Kiedy ta dziwka da znać?! Kurwa, martwię się o nią...

Przeszło mi przez myśl, żeby zadzwonić do Mo i zapytać, czy może coś zrobić, ale Kale szybko wybiła mi to z głowy.

– Lepiej go do tego nie mieszaj. Nawet on nie jest w stanie nagiąć prawa do tego stopnia. Za dużo osób jest w to już zaangażowanych. Oni się brzydzą HIV i on tego nie zmieni. Nie ma szans.

Miała rację. Dubaj to dla Cathy już zamknięty rozdział.

Trudno było wypełnić pustkę po zniknięciu Cathy. Jej energetyczna osobowość sprawiała, że o nudzie nie mogło być mowy. Na szczęście praca w liniach lotniczych pozwala na spotykane ludzi mieszkających w różnych zakątkach świata, a zwłaszcza na odwiedzanie przyjaciół. Deportacja wcale nie oznaczała dla nas końca znajomości.

Cathy wróciła do Glasgow, gdzie mieszkała przed wyprowadzką do Dubaju, ale po raz pierwszy spotkałyśmy się w Manchesterze – po dwóch, może trzech miesiącach od jej wyjazdu. Zawiozłam jej ostatnią paczkę z rzeczami. Wcześniejsze dostarczyli Anis i Kale. Bardzo się bałam tego spotkania, myślałam, że nie będę wiedziała, co powiedzieć, jak się zachować, ale zapomniałam, że

mam do czynienia z Cathy, dziewczyną niezłomną. Mimo dość niepokojącej diagnozy wyglądała fantastycznie. Roześmiana i beztroska jak dawniej.

– Ale się za tobą stęskniłam! – Przytuliła mnie mocno na powitanie.

– Mnie też bardzo cię brakuje.

– No przecież jestem! To, że pieprzeni Arabowie wykopali mnie ze swojej luksusowej pustyni, nie znaczy, że umarłam.

– Wiesz, że to nie to samo. – Westchnęłam. – Ale cieszę się, że jesteś w dobrej formie. Jak zdrowie?

– Chcesz wiedzieć, czy umieram? Nie, kochanie! Tak naprawdę świetnie się złożyło. Dzięki tym badaniom mogłam szybko zacząć leczenie. Teraz są takie metody, że można powstrzymać wirusa całkowicie, a bywają już przypadki, że w ogóle znika. Ja jestem szczęściarą, pozbędę się tego, zobaczysz.

– A Geoff...?

– Czy go zaraziłam? Poleciał do Australii się przebadac. Jest zdrowy. To nieco zawęża grupę tych, od których ja mogłam się zarazić, ale szczerze mówiąc, mam to w dupie. Szukanie winnego nic nie zmieni.

– Jak on to przyjął?

Cathy prychnęła z pogardą.

– Jak typowy facet: podkulił ogon pod siebie i spierdolił. Od czasu, kiedy zrobił badania i okazało się, że jest czysty, nie kontaktuje się ze mną. Niech spieprza... A jak twój pustynny Romeo?

– Mohammed?

– Oni wszyscy mają na imię Mohammed... Wiesz, ten psychol.

Cathy była cięta na Arabów po tym, jak podczas deportacji upokorzyli ją na wiele sposobów. Teraz wszystkich wrzucała do jednego worka.

– On nie jest psycholem – odparłam.

– Kale jest innego zdania.

– Chyba je zmieniła. Wiesz, od czasu tej sprawy z moim byłym, kiedy Mo stanął w mojej obronie, trochę się do niego przekonała.

– Jak dla mnie oni wszyscy są pojebani. Uważaj na siebie, kochana. Może i ten twój Mo jest w porządku, ale wiesz, lepiej dmuchać na zimne.

Wracając ze spotkania z Cathy, rozmyślałam o mojej relacji z Mohammedem. Zналиśmy się już wiele miesięcy, ale ja czułam, że stoimy w miejscu. Nie wiedziałam, czy ten związek w ogóle ma przyszłość i jak wyobraża ją sobie Mo. Prawdę mówiąc, sama też nie potrafiłam powiedzieć, czego oczekuję. Czy chciałabym zostać jego żoną? Czy nadal kontynuować związek w takiej formie? Bez formalnej umowy między nami, bez żadnych obietnic, przyrzeczeń, bez zobowiązań. Postanowiłam, że przy najbliższej okazji zapytam go, co o tym sądzi.

Nowa lokatorka wprowadziła się do naszego apartamentu dwa tygodnie później. Przywitałyśmy ją z otwartymi ramionami. Cathy była niezastąpiona, ale Raluca nie miała zamiaru jej zastępować. Była względnie nowa w Dubaju – latała dopiero od kilku miesięcy – ale wyglądała na niezwykle ogarniętą osobę.

Raluca była fashionistką i miała raczej aurę gwiazdy pop albo popularnej instagramerki niż potulnej stewardesy. Na tym jednak podobieństwa do Cathy się kończyły. W sprawach sercowych nasza nowa koleżanka była wierna swojemu chłopakowi, z którym chodziła od czasów szkoły średniej. Ich historia przypominała nieco mój związek z Robertem – jej Sorin też był informatykiem i też planował przeprowadzkę do Dubaju. Miałam tylko nadzieję, że ciąg dalszy będzie dla nich inny.

– Mamy zamiar zamieszkać razem, jak już wszystko się poukłada, ale na razie bardzo się cieszę, że trafiłam na was, dziewczyny – powiedziała z radością Raluca.

– My też. Musimy cię zapoznać z naszą tradycją – zakomunikowała Kale.

Raluca spojrzała na nią pytająco.

– Mam nadzieję, że to nie jest jakiś mroczny rytuał.

– Tylko jeśli przesadzisz z prosecco – zapewniłam.

– To z prosecco da się przesadzić? – Nasza nowa współlokatorka zaśmiała się, po czym pobięła do swojej sypialni.

Po minucie wróciła, dumnie dzierżąc w dłoni butelkę.

– Nasza dziewczyna! – zawołała Kale. – Witaj na pokładzie!

I znowu było jak dawniej. Brakowało nam Cathy, ale w pewnym sensie, kontynuując tę niepisaną tradycję, czułyśmy się, jakby nadal tu była. Raluca zgrała się z nami niemal idealnie. Była godnym zastępstwem dla Cathy. Wtedy jeszcze nie wiedziałam, że obie odegrają w moim życiu bardzo ważną rolę.

46 Gulf Cooperation Council – Rada Współpracy Zatoki Perskiej. W jej skład wchodzi sześć państw regionu: Arabia Saudyjska, Oman, Zjednoczone Emiraty Arabskie, Bahrajn, Kuwejt i Katar, a współpraca polega na wprowadzaniu podobnych rozwiązań gospodarczych i prawnych. GCC jest swoistym bliskowschodnim odpowiednikiem Unii Europejskiej.

47 Z ang. *stand by* – czuwać, tutaj: osoba z załogi, która jest w gotowości do lotu. Nie oznacza to, że będzie w danym dniu pracować, ale musi być przygotowana, na wypadek gdyby ktoś z załogi okazał się UTF.

48 Z ang. *unfit to fly* – niezdolny do latania.

ROZDZIAŁ 11

Naga

DXB–BOS49. Kiedy odbijaliśmy od gate’u, nic nie zapowiadało koszmaru, jaki miał się wydarzyć kilka godzin później. Skład załogi był naprawdę świetny, humory nam dopisywały.

Wszystko zaczęło się, jak zwykle w takich przypadkach, w klasie ekonomicznej, gdy jeden ze stewardów zauważył niepokojące symptomy u pasażerów w tylnej części samolotu. Wielu z nich miało drgawki, kaszlało, niektórzy wręcz wydawali się nieprzytomni. Natychmiast zawiadomił szefową pokładu. Okazało się, że dwie ze stewardes zgłosiły złe samopoczucie – miały podobne objawy. Każde z nas dokładnie wiedziało, co to oznacza. Mamy na pokładzie epidemię. Kapitan mimo trwającego serwisu włączył sygnalizację „zapiąć pasy” i chwilę później ogłosił: „Drodzy pasażerowie, w trosce o państwa bezpieczeństwo prosimy o cierpliwość. Mamy na pokładzie kilka chorych osób. To prawdopodobnie niegroźne przeziębienie, ale nie chcielibyśmy, żeby się rozprzestrzeniało. Dlatego bardzo prosimy o pozostanie na miejscach. Jeśli posiadają państwo maseczki ochronne, proszę je założyć. W przypadku wystąpienia niepokojących objawów prosimy o zgłoszenie ich naszej załodze. Zrobimy wszystko, by dotarli państwo do Bostonu w możliwie komfortowych warunkach”.

Wszyscy członkowie załogi założyli maski. Nie było to często praktykowane, bo linie z reguły bardziej dbają o nasz wygląd niż o zdrowie, ale tym razem sytuacja była naprawdę poważna. Wprawdzie dla mnie, pozostającej w pierwszej klasie, ryzyko zarażenia było mniejsze, ale jednak istniało. Samolot to metalowa hermetyczna puszka z klimatyzacją działającą jak precyzyjny dystrybutor zarazków. Nikt tu nie jest przed nimi bezpieczny.

Do załogi zaczęło się zgłaszać coraz więcej pasażerów. Prośby były rozmaite. Od herbaty czy wody w celu rozpuszczenia leków po uregulowanie temperatury w kabinie. Problem w tym, że jednym było za gorąco, drudzy marzli. Mimo że pierwsza klasa, odizolowana od reszty samolotu, była najmniej zagrożona, i tu nie obyło się bez kłopotów.

– Proszę natychmiast coś z tym zrobić! Nie zamierzam się zarazić! – krzyczała do mnie jedna z pasażerek.

Chętnie, droga pani, ale niestety zgubiłam swoją magiczną różdżkę. No, chyba że pożyczysz mi pani kij, który ma pani w dupie, wtedy zobaczymy, co się da zrobić! Tak bardzo żałowałam, że nie mogę tego powiedzieć na głos.

– Robimy, co w naszej mocy. Właśnie zdezynfekowaliśmy całą kabinę specjalną bardzo drogą substancją, która zabezpieczy klasę pierwszą przed epidemią – kłamałam jak z nut, ale słowa „specjalna” i „droga” zadziałały niczym magiczne zaklęcie.

– Wiedziałam, że ArabAir to dobre linie. – Pasażerka była wyraźnie udobruchana. – Popsikajcie jeszcze tym sprayem wokół mojej kabiny. Tak dla pewności. A ja się zamknę, żeby nic się tu nie dostało.

Bardzo rozsądna decyzja.

Dla świętego spokoju wzięłam zwykły odświeżacz powietrza i rozpyliłam go na korytarzu. Syk z rozpylacza uspokoił pasażerkę na resztę lotu.

Miałam wyrzuty sumienia, że nie mogę pomóc załodze w klasie ekonomicznej, zwłaszcza że coraz więcej jej członków źle się czuło. Nie mogli po prostu usiąść i liczyć na to, że bakterie lub wirusy ich ominą. Najgorsza była niewiedza – nie mieliśmy pojęcia, co wywołało tę masową gorączkę. Kapitan zgłosił sytuację wieży kontrolnej w Bostonie. Znajdowaliśmy się już nad terytorium Stanów Zjednoczonych. Wiedzieliśmy, że nieprędka dotrzemy do hotelu, jeśli w ogóle nam się to uda. Samolot zostanie poddany kwarantannie.

Samoloty to prawdziwe cuda techniki. Dzięki nim miliony ludzi przemierzają miliony kilometrów w nieprawdopodobnie krótkim czasie. Niestety w powietrzu podróżują nie tylko ludzie. Lotnictwo cywilne jest głównym odpowiedzialnym za globalne rozprzestrzenianie się chorób, dlatego większość krajów bardzo poważnie traktuje podejrzenia epidemii na pokładzie. Procedury w takich przypadkach są zbliżone w niemal każdym państwie. Wszyscy pasażerowie – niezależnie od tego, czy zdradzają symptomy, czy też czują się dobrze – muszą zostać dokładnie przebadani. Czasami robi się to jeszcze na pokładzie, czasami w specjalnie do tego przeznaczonych lotniskowych klinikach, tak zwanych Centres for Disease Control and Prevention⁵⁰.

Wykrycie tego typu zagrożenia na pokładzie jest niezwykle trudne, bo długa podróż odbija się fizycznie nawet na zdrowym organizmie, więc pasażerowie generalnie nie są w najlepszej kondycji. Przy bardzo suchym powietrzu nietrudno o zwykły niegroźny kaszel. Nawet jeśli kaszle wiele osób, nie oznacza to jeszcze epidemii. Załogi są jednak specjalnie szkolone, by rozpoznawać niepokojące symptomy. Paradoksalnie suche powietrze pomaga w ograniczaniu rozprzestrzeniania się niektórych bakterii. Na przykład pałeczka legionelli odpowiedzialnej za bardzo groźną odmianę zapalenia płuc umiera, gdy wilgotność spadnie poniżej czterdziestu procent – a więc na pokładzie samolotu czeka ją pewna śmierć. Wiele innych bakterii czy wirusów suche powietrze hibernuje. Jeśli jednak uwolnią się z organizmu zarażonego człowieka, na przykład przy kichnięciu, i dostaną do klimatyzacji, zanim wyschną, mogą się przedostać do miejsc w najdalszych zakątkach samolotu.

Na niektórych lotniskach zainstalowane są skanery termiczne, które znacznie ograniczają ryzyko rozprzestrzeniania się chorób – mierzą one temperaturę pasażerów przechodzących przez kontrolę bezpieczeństwa. Ale nawet tam, gdzie ich nie ma, personel naziemny bardzo dokładnie przygląda się osobom zamierzającym wsiąść do samolotu. I zdarza się, że chory pasażer musi zrezygnować z lotu.

W Bostonie wylądowaliśmy wczesnym rankiem, ale badania pasażerów na pokładzie trwały do późnego popołudnia. Mimo podejrzeń o MERS⁵¹ okazało się, że wszyscy zarazili się zwykłą gripą. Kilkadziesiąt osób zabrano do szpitala, reszta została wypuszczona z zaleceniem natychmiastowego zgłoszenia się do lekarza, w razie gdyby wystąpiły symptomy choroby.

Ja na szczęście uniknęłam zarażenia, ale moją głowę coraz bardziej zatruwały pytania o przyszłość z Mo. Musiały wreszcie zostać zadane. Postanowiłam to zrobić przy najbliższej okazji, tuż po powrocie do Dubaju.

Restauracja w hotelu Shangri-La, jednym z najbardziej luksusowych adresów przy Sheikh Zayed Road w Dubaju, to idealne miejsce na romantyczną randkę. Nie byłam tam nigdy wcześniej; zwyczajne stewardesy raczej nie jadają tam kolacji.

Mo czekał na mnie przy jednym ze stolików w tylnej części sali, wyłożonej misterną mozaiką w formie arabskiego zellige⁵² w idealnie dobranych pastelowych kolorach zdominowanych przez błękit i beż. Stapałam po niej, układając w głowie przemówienie mające ustalić moją pozycję w naszym związku i określić jego przyszłość. Pamiętam, że przyszło mi wtedy do głowy pewne porównanie: moje życie było jak ta posadzka – z pozoru piękne i poukładane, tak naprawdę składało się z wielu oderwanych, samoistnych elementów. Równie dobrze można było ułożyć je w piękną całość, jak kilkoma ruchami obrócić w gruz. Chciałam, żeby pozostało piękne i trwałe, żeby nikt go nie zniszczył.

Siedział przy stoliku, uśmiechnięty i tak zniewalająco przystojny. Gdyby bogowie istnieli, gdyby nosili garnitury i używali perfum, wyglądaliby i pachnieli dokładnie tak jak on.

Na powitanie wstał i pocałował mnie w usta, jakby nagle surowe zasady przestały obowiązywać. Potem odsunął mi krzesło.

– Jestem szczęściarzem – powiedział. – Wyglądasz cudownie.

– Dziękuję. – Uśmiechnęłam się i postanowiłam od razu przystąpić do rzeczy. Wiedziałam, że jeszcze chwila jego czarowania i o nic nie zapytam. – Właśnie o szczęściu chciałam z tobą porozmawiać.

– Podoba mi się ten temat. Lubię szczęście, zwłaszcza przy tobie.

– Mo, mówię poważnie. Czy uważasz, że mamy przed sobą jakąś przyszłość? Czy nasza znajomość zawsze będzie polegała na sporadycznych randkach w chwilach, gdy akurat oboje jesteśmy w Dubaju?

Spojrzał na mnie z uśmiechem, a potem podniósł dłonie i ukrył w nich twarz, opierając łokcie o stół. Przez dłuższą chwilę milczał. Gdy w końcu się odezwał, jego głos był bardzo niepokojący:

– Dlaczego chcesz to wszystko zepsuć?

– Ja? – Zbaraniałam. – Ja nie chcę niczego psuć. Wiesz, że jesteś dla mnie bardzo ważny. Po prostu chciałabym wiedzieć, czy jest przed nami...

– A nie możesz po prostu cieszyć się chwilą? – wszedł mi w słowo.

– Nie, Mo. Chcę wiedzieć, jakie są twoje zamiary wobec mnie, co do mnie czujesz.

– Dobrze wiesz, co do ciebie czuję. Bardzo cię kocham. Chcę cię chronić, chcę być z tobą tak blisko, jak to tylko możliwe. Ale nie chcę się spieszyć z decyzjami.

– Ja też nie chcę się z nimi spieszyć. Muszę jednak wiedzieć, do czego to wszystko zmierza.

– Do szczęścia, kochanie. Tylko do szczęścia.

Poniosłam porażkę na całej linii. Wiedziałam, że jeśli nadal będę drażnić temat, tylko zepsuję nam wieczór. A za bardzo tęskniłam za Mo, by nie móc się do niego przytulić. Opuściłam. Jego enigmatyczne zapewnienia o szczęśliwej wspólnej przyszłości musiały mi na tę chwilę wystarczyć.

Reszta wieczoru upłynęła nam na bezpiecznych rozmowach, picciu szampana, którego zdecydowanie nadużyłam, i upojnym seksie.

Obudził mnie przeraźliwy chłód. Klimatyzacja w hotelowym apartamencie, w którym wylądowaliśmy po kolacji, ustawiona była na najniższą temperaturę. Byłam sama. I zupełnie naga. W głowie szumiały mi jeszcze resztki wypitego szampana, a światło wpadające przez wielkie okna oślepiało mnie, potęgując dezorientację. Przez półotwarte powieki widziałam tylko kontury – fragment niskiej zabudowy położonej nad zatoką i samą zatokę w oddali. Słońce sprawiało mi jednak fizyczny ból. Musiałam zasłonić okna. Przez dłuższą chwilę, po omacku szukałam pilota sterującego zasłonami. Gdzieś tu powinien być. Jest! Zamknęłam oczy i ponownie opadłam na łóżko. Nacisnęłam przycisk, czekając, aż apartament zasnuje przyjemny cień. Ale mimo że słyszałam mechanizm poruszający zasłonami, ulga nie nadchodziła.

Zerwałam się z łóżka i pobiegłam do łazienki. Było mi potwornie zimno, ale tu przynajmniej mogłam bez bólu otworzyć oczy. Powoli dochodziłam do siebie, choć pulsujący ból głowy nie ustawał. W łazience nie było żadnego ręcznika. Nie mogłam też znaleźć hotelowego szlafroka. Chłód marmurowej podłogi, na której stałam bosymi stopami, był nie do zniesienia. Kamień mrożony godzinami przez rozszalałą klimatyzację bezlitośnie potęgował odczucie zimna. Zdałam sobie sprawę, że znalazłam się w pułapce. Muszę wybierać pomiędzy przeszywającym do szpiku kości zimnem a oślepiającym słońcem. Ale nie to było najgorsze...

Zasłaniając oczy dłonią, wróciłam do sypialni. Rozejrzałam się z niedowierzaniem. To nie był zwykły apartament. Choć pozornie wszystko było w nim na swoim miejscu – luksusowe i niebudzące podejrzeń – zaczęło do mnie docierać, co go wyróżniało. Na łóżku był tylko goły materac – żadnego prześcieradła, poduszek, kołdry. W oknach nie było zasłon. To dlatego pilot mi nie pomógł! Nigdzie też nie mogłam znaleźć moich ubrań. Z apartamentu usunięto wszystko, czym mogłabym się zakryć na tyle, by bez trudu go opuścić. Dopóki byłam zupełnie naga, oczywiście nie mogłam też zadzwonić po hotelową obsługę.

Dopadłam do panelu sterowania klimatyzacją i spróbowałam podwyższyć temperaturę.

Bezskutecznie. Na wyświetlaczu pozostawało uparte osiemnaście stopni. Czyżby to był odwet za moje wczorajsze dociekanie prawdy? Ustawianie mnie do pionu? A może po prostu jego odpowiedź? Skurwysyn! Złapałam za telefon i wybrałam jego numer, choć wiedziałam, że nie odbierze. Odrzucił połączenie. Cisnęłam aparat z wściekłością. Odbił się o tapicerowany aksamitem fotel, beztrósznym dźwiękiem oznajmiając jednocześnie nadejście wiadomości. Zdjęcie! Na fotografii byłam ja – śpiąca, z napisanym na czole czarnym markerem słowem „WAIT!”⁵³.

Pobiegłam do łazienki i spojrzałam w lustro. Nadal tam było. Upokarzająca kaligrafia. Ten skurwiel chciał, żebym na niego czekała, i postanowił mi to napisać na czole. Namydliłam skórę i zaczęłam energicznie trzeć. Po mojej twarzy spływały ciemne strugi tuszu. Napis bladł, ale nie zniknął. Choć zmycie go było jedyną rzeczą, jaką mogłam zrobić, by sprzeciwić się Mo, wkrótce ból pocieranej skóry mnie pokonał.

Psychol! Byłam wściekła. Bezbronna. Bez wyjścia. Całkowicie zdana na jego łaskę. Wiedział, że nie jestem w stanie nic zrobić. Po nikogo nie zadzwonię, nie zaryzykuję wyjścia. Będę czekała, aż zdecyduje się po mnie przyjść. Naga niezamężna kobieta w wynajętym przez niespokrewnionego mężczyznę apartamencie dubajskiego hotelu mogła trafić tylko w jedno miejsce. Do więzienia. Nikt nie słuchałby moich wyjaśnień. Zresztą one też świadczyłyby przeciwko mnie.

Czułam się bezsilna, ale nie płakałam. Łzy są oznaką słabości, a on nie zobaczy mnie słabej. Po moim trupie! Możliwe, że dosłownie. Postanowiłam jednak nie dać się złamać. Zwinięta w kłębek na fotelu, próbowałam zasnąć, ale mogłam tylko rozmyślać. Jak się tu znalazłam? Jak to się stało? Nagle zaczęły do mnie docierać strzępki wspomnień – z windy, w której utknęłam w jego apartamencie, z samochodu, w którym zatrzęsnał mnie niby przypadkiem... On to robił specjalnie. Czyżby to była jakaś niezrozumiała perwersja? A może tylko kolejny całkowicie wytłumaczalny, zupełnie od niego niezależny przypadek.

Straciłam poczucie czasu. Słońce dawno już zaszło, gdy za drzwiami apartamentu usłyszałam szmer. Chwilę później stanął w progu. Jak zwykle zabójczo przystojny. Ubrany w pięknie skrojony szary garnitur i brązowe mokasyny. Uśmiechnięty, pogodny, nieprawdopodobnie ujmujący. Z bukietem czerwonych róż w jednej dłoni i dwiema eleganckimi, pokrytymi czarną satyną torbami w drugiej. Nie wyglądał na psychopatę.

Unikając jego wzroku, obserwowałam go ukradkiem. Skulona w fotelu, chciałam zniknąć.

Wszedł do salonu i wstawił kwiaty do wazonu z wodą. Nawet nie wiedziałam, że tam stał. To też przygotował? Nie można mu odmówić dbałości o szczegóły. Następnie z nonszalancją godną hollywoodzkiego aktora rzucił na łóżko torby. Z tej mniejszej wyjął pudełko, a z niego przepiękne czerwone szpilki Louboutin. Odstawił je na bok i sięgnął po drugą z toreb. Skrywała zniewalające futro z czarnych norek, warte na oko minimum kilkadziesiąt tysięcy dolarów. Wiedziałam, do czego zmierza. I chciało mi się rzygać. Próbował mnie obsadzić w roli tandetnej dziwki, która bez mrugnięcia okiem wskakuje naga w niebotycznie drogie futro i czerwone szpilki. I wybaczka każde upokorzenie. Wiedział, że nigdy bym nie włożyła czegoś podobnego. Wiedział, co sądzę o naturalnych skórkach zdzieranych ze zwierząt hodowanych wyłącznie dla zaspokojenia ludzkiej próżności. Ale wiedział też, jak mnie złamać.

Stał nade mną – z ciepłym, miękkim futrem w jednej dłoni i szpilekami zwisającymi z dwóch zgrabnych palców w drugiej i uśmiechał się, jakby nic się nie stało. Był cierpliwy. Patrzył na mnie z uwielbieniem, a ja w dalszym ciągu nie chciałam na niego spojrzeć. Zaczynałam myśleć, że tak naprawdę to on jest ofiarą. Wredna zołza nie docenia starań dobrego, wiernego i nieprawdopodobnie hojnego księcia z bajki. Myśl o cieple, jakie daje futro, po kilku godzinach siedzenia w luksusowej łódce wygrała. Wstałam i wyrwałam okrycie z jego dłoni. Owinęłam się nim i wróciłam na fotel, szcękając zębami. Różnica temperatur wywołała we mnie drgawki.

– Cała jesteś zziębnięta! – zawołał wtedy. – Dlaczego nie przestawiłaś klimatyzacji? Głupiutki bąbelek...

Podszedł do panelu sterowania i bez trudu ustawił temperaturę pokojową.

Przecież próbowałam... Panel był zablokowany! Nie dało się podnieść temperatury ani

o stopień. On zrobił to jednym ruchem, po czym padł do moich nóg, wziął moje sine z zimna stopy w swoje przyjemnie ciepłe dłonie, rozmasował je, po czym założył mi te okrutnie piękne czerwone szpilki.

Potem wyjął z kieszeni śnieżnobiałą chusteczkę i wylał na nią przeźroczysty płyn z czarnej szklanej buteleczki, którą też miał przy sobie. Sprawnym ruchem przetarł moje czoło. Wiedziałam, że napis zniknął.

– Mój głupiutki bąbelek... Wolę, jak malujesz rzęsy maskarą, zamiast wypisywać sobie bazgrołki na czole.

Jego bezczelność sięgała szczytu Burj Khalifa! Udawał, że nie miał nic wspólnego z tą chorą sytuacją, a do tego robił to tak przekonująco, że zaczynałam mieć wątpliwości, czy faktycznie sama do tego nie doprowadziłam. A może to wszystko tylko mi się wydawało?

– Wyglądasz szalowo. – Złapał mnie za dłoń i przyciągnął do siebie. Mimowolnie wstałam z fotela, a on pokierował mną tak, że zrobiłam obrót, jak w tańcu. Cały czas patrzył na mnie z niekłamany podziwem.

Nie mogłam pojąć, co siedzi w jego głowie. Był facetem z marzeń. Mógł mnie mieć bez żadnego trudu. Już dawno byłam jego. Ale on nie chciał mnie takiej, jaką byłam. Zaczynałam myśleć, że chce mieć nade mną władzę absolutną. Chciał mnie poniżyć, łamać i miażdżyć. Nie fizycznie, nie. Chciał to robić subtelnie, z finezją. W tym niezwykle wyrafinowanym sadyzmie znajdował bezgraniczną przyjemność, a ja byłam jego ofiarą, zdobyczą, którą sobie upatrzył i której nie miał zamiaru wypuścić z rąk.

Wtedy jeszcze nie zdawałam sobie sprawy ze swojego położenia. Wspaniały związek z niewiarygodnie przystojnym, bajecznie bogatym facetem. Pięknie opakowany koszmar, który stał się moim udziałem, całkowicie mnie pochłoniął. Pozory wolności, jakie dawała mi praca stewardesy, były doskonale przemyślaną strategią. Do dziś, gdy o tym opowiadam, każdy zastanawia się, jak to możliwe, że byłam więźniem, mimo że latałam po całym świecie. Na tym właśnie polegał jego kunszt. Właśnie to go podniecało. Myśl, że niezależnie od tego, co mi zrobi, jak mnie upokorzy, ja zawsze wrócę po więcej.

Tak, to wtedy po raz pierwszy pomyślałam, że Mo mną manipuluje dla własnej, zupełnie niepojętej przyjemności. Uwięziona w hotelu, obiecywałam sobie, że nigdy więcej nie pozwolę na coś podobnego. Nigdy więcej się z nim nie spotkam. Usunę go ze swojego życia całkowicie. Boże, jaka ja byłam naiwna. Wtedy jeszcze myślałam, że mam w tej kwestii cokolwiek do powiedzenia.

– Pięknie ci w tym futrze – powiedział, nie spuszczać ze mnie wzroku.

Wciąż trwałam w bezruchu. Moje nagie ciało otulone przyjemnym jedwabiem podszewki odzyskiwało czucie, ale nie byłam w stanie się ruszyć. Milczałam, ignorując jego komplementy.

– Przepraszam, że cię tu zostawiłem na tak długo – podjął. – Musiałaś bardzo tęsknić. Ale już jestem. Ja też za tobą tęskniłem.

Uważasz, że tęskniłam, skurwielu? Serio?

Mówił to tak przekonująco, jakby naprawdę w to wierzył. Najgorsze było jednak to, że ja – poza ściskającą za gardło nienawiścią w tamtej chwili – czułam do niego tylko bezgraniczną, beznadziejną miłość.

– Musisz przestać się z nim spotykać, zanim będzie za późno – powiedziała Kale, gdy opowiedziałam jej, co mnie spotkało. Wiedziałam, że to usłyszę.

– Nie chcę go widzieć – zawyrokowałam, ale zaraz dodałam: – Chociaż pewnie nie robi mi nic złego...

– Nie wierzę! – Kale złapała się za głowę. – Nie uważasz, że już ci zrobił? Przecież to kompletny psychol. Zacznij myśleć, dziewczyno!

– Ale on naprawdę nie jest groźny. Chciał mnie tylko ukarać... – Ciągłe starałam się tłumaczyć zachowanie Mo, choć wiedziałam, że jestem na przegranej pozycji.

– Ukarąć za co? Za to, że spytałaś, co dalej z waszym związkiem? Normalny facet pada na kolana i wyjmuję z kieszeni pierścione – albo zrywa. Ale nie zamyka swojej dziewczyny nagiej w zimnym pokoju. Na takie pomysły wpadają tylko wyjątkowi zwyrole. Chcesz poczekać, aż zacznę cię dla zabawy naciąć we wzorki? Zrobisz, jak uważasz, ale jeśli masz choć trochę oleju w głowie, będziesz się od niego trzymać z daleka.

– Obiecuję. Nadal jestem na niego wkurzona za ten hotel... – Mówiłam bez przekonania, jakbym planowała dietę, tylko może od następnego tygodnia, najdalej miesiąca.

– Obawiam się, że ci przejdzie – skwitowała brutalnie Kale.

I miała rację.

Kilka dni później zadzwoniła do mnie mama Roberta. Nie rozmawialiśmy od czasów, gdy ja i Robert mieszkaliśmy razem we Wrocławiu. Od momentu naszego zerwania jakoś nie było okazji, choć zawsze bardzo się lubiliśmy.

– Aniu, mam do ciebie prośbę. Chciałabym, żebyś tego mojego Roberta do porządku przywołała. Czy ty wiesz, że on prawie od trzech miesięcy do mnie nie zadzwonił, tylko te SMS-y wysyła? Ja rozumiem, że wy tam macie dużo zajęć, że nowe miejsce, nowa praca zupełnie go pochłonęły, ale żeby do matki chociaż na chwilę się nie odezwać? To przecież się nie godzi!

Ona myślała, że Robert nadal jest w Dubaju! A przecież został deportowany. Trzy miesiące to wystarczający czas, by wrócić do Polski. W ostatniej chwili ugryzłam się w język. Nie chciałam niepotrzebnie jej martwić. Wciąż byłam zła na Roberta, zwłaszcza za tego SMS-a o śmierci babci, ale jego mama nie była niczemu winna.

– Dobrze, spróbuję się z nim skontaktować. Upomnę go, obiecuję.

– Dziękuję ci, kochane dziecko! Ty zawsze taki dobry wpływ na niego miałaś. Ja to ci powiem: ciągle liczę, że wy się jeszcze zejdziecie. Może tam, w tym Dubaju, na obcej ziemi, z dala od domu przypomnieć sobie o waszej miłości.

Płonne nadzieje. Miałabym sobie przypomnieć o miłości do człowieka, który egoistycznie wykorzystywał przestępcze metody, by manipulować moimi uczuciami?

Oczywiście jedyną osobą, do której mogłam się zwrócić o pomoc, był Mohammed. Miałam przed tym pewne opory, ale nie oszukujmy się – chciałam go usłyszeć. O dziwo, odebrał za pierwszym razem!

– Słuchaj, czy ty wiesz, kiedy dokładnie Robert został deportowany? Jego mama twierdzi, że nadal jest w Dubaju...

– To chyba niemożliwe. Mieli go deportować zaraz po zatrzymaniu. Ale mogę to sprawdzić.

– Zrób to, proszę. Trochę się o niego martwię.

– Myślałam, że nic już do niego nie czujesz. Zapomniałaś, co ci zrobił? – W głosie Mo usłyszałam lekką irytację.

– Niczego nie zapomniałam i niczego do niego nie czuję. Po prostu nie chciałam, żeby stało mu się coś złego.

– Ale po tym, co ci zrobił, co próbował zrobić nam, on zasługuje na karę. Gdyby nie ty, inaczej bym się z nim rozprawił.

Kilka dni później, gdy byłam gdzieś w świecie, dostałam wiadomość od Mo: „Twoja gnida gniła w więzieniu. Zapomnieli go odesłać. Jutro poleci do domu. Mam nadzieję, że jesteś zadowolona”. Czułam w tych słowach odrazę – zarówno do mojego byłego chłopaka, jak i do mnie.

Po powrocie do Dubaju zadzwoniłam do mamy Roberta. Chciałam się upewnić, że dotarł do domu. Kobieta była zalana łzami.

– Zagłodzili mi dziecko... Co oni z nim zrobili... – łkała do telefonu. – Wsadzili go do więzienia za nic! A ja myślałam, że on tam do pracy pojechał, do ciebie... Dlaczego mi nie

powiedziałaś?

– Sama o niczym nie wiedziałam. Dopiero teraz dowiedziałam się, że miał być deportowany. Nawet nie wiem za co – skłamałam. Nie chciałam, by zboleła matka, widząc swoje dziecko w kiepskim stanie, usłyszała jeszcze, że sobie na to zapracowało.

– Robert mało mówi, jest jakiś przestraszony... I taki chudy. Ale jeść nie może, tylko pod kroplówkami go trzymają w szpitalu.

Nie sądziłam, że to się tak skończy. Deportacja była wystarczającą karą za zdradę Roberta. Nie chciałam, żeby cierpiał. Ale przecież to nie ja wsadziłam go do więzienia. Nawet z deportacją nie miałam nic wspólnego.

Obiecałam mamie Roberta, że jak tylko będę w Polsce, odwiedzę ich.

– On na pewno się ucieszy – odparła. – Bardzo by mu to pomogło.

Niezależnie od wszystkiego martwiłam się o Roberta i miałam wyrzuty sumienia. Przecież sama prosiłam Mo, żeby go stąd wyrzucił. A w Emiratach obywatele mają w tej kwestii sporo do powiedzenia, nawet tacy zwykli, a co dopiero pociągający za sznurki miliarderzy. Czasami wystarczy skarga Emiraczyka oburzonego zachowaniem jakiegoś przyjeźdnego, by przybysz miał kłopoty, które mogą się skończyć mandatem, deportacją, a nawet więzieniem. Sama miałam okazję się o tym przekonać. Wiem, że Mo zrobił to z miłości do mnie, ale i tak nie mogłam się pozbyć poczucia winy.

Długo się zastanawiałam, jak powinnam postąpić. W końcu napisałam do Roberta: „Słyszałam, co się stało. Bardzo mi przykro. Mam nadzieję, że szybko wrócisz do zdrowia”.

Odpowiedź przyszła dopiero po kilku godzinach: „To wszystko twoja wina, nie udawaj. Nie chcę cię nigdy więcej widzieć!”.

Wciąż bałam się spotkania z Mohammedem. Chyba to przeczuwał, bo dał mi czas na ochłonięcie. Tymczasem zaczęłam sobie tłumaczyć wszystko to, co ostatnio mi się przytrafiło.

Zostałam naga w pokoju hotelowym – cóż, zapewne nie byłam pierwszą nagą laską, jaką widziały ściany tego hotelu.

Z pokoju usunięto wszystkie tkaniny – ale czy na pewno wcześniej tam były?

Nie mogłam ustawić klimatyzacji na wyższą temperaturę – wiele osób nie radzi sobie z tym ustrojem.

Na czole miałam napis – to na pewno był żart; takie rzeczy robi się dla jaj, powinnam wyluzować.

Mój umysł zaczynał działać w sposób zupełnie niezrozumiały, jakby przeciwko mnie. Produkował na zawołanie zupełnie wydumane i nieracjonalne wytłumaczenia, żeby tylko dowieść, że nic takiego się nie stało. To był po prostu dobry dowcip, erotyczna gra.

Najgorsze, że zaczynałam w to wierzyć.

Operatorzy latający z krajów Zatoki Perskiej oferują nie tylko świetne usługi i niskie ceny, ale i bezpieczeństwo. Najbardziej znane i największe arabskie linie lotnicze Emirates nigdy nie miały poważnej katastrofy, choć w dwa tysiące szesnastym roku straciły jeden ze swoich boeingów 777, lądujący w Dubaju po locie z indyjskiego portu Thiruvananthapuram. Przy nieudanej próbie lądowania piloci podjęli decyzję o odejściu, ale nie zdołali tego zrobić. Samolot uderzył z wielką siłą o pas startowy i niemal natychmiast stanął w płomieniach. W katastrofie zginęła jedna osoba, a cztery zostały ranne. Sprawna ewakuacja uratowała życie pozostałym trzystu.

Qatar Airways może się poszczycić równie wysokim wskaźnikiem bezpieczeństwa swoich lotów. W katastrofie lotniczej nie zginął żaden pasażer tych linii, a dwie maszyny spłonęły podczas postoju w hangarach.

Równie bezpieczne są narodowe linie lotnicze Zjednoczonych Emiratów Arabskich, operujące z Abu Dhabi Etihad. W swojej historii straciły tylko jedną maszynę w katastrofie, do której doszło na

lotnisku w Tuluzie we Francji. W wypadku nikt nie zginął, ale airbus A340-600 został całkowicie zniszczony.

Kuwait Airways, mimo historii sięgającej lat pięćdziesiątych, też nie uczestniczył w żadnej poważnej katastrofie. W czasach burzliwych konfliktów w Zatoce Perskiej w latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych samoloty Kuwait Airways były wielokrotnie porywane, ale poza tym najpoważniejsze, co im się wydarzyło, to wypadek z kwietnia dwa tysiące dziewiętnastego roku, gdy masa śniegu uszkodziła nos airbusa A320 podczas podchodzenia do lądowania w Bejrucie.

Jedynymi liniami Bliskiego Wschodu z mniej chlubną statystyką, ale też z najdłuższą historią, są Saudi Arabian Airlines, zwane Saudią. Samoloty Saudii brały udział w kilku katastrofach, niektórych bardzo krwawych w skutkach. W tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym roku w pożarze maszyny na lotnisku w Rijadzie życie straciło trzysta jeden osób. Szesnaście lat później jambo jet Saudii zderzył się w powietrzu z kazachskim iłem. W saudyjskim samolocie życie straciło trzysta dwanaście osób. Mimo tych wstrząsających wydarzeń arabscy operatorzy pozostają jednymi z najbardziej godnych zaufania na świecie.

Do dziś nie do końca rozumiem, jak to się dzieje, że samoloty latają. Teorię znam doskonale. Wiem, że to kwestia czterech zwalczających się sił, ale i tak to dla mnie absolutna magia. Zgodnie z wiedzą, którą podobno zdobyłam na lekcjach fizyki w liceum (dawno zapomniana), a na pewno na szkoleniu na stewardesę (nieogarnięta przez mój mały mózg), siła ciągu silnika musi być większa od siły oporu, a siła nośności – górować nad siłą ciężkości.

To jak wątpliwa przyjemność marszu w bardzo wietrzny dzień. Idąc pod wiatr, musimy użyć naszej siły ciągu i uruchomić silnik, by przechytrzyć opór wiatru. Ale to nie jedyny pojedynek na tej scenie. Jednocześnie wiatr próbuje nas podnieść, a grawitacja i nasz ciężar mocują nas na ziemi – i z reguły wygrywają. Silniki samolotu muszą swoim ciągiem pokonać opór powietrza, a jednocześnie mieć taką nośność, by przeważała ciężar maszyn. A potem to już leci. Dosłownie.

Ze szkolenia zapamiętałam jeden cytat, który chyba najlepiej podsumowuje tajemnicę latania: „Samolot lata, bo nie ma czasu spać”⁵⁴. Można by dodać, że nie ma czasu spać dzięki swoim silnikom. Są po prostu silniejsze od wszystkich oddziałujących na niego sił.

Niestety nie zawsze jest to prawda. I choć samoloty to z reguły bardzo bezpieczne maszyny, czasami spadają z nieba, powodując olbrzymi ból u tych, którzy pozostają na ziemi.

W gronie załóg latających wszystkich linii lotniczych panuje ogromna solidarność. Gdy dochodzi do katastrofy – gdziekolwiek na świecie – wstrząsa ona każdym z nas. Każde życie utracone na pokładzie samolotu jest stratą, ale śmierć członków załogi dotyka nas szczególnie, bo to nasi koledzy i koleżanki. Niezależnie od tego, czy się znamy ani w jakich barwach latała feralna maszyna. Portale społecznościowe pękają w szwach od kondolencji, ale te od załóg zawsze mają nieco inną wagę. Nie znaczy to, że wsiadając do samolotu, myślimy o katastrofach. Przeciwnie. Załogi są po to, by do nich nie dochodziło. I sądząc po statystykach wypadków arabskich linii lotniczych, odwalają kawał świetnej roboty.

Pamiętam, że gdy we Francji spadł na ziemię samolot Germanwings ze stu pięćdziesięcioma osobami na pokładzie, spotkaliśmy się w naszym apartamencie. Byliśmy wstrząśnięci. Zdarzało się już w takich sytuacjach, że spotykaliśmy się na posępne rozmowy, siedząc przy zapachowych świeczkach z Ikei, ale tym razem było jakoś inaczej. Z większym strachem. Z niepewnością. Ten wypadek został bowiem spowodowany umyślnie – przez jednego z członków załogi. Gdy wina leży po stronie technicznej, gdy powodem są złe warunki albo nawet przyczyn nie da się wyjaśnić, sprawa jest dużo prostsza. Gorzej, gdy sprawny samolot lecący w doskonałych warunkach pogodowych rozbija się na życzenie członka załogi. Maszyna leciała z Barcelony do Düsseldorfu, a lot zakończyła we francuskich Alpach, gdy pierwszy oficer, wykorzystując nieobecność kapitana, zamknął się w kokpicie i celowo

sprowadził samolot na ziemię. Okazało się, że mężczyzna cierpiał na chorobę psychiczną i postanowił w ten sposób skończyć ze sobą. Był samobójcą, a przy okazji został masowym mordercą. To właśnie ten wątek wstrząsnął nami najbardziej. Znamy wielu pilotów i są to ludzie bardzo rozsądni i godni zaufania, ale nigdy nie wiadomo, co się kryje w zakamarkach ludzkiego umysłu. Dla mnie w tamtym czasie było to szczególnie zastanawiające, bo niemal codziennie myślałam o tym, czy wszystko ze mną w porządku. Wiele rzeczy mi się wydawało, wiele rzeczy pamiętałam inaczej, często nie byłam pewna, co wydarzyło się naprawdę, a co było tylko projekcją lub snem. A przecież zdawałam się być zupełnie normalna...

49 Kod międzynarodowego lotniska w Bostonie.

50 Centra Kontroli i Profilaktyki Chorób.

51 Z ang. – *Middle East respiratory syndrome* – bliskowschodni zespół oddechowy, szybko postępująca choroba wywołująca zapalenie płuc. Związano ją z Bliskim Wschodem ze względu na teorię, że wirus wziął się prawdopodobnie z mleka lub moczu wielbłądów. Choroba jest uleczalna, choć bywa śmiertelna.

52 Małe płytki terakoty pomalowane i pokryte szkliwem, ułożone w geometryczne wzory z matematyczną precyzją.

53 Z ang. – Czekaj.

54 Za: Orville Wright.

ROZDZIAŁ 12

Koledzy

Oczywiście wbrew temu, co sobie obiecywałam, wkrótce spotkałam się z Mo. Kilka kolejnych randek było tak cudownych, że sytuacja z Shangri-La zaczęła mi się wydawać wydumanym przeze mnie koszmarkiem. Owszem, wiedziałam, że to się wydarzyło, ale już tak nie dramatyzowałam. Mohammed znowu mnie oczarował – nie byłam już w stanie dłużej mu się opierać. Było tak jak dawniej. A nawet lepiej...

– Chciałbym, żebyś poznała mojego ojca i braci – powiedział któregoś razu. – Jesteś dla mnie bardzo ważna i myślę, że już czas, byś spotkała moją rodzinę.

Kompletnie mnie zaskoczył. Ale nie mogłam odmówić, przecież nie tak dawno właśnie tego się domagałam. Chciałam, żeby się określił, powiedział, co nas czeka w przyszłości – i czy w ogóle mamy jakąś przyszłość.

Przedstawienie rodzinie swojej dziewczyny to ważny krok. Byłam jednak zaskoczona tym, że Mo mówił tylko o swoim ojcu i braciach. To przeczyło zasadom arabskiego domu. W Europie nie ma nic dziwnego w tym, że chłopak przedstawia swoją wybrankę rodzinie. Na Bliskim Wschodzie to niemal nie do pomyślenia. Ale Mohammed wymykał się wszelkim standardom. Pomyślałam, że to pewnie dlatego, że zarówno jego ojciec, jak i bracia uczyli się na europejskich uczelniach. Zachodnie zwyczaje nie były im obce.

– Będę zaszczyczona, chociaż bardzo się boję – przyznałam.

– Nie ma czego! Mój ojciec potrafi być surowy, ale jestem przekonany, że dla ciebie taki nie będzie. A moi bracia na pewno z miejsca cię polubią, to fajne chłopaki.

– Dobrze zatem. Musisz mi jednak wszystko opowiedzieć, żebym nie zrobiła z siebie głupka. I żebym nie przyniosła ci wstydu.

– Niczym się nie przejmuj. Pojedziemy do nich w piątek. Nie masz wtedy lotu.

– Skąd wiesz? – Wcześniej pewnie nie zareagowałabym na takie zdanie, ale ostatnio byłam bardziej czujna. Podświadomie chciałam go przyłapać na manipulacji.

– Głupiutki bąbelek, od ciebie. A niby skąd mam wiedzieć – odparł Mo z uśmiechem. – Przecież zawsze mi mówisz, kiedy jesteś w Dubaju, żebyśmy mogli się spotkać.

Fakt, często mówiłam mu, jaki mam rozkład lotów, kiedy umawialiśmy się na randki. Ale tym razem kompletnie nie mogłam sobie tego przypomnieć. Chociaż może faktycznie mu powiedziałam... To, że nie pamiętam, nie znaczy jeszcze, że on kłamie. Nie mogę popadać w paranoję.

Do piątku czekał mnie jeszcze jeden lot, z którego miałam wrócić w czwartek nad ranem. Idealny czas, by się wyspać i nie straszyć twarzą zombi.

– Czyżby pan Mohammed miał zamiar się oświadczyć? – zapytała Kale, gdy powiedziałam jej o zaproszeniu do rodzinnego domu Mo.

– Nie wiem. Tacy jak on chyba nie potrzebują do tego asysty rodziny. Ale kto wie...

– A jeśli się oświadczy, to co odpowiesz?

Nie miałam pojęcia. Życie u boku przystojnego i bogatego mężczyzny jest oczywiście miłą wizją i jeszcze jakiś czas temu nie zastanawiałabym się nad tym zbyt długo, ale teraz nie byłam pewna.

– Chyba się zgodzę – szepnęłam jak uczennica nieprzygotowana do lekcji.

– Jesteś pewna?

– Oczywiście, że nie. Ale nie chcę go stracić. Poza tym to chyba byłoby trochę nie fair wobec niego. Najpierw zmuszam go, żeby się określił, a teraz miałabym go odrzucić?

– Cóż, sytuacja nieco się zmieniła...

– Jeśli masz na myśli Shangri-La, to chyba zbyt emocjonalnie to wszystko przedstawiłam. Nie byłam sobą, to wcale nie było takie straszne. Poza tym on przecież nie zamknął mnie w tym pokoju, wcale mnie tam nie więził.

– Jasne. On tylko zabrał ci ubranie.

– Jesteś na niego cięta. – Zaczynałam się irytować. – Spróbuj się cieszyć moim szczęściem. A teraz chodź, pomożesz mi znaleźć w szafie coś, co będzie się nadawało na wizytę u potencjalnego teścia.

Zarzuciłam Kale toną ciuchów, ale nic nie spełniało warunków. Nie było wystarczająco wyjątkowe i skromne za razem. Garderoba nas pokonała.

– Zajmę się tym po powrocie – stwierdziłam. – Może w pracy wpadnie mi do głowy jakiś pomysł.

Oczywiście okazało się, że moim strojem zajął się Mo...

Gdy tylko pojawiłam się w hallu budynku, podbiegł do mnie Gupta i bez słowa, za to z szerokim uśmiechem, wręczył mi elegancką torbę. Dobrze wiedziałam, co w niej jest. Sukienka była przepiękna. Czarna, obcisła i nieprawdopodobnie seksowna. Czy Mo naprawdę chciał, żebym tak się zaprezentowała jego ojcu? Fakt, wyglądałam wystrzałowo, ale kreacja zdecydowanie bardziej nadawała się na szampańską imprezę niż na kolację z ojcem i braćmi ukochanego. Ale przecież to Mohammed ją wybrał; chyba wiedział, co robi.

Mimo że było sporo przed południem, położyłam się spać. Byłam skonana. Poza tym bardzo chciałam wyglądać dobrze, a wiadomo, że sen to najlepszy kosmetyk. Obudziłam się przed dziewiątą wieczorem. Mój telefon pokazywał kilkanaście nie-odebranych połączeń od Mo. Czy naprawdę spałam tak głęboko, żeby nie słyszeć telefonu? Możliwe. Tylko dlaczego tak się do mnie dobijał? Z reguły, gdy nie był w stanie się dodzwonić raz, czekał na mój telefon. Komórka zadzwoniła ponownie, zanim zdążyłam wybrać jego numer.

– Gdzie ty jesteś? – usłyszałam.

– U siebie. Co się stało? – odparłam zaskoczona i zasnana.

– Kpisz sobie ze mnie?!

– Mo? O co ci chodzi?

Nic z tego nie rozumiałam. Czy byliśmy dziś umówieni? Nie. Dokładnie pamiętam. Dziś jest czwartek. Kolacja w domu jego ojca miała być w piątek.

– Żarty sobie ze mnie stroisz? – Brzmiał coraz bardziej agresywnie.

– Mo, kochanie... naprawdę nie wiem, o czym mówisz. Błagam, powiedz mi...

– Ty chyba straciłaś rozum. Najpierw jęczysz, że nie traktuję cię poważnie, a gdy zapraszam cię do rodzinnego domu, po prostu to olewasz! Okazujesz całkowity brak szacunku nie tylko mnie, ale też mojemu ojcu i braciom.

– Ale, Mo... ta kolacja przecież miała być jutro...

– Ty serio zwariowałaś. Chyba wiem, na kiedy się umawialiśmy.

– Ja też... Pamiętam to dokładnie!

– Niczego nie pamiętasz. Nie pamiętasz i masz to wszystko w nosie. Jak mogłaś mi to zrobić...

– Po tych słowach Mohammed się rozłączył.

Nie wiedziałam, co zrobić. Sprawdziłam. Nadal był czwartek. Nie przespałam całej doby. Jak mogło dojść do tego koszmarnego nieporozumienia? Czy naprawdę tracę rozum?

Przez kolejne godziny, łkając, próbowałam się dodzwonić do Mo. Nie odebrał ani nie oddzwonił. Zdezorientowana i zapłakana w końcu zasnęłam.

Nad ranem obudził mnie sygnał przychodzącej wiadomości. Sięgnęłam po telefon. Pisał Mo: „Przyjedź dziś do mnie. Samochód będzie o 19.00”.

Wybaczył mi! Pewnie wytłumaczył jakoś ojcu moją niesubordynację i jednak będę miała szansę poznać jego rodzinę.

Byłam gotowa punktualnie. Wsiadłam do podstawionego samochodu i nieco ponad dwadzieścia minut później pojawiłam się w lobby budynku, w którym mieszkał Mohammed. Niemal każda z moich wizyt tutaj wiązała się z olbrzymimi emocjami. To tu zacięłam się w windzie, tu przyjechałam wkurzona na Mo, gdy dowiedziałam się o Amal... Teraz też towarzyszyło mi ogromne napięcie. Nie wiedziałam, jak przywita mnie Mo. Nie chciał ze mną rozmawiać, wysłał tylko zdawkową wiadomość.

Wjechałam na górę, a ponieważ nikt nie stał przy drzwiach windy, weszłam dalej i znalazłam się w jego salonie.

Siedział na sofie, tyłem do wejścia. Ani drgnął, słysząc moje wystukiwane szpilem kroki. Obeszłam sofę i stanęłam naprzeciw niego.

– Musisz mi uwierzyć – odezwałam się pokornie – naprawdę byłam przekonana, że spotkanie z twoim ojcem jest dziś.

Patrzył na mnie w milczeniu, obracając szklankę w zgrabnych dłoniach. Było w niej kilka łyków whisky. Patrzył na mnie długo. Przyglądał mi się, jakby widział mnie po raz pierwszy. Marszczył czoło. Myślał. A ja czułam się zakłopotana i zbita z tropu.

– Masz rację, muszę ci uwierzyć – powiedział wreszcie. – Nie mam wyjścia. Choć przyznam, że bardzo mnie rozczarowałaś. Jak można być tak rozkojarzonym?

– Nie wiem, kochanie. To pewnie przez tę pracę. Czasami tak jest, że nie wiem, gdzie się budzę, mam cholerny jet lag. Ale teraz byłam przekonana, że dobrze zapamiętałam. Przecież jeszcze nigdy nie przegapiłam naszego spotkania!

Mohammed nadal mi się przyglądał.

– Usiądź – rzucił sucho. – Napijesz się czegoś?

Wzięłam to za koniec wojny. Uśmiechnęłam się.

– Chętnie. Zdam się na ciebie.

Wyszedł z salonu, by po chwili wrócić z lampką martini, a co najważniejsze – z uśmiechem.

– Co ja z tobą mam! Przez to, że zawróciłaś mi w głowie, same kłopoty – powiedział, siadając obok mnie.

Bałam się spytać o plany na wieczór: czy pojedziemy do jego rodzinnego domu, czy może zjemy kolację tutaj. Siedzieliśmy na sofie przytuleni, a ja, próbując pożegnać olbrzymi stres, który towarzyszył mi przez ostatnią dobę, opróżniłam trzy lampki martini. Przyjemnie szumiało mi w głowie, a szczęście powoli wracało. Znowu byłam blisko mojego ukochanego i w sumie było mi wszystko jedno, czy poznam dziś jego rodzinę. Był dla mnie najważniejszy i bardzo nie chciałam, żeby się na mnie gniewał. Mo nigdy mnie nie uderzył, ale jego złość bardzo bolała.

Było mi dobrze i błogo. Zasnąłam oparta o jego ramię.

Tej nocy miałam okropny sen.

Było ich trzech, a z nimi Mo. Widziałam wszystko jakby w letargu, nie mogłam do końca otworzyć oczu. Czułam się taka słaba. Zupełnie wiotka. Moje mięśnie w ogóle nie miały mocy, a głowa straciła nad nimi kontrolę. Widziałam ich twarze. Każdego z nich. Jednego po drugim. Miałam wrażenie, że rozrywają moje wnętrze. Szarpali mną, jakby chcieli obudzić. Pewnie zemdlałam, a oni mnie ratują. Próbowалам zareagować. Dać im znak, żeby przestali, że to boli. Ale nie byłam w stanie.

Chwilami odpływałam. Gdy wracałam, za każdym razem widziałam przed sobą inną twarz. Czekałam na Mo. Gdzie on jest? Był tu przecież. Przy nim na pewno nic mi nie grozi. Kim w ogóle są ci mężczyźni? I co oni robią? Dlaczego tak mnie szarpia? Dlaczego tak popychają? Czułam na sobie ciężar każdego z nich. Niech już przestaną... O, pan doktor! Dzień dobry, nic mi nie jest, dziękuję, już czuję się lepiej. Ale dlaczego nie ma pan na sobie koszuli?

A! to tak bardzo boli! Okolice mojego podbrzusza ogarniał coraz większy palący ból. Chciałam za nie złapać, by go uśmierzyć, ale nie byłam w stanie. I kolejna nowa twarz. Nie, to chyba Mo... Ale jakiś inny. Taki groźny, czerwony, jakby czymś bardzo się męczył. Zasłonił mi dłonią oczy. Nie chciał,

żebym go takim widziała.

Obudziłam się na sofie. Niemal w takiej samej pozycji, w jakiej zasnęłam. Mo przy mnie nie było. Byłam przykryta miękkim kaszmirowym pledem w popielatym kolorze. Ból głowy doprowadzał mnie do mdłości, a gdy się poruszyłam, poczułam, że boli mnie całe ciało. Zupełnie jakbym przebiegła maraton albo uczestniczyła w jakiejś intensywnej ulicznej bójce. Bolało mnie dosłownie wszystko. A potem wróciło wspomnienie tego okropnego snu. Rzadko pamiętam sny, ale ten utkwiał w mojej głowie. Nadal odczuwałam ból, który we śnie zadawali mi ci mężczyźni.

Powoli zwlekłam się z sofy na podłogę. Jej przyjemny chłód kołło moje zbolące ciało. Głowa z każdą chwilą przytomniała. Po jakimś czasie byłam gotowa, by wstać. Marzyłam o prysznicu. Powoli doczłapałam do łazienki. Weszłam pod prysznic i odkręciłam wodę. Strumienie zaczęły spływać po moim ciele, łagodząc, ożywiając, budząc. Miejscami sprawiały mi ból. Spojrzałam po sobie. Na skórze miałam drobne otarcia i zaczerwienienia. Nic poważnego, ale przy zetknięciu z wodą i mydlinami piekły nieprzyjemnie. Nie wiedziałam, skąd się wzięły. To niesamowite, jak zwykły sen może wpłynąć na ciało. Ludzka psychika jest nieodgadniona, potrafi się odbić na kondycji fizycznej w najmniej oczekiwany sposób.

Prysznic przywrócił mnie do żywych. Nadal byłam obolała, ale już całkiem przytomna. Wytarłam się, nałożyłam szlafrok Mo i wyszłam z łazienki, by go poszukać. Nie musiałam iść daleko. Stał pod oknem na końcu białego korytarza. Wyglądał, jakby się wyłaniał ze światłości. Podeszedł i pocałował mnie w usta.

– Brakowało mi cię dzisiaj w łóżku – powiedział.

– Nawet nie wiem, kiedy zasnęłam.

– Spałaś jak zabita. Nie chciałem cię szarpać. Ta sofa jest bardzo wygodna. Sam nie raz na niej zasnąłem. Dlatego pomyślałem, że tej nocy muszę się pogodzić z samotnością.

– Przepraszam, nie wiem, jak to się stało. Wydawało mi się, że odespałam lot, ale chyba niewystarczająco.

Spędziliśmy ten dzień na pełnym luzie i bardzo blisko siebie. Nie zdecydowałam się podjąć tematu kolacji z rodziną Mohammeda. Wydawało się, że jest już zamknięty. Tym samym straciłam prawo do domagania się deklaracji dotyczących naszego związku.

Zdecydowałam, że w czasie kilkudniowej przerwy w pracy polecę do Polski. Dawno nie widziałam babci, tęskniłam za Maćkiem. Potrzebowałam resetu z dala od pustyni. Miałam też nadzieję, że uda mi się wyjaśnić sprawę z Robertem.

Babcia Pysia czekała z moimi ulubionymi plackami ziemniaczanymi z gulaszem. Nie mogłam się nimi najeść. Jadłam z głodu, a gdy już go zaspokoiliłam, wcinałam kolejne z czystego łakomstwa. To były najlepsze placki na świecie. Nawet najbardziej wykwintne danie nie może się z nimi równać.

– Jedz, kochana, bo ty jesteś takie chuchro, że niedługo mi cię w tych samolotach zmiecie – zachęcała babcia, choć wcale nie musiała mnie namawiać.

Po plackach na stół wjechały moje ulubione słodczyce z miejscowej fabryki czekolady. Babcia doskonale wiedziała, jak mi dogodzić.

Spędziłam z rodziną cudowny czas, ale wciąż prześladowała mnie myśl o Robercie. Czy nadal mnie nienawidzi? Ja byłam gotowa zapomnieć o wszystkim, co mi zrobił. Chyba już odpokutował swoje winy.

Zgodnie z obietnicą zadzwoniłam do jego mamy.

– Robuś jest już w domu – oznajmiła. – Wypuścili go kilka dni temu. Fizycznie z nim lepiej, ale psychicznie nie do końca... Strasznie jest przygnębiony. Ucieszyłby się, jakby cię zobaczył.

– Nie sądzę – odparłam. – Ale chętnie go odwiedzę.

– Co też, kochana, opowiadasz! Oczywiście, że się ucieszy.

Ucieszył się. Nawet bardzo, co w sumie mnie zaskoczyło. Przytulił mnie tak mocno, jakby od miesiący usychał z tęsknoty. Faktycznie nieco usechł. Był dużo chudszy niż wtedy, gdy widziałam go po raz ostatni.

– Dobrze cię widzieć... – wyszeptał w moje włosy, jakby ktoś nas podsłuchiwał.

– Myślałam, że jesteś na mnie zły.

– Dlaczego miałbym być zły? – nadal szeptał.

– No wiesz, ten SMS... Ale zrozum, to naprawdę nie była moja wina.

– Oczywiście, że nie była. To jakieś tragiczne nieporozumienie. Musieli mnie wziąć za kogoś innego. Szkoda tylko, że zreflektowali się po trzech miesiącach. Nawet nie przeprosili. Pewnego dnia po prostu mnie wypuścili i w kajdankach zawlekli prosto do samolotu. – Robert mówił o tym z dziwnym spokojem, już nieco głośniej. – Ale czekaj, o jakim SMS-ie mówisz?

– O tym, w którym napisałeś, że nie chcesz mnie nigdy więcej widzieć, że to wszystko moja wina...

– Ale ja nigdy nic takiego nie napisałem! Jakbym mógł? Przecież to jakaś bzdura. Wiem, że to nie twoja wina, a widywać chciałbym cię codziennie. Aniu, to dla ciebie chciałem zdobyć pracę w tym cholernym Dubaju!

– Robert, proszę, nie udawaj... Przecież to nie pierwszy dziwny SMS, który od ciebie dostałam. Myślisz, że nie wiem, że to ty wysłałeś tę koszmarną wiadomość o śmierci babci? A potem ten okropny sfingowany film porno! Jak mogłeś tak manipulować moimi uczuciami? I jeszcze wciągać w to moją rodzinę, przyjaciół? Co ci to dało poza jakąś chorą satysfakcją?

Robert stał jak zamurowany. Pewnie się nie spodziewał, że o tym wszystkim wiem. Milczał przez chwilę, a potem, zgodnie z moimi przewidywaniami, zaczął zaprzeczać. Nie chciałam tego słuchać. I chyba jednak nie byłam w stanie mu wybaczyć.

Pospiesznie pożegnałam się z jego mamą i wróciłam do domu babci. Tego wieczoru Robert dzwonił do mnie kilkadziesiąt razy. Nie odebrałam.

Babcia wiedziała, że coś jest nie tak. Zawsze doskonale potrafiła wyczuć moje nastroje.

– Wiesz, wnusiu – powiedziała mi wtedy – kiedy jesteśmy bardzo pewni prawdy, czas się zastanowić, czy przypadkiem nie jest ona kłamstwem.

Wróciłam do Dubaju w średnim humorze. Podczas urlopu spędzonego z babcią i Maćkiem oczywiście naładowałam baterie, ale sytuacja z Robertem nie wpłynęła na mnie dobrze. Potrzebowałam Mo, ale niestety ArabAir potrzebowało mnie dużo bardziej. Leciałam do Sydney. Napisałam do niego, a on obiecał, że zaraz po moim powrocie spotkamy się na randce, jakiej jeszcze nie przeżyłam. Nie potrzebowałam fajerwerków, chciałam po prostu się znaleźć w jego ramionach. Ale byłam ciekawa, co mu chodzi po głowie. Mo przecież potrafił zaskakiwać.

Pasażerowie zostawiają w samolotach rozmaite przedmioty, czasem potrafią naprawdę zadziwić. Laptopy, telefony, okulary i bagaże to banał. Zdarzają się strzykawki, prezerwatywy, wspomniane już wibratory, ale to też już nie szokuje. Bardziej zastanawia mnie, jak można zapomnieć o peruce, protezie ręki czy własnym dziecku. A nie są to odosobnione przypadki. Okazuje się jednak, że zapominalstwo zdarza się też załodze. Do dziś nie wiem, jak doszło do tego, że gdy opuściliśmy samolot w Sydney, na pokładzie został... pasażer.

Cała pierwsza klasa zarezerwowana dla młodego księcia z Bahrajnu. Księżę podróżował ze swoją świtą – trzema pięknymi, wysokimi męskimi prostytutkami z Czech. Dostaliśmy jasny komunikat, że nie życzą sobie, by im przeszkadzano, ale byli bardzo mili. Nie mieliśmy nic przeciwko. Pasażerowie pierwszej klasy płacą za bilety tak niebotyczne pieniądze (za wynajęcie pierwszej klasy na lot z Dubaju do Sydney można w Warszawie kupić pięćdziesięciometrowe mieszkanie), że mają prawo wymagać. A gdy takie bilety kupują hurtowo, trudno dyskutować. Zwłaszcza że tutaj wymagania były

dość proste do spełnienia.

Chłopcy bawili się świetnie i głównie nago, od czasu do czasu któryś z nich przemycił korytarzem, zasłaniając dłonią swoje klejnoty. Wezwali nas może ze dwa razy – gdy skończył się im szampan i gdy zgłodnieli. Pod koniec lotu wszyscy zasnęli, a tuż przed lądowaniem, już ubrani i pełni energii, gotowi byli na swoje australijskie wakacje. Po wylądowaniu pożegnaliśmy ich, życząc miłego pobytu. I właśnie wtedy pojawiły się kłopoty...

Gdy cała załoga opuściła pokład, szybkim krokiem (na *lay-over* w Sydney nie marnuje się czasu na zbędne formalności) ruszyliśmy w kierunku kontroli paszportowej. Po kilku minutach marszu przez terminal dopadła nas zmachana Azjatka z serwisu sprzątającego. Ledwo łapiąc powietrze, wydusiła:

– Pasażer... W samolocie... Pasażer...

Nogi się pode mną ugięły. Zawróciliśmy i pędem ruszyliśmy przez korytarz lotniska. Drzwi do kabiny nadal były otwarte. Gdy wpadliśmy do środka, okazało się, że na podłodze w łazience, zamkniętej przez nas przed lądowaniem, w niemal akrobatycznej pozycji śpi nasz książę z nosem przypudrowanym kokainą. Ponieważ sprawa była poważna, a w grę wchodziły narkotyki, wezwano medyków i straż graniczną.

– Ma przechłapane – rzucił ktoś z załogi, gdy czekaliśmy na odpowiednie służby.

– My też – mruknęłam.

Ale szczęśliwie wszystko rozeszło się po kościach. Szefowa pokładu postanowiła, że puszczamy to w niepamięć, zwłaszcza że sprawie i tak z pewnością ukręca łeb. Tak też się stało. Książę otrzeźwiał jeszcze na pokładzie i opuścił go o własnych siłach. Wprawdzie w towarzystwie straży granicznej, ale jeszcze zanim odebrałyśmy nasze bagaże, odzyskał wolność. Miał dyplomatyczny paszport i wystarczającą ilość pieniędzy, by drobny nałóg kokainowy nie zepsuł mu wakacji.

Orgie w samolotach to znany wśród arabskiej arystokracji fetysz. Jak już wspomniałam, wysokość potęguje moc uniesień. Kiedy pierwsza klasa jest zarezerwowana dla jednego pasażera – i nie jest to jakiś bogaty mąż ze swoimi żonami – załoga może być niemal pewna, że będzie musiała sprzątnąć zużyte prezerwatywy i woreczki strunowe ubrudzone białym proszkiem. Na arabskich imprezach potrzebna jest też często żywa gotówka, ta zaś może się skończyć nawet bogaczom bez dostępu do bankomatu. Miałam kiedyś pasażera, który bełkocząc po ostrym przedawkowaniu Dom Pérignon, próbował wypłacić pieniądze z defibrylatora. Był pewny, że znak AED (*automated external defibrillator* – zautomatyzowany defibrylator zewnętrzny) oznacza walutę. Tak się składa, że emiracki dirham ma taki sam symbol. Przekonanie go, że na pokładzie nie ma bankomatu, nie było łatwym zadaniem, ale na szczęście pasażer należał do tych bardziej spolegliwych i ostatecznie, ku wielkiemu rozczarowaniu zaproszonych przez niego pań lekkich obyczajów, odpuścił.

Kilka dni później spotkaliśmy się z Mo w Dubaju w BurJuman. Zjedliśmy kolację, a później pojechaliśmy do niego. W apartamencie czekała na mnie zapowiedziana niespodzianka. Nie byliśmy sami. W salonie siedziało trzech świetnie ubranych, przystojnych mężczyzn.

– Anno, poznaj, to moi przyjaciele.

Mo przedstawiał ich kolejno. Wszyscy na mój widok wstali. Mimo że byli Arabami, każdy podał mi rękę. Byłam pod wrażeniem ich europejskich manier. Wszyscy wydali mi się dziwnie znajomi. Wiedziałam, że znam ich twarze, choć tylko jednego z nich faktycznie rozpoznałam – lekarza z Tajlandii. Tego samego, który pomógł mi dojść do siebie po zatruciu.

– My już się znamy – powiedziałam, gdy przyszedł jego kolej na przedstawienie się. – Bardzo dziękuję za pomoc wtedy, w Tajlandii.

– Och, wierz mi, cała przyjemność po mojej stronie – odparł.

– Nie wiedziałam, że się znacie z Mo. Myślałam, że pracujesz w Hiltonie.

– Powiedzmy, że to stara przyjaźń. Pomagamy sobie nawzajem. – Uśmiechnął się ujmująco.

Byłam zaskoczona, że Mo zaprosił kumpli na naszą randkę, ale nie narzekałam. Zanosiło się na bardzo miły wieczór.

Dwie lampki wina później bawiłam się przednio. Było dużo śmiechu i miliony komplementów. Oni wszyscy wydawali się wycięci z katalogu. Ubrani w perfekcyjne garnitury szyte na miarę, nonszalancko rozpięte białe koszule, doskonale podkreślające naturalny oliwkowy kolor ich skóry. Białe zęby, szerokie uśmiechy, pełna klasa. Robili naprawdę świetne wrażenie i idealnie pasowali do mojego Mo.

W salonie grała muzyka, a na olbrzymim ekranie na jednej ze ścian migały jakieś obrazki. Przez dłuższy czas nawet na nie nie zerkiałam, aż w pewnym momencie coś przykuło moją uwagę. Nie mogłam uwierzyć w to, co widzę...

Doskonała zabawa w jednej chwili zmieniła się w koszmar. Wlepiałam osłupiały wzrok w ekran, na którym pojawiały się obrazy z moich snów. Najpierw te z Tajlandii... Mohammed i lekarz w miłosnych uniesieniach z kilkoma wijącymi się wokół nich Tajkami. A potem mężczyźni z tego drugiego snu, ci, którzy mnie szarpali... Wszystko stało się jasne. Wiedziałam już, skąd ich znam. Siedziałam w towarzystwie mężczyzn z mojego kosmaru. Oglądałam film pornograficzny ze swoim udziałem. Ci eleganccy dżentelmeni, zupełnie nadzy, wchodzili we mnie nieprzytomną jeden po drugim. Gwałcili mnie, zmieniając się co jakiś czas. To, co wydawało mi się szarpaniem w półśnie, było regularnym gwałtem, dokonany po tym, jak odurzona straciłam świadomość.

Pozwalali, bym wpatrywała się w ekran jak zahipnotyzowana. Nie przeszkadzali mi. W pewnej chwili wezbrała we mnie nieprawdopodobna złość. Zrozumiałam, co robił Mo. Zerwałam się z miejsca.

– Ty skurwielu! – wrzasnęłam.

Wtedy poczułam ukłucie. Ostatnie, co zobaczyłam, to igła strzykawki wbita w moje ramię przez lekarza.

Obudziłam się w łóżku Mo. Jego uśmiech na powitanie miał spowodować, że o wydarzeniach poprzedniego wieczoru będę myślała jak o koszmarnym śnie. Ale tym razem doskonale wiedziałam, że to nie był sen.

Zastanawiałam się przez chwilę, czy wykrzyczeć mu to, co o nim myślę, czy może udawać głupią i nadal grać w jego grę. Druga opcja wydała mi się zdecydowanie bardziej bezpieczna. Może uda mi się uśpić jego czujność i zdobyć tym samym przewagę. Uśmiechnęłam się z trudem.

– Wyspana?

– Spałam jak zabita. Nawet nie pamiętam, kiedy wyszli goście.

– Faktycznie, zasnęłaś na sofie. Ale nie przejmuj się, raczej się nie obrazili.

No pewnie, że nie, bo zapewniłeś im darmową dziwkę, gnoju!

– Co chcesz dziś robić, moja księżniczko? – Mo nachylił się i pocałował mnie w czoło.

– Dziś, mój książę, muszę wracać do siebie. Mam wieczorny lot do Kolombo.

To była moja szansa, by zniknąć z jego koszmarnego domu i życia.

– Nie masz – odparł. – Załatwiłem, że nie masz.

– Jak to załatwiłeś?

– Normalnie. Nie lecis. Nie musisz nigdzie uciekać. Nie cieszysz się?

Czy się cieszę? Byłam przerażona.

– Jasne, jestem tylko zaskoczona. Nie wiedziałam, że masz takie możliwości.

– Jeszcze wielu rzeczy o mnie nie wiesz.

Wiem więcej, niż ci się wydaje, chory skurwysynu!

– A dowiem się? – zapytałam, nieudolnie ukrywając swoją niechęć.

– Wszystko w swoim czasie.

– Zawsze tak mówisz, ale ten czas nigdy nie nadchodzi.

– Czyżbyśmy wracali do tematu? Wiesz, że gdy chciałem cię poznać z moim ojcem, nawaliłaś. Do dziś nie mogę go przekonać do kolejnego spotkania.

Pieprzony manipulator! W tamtym momencie byłam już pewna, że żadnego spotkania miało nie być; on po prostu wmówił mi, że źle zapamiętałam daty.

– Tak, wiem, ciągle mi głupio za to, że wtedy nawaliłam. – Grałam, ciągle grałam. – Ale cieszę się, że wczoraj poznałam twoich przyjaciół.

– Oni też cię polubili.

– Wydawali się znajomi...

– Aymena poznałaś w Tajlandii.

– Aymen to ten lekarz, tak?

– Owszem, najlepszy w swoim fachu.

Jasne, specjalizacja: diler narkotyków.

– Pozostali dwaj też nie wydawali mi się obcy. Nie mogę sobie przypomnieć, skąd ich znam. Ale to wróci... Czasami tak mam: zapominam, a potem wszystko wraca.

Mohammed zamilkł. Czyżby potraktował moje słowa jak przestrożę? I słusznie.

– Więc co dziś robimy? – zapytał po dłuższej chwili.

– Może skoczmy na zakupy? To świetnie relaksuje – zaproponowałam.

– Co tylko sobie życzysz.

Skoro traktował mnie jak dziwkę, postanowiłam odebrać swoją wypłatę. To była jedyna zemsta, na jaką było mnie wtedy stać. Nie żeby to w jakikolwiek sposób zagrażało jego finansom, ale przy okazji osiągnęłam dodatkowy skutek. Tak potwornie zmęczyłam go zakupami, że sam z wielką chęcią odwiózł mnie do domu. Wtedy jeszcze nie wiedział, że jestem świadoma jego intrygi. Zakupy uśpiły jego czujność. To był absolutny przełom. Zrozumiałam, z kim mam do czynienia. Byłam już pewna, że mój książę z bajki to perwersyjny psychopata. Ale nie wiedziałam jeszcze, do czego naprawdę jest zdolny. Zaczęła się między nami gra. Wkrótce to on znowu był w niej górą.

CZĘŚĆ III

ROZDZIAŁ 13

Układ

Dopiero gdy znalazłam się w swoim pokoju, pozwoliłam sobie na łzy. Wylałam ich całą rzekę. I dopiero wtedy wszystko odpuściło. Moja praca nauczyła mnie zakładać maski, ale zdejmowanie ich zawsze wiązało się z bardzo gwałtownymi reakcjami. Tej nie mogłam opanować. Zostałam zgwałcona przez mojego faceta i jego kolegów. Od dłuższego czasu odurzał mnie i wykorzystywał w niewiarygodnie cyniczny sposób. Odurzał mnie, a gdy miałam przebłyski świadomości, próbował mnie przekonać, że te koszmarnie sceny, które do mnie docierały, były tylko złym snem. Bawił się mną. Manipulował. Tym razem jednak mu się nie udało. Gdy minęła pierwsza fala rozpaczy, zaczął mi wracać rozum. Przypominałam sobie wszystkie sytuacje, w których postawił mnie Mo.

Nagle pomyślałam o Robercie. Boże! Przecież film, który rzekomo wysłał mi z telefonu Kale, poprzedniej nocy widziałam na ekranie w salonie Mohammeda! On naprawdę nie miał nic wspólnego z tymi manipulacjami. Musiałam mu to natychmiast powiedzieć, najlepiej osobiście. Chciałam go przeprosić i pragnęłam, by mnie przytulił. Czułam się taka samotna wobec tego, z czym musiałam się zmierzyć.

Sprawdziłam w systemie mój *schedule55*. Mo ewidentnie miał wobec mnie plany, bo przez kolejne sześć dni nie miałam żadnego lotu. Byłam pewna, że to za jego sprawą wszystkie dyżury zniknęły. Postanowiłam, że polecę do Polski. Natychmiast. Robert był jedyną osobą, która w jakikolwiek sposób mogła mi pomóc wydostać się z tej opresji. Najbliższy lot do Warszawy był rano. Zaklepałam w systemie bilet, pospieszenie się spakowałam i kilka godzin później byłam już na lotnisku. Miałam status *stand by*. Na szczęście w samolocie było sporo wolnych miejsc. A jednak...

– Przykro mi, ale w systemie mam informację, że nie mogę cię zaakceptować na żaden lot – powiedziała nieco zaspianym głosem dziewczyna przy stanowisku odprawy biletowej. Ożywiła się, widząc, że jestem stewardesą, a mój bilet jest zarezerwowany z pracowniczą zniżką. Byłam chyba jedyną czynnie latającą stewardesą, której nie wolno latać, i to z niewyjaśnionych przyczyn. – Nigdy się z czymś takim nie spotkałam, poczekaj chwilę...

Dziewczyna była ewidentnie zaskoczona. Wezwała swoją przełożoną, która – również zdziwiona sytuacją – poradziła mi, żebym się zgłosiła do *headquarters56*.

– To musi być jakaś pomyłka. Błąd systemu. Czasem robi nam numery, ale nigdy wcześniej nie widziałam czegoś takiego – powiedziała ze współczuciem.

System rezerwacji pozwala na wpisanie ważnych informacji o pasażerze. Czasami są one przypisane odgórnie, na polecenie organów ścigania, gdy na przykład dana osoba jest poszukiwana. A czasem są to informacje wpisane przez samą linię, na przykład wiadomość o tym, że z powodu niewłaściwego zachowania na wcześniejszych lotach dany pasażer nie jest mile widziany na pokładzie samolotów tej lub wszystkich linii lub wręcz ma zakaz wstępu.

Pracownicy odprawiający pasażerów na lot również mają możliwość zrobienia ważnych notatek. Gdy na przykład pasażer ewidentnie jest pod wpływem alkoholu lub innych środków odurzających albo zachowuje się w sposób agresywny, mogący spowodować kłopoty w trakcie lotu, informacja o nim trafi do załogi. Może się zdarzyć, że już przy odprawie dowie się, że nigdzie nie poleci.

Oczywiście doskonale wiedziałam, na czym polega „błąd w systemie”. Skoro Mohammed miał moc zmieniania moich grafików na własne życzenie, bez problemu mógł wpisać klauzulę

o niewpuszczaniu mnie na pokład. Zastanawiałam się tylko, dlaczego to wszystko robi. Przecież zatrzymanie mnie w Dubaju niczego nie zmienia. To brzmiało niedorzecznie, ale znowu byłam jego więźniem. Z pozoru absolutnie wolna, tak naprawdę pozbawiona możliwości ucieczki. Trzymał mnie w garści.

Wróciłam do domu i rozkleiłam się. Dziewczyny były w pracy, a ja tak bardzo potrzebowałam z kimś porozmawiać. Nie mogłam zadzwonić do babci. Zmartwiłaby się. Poza tym co miałabym jej powiedzieć? Że mój ukochany gwałci mnie i zaprasza swoich kumpli, by robili to samo?

W końcu zadzwoniłam do Roberta.

– Przepraszam, że podejrzewałam cię o te straszne rzeczy... – Rozpłakałam się.

– Aniu, kochanie... Co się stało? O czym ty mówisz?

Płacz nie pozwalał mi wydobyć z siebie głosu przez dłuższą chwilę. W końcu wyłkałam:

– Wiem, że to nie ty wysyłałeś te okropne SMS-y... wszystko już wiem. Przepraszam cię...

Zadzwonię, jak tylko się uspokoję.

– Będę czekał. Zadzwonź koniecznie.

Plakałam z żalu podsycanego bezsilnością i złością. Nie byłam w stanie się opanować. Rozmowa z Robertem wcale mi nie pomogła; gdy go usłyszałam, tylko jeszcze bardziej się rozkleiłam.

Po godzinie w końcu zebrałam się w sobie. Musiałam dokończyć tę rozmowę, ale nie mogłam już się do niego dodzwonić. Upewniłam się, że mój głos brzmi w miarę normalnie, i zadzwoniłam do Maćka. Ale jego telefon również nie odpowiadał. Usłyszałam tylko pojedynczy sygnał, a potem głuchą ciszę. Identycznie zachował się telefon babci. To chyba jakaś awaria, pomyślałam, skoro nie mogę się do nikogo dodzwonić. Musiała jednak dotyczyć tylko rozmów zagranicznych. Chwilę później bowiem zadzwoniła do mnie Kale.

– Jesteś w domu? – zapytała. – Potrzebuję babskiej rozmowy. Chyba poznałam kogoś niesamowitego...

– Super! – Udawałam radość, choć tak naprawdę chciałam jej powiedzieć, żeby dała sobie spokój. Jeśli gość faktycznie jest taki niesamowity, pewnie to jakiś zboczony psychol. Zabawne. Wszystko wskazywało na to, że zamieniłyśmy się miejscami.

– Czekam na ciebie – odparłam. – Zróbmy coś fajnego. Potrzebuję zrobić coś fajnego!

– Zrobimy. Będę za godzinę.

W towarzystwie Kale fajna była nawet zwykła kawa. Poszłyśmy do Starbucksa w Dubai Mall i przepadłyśmy na długie godziny. Nie chciałam odbierać Kale radości z opowiadania o Danielu, więc oddałam jej scenę. Dawno... nie, w zasadzie chyba nigdy jej takiej nie widziałam. Była rozanielona. Poznali się w Nowym Jorku.

– Uważaj, bo to się zaczyna bardzo podobnie... – ostrzegłam.

– Spokojnie, Daniel nie jest ultrabogatym arabskim psycholem. Pracuje w consultingu i jest absolutnie fantastyczny.

„Fantastyczność” Daniela zgodnie z tym, co opowiedziała mi Kale, polegała na jego inteligencji, dowcipie i urodzie.

– Zawsze miałam słabość do takich *frat boys*⁵⁷, ale oni z reguły nie grzeszyli rozumem. Daniel wygląda na mięśniaka, ale ma dobrze poukładane w głowie. – Kale przepadła. Była nieprawdopodobnie zauroczona i wszystko wskazywało na to, że przeszła na drugą stronę mocy.

– Chciałam cię przeprosić – powiedziała w pewnej chwili. – Chyba zapomniałam, jak uczucia potrafią namieszać w głowie. Byłam zbyt surowa dla twojego Mo.

– Nie. Miałas rację. We wszystkim miałaś rację... – powiedziałam łamiącym się głosem. – Mo to skończony psychopata.

Kale była zszokowana tą nagłą zmianą frontu. Kiedy opowiedziałam jej, co mnie spotkało w jego apartamencie, powiedziała:

– Musisz to definitywnie zakończyć.

– Wiem. Nie mam zamiaru więcej się z nim spotykać.

– Kurwa, w tym pojebanym kraju nawet nie możesz tego zgłosić na policję.

– Nie ma mowy! Byłam już aresztowana za prostytutkę po tym, jak przywitałam się z Robertem. Policja nie wchodzi w grę.

– Myślisz, że ci odpuści?

– Pewnie w końcu tak. Przecież takich jak ja może mieć na pęczki. W Dubaju jest mnóstwo stewardes, które by na niego poleciały, ba!, nawet zgodziłyby się na udział w orgiach z jego kumplami. Nie trzeba by było ich odurzać.

– Oby. Oni nie lubią być porzucani. I muszą mieć ostatnie słowo – powiedziała posępnie Kale. Niestety po raz kolejny miała rację.

Mohammed przypomniał sobie o mnie kilka dni później. Zadzwoił jakby nigdy nic.

– Stęskniłem się.

– Przykro mi, będziesz musiał tęsknić dalej – odparłam chłodno.

– Kochanie, o czym ty mówisz? Jak możesz mnie tak ranić?

– Masz tupet! Ja ciebie ranię? Wiem o wszystkim, wiem, co ze mną robiłeś. Wiem, że mnie gwałciłeś, odurzałeś, próbowałeś wmawiać, że widzę rzeczy innymi, niż tak naprawdę były...

– Mój głupiutki bąbelek. W życiu bym czegoś takiego nie zrobił.

– Ani twój, ani głupiutki, ani bąbelek! – wybuchnęłam. – Zapomnij o mnie, skurwielu! Nie chcę cię więcej widzieć!

– Odpocznij, proszę. Nie jesteś sobą. Porozmawiamy jutro.

Po tym telefonie mogłam się spodziewać, że nie odpuści.

Następnego dnia leciałam do Barcelony. Nie miałam zamiaru odbierać jego telefonów, ale skoro powiedział, że porozmawiamy jutro, wiedziałam, że zrobi wszystko, by tak się stało. W sumie mogłam też się spodziewać, że los znów pozwoli mi wygrać na loterii.

Mohammed pojawił się wśród pasażerów pierwszej klasy. Doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że będę zmuszona z nim rozmawiać, i chętnie korzystał ze swojego pasażerskiego przywileju. Unikanie go nie wchodziło w grę; już na początku zażyczył sobie mojej obsługi na wyłączność. Nie miałam innego wyjścia – musiałam wykonywać swoją pracę profesjonalnie i zrobić wszystko, by nie dać się wyprowadzić z równowagi. Był szarmancki jak zwykle. Zachowywał się jakby nigdy nic. Przez dłuższą część lotu nasz kontakt ograniczał się do serwisu, aż w końcu, gdy podawałam mu ostatni posiłek na nieco ponad godzinę przed lądowaniem, złapał moją rękę i przytrzymał, tak że byłam zmuszona się nad nim nachylić.

– Pamiętasz, jak powiedziałem ci, że cię nie wypuszczę? – wycedził przez zaciśnięte zęby.

Z odrazą spojrzałam mu prosto w oczy.

– Pamiętasz? – powtórzył z irytacją.

Nie miałam zamiaru odpowiadać. Postanowiłam, że każde słowo, które do niego wypowiem na pokładzie, będzie się wiązało tylko i wyłącznie z profesjonalną obsługą. Nie odpowiem na żadne prywatne pytanie, na żadną zaczepkę.

– Możesz milczeć – podjął. – W sumie nawet wolę, jak nic nie mówisz. Czasami nie mogłem już znieść twojego jazgotu. Ale o jednym mogę cię zapewnić: dotrzymam słowa. Nie wypuszczę cię. Cokolwiek zrobisz, będę za twoimi plecami. Im szybciej zdasz sobie sprawę, że jesteś zdana na moją łaskę, tym lepiej dla ciebie i twoich bliskich.

Wiedział, gdzie uderzyć, żeby zabolalo. Byłam przerażona, ale zrobiłam wszystko, by to ukryć. Udało mi się uwolnić dłoń.

– Czy mogę pomóc w czymś jeszcze, panie Sayeed? – zapytałam z uśmiechem, jakby to, co przed chwilą powiedział, spłynęło po mnie jak po kaczce.

Nie spłynęło. Gdy tylko zniknęłam mu z oczu, pognałam do toalety. Miałam trzy minuty, żeby się uspokoić. Nie mogłam się rozsypać. Nie tutaj, nie teraz. Znowu zrobiłam dobrą minę, ale tym razem gra naprawdę była zła. Wiedziałam, że w pracy nie mogę powiedzieć o tym absolutnie nikomu, zwłaszcza że oficjalnie Mohammed nie zrobił nic, na co mogłabym się poskarżyć, a nasze prywatne

kontakty mogły świadczyć wyłącznie przeciwko mnie. On też doskonale to wiedział. Kiedy podeszłam do jego kabiny po raz ostatni przed lądowaniem, szepnęła tylko:

– Do zobaczenia w hotelu.

– Miłego lądowania, panie Sayeed – odpowiedziałam, uśmiechając się sztucznie.

I niech cię piekło pochłonie!

Bardzo nie chciałam wracać do hotelu. Przerząła mnie myśl o tym, że spotkam tam Mohammeda.

Nie wiem, jak udało mu się wejść do mojego pokoju – pewnie dał, komu trzeba, sporą łapówkę – ale gdy tam dotarłam, siedział w fotelu w nonszalanckiej pozie. Był uśmiechnięty i spokojny. Zdawał się rozkoszować moją niepewnością. Wiedział, że jestem przerażona, nawet jeśli starałam się to ukryć. I wyraźnie się upajał tym faktem.

– Nie musisz się mnie bać – powiedział, widząc moje zaskoczenie. – Nigdy tego nie chciałem.

Kłamał. Oczywiście, że chciał, żebym się go bała.

– Bzdura! Właśnie tego chcesz! Ale na razie kiepsko ci wychodzi.

Kłamałam. Byłam przerażona. Ale adrenalina ciągle jeszcze pozwalała mi grać *va banque*.

– Twarda sztuka! Od początku bardzo mi się to w tobie podobało. Nie jesteś jedną z tych *gold diggers*⁵⁸, które można mieć na każde skinienie... Ciebie trzeba zdobywać. Mogliśmy stworzyć świetną parę. Nadal możemy.

– O czym ty mówisz? Po tym wszystkim, co mi zrobiłeś?

– Co takiego ci zrobiłem? A może to ty sobie coś uroiłaś i teraz próbujesz pokazać pazurki?

Schowaj je. Wróćmy do tego, co było. Do nas.

Mo wstał i podszedł do mnie.

– Nie zbliżaj się! – wrzasnęłam. – Nie zbliżaj się, bo wybiegnę na korytarz i zacznę krzyczeć.

Zrobił krok w tył.

– Jak uważasz. Zróbmy tak: teraz wyjdę, a wieczorem spotkamy się w hotelowej restauracji i porozmawiamy. Nie będziesz musiała się mnie obawiać, będziemy wśród ludzi. Proszę cię. Jesteś mi to winna.

– Nie jestem ci niczego winna.

Robił powolne kroki w moim kierunku, a ja równie powoli wycofywałam się w stronę drzwi. Po chwili oboje znaleźliśmy się na korytarzu.

– Będę czekał o dwudziestą. Przyjdź, proszę.

Wróciłam do pokoju i zamknęłam drzwi na klucz. Przez chwilę mogłam się czuć bezpiecznie. Wiedziałam, że przynajmniej do wieczora Mo nie będzie próbował się ze mną skontaktować. Był przekonany, że pojawię się w restauracji. Przecież nigdy wcześniej go nie zawiodłam. A ja wcale nie byłam przekonana, że się myli. Hotelowa restauracja była odpowiednim miejscem, by bezpiecznie wysłuchać jego bredni o miłości, wierności i wszystkich tych rzeczach, które podobno sobie uroiłam w mojej chorej głowie. Bredni o snach, które projektował specjalnie dla mnie tylko po to, by ukryć zboczone fantazje o użyczeniu swojej dziewczyny kolegom. Bredni o wiadomościach, które miały mnie wytrącić z równowagi. I o całej reszcie okropnych rzeczy, których się dopuszczał. Chciałam to wszystko od niego usłyszeć. Tak, wiedziałam już, że się z nim spotkam. Nawet jeśli będę musiała uznać swoją porażkę i jeszcze ten jeden raz dać mu satysfakcję, pozwolić mu wygrać. Niech ten ostatni raz będzie taki, jak zaplanował.

Olałam konwenanse – na spotkanie poszłam w dresie, spóźniona pół godziny. Nie chciałam, by poczuł, że w jakikolwiek sposób się dla niego staram.

– Wyglądasz czarująco – powiedział mimo wszystko.

Zignorowałam komplement. Usiadłam przy stoliku. Przede mną leżało eleganckie pudełko przewiązane jedwabną wstążką. On naprawdę sądzi, że jest w stanie mnie przekupić!

– Nie chcę od ciebie żadnych prezentów – powiedziałam z odrazą.

– To nie jest prezent. Ale czuję, że akurat to chcesz dostać.

Odsunęłam pudełko na bok.

– Cudownie cię widzieć. – Nadal próbował być szarmancki, co ewidentnie miało mnie wyprowadzić z równowagi.

Gdy podszedł do nas kelner, Mo wyrecytował:

– Poprosimy o butelkę bordeaux pouillac i dwa razy przegrzebki z kurkami – wyrecytował z uśmiechem, po czym zwrócił się do mnie: – Zawsze piję tu to wino. A za ich przegrzebki mogę umrzeć.

– Ja nie zamierzam – odparłam. – Jakim prawem zamawiasz za mnie? Czego ty w ogóle ode mnie oczekujesz?

– Kochanie, przepraszam. Nie chciałem cię urazić. To po prostu najlepsze danie w tej knajpie, a ja chcę dla ciebie wszystkiego, co najlepsze – kontynuował swoją grę.

Na naszym stole pojawiło się wino, a chwilę po nim zamówione przez Mohammeda przegrzebki. Byłam bardzo głodna, ale jednocześnie wściekła, że to on zamówił to jedzenie. I wtedy dotarło do mnie, że mógł zatruć posiłek. Może dlatego zdecydował za mnie. Wiedziałam już, że skorumpował część hotelowej obsługi, która wpuściła go do mojego pokoju.

– Czego chcesz? – wycodziłam.

– Kogo! Chcę ciebie! To przecież oczywiste. Nie rozumiem, dlaczego się na mnie złościś.

– Oczywiście, że nie rozumiesz. Dla takich zwyrodniałców jak ty wielokrotne gwałty to przecież niewystarczający powód do złości.

Nicemu nie zaprzeczył, tylko uśmiechnął się i z nieodgadnioną miną wskazał pudełko. Odpakowałam je. W środku były zdjęcia. Moje zdjęcia! Wzięłam do ręki plik odbitek. Pierwszą fotografię już znałam. Byłam na niej z Robertem. To ona spowodowała, że spędziłam kilka godzin w areszcie. Dotarło do mnie, że to Mo stał za tym aresztowaniem.

– To ty?

– Och nie! To jakiś oburzony Emiraczyk – odparł z ironią. – Ja tylko nie godziłem się na to, by ktoś bez mojej zgody bawił się moimi zabawkami.

– Nie jestem twoją zabawką!

Kolejne zdjęcie zszokowało mnie jeszcze bardziej. Przedstawiało zakrwawioną apaszkę leżącą na moim łóżku w domu babci Ptysi.

– Ty gnoju! Jak mogłeś! Jak się tam dostałeś?

– Kochanie, nie denerwuj się. Ja tylko chcę ci udowodnić, jak ważna jesteś dla mnie. Żeby cię mieć, nie cofnę się przed niczym. Tak bardzo cię kocham.

Nie wierzyłam własnym uszom. Przez chwilę nawet wydawało mi się, że on naprawdę wierzy w to, co mówi! Ale nie, był za bardzo wyrachowany.

– Nie waż się wciągać mojej rodziny w swoje chore gierki.

Spojrzałam na kolejne zdjęcie. Była na nim babcia Ptysia. Uśmiechnięta, szczęśliwa, choć zdjęcie było zrobione w klinice. Tej samej, którą opłacił. Za którą byłam mu wdzięczna.

Na następnej fotografii byłam ja. Skulona w kącie windy...

– Ty sukinsynu! Nie było żadnej awarii. Ta winda stanęła na twoje życzenie. Co za chora perwersja!

– Uspokój się, bąbelku. Chciałem tylko ci się przyjrzeć. Jesteś taka piękna, że nie mogłem się napatrzyć.

– To twój sposób na przyglądanie się dziewczynom? Ty naprawdę jesteś chory!

Na kolejnej odbitce byłam nieprzytomna. Leżałam w samochodzie na parkingu. To zdjęcie z dnia, gdy zatrzasnął mnie w swoim bugatti.

– Ciebie naprawdę to bawi?

– Nie. Wtedy akurat byłem trochę zły za te pytania o mojego ojca. Zraniłaś mnie, sugerując, że ojciec przyczynił się do śmierci mamy. Chciałem ci utrząść nosa. Tak niegroźnie.

– Niegroźnie?! Straciłam przytomność.

– No, na tym miała polegać kara. Ale przecież nigdy nie pozwoliłbym, żeby stało ci się coś poważnego.

Łaskawca.

Kolejna fotografia, a na niej znów ja – naga, w miłosnym uścisku z Amal. Tyle że widać wyłącznie moją twarz.

– Masz zamiar mnie tym szantażować?

– Ależ skąd! To moja ulubiona fotka. Dwie najpiękniejsze kobiety na tej planecie. Jedyne, którym oddałem swoje serce. Ale tylko jedną mogę naprawdę mieć.

– Na pewno nie mnie.

– Tu bym polemizował. – Posłał mi władczy uśmiech.

Następne zdjęcie też już widziałam. Spałam w apartamencie, w którym zostawił mnie bez ubrań. Na moim czole widniał napis.

– Ej, to akurat był żart! – zawołał Mo.

– Takie rzeczy śmiesz tylko kompletnych psycholi.

– Nie mów tak, nie jestem psycholem. No, może tylko trochę zwariowałem na twoim punkcie...

I znowu te oczy smutnego labradora. Nie! To już na mnie nie działa.

Następne zdjęcie było z wakacji. Uśmiechnięty Mo pozował na nim z nagusienkami Tajkami. Przerzuciłam je natychmiast. Wiedziałam już, że mnie z nimi zdradził. Wiedziałam, że to mi się nie śniło. Nie chciałam się na tym skupiać.

Na kolejnym zobaczyłam siebie w objęciach jednego z kolegów Mo. Byliśmy nadzy. Co najciekawsze, wcale na tym zdjęciu nie spałam. Mój wzrok był wprawdzie nieobecny, ale wyglądałam na przytomną.

Kolejne kilka fotek dokumentowało orgię. Na każdej odbywałam stosunek z którymś z kolegów Mo. Ostatnie były wulgarne foty, na których pozowałam w służbowym toczku. I znowu nie wyglądało na to, żebym miała coś przeciwko pozowaniu. Kompletnie tego nie pamiętałam, świadomie nigdy przecież bym się na to nie zgodziła! To musiała być świetnie ukartowana intryga i doskonale dobrane narkotyki.

– Zobacz, jaka jesteś piękna.

– Jak mogłeś?

– To nie moja wina, skarbie! Jesteś zbyt piękna... musiałem to uwiecznić, na wypadek gdybym cię stracił. Chciałbym, żebyś została wtedy ze mną chociaż w tej formie, żebym mógł się tobą podzielić ze światem.

– Czy ty mi grozisz? – zapytałam oburzona.

– Ależ nie, skarbie! Naprawdę bardzo cię kocham.

Wiedziałam, że mnie szantażuje. Wiedziałam, że takie zdjęcia oznaczają dla mnie wstyd, utratę pracy i kilka lat odsiadki w dubajskim więzieniu. Pornografia w czystej postaci z czynną stewardesą arabskich linii lotniczych to gotowy przepis na kłopoty.

Zrobiło mi się słabo. Musiałam się czegoś napić. Zaczepiłam przechodzącego obok kelnera i poprosiłam o szklankę wody. Przyniósł ją po chwili. Odruchowo włożyłam do niej leżącą na stoliku rurkę. Zrobiłam pierwszy łyk i poczułam w ustach gorzki smak, a w gardle jakby piasek. Chwilę później świat zaczął wirować. Pamiętam jeszcze, jak Mo wziął mnie pod rękę i zaczął gdzieś prowadzić. Za moment straciłam przytomność.

Obudziłam się w dubajskim apartamencie Mohammeda. Nie wiedziałam, jak wróciłam z Barcelony. Na pewno w swojej załodze. Jak się później okazało, Mohammed przetransportował mnie do Emiratów prywatnym samolotem, a sprawę nieobecności na locie powrotnym załatwił dzięki swoim koneksjom. Teraz siedział kilka metrów od łóżka i czytał gazetę.

– Więc jestem twoim więźniem – powiedziała zachrypniętym głosem.

Słyszając to, zerwał się na równe nogi i podbiegł do mnie ze szklanką wody. Najwyraźniej nie wyciągnęłam wniosków z tego, co się wydarzyło w Barcelonie, bo bez zastanowienia wypiłam to, co mi podał. Głupi bąbelek. Tym razem jednak woda była czysta, nie użyłam rurki nabitej roofie⁵⁹, a i szklanka wyjątkowo nie była skażona narkotykami.

– Kochanie, jakim więźniem? – zapytał ze szczerym zdziwieniem. – Jesteś kobietą mojego życia, a nie żadnym więźniem. Jesteś wolna, możesz odejść w każdej chwili. Ale wiem, że ty też mnie kochasz i że tego nie zrobisz...

– Mylisz się. Nienawidzę cię z całego serca.

– Jak możesz tak mówić? W ogóle nie doceniasz mojej szczerości. Owszem, może popełniłem kilka błędów, ale tylko dlatego, że jeszcze cię dobrze nie znałem, nie wiedziałem, co może cię urazić. Pewnie nie bez znaczenia są też różnice kulturowe.

– Jasne, bo muzułmanki nie mają nic przeciwko pozowaniu nago pod wpływem narkotyków. Chcesz mi powiedzieć, że to jest normalne? Że normalne jest wypożyczanie swojej dziewczyny kolegom, żeby sobie poruchali?

– Wiem, może trochę przesadziłem, ale naprawdę chciałem się tobą pochwalić. Jesteś taka cudowna.

– A szpikowanie mnie narkotykami, zamykanie w klaustrofobicznych pomieszczeniach, żebym zemdląła z braku tlenu? Kto tak robi? Skończeni psychole!

– Tłumaczyłem ci już, to nie miało cię zezłościć. Popełniłem błąd, wybacz mi, proszę.

– Naprawdę sądzisz, że coś takiego można wybaczyć? Tak po prostu przejść nad tym do porządku dziennego?

Chciałam wyjść z jego apartamentu i więcej tam nie wracać, ale wiedziałam już, że to może nie być łatwe. Tym bardziej się zdziwiłam, że nie oponował, gdy powiedziałam, że wracam do siebie.

Nie skorzystałam z usług jego szofera. Wybiegłam na Jumeirah Beach Road i wezwałam taksówkę.

Kilkanaście minut później znalazłam się w mojej sypialni. Bagaż z Barcelony spakowany w służbową walizkę, o którym kompletnie zapomniałam, już tam był. Macki Mohammeda sięgają daleko. Nie jestem w stanie się przed nim ukryć.

Przez kilka dni Mohammed nie kontaktował się ze mną, a ja łudziłam się, że może będę miała szczęście i sobie mnie odpuści. Któregoś z tych spokojnych dni zadzwonił Maciek. Brzmiał jak dzieciak, który właśnie przyłapał Świętego Mikołaja na podkładaniu prezentów.

– Siostra, nie wiem, jak ci dziękować! Nie mogę uwierzyć! To jest niesamowite! Jak ty to zrobiłaś?

– Maciuś, uspokój się. Co się stało?

– Bardzo śmieszne! Nie udawaj, że nie wiesz.

– No nie wiem. Powiesz mi wreszcie, o co chodzi?

– No o ten samochód od ciebie i jakiegoś Mo! To ten sam od kliniki babci? Ten szejk? Twój narzeczony? Dlaczego nam go nie przedstawiłaś? Babcia też się cieszy. To jest niesamowite, nie wiem, co mam powiedzieć...

Ekscytacja Maćka z powodu nowiutkiego, wypasionego porsche sięgała zenitu. Wcale mu się nie dziwiłam – od dawna zbierał na własne cztery kółka. I wiedział, że najprawdopodobniej będzie to awaryjny, kilkunastoletni rzęch. Tymczasem nagle, kilka tygodni po otrzymaniu prawa jazdy, zasiadł za kierownicą wartego grubo ponad milion złotych porsche.

– Maciek, uspokój się, proszę. – Ja też byłam bliska obłądu, bynajmniej nie z radości. – Powiedz mi, jak to wszystko się odbyło.

– No normalnie. Rano podjechała laweta, narobiła trochę hałasu, więc podszedłem do okna. Widziałem, jak ściągali tę furę, ale w życiu bym nie przypuszczał, że jest moja. Chwilę później przyszedł do nas ten elegancki facio, Roman jakiś tam, i powiedział, że to mój samochód. Dał mi

wszystkie dokumenty, piloty i list, w którym napisaliście z Mo, że to prezent dla mnie. Chyba nie jesteś zaskoczona?

Byłam, ale wiedziałam, że nie mogę dać tego po sobie poznać.

– Nie. Chciałam tylko wiedzieć, czy wszystko załatwili zgodnie z naszym życzeniem – wybrnęłam.

– No jasne! Teraz to już nie masz wyjścia – musisz przywieźć do Polski tego Mo. Babcia bardzo chce go poznać. Ja zresztą też. Muszę mu podziękować. Ej, a może mi dasz jego numer? Z angielskim daję radę na tyle, żeby powiedzieć, jak bardzo się cieszę. Siary ci nie zrobię.

– Do niego nie da się tak po prostu zadzwonić.

– No tak, w końcu szejk!

– Nie, Mo nie jest szejkiem. Już ci to mówiłam. – Coraz bardziej męczyła mnie ta rozmowa. – Po prostu jest bardzo zajęty...

– To wymyśl coś, siostra. Chociaż dla babci go tu przywieź. Wiesz, ile by to dla niej znaczyło.

Wiem, że Ptysia bardzo chciała zobaczyć u mojego boku faceta, który o mnie dba, ale gdyby знаła prawdę o Mohammedzie, pewnie zgodnie ze swoją obietnicą przyleciałaby do Dubaju i podłączyła mu do dupy rurociąg z ropą.

– Zobaczę, co da się zrobić – odparłam wymijająco. – Pogadam z nim, może uda się nam przylecieć.

Gdy tylko skończyłam rozmawiać z bratem, zadzwoniłam do Mohammeda. O dziwo, odebrał już po pierwszym sygnale.

– Co ty sobie, do cholery, wyobrażasz? – wypaliłam bez zbędnych wstępów.

– Dość osobliwe podziękowanie, ale zawsze byłaś oryginalna.

– Nie mam zamiaru ci za nic dziękować. Co ty odpierdalasz?

– Nic. Wiedziałem, że twój brat marzy o samochodzie. Pomyślałem, że mimo wszystkich moich błędów udowodnię, jak bardzo cię kocham. To był zwykły odruch serca.

– Nie wierzę w odruchy twojego serca. Wiem, że coś knujesz.

– Uspokój się, proszę. To po prostu świetny samochód. Sam taki miałem, gdy byłem w wieku twojego brata. Ma rewelacyjne przyspieszenie. I tylko hamulce bywają zawodne – powiedział Mo, po czym po prostu się rozłączył.

W uszach wciąż brzmiało mi echo ostatniego zdania. Znowu osiągnął swój cel. Pokazał, jaki jest kochający i troskliwy, a potem jednym zdaniem zasiał we mnie bezgraniczne przerażenie. Nie wiedziałam, co mam zrobić. Przecież nie mogę zakazać Maćkowi korzystania z samochodu. I tak by mnie nie posłuchał.

55 Z ang. – grafik.

56 Z ang. – siedziba główna, zarząd.

57 Z ang. (pot.) – chłopak z bractwa – student, wysportowany, męski, skłonny do szaleńczych zabaw.

58 Z ang. – poszukiwaczka złota – potoczne określenie dziewczyny zainteresowanej głównie statusem materialnym partnera.

59 Potoczna nazwa tzw. pigułki gwałtu, najczęściej podawanej w drinkach. Po jej zażyciu ofiara traci przytomność.

ROZDZIAŁ 14

Sabira

Czułam totalną bezsilność. Możliwe, że Mo blefował, ale równie dobrze mógł zlecić uszkodzenie hamulców w samochodzie, który sprezentował Maćkowi. Wizja wypadku przerażała mnie do tego stopnia, że nie mogłam dłużej czekać. Zadzwoiłam do brata.

– Wiem, że o niczym innym nie marzysz, ale błagam cię, zaklinam, nie wsiadaj do tego samochodu. Proszę...

– Co? Zwariowałaś? – Tak jak przewidywałam, oburzył się. – Niby dlaczego?

– Wyjaśnię ci to kiedyś, ale teraz proszę, odpuść.

– Histeryzujesz, siostra. Przecież to prezent, zresztą między innymi od ciebie. Chcesz, żeby taka fura stała beczynn timer pod domem? Zresztą trochę za późno. Już nią jeździłem. I jedno ci powiem: jest zabijaśka!

Nic więcej nie mogłam zrobić. Mohammed był gotowy wydać milion złotych tylko po to, by mnie przestraszyć. Gdyby zliczyć wszystkie pieniądze, jakie zainwestował w to, żebym czuła się przerażona i poniżona, ubliczaby się pokaźna fortuna. A on wcale nie uważał inwestycji za zakończoną. Nie miałam innego wyjścia – musiałam skończyć moją przygodę z Dubajem i uciec. To było jedyne wyjście z sytuacji. Wiedziałam, że jak już się znajdę w Polsce, będę mogła spokojnie wyjaśnić babci i Maćkowi, co tu się wydarzyło.

Natychmiast zaczęłam się pakować. Dziewczyn nie było w domu. Wiedziałam, że jeśli nie spotkamy się tutaj, znajdziemy się gdzieś w Europie. Byle z dala od tego psychologa. Kupiłam bilet do Polski. W Lufthansie przez Monachium. Obawiałam się, że jeśli tylko zrobię rezerwację w ArabAir, Mohammed natychmiast się o tym dowie i będzie próbował zniweczyć moje plany.

Ruszyłam na lotnisko z dwiema walizkami. Nadałam je i udało mi się bez trudu odprawić na lot. Kamień spadł mi z serca. W systemie nie było żadnych blokad, mogłam spokojnie stąd wyjechać. Oczywiście wyjazd nie gwarantował mi bezpieczeństwa – macki Mo sięgały do Polski, ale tam miałam większe szanse na to, że w razie czego policja mnie wysłucha i nie potraktuje jak dziwkę. Przynajmniej tak myślałam do momentu, gdy mój paszport znalazł się w rękach urzędnika odprawy celnej, a ja w rękach straży granicznej. Bez żadnych wyjaśnień.

Po kilku godzinach z aresztu na lotnisku odebrał mnie Mohammed.

– Kochanie, coś ty znowu nawyprowadziła? Zadzwonili do mnie, żebym po ciebie przyjechał. Na szczęście jestem w Dubaju. Strach pomyśleć, co by było, gdybyś musiała tu siedzieć kilka dni i czekać na mój powrót.

Faktycznie, szczęście. Mohammed grał bohatera, który wybawił z opresji słabą, nic niewartą kobietę, i czuł się w tej roli fantastycznie. Potrzebował ofiary, marionetki, którą mógł dyrygować, która całkowicie zależała od niego. Zdałam sobie sprawę, że każda próba ucieczki, najmniejsza niesubordynacja to dla niego woda na młyn.

Mo bez pytania zawiózł mnie do swojego apartamentu. Kiedy znaleźliśmy się w jego salonie, w końcu się odezwałam:

– Czego ode mnie oczekujesz?

– A ty ciągle swoje – westchnął. – Dobrze wiesz, że nie pragnę niczego poza twoją miłością.

– A tak naprawdę? Bo moją miłość miałeś. To ty swoimi perwersyjnymi gierkami zrobiłeś z naszego związku jakiś chory, toksyczny układ.

– Ranisz moje uczucia – powiedział z uśmiechem, jakby całkowicie się zgadzał z tym, co powiedziałam.

– Ty nie masz uczuć. Przynajmniej nie takie, jakie powinny być pomiędzy dwojgiem kochających się ludzi. Jesteś chory psychicznie.

– Nie mów tak, kochanie. – W jego głosie zabrzmiało ostrzeżenie.

No tak, zapomniałam, że Arabowie nie chorują psychicznie. To chyba najwyższa forma obrazy, do jakiej można się tu uciec. Choroby psychiczne zdarzają się tylko zakochanym w psychoanalizie ludziom z Zachodu.

– Jesteś wzburzona, dlatego wybaczam ci te słowa. Dobrze wiemy, że z naszej dwójki to ty masz skłonności do wizji i wyobrażeń.

– Daj spokój, to już nie działa. Chcę się z tobą dogadać. Mam w zasadzie tylko jeden warunek: musisz mi obiecać, że nie zrobisz krzywdy moim bliskim. Przestaniesz wciągać w tę grę moją babcię i brata. Powiedz, czego chcesz w zamian.

– *Habibi*, nigdy nie skrzywdziłbym twojej rodziny. Wiem, że ich kochasz, tak jak ja kocham ciebie. Nie chciałbym, żebyś się o nich bała. Przecież zadbałem o twoją babcię, gdy była chora, spełniłem marzenie twojego brata. Czy tak postępuje ktoś zły? Czy naprawdę wyglądam na takiego strasznego faceta?

Nie wyglądał. I doskonale o tym wiedział. Ted Bundy⁶⁰ też nie wyglądał, ale jego aparycja mogła tylko osłodzić ofiarom ostatnie chwile przed śmiercią.

– Czego ode mnie oczekujesz? – powtórzyłam lodowatym tonem.

– Chcę, żebyś mnie kochała, tak jak ja kocham ciebie.

– Mam cię zamykać w windach, samochodach, gwałcić razem z koleżankami?

– Nie żartuj. Chociaż ta ostatnia propozycja jest całkiem interesująca. – Zaśmiał się dźwięcznie.

– Ja naprawdę żadnej z tych rzeczy nie zrobiłem ze złej woli. Proszę, musisz mi uwierzyć. Daj mi jeszcze jedną szansę.

Najgorsze było to, że nie miałam wyjścia. Nie mogłam wyjechać z Dubaju bez jego zgody. Mimo jego zapewnień bałam się o rodzinę. I choć nie byłam w stanie wykrzesać z siebie nawet małej iskry dawnego uczucia, musiałam zostać z Mo, choćby po to, by dać sobie czas na obmyślenie ucieczki. Musiałam dalej grać w tę grę.

– Dobrze – odparłam po długiej chwili. – Ale musisz spełnić mój warunek. Zapominasz o moich bliskich. Nie wolno ci ich do tego mieszać. To sprawa tylko między nami.

– Obiecuję.

Nie wiedziałam, czy będę w stanie tak po prostu przejść do porządku dziennego nad tym wszystkim, co się stało, ale po raz kolejny przyszedł mi z pomocą trening w liniach lotniczych. Po prostu założyłam maskę i grałam – jak rasowa aktorka. Zastanawiam się, w jakim stopniu kierowała mną determinacja, a w jakim syndrom sztokholmski⁶¹. Wciąż wracałam do swojego oprawcy, a przez kolejne miesiące nawet udawałam zadowoloną ze swojego życia. To był chory układ, ale tylko w ten sposób mogłam zapewnić bezpieczeństwo moim najbliższym.

Sabira poznała swojego męża, gdy miała szesnaście lat. Rozmawiała z nim krótko podczas spotkania zaaranżowanego przez rodziny przyszłych małżonków. Później widziała go jeszcze ze dwa razy. Mimo nieco aroganckiego sposobu bycia spodobał się jej. Był przystojny i męski, choć to nie miało większego znaczenia. Nawet gdyby kompletnie nie przypadł jej do gustu, i tak zostałaby jego żoną. Na szczęście jej rodzice nie naciskali na szybki ślub i młodzi pobrali się dopiero dwa lata później. On kończył w tym czasie studia we Francji, a po powrocie do kraju miał wypełnić swój życiowy obowiązek – założyć rodzinę, postarać się o syna, przejąć rodzinny biznes.

Rashid nie miał problemu z poddaniem się woli swoich rodziców. Od młodych lat, jako najstarszy z rodzeństwa, był przygotowywany na następcę. On i Sabira stanowili w tej kwestii dobraną parę – oboje doskonale rozumieli, czego oczekują od nich rodziny, i nie buntowali się. Na tym jednak podobieństwa się kończyły. Między młodymi nie było miłości, choć przez pierwsze lata nie wydawali się nieszczęśliwi.

Jako młoda żona Sabira była w pewnym sensie na okresie próbnym, który miał się skończyć, dopiero gdy na świecie pojawi się ich pierwszy syn. Jej małżeńskie szczęście zależało w dużej mierze od płci dziecka. W ciążę zaszła zaraz po ślubie. Powiła chłopca, a potem jeszcze dwóch kolejnych. Można było powiedzieć, że Sabira spełniła swój obowiązek, ale nie oznaczało to, że zasłużyła sobie na specjalne traktowanie. Rashid małżeństwo traktował jak środek do osiągnięcia celu, nie cel sam w sobie. Nie szukał w nim szczęścia.

Mimo że nigdy nie był wylewny i nie okazywał żonie ciepłych uczuć, ona z czasem żywiła ich do niego coraz więcej. Imię Sabira w języku arabskim znaczy „cierpliwa” – i trudno o bardziej trafną definicję jej charakteru. Miała sporo cierpliwości dla swojego egocentrycznego i despotycznego męża, który wkrótce po urodzinach ich pierwotnego zaczął pokazywać swoje prawdziwe oblicze.

Sabira dała mu to, do czego została „wynajęta” – i już po narodzinach pierwszego syna stała mu się obojętna. Z czasem Rashid zaczął ją traktować z coraz większą pogardą. Narodziny dwóch kolejnych synów powodowały chwilowe zawieszenie broni, ale nigdy nie były to zmiany trwałe. Kilka lat po ślubie z Sabirą Rashid poślubił jeszcze jedną kobietę. Mimo że zgodnie z arabskim zwyczajem Sabira powinna zaakceptować wybrankę męża, o jego ślubie dowiedziała się długo po fakcie. I tutaj wykazała się jednak olbrzymią cierpliwością. Starła się przyjąć nową żonę do rodziny, ale jej gest nie spotkał się z wzajemnością.

Maha różniła się od Sabiry w każdym calu. Nie miała w sobie pokory. W Rashidzie widziała gwaranta wygodnego życia w luksusie i gotowa była na wiele, by to osiągnąć. Urodziła mu jeszcze dwójkę dzieci i mimo że były to dziewczynki, którymi nie do końca się interesował, mężczyzna zdawał się ją faworyzować. Była młodsza, korzystała z kart płatniczych z olbrzymim zapalem, co zdecydowanie podnosiło jej fizyczną atrakcyjność, a do tego była wybranką Rashida. To on, a nie żaden rodzinny układ zdecydował o jej poślubieniu.

Zgodnie z tradycją pierwsze żony z reguły są bardziej wpływowe, ale w tym przypadku było inaczej. Maha wiedziała, że jako druga żona i matka dziewczynek potencjalnie jest na gorszej pozycji, ale nie miała zamiaru oddać pola swojej poprzedniczce. Nieświadoma niczego Sabira stała się jej wrogiem numer jeden. Maha początkowo ukrywała swoją niechęć, zachowywała pozory pokornej i przyjaznej, jednocześnie szykując wrogie przejęcie względów męża. Wrogość do Sabiry nie miała oczywiście sensu. Rashid już dawno nawet z nią nie sypiał, a łączyły ich jedynie dzieci i kilka małżeńskich formalności. Sabira jednak nadal była pierwszą żoną. I to sprawiało, że Maha nie mogła zaznać spokoju.

Młodszy brat Rashida, Hamza, miał dość buntowniczą naturę. Wpłynęło to znacząco na jego edukację, bo wysłany na prestiżową uczelnię w Paryżu robił wszystko, by go z niej wydalono. Udało mu się osiągnąć cel w zaledwie kilka miesięcy. Podobnie lekceważący stosunek miał do fortuny swojego ojca – nie miał zamiaru odgrywać roli dziedzica, nawet drugoplanowej, bo ta główna była już obsadzona przez jego starszego brata.

Hamza był utracjuszem, ale miał ujmującą osobowość. Braki w odpowiedzialności nadrobił uśmiechem, dobrym słowem i manierami. Był bardzo lubiany i trudno było się na niego gniewać. Uwielbiał też bawić się ze swoimi bratankami, wprost za nimi przepadał. Chłopcy znajdowali w nim przedstawiciela świata dorosłych, który bardzo się różnił od pozostałych, jakich znali. Hamza lubił się wygłupiać, szaleć i poświęcał im znacznie więcej czasu niż ktokolwiek inny, nie licząc służby. Ta jednak nie była zatrudniana dla ich rozrywki, tylko do usług.

Rashid nie był zadowolony z tej sytuacji. Zdawał się nie rozumieć faktu, że dzieci po prostu lubią się bawić i nie ma niczego dziwnego w sympatii, jaką darzą swojego wujka.

– Zauważyłem, że Mohammed nie przestaje o tobie mówić. Ma już trzynaście lat, chyba czas zacząć go traktować jak dorosłego – zwrócił się do Hamzy któregoś dnia.

– Bracie, przecież to jeszcze dzieciak. Świetnie się bawimy.

– Nie jest już dzieckiem, to mój pierwotny syn. Mój dziedzic!

– Trudno zaprzeczyć. Ale co to ma wspólnego z faktem, że teraz to po prostu młodziak, który chce się bawić?

– Ty nigdy nie dorosłeś. Nie chcę, żeby Mohammed był taki...
– ...taki jak ja? Ty i ojciec zawsze traktowaliście mnie protekcyjnie tylko dlatego, że nie jestem podobny do was. A ja nie potrzebuję władzy. Nie interesują mnie te wasze interesy, intrygi, przejęcia. To zupełnie nie dla mnie.

– Po prostu uciekasz od odpowiedzialności.
– Nie chcę w życiu wszystkiego kalkulować. Myśleć ciągle, czy to, co robię, mi się opłaca, czy suma, którą zarobię, ma wystarczającą liczbę zer.

– No tak, ty wolisz wydawać sumy z dużą liczbą zer. Ale pieniądze nie biorą się z powietrza.
– To akurat u nas rodzinne. Ale musimy się czymś różnić. Jestem od ciebie młodszy, więc pewnie nie będziesz chciał słuchać moich rad, ale mam dla ciebie jedną. Nie odbieraj dzieciństwa swoim dzieciom, bo zrobisz z nich okropnych dorosłych.

– Masz rację, rady od kiepsko wykształconych leserów trudno brać poważnie. Powtarzam jeszcze raz: przestań traktować Mohammeda jak dziecko. Najlepiej, jakbyście ograniczyli spotkania.

Rashid opowiedział o rozmowie z bratem swojej drugiej żonie. Maha oczywiście utwierdziła go w przekonaniu, że postąpił słusznie. Nie żeby takiego potwierdzenia potrzebował, ale kobieta upatrywała w tej sprzeczce szansy na wzmocnienie swojej pozycji względem pierwszej żony.

– Młody chłopak potrzebuje właściwego wzorca, takiego jak jego ojciec – powiedziała zgodnie z tym, czego oczekiwał mąż.

Hamza był zdruzgotany życzeniem brata, ale dla dobra bratanków postanowił się usunąć w cień. Chłopcy boleśnie to odczuli, a młody Mohammed kompletnie nie mógł zrozumieć, dlaczego ukochany wujek nagle przestał go zabierać na konne przejażdżki, wypadły do galerii handlowych czy pokazy sokolnicze. Wszyscy trzej tęsknili za wujkiem, ale każdy z zupełnie różnych powodów. Wchodzący w wiek nastoletni Mo widział w nim odskocznnię od świata obowiązków, które za sprawą surowego ojca coraz częściej na niego spadały. Nie były to prace fizyczne, ale udział w nużących spotkaniach i negocjacjach, w trakcie których był kompletnie ignorowany. Ojciec jednak nalegał na jego obecność, wierząc, że w ten sposób wdraża go do jego przyszłej roli. Hamza natomiast nigdy nie traktował Mohammeda z góry, nie oczekiwał od niego niczego poza byciem sobą. Mieli świetny kontakt.

Młodszy, ośmio- i siedmiolatek – Hassan i Hamid – po prostu uwielbiali się bawić ze swoim zwariowanym wujkiem. Dla każdego z nich jego zniknięcie było bardzo trudne. Zresztą Hamza też mocno to przeżywał. Gdy tęsknota za bratankami wzięła górę, postanowił się skontaktować z ich matką i zaproponować, że będzie się z nimi widywał po kryjomu.

Sabira, która na co dzień zajmowała się wychowaniem synów, wiedziała, jak bardzo są przywiązani do wujka. Świadoma ryzyka, jakie niesie ze sobą niesubordynacja wobec Rashida, mimo wszystko przystała na pomysł szwagra. Wspólnie ustalili, że Hamza będzie przyjeżdżał do ich domu wtedy, gdy Rashid będzie poza krajem.

Sprawy wróciły do normy na kilka miesięcy. Jednak w dniu czternastych urodzin Mohammeda, kiedy Hamza dostał swoistą dyspensę i został zaproszony na oficjalne uroczystości, konflikt rozgorzał na nowo. Kiedy już emocje związane ze świętowaniem opadły, Rashid zaprosił Hamzę do swojego gabinetu.

– Musimy poważnie porozmawiać – zapowiedział. – Mam wrażenie, że nie potraktowałeś zakazu zgodnie z moją intencją. Wydawało mi się, że wyraźnie zabroniłem ci kontaktów z chłopakami bez mojej zgody.

– Bracie, ale przecież sam mnie zaprosiłeś na te urodziny...

– Dobrze wiesz, że nie mówię o urodzinach.

Hamza zamilkł. Rashid wiedział o potajemnych spotkaniach organizowanych przez niego i Sabirę. To było jasne.

– Przecież jesteśmy rodziną – powiedział cicho. – Jak możesz być tak okrutny.

– Więc nawet nie zaprzeczysz?

– Spotkałem się z chłopcami kilka razy, ale to naprawdę nie było nic strasznego. Bardzo ich

kocham.

- Po pierwsze, złamałeś mój zakaz. Po drugie, przy okazji postanowiłeś się zająć moją żoną.
- Co? O czym ty mówisz?
- Wiedziałem, że będziesz zaprzeczał.
- Bracie, obie twoje żony są piękne, ale nie łączy mnie z nimi nic poza więzami rodzinnymi.

Rashid spochmurniał jeszcze bardziej. Sięgnął po leżącą na biurku białą kopertę. Wyciągnął z niej trzy czarno-białe zdjęcia i rzucił Hamzie. Na każdej z fotografii był z Sabirą – stali blisko siebie, jakby byli w miłosnym uścisku. Hamza dokładnie pamiętał te momenty. To było przed domem. On i Sabira witali się, ale nie przytulali, nie obejmowali... Stali po prostu dość blisko siebie, a obok nich byli jeszcze Hamid i Hassan. Fotografie zrobione zostały pod takim kątem, że wydawało się, iż trwają w objęciach, a do tego nie było widać chłopców. Faktycznie, patrząc na te zdjęcia, można było odnieść wrażenie, jakoby Hamza i Sabira mieli się ku sobie.

– Nigdy ci tego nie wybaczę! – wrzasnął Rashid. – Okryłeś mnie hańbą!

– Bracie, to nie jest żaden dowód, to manipulacja! Nawet nie wiem, skąd się wzięły te zdjęcia. Nigdy nie dotknąłem twojej żony. W jej domu bywałem tylko ze względu na waszych synów...

– Czego wyraźnie ci zakazałem – wszedł mu w słowo Rashid. – A teraz zejź mi z oczu i nigdy tu nie wracaj. Nie jesteś już moim bratem. – Z trudem powstrzymywał się od rękoczynów.

Hamza, oszołomiony jego reakcją, bez jakichkolwiek dowodów na swoją niewinność, pospiesznie wybiegł na korytarz pałacu. Po drodze spotkał Mohammeda.

– Wujku... – zawołał chłopak.

Hamza zatrzymał się na chwilę.

– Posłuchaj, nie jestem twoim wujkiem – powiedział z ciężkim sercem. – Nie mamy ze sobą nic wspólnego i nie chcę cię więcej widzieć. Odczep się ode mnie... Ty i cała twoja rodzina!

Mohammed nie mógł zrozumieć tego, co się stało. Wujek zawsze miał dla niego tylko ciepłe słowa. Był wzorem do naśladowania, wspaniałym kompanem zabaw. Teraz brzmiał jak obcy człowiek, pełen nienawiści wróg.

Hamza wybiegł z pałacu i wsiadł do swojego samochodu. On i Mo nigdy więcej się nie zobaczyli.

O podejrzeniu zdrady Sabira nie dowiedziała się przez kolejny miesiąc. Dopiero gdy Rashid ochłonął, zjawił się w jej domu i pokazał zdjęcia.

– Skąd to masz? – zapytała.

– A jakie to ma znaczenie? To dowód na to, że mnie zdradziłaś!

– Nie, to dowód na to, że ktoś chce mi zaszkodzić. A także na to, że twoje dzieci kochają swojego wujka, którego ty wygnałaś, bo od urodzin Mohammeda nie pojawił się u nas ani razu. To dowód na twoją tyranie. Zdrada to ostatnie, czego dowodzą te zdjęcia! – wykrzyczała Sabira. – Zawsze byłam ci wierna! Oskarżanie mnie o tak nieczyny czyn jest obrazą dla mojej kobiecości. Nie chcę już być twoją żoną. Od dawna nie traktujesz mnie z szacunkiem.

Rashid długo się powstrzymywał, ale w końcu uderzył Sabirę w twarz. Kobieta zachwiała się i osunęła na ziemię, ale szybko wstała. Nie chciała dać mu satysfakcji. Coś w niej pękło. Sama była zaskoczona tym, że po raz pierwszy odważyła się postawić swojemu mężowi. Lata upokorzeń i przedmiotowego traktowania znosiła dzielnie, czerpiąc siłę z wychowywania dzieci. Dała Rashidowi trzech synów, ale zawsze myślała, że to on dał ich jej – i była mu za to do zgonnie wdzięczna. Ale gdy wysunął te bezpodstawne oskarżenia, po prostu pękła. Wolą iść dalej przez życie sama, niż znosić ból zadawany przez małżonka.

– Chcę rozwodu! – powiedziała wprost.

– Nigdy go nie dostaniesz.

– Chcę rozwodu! – powtórzyła, podnosząc głos.

– Zamknij się, ladacznico! Niewierne żony mogą co najwyżej błagać o przebaczenie, ale na

pewno nie mogą wysuwać żądań. Powinnaś być wdzięczna, że pozwałam ci żyć... – powiedział z cynicznym uśmiechem i dodał: – ...na razie.

Sabirę przeszył dreszcz. Przestraszyła się słów męża, ale strach nie pozostał w niej na długo. Zastąpiła go odraza.

Prorok Muhammad twierdził, że „najbardziej zniechęconą rzeczą przez Allaha dozwoloną człowiekowi jest rozwód”⁶². Mimo tej jednoznacznej opinii ze strony najwyższego rozwoły w kulturze Bliskiego Wschodu wcale nie należą do rzadkości. Są lata, w których niektóre muzułmańskie kraje, jak Jordania czy Kuwejt, znajdują się w światowej czołówce, jeśli chodzi o liczbę unieważnianych małżeństw.

Aby doszło do rozwodu, zgodnie z islamskim prawem musi zajść poważna przesłanka, taka jak nieposłuszeństwo żony, niewywiązywanie się przez nią z obowiązków lub trwała choroba. Tak, żadnego „w zdrowiu i chorobie”. Żona ma być sprawna i zdolna do rodzenia dzieci. Do *talaq*⁶³ może dojść także wtedy, gdy wygaśnie okres, na jaki małżeństwo zostało zawarte, oraz z powodu apostazji jednego z małżonków (ta w większości krajów arabskich podlega karze śmierci, więc małżeństwo i bez rozwodu ma spore szanse na rozwiązanie).

Najważniejszym powodem do rozwodu jest jednak zdrada. Podejrzewający zdradę mężczyzna, by uchronić się przed hańbą, może rzucić na swoją żonę *lian* – bardzo szczególny rodzaj klątwy. Mąż ma wtedy czas, by zebrać dowody na niewierność żony, a ona może spróbować udowodnić swoją niewinność.

Do udowodnienia winy potrzebny jest głos czterech męskich świadków lub ośmiu kobiet (kobiety głos ma w tym świecie tylko połowę męskiej siły rażenia). Nietrudno się domyślić, że nawet niewinnie oskarżona żona ma marne szanse na obronę. Koran jasno określa postępowanie w takim przypadku – i rozwód raczej nie jest tu wyjściem. Wszak ten nie jest Allahowi miły. „A wobec tych spośród waszych kobiet, które popełniają wszeteczeństwo, zażądajcie świadectwa czterech spośród was. I jeśli oni poświadczą, to trzymajcie je w domach, dopóki śmierć ich nie zabierze”⁶⁴.

Opieka nad dziećmi po rozwodzie najczęściej przypada w udziale ojcu. W przeszłości to on zwyczajowo utrzymywał rodzinę, a przeważnie nadal jest jej głównym żywicielem. Zgodnie z islamem to męski obowiązek.

Po rozpadzie małżeństwa najważniejsze jest to, by zapewnić byt dzieciom. W dzisiejszych czasach kobiety w krajach takich jak Emiraty są często niezależne finansowo, ale nie zmienia to wiele w ich porozwodowej sytuacji. Wprawdzie zgodnie ze słowami Proroka zachowują one prawo do opieki nad dziećmi, bo „ktokolwiek rozdzieli matkę z jej dzieckiem, tego Allah rozdzieli z jego ukochanymi w dniu Sądu Ostatecznego”, ale w praktyce mogą się zajmować chłopcami wyłącznie do siódmego roku życia, a dziewczynkami do dnia ich dziesiątych urodzin. Później wybór rodzica pozostawia się dzieciom, ale nietrudno się domyślić, że zostają one z matką tylko wtedy, gdy ojciec nie ma ochoty się nimi zajmować.

Rashid najpierw zabrał jej dzieci. Wysłał po nie swoich ochroniarzy, głuchych na płacz, błagania, słowa sprzeciwu. Młody Mohammed był przekonany, że to tylko tymczasowa przeprowadzka. Hamid i Hassan, związani z matką, przeżyli to bardzo ciężko. Nagle zniknęła z ich życia, a oni musieli zamieszkać w pałacu ojca. Bywali tu czasami, ale nigdy nie zostawali na noc, a już na pewno nigdy nie byli tu bez swojej mamy.

Sabira była zrozpaczona, ale wiedziała, że Rashid nie jest ojcem, który im się poświęci. Traktowała to jako karę i działanie obliczone na efekt. Miało ją przekonać do rezygnacji z idiotycznego, zdaniem męża, żądania rozwodu. Przecież gdyby do niego doszło, Sabira natychmiast straciłaby dzieci. Chciał ją tylko przestraszyć.

Minęło kilka dni, od kiedy chłopcy zostali wywiezieni do pałacu ojca. Sabira zaczynała tracić

nadzieję. Próbowwała się skontaktować z mężem, by uprosić go o powrót dzieci, ale ten jej unikał. Nie odbierał telefonów. Nie reagował na zostawione wiadomości. Wysłanie służby i wizyta w jego pałacu też nie przyniosły rezultatu. W końcu napisała pełen pokory list.

„Mężu mój,

wybacz mi to, co robię, ale moje serce przepełnia tęsknota. Odchodzę od zmysłów i nie wiem, co począć. Podjęłam ostateczne kroki, bo nie wiedziałam, jak sobie z tym wszystkim poradzić. Przepraszam Cię za to. Nie chciałam, by moje słowa w jakikolwiek sposób Cię zraniły.

Wcale nie chcę rozwodu. Będę Twoją żoną tak długo, jak tylko będziesz tego chciał, tylko proszę, oddaj mi dzieci. Choć nigdy Cię nie zdradziłam, ukarż mnie tak, jak uznasz za stosowne, tylko pozwól im do mnie wrócić.

Twoja oddana żona Sabira”

Sabira nie miała pojęcia, jak potężne narzędzie daje swojemu mężowi, pisząc ten list. Rashid nigdy nie odpisał, nie oddzwonił, nie zareagował. Dwa dni po jego wysłaniu Sabira po kolacji poczuła się słabo. Nad ranem służba znalazła ją martwą. Odeszła we śnie, we własnym łóżku. Sekcja zwłok stwierdziła zatrucie śmiertelną dawką leków. Oficjalnie uznano, że Sabira popełniła samobójstwo, a koronnym dowodem na to był dołączony do akt sprawy, spisany na poszarpanej kartce pożegnalny list:

„Mężu mój,

wybacz mi to, co robię, ale moje serce przepełnia tęsknota. Odchodzę od zmysłów i nie wiem, co począć. Podjęłam ostateczne kroki, bo nie wiedziałam, jak sobie z tym wszystkim poradzić. Przepraszam Cię za to. Nie chciałam, by moje słowa w jakikolwiek sposób Cię zraniły”.

Rashid został wdowcem oplakującym drastyczny krok swojej żony. Policji wyjaśnił, że Sabira od dłuższego czasu była niestabilna emocjonalnie. W obawie o dobro dzieci zabrał je na jakiś czas do siebie, by dać żonie szansę na dojście do zdrowia. Niestety w międzyczasie targnęła się na własne życie.

Krótko po śmierci matki młodszy chłopcy zostali przeniesieni do domu drugiej żony Rashida. Mohammed początkowo też tam zamieszkał, ale z czasem coraz częściej zostawał w domu ojca i tylko niekiedy odwiedzał braci.

Szczerze nie znosił Mahy. Ona zresztą również pałała do niego niechęcią i korzystała z każdej okazji, by mu to pokazać. Była przekonana, że po śmierci Sabiry to Mohammed odbiera jej pełnię uwagi Rashida, choć oczywiście było to dalekie od prawdy. Rashid nie interesował się żadną ze swoich żon. Maha, mimo starań, nie miała szans, by wygrać z pozycją pierworodnego. Na usunięcie go jednak nie potrafiła się zdobyć, a nawet jeśli próbowała, było to nieudolne.

Dla młodego chłopaka nadszedł traumatyczny czas, który bezsprzecznie ukształtował go na kolejne lata. Niestety to nie był koniec złych wieści. Jakies pół roku później Mohammed dowiedział się o śmierci kolejnej bliskiej mu osoby. Wujek Hamza został znaleziony martwy w hotelu w Los Angeles. Oficjalną przyczyną jego śmierci był zawał serca. Rashid sprowadził zwłoki brata do Emiratów, ale nie zgodził się na jego pochówek w rodzinnym grobowcu. Hamza został pochowany jak zwykły obywatel, co zdaniem Rashida i tak było zbytkiem. Nie zasługiwał nawet na tyle.

Ojciec postanowił ukształtować Mohammeda na swój obraz i podobieństwo. Chciał, żeby syn był pozbawiony skrupułów, gdy w grę wchodzi większe dobro, i próbował zaszcześcić mu radykalizm

w kwestii religii, kobiet i biznesu. W biznesie młody Mo od samego początku przejawiał nieprzeciętny talent i determinację. Podparte wykształceniem na najlepszych uczelniach, czyniły go godnym zaufania dziedzicem majątku. Niestety zbyt dużo czasu spędzonego w krajach zepsutego Zachodu zrobiło z niego człowieka umiarkowanie religijnego, żeby nie powiedzieć – ateistę. Zawsze unikał rozmów o religii, a Allaha wzywał wyłącznie na pokaz. Jedynym wspomnieniem związanym z religią, o jakim mi opowiedział, było zarzynanie młodego barana. Ojciec zmusił go do tego w ramach święta Id al-Adha. Chciał zrobić z syna pobożnego muzułmanina. Osiągnął przeciwny efekt.

Id al-Adha to jedno z dwóch najważniejszych świąt islamu. Ustanowione na pamiątkę ofiary, jaką prorok Ibrahim miał złożyć Bogu, który zażądał od niego, by na dowód swego posłuszeństwa zabił rytualnie swojego syna. Ibrahim nie sprzeciwił się Najwyższemu, ale ten powstrzymał go, zanim ostrze noża dotknęło szyi młodego Izmaela. Zamiast chłopca Bóg litościwie pozwolił mu złożyć w ofierze barana.

Muzułmanie uważają Id al-Adha za święto mające udowodnić ich oddanie Allahowi i co roku z tej okazji zabijają całe stada zwierząt. Bardzo często rolę podryzających gardła ofiarom pełnią dorastający chłopcy w symbolicznym akcie inicjacji. We wspomnieniach Mohammeda nie jest to jednak moment, w którym stał się dumnym mężczyzną. Nie był w stanie zabić zwierzęcia – próba zakończyła się torsjami i ucieczką. Chciał uciec już w chwili, gdy wyszedł na skąpany we krwi i zwierzęcych wnętrznościach dziedziniec ojcowskiego pałacu, na którym wcześniej służba pozbawiła życia kilka zwierząt. Czternastoletni Mohammed miał w sobie sporo zaszczepionej przez matkę wrażliwości. Paradoksalnie to właśnie dlatego – poddany bezkompromisowej, zimnej tresurze ojca – stał się wyrachowanym zwyrodnialcem. Bardzo możliwe, że gdyby nie przedwczesna śmierć Sabiry, byłby zupełnie inny.

A kobiety? Cóż, dorosły Mo przyjął zachodnie podejście klasycznego męskiego psychopaty, a realizował je przy użyciu bliskowschodnich przywilejów stawiających go ponad prawem i poza kręgiem podejrzanych. Był w tym mistrzem. A ja miałam wątpliwą przyjemność przekonać się o jego kunszcie.

60 Amerykański seryjny morderca, jeden z najkrwawszych w historii USA.

61 Stan psychiczny właściwy dla ofiar porwania i zakładników, wyrażający się odczuwaniem sympatii w stosunku do oprawcy. Paradoksalnie ofiary często pomagają przestępcom w ich procederze. Nazwa pochodzi od słynnej sprawy napadu na sztokholmski bank w latach siedemdziesiątych. Zakładnicy po uwolnieniu bronili napastników i odmawiali współpracy z policją. Obecnie syndrom sztokholmski często obserwuje się u kobiet, które mimo przemocy stosowanej przez mężów bronią ich, tłumacząc i pomagając uniknąć odpowiedzialności.

62 E. Machu-Mendecka, *Świetlista twarz muzułmanki*, Znak, Kraków 1998, s. 36.

63 Z arab. – rozwód.

64 Koran 4:15.

ROZDZIAŁ 15

Przedstawienie

Praca stewardesy w pierwszej klasie nie jest wolna od upokorzeń. Na pewno jest ich mniej niż w klasie ekonomicznej, ale też mają zupełnie inny kaliber. Mam wrażenie, że obiema klasami latają dwa zupełnie różne – gardzące sobą nawzajem – gatunki ludzi. Oczywiście my, szarzy użytkownicy klasy ekonomicznej, tylko tę pogardę udajemy. Pasażerowie klasy pierwszej często odczuwają ją szczerze. Tak już ten świat jest skonstruowany i nie ma co się nad tym użalać. Z doświadczenia wiem, że często lepiej być skromnym pasażerem klasy ekonomicznej, niż całym swoim jestestwem udowadniać, że bez mózgu da się żyć.

Pokora i cierpliwość są wpisane w zawód stewardesy, ale w pierwszej klasie trzeba mieć w tym zakresie wręcz wybitne kompetencje. Stewardesy zachowują pozory niewzruszonych i wiecznie uśmiechniętych, choć jak każdym człowiekiem targają nimi często skrajne emocje. Ich powodem są niemal zawsze pasażerowie. Wśród nich tacy, którym chciałoby się nieba przychylić, ale i tacy, którym w duchu życzy się śmierci w męczarniach i odrodzenia jako szczotki klozetowej w toalecie centrum handlowego.

Leciałam do Jeddah w Arabii Saudyjskiej w trakcie ramadanu. Najgorsza z możliwych kombinacji. Fanatyzm religijny w tym świętym dla muzułmanów czasie wzbiera w każdym, nawet w najbardziej wyzwolonym zakątku Bliskiego Wschodu. Lot do fanatycznego kraju w okresie wzmożonego fanatyzmu jest sportem ekstremalnym.

Na pokładzie mieliśmy saudyjskiego bogacza z dwiema żonami i trzema służącymi, ulokowanymi na jego życzenie w pierwszym rzędzie klasy ekonomicznej, tak by byli możliwie daleko i blisko siebie zarazem. Mężczyzna władował się na pokład z niebotyczną ilością bagażu podręcznego zapakowanego w torby i walizki firmy Louis Vuitton.

– Weźcie to – powiedział i ignorując nasze powitanie, wskazał na pchany przez drobnego Pakistańczyka wózek z bagażem. – Tylko ostrożnie, okucia są ze złota, robione na zamówienie. Nie chcę widzieć ani jednej ryski.

Pomyślałam, że koleś musi mieć bardzo małego fiuta. Pomog-ło. Zawsze pomaga.

Z przyklejonymi do twarzy uśmiechami zabrałyśmy się do rozlokowywania jego bagażu. On tymczasem pilnował, czy wlekące się za nim żony weszły do swoich kabin. Potem natychmiast zamknął się w swojej kabinie. Ze względu na ramadan nie serwowaliśmy powitalnego poczęstunku, ale kontynuowałyśmy procedurę przygotowania do startu. Gdy zostały do niego trzy minuty, nie miałyśmy już wyjścia, musiałyśmy ruszyć do zamkniętych kabin mężczyzny i jego żon i poprosić, by otworzyli je na czas startu. Dla ich własnego bezpieczeństwa. Mnie przypadło w udziale poinformowanie o tym mężczyzny. Najpierw zawołałam przez zamknięte drzwi, a gdy nie doczekałam się reakcji, po prostu je otworzyłam.

– Jak śmiesz, dziwko, dotykać mnie w świętym miesiącu ramadan! – wydarł się na mnie facet, choć nie musnęłam go nawet ubraniem; siedział dobre kilkadziesiąt centymetrów ode mnie.

– Bardzo przepraszam, ale nie dotknęłam pana. Kabiny na czas startu muszą pozostać otwarte – powiedziałam z chłodnym profesjonalizmem.

Pasażer jednak kontynuował swoją religijną histerię:

– Śmiesz mnie nazywać kłamcą!? Muzułmanin nigdy nie kłamie!

Cóż, bywają wyjątki, jak widać.

– Nie, proszę pana, nie nazywam pana kłamcą. Po prostu mówię, że pana nie dotknęłam. Ale jeśli poczuł się pan niekomfortowo, bardzo za to przepraszam.

– Czyli jednak nazywasz mnie kłamcą! Pożalujesz tego. Nawet do mycia podłóg się nie nadajesz. Takie jak ty kończą na pustyni.

Czy było mi przykro? Nie. Z wyższością obserwowałam, jak ten sfrustrowany mały człowieczek wije się, wymyślając najbardziej dotkliwe obelgi. Żadną jednak nie był w stanie zetrzeć uśmiechu z mojej twarzy. Opuścił, a ja poinformowałam go, że za minutę startujemy.

Usiadłyśmy, zapięłyśmy pasy i już z własnych miejsc obserwowałyśmy, jak w ostatniej chwili przed startem mężczyzna wychodzi ze swojej kabiny. Odruchowo chciałam zareagować, ale koleżanka mnie powstrzymała. Saudyjczyk chwiejnym krokiem spowodowanym coraz większą prędkością podszedł do kabin żon i zatrzaskał je ze złością. Samolot oderwał się od ziemi, zanim religijny fanatyk zdążył wrócić do siebie. Facet stracił równowagę i uderzył głową o ścianę. Niestety nic się nie stało.

Reszta lotu minęła nam na jego okazjonalnych wrzaskach. Na szczęście do Jeddah nie jest daleko. Prawdziwa awantura z udziałem tego pana rozegrała się jednak na lotnisku. To znam już tylko z opowieści. Saudyjczyk poza swoim ekskluzywnym, okutym złotem bagażem przewoził ze sobą tygrysa, a w zasadzie ciężarną tygrysicę. Częsta sprawa wśród arabskich bogaczy, a zarazem najokrutniejszy sposób traktowania zwierząt. Warunki w lukach bagażowych są koszmarnie – nieprawdopodobny hałas i temperatura sięgająca kilkudziesięciu stopni poniżej zera. Oczywiście dla zwierząt przygotowywane są specjalne klatki, cieplejsze i nieco wygłuszone. Podaje się im też leki uspokajające, ale i tak to dla nich olbrzymi stres. Zdarza się, że niektóre nie przeżywają takiej podróży. I tak było tym razem. Cięża tygrysicy zapewne się do tego przyczyniła. Tak czy inaczej, zwierzę dotarło do Jeddah martwe. Nietrudno sobie wyobrazić reakcję mężczyzny, gdy okazało się, że ArabAir zabiło mu tygrysa. Dość powiedzieć, że wrzeszczał jak szalony.

Pasażerowie pierwszej klasy często przewożą zwierzęta. Wycięte z Instagrama córki arabskich miliarderów nie wyobrażają sobie podróży bez swoich miniaturowych piesków, które służą im za akcesoria. To nowy trend, bo na Bliskim Wschodzie psy tradycyjnie nie są pożądanymi zwierzętami. Podobno jeden z nich ugryzł proroka Mahometa, dlatego pobożni muzułmanie ich nie lubią. Ale moda rządzi się swoimi prawami. Emirackie fashionistki dobierają psy do garderoby i mówią o nich jak o torebkach. Rozmawiałam kiedyś z nastoletnią Emiratką, która leciała ze swoim czarnym maltipoo na zakupy do Paryża. Powiedziała mi, że w klasie ekonomicznej siedzą jej dwie służące, które wiozą kolejne dwa małe pieski, białego i karmelowego. „Wiesz, dobór kolorów jest bardzo ważny. Nie pojmuję, jak laski mogą wstawiać fotki z psami, które kompletnie nie pasują do ich ubioru. Przecież jak masz na sobie różową sukienkę, to nie fotografujesz się z beżowym psem. Proste. Ale ludzie kompletnie tego nie jarzą”. Do dziś jak mam na sobie coś różowego, nie zbliżam się do beżowych psów.

Przewożenie kilku miniaturowych piesków to jednak nic w porównaniu do modowej fanaberii pewnej Libanki, żony Emiratczyka, która za doskonały dodatek do ubioru – obok swojej torebki ze skóry pytona – uznała... prawdziwego węża. Wniosła go na pokład właśnie w owej torebce, a gdy już byliśmy w powietrzu, zapytała, co możemy zaproponować jej pupilowi, bo pasztet z gęsich wątróbek ewidentnie mu nie podszedł. Była zdziwiona, słysząc, że nie mamy specjalnego menu dla węży. Ani miejsca dla nich w kabinie. „Przecież jest niegroźny i malutki”, tłumaczyła. Gdyby nie fakt, że lecieliśmy tylko do Kuwejtu, musielibyśmy awaryjnie lądować. Brak specjalnej klatki był już szczytem głupoty. Wystarczyła chwila nieuwagi, by zwierzę wyslizgnęło się i znalazło sobie miejsce w jakimś trudno dostępnym miejscu w samolocie, na przykład w instalacji – doprowadzając do zwarcia i katastrofy.

Zaczęło się wielkie przedstawienie. Przez kolejne dwa miesiące udawaliśmy szczęśliwą, zakochaną parę, która ma przed sobą świetlaną przyszłość. Ja próbowałam skupiać się na atrybutach Mo, które kiedyś spowodowały, że kompletnie oszalałam na jego punkcie – na urodzie, męskości, manierach, na tym, że adorował mnie i wielbił... Starłam się też robić wszystko, by uśpić jego czujność. Uprawialiśmy seks niezwykle często, a ja nie mogłam się nadziwić temu, że w naszym łóżku nie ma jego kumpli, a w moich żyłach nie buzuje narkotyki. Zważywszy na naszą historię, warto było to odnotować. Były chwile, gdy myślałam, że naprawdę się zmienił, a wszystko, co przeżyłam za

jego sprawą, było jednak złym snem. Upływający czas potrafi zmienić naszą percepcję i nawet makabryczne doświadczenia przekuć w niegroźne wspomnienie.

Któregoś z tych sielankowych poranków nagle dostałam mdłości. Znowu to zrobił, pomyślałam, pomna jego narkotykowych zapędów. Wracamy do punktu wyjścia. Nie mógł się tak po prostu zmienić. Co za psychol! Po chwili jednak przyszło zwątpienie. A może naprawdę się zatrulałam, a Mo nie ma z tym nic wspólnego? To też prawdopodobny scenariusz. Był jeszcze jeden. Nie... to niemożliwe!

Okazało się nie tylko możliwe, ale i prawdziwe. Dwa podarowane mi przez Ralucę testy ciążowe potwierdziły to, co w normalnych okolicznościach pewnie by mnie ucieszyło, ale teraz całkowicie przeraziło. Miałam mętlik w głowie. Ciąża oznaczała koniec z lataniem. Ale nie to było dla mnie najbardziej przerażającą wizją. Najbardziej martwiło mnie to, jak Mo zareaguje na tę wiadomość. Przecież nie pozwoli na to, by jego nieoficjalna dziewczyna z Europy urodziła mu oficjalne dziecko. Jest muzułmaninem, Emiraczykiem. Tutaj kolejność: ślub, potem ciąża – wymagana nie tylko przez religię, ale i przez prawo. Nikt nie uwierzy w niepokalane poczęcie. Jednym z częstych rozwiązań w takich sytuacjach był szybki ślub, ale o tym nie było mowy. W życiu bym się na to nie zgodziła. Dla Mohammeda mógł to też być kolejny sposób na emocjonalny szantaż albo inspiracja do nowych psychicznych tortur, którym z takim zacięciem mnie poddawał. Jako ciężarna niezamężna kobieta miałam w Emiratach tylko jedno miejsce – więzienną celę. Nie mogłam uwierzyć, że nie wykorzysta takiej okazji.

Znowu byłam w pułapce. I tym razem, o dziwo, nie była ona zastawiona przez Mohammeda. Chociaż, nie da się ukryć, miał z tym sporo wspólnego.

Kompletnie nie wiedziałam, co robić.

– Powiedzieć mu! To oczywiste! – zawyrokowała Kale. – I to natychmiast. Z czasem będzie tylko gorzej, a opcje będą się kurczyć.

– Zmusi mnie do małżeństwa albo każe mi usunąć ciążę – odparłam.

– Nie może ci nic kazać, choć pewnie będzie próbował... A ty? Co ty chcesz z tym zrobić?

– Nie wiem, nie mam pojęcia, ale chyba nie byłabym w stanie poddać się aborcji.

Myślałam o tym długo. Zawsze uważałam, że taka decyzja powinna należeć do kobiety, ale dopiero gdy sama stanęłam przed tym dylematem, odczułam, jak bardzo złożony jest to problem. Aborcja jest straszną rzeczą, ale czasami bywa konieczna. Nie jestem w stanie wyobrazić sobie kobiety, która robi to dla sportu. To zawsze indywidualna tragedia. Ludzie często podchodzą do tego tematu niezwykle pochopnie. Oceniają, nie wiedząc, jak trudna to decyzja. Dla mnie obarczona była jeszcze większym stresem. Musiałam powiedzieć o ciąży mojemu zboczonemu, choremu psychicznie chłopakowi – i czekać na jego kompletnie nieprzewidywalną reakcję. Z każdym dniem bardziej się denerwowałam. Wiedziałam, że dłużej tego nie zniosę. Musiałam mu o tym powiedzieć. Postanowiłam, że zrobię to, jak tylko wrócę z lotu.

Reakcji Mo faktycznie nie byłam w stanie przewidzieć. Uśmiechnął się, podszedł do mnie, położył dłoń na moim brzuchu i pocałował mnie w czoło. Scena jak z reklamy firmy ubezpieczeniowej, w której ona sugeruje mu, że zostanie ojcem, a on reaguje hollywoodzkim uśmiechem, patrzy na nią oczami szklanymi od łez, a potem razem patrzą ze spokojem w przyszłość... Oczywiście pod warunkiem, że mają na nią polisę.

Ja przy Mo polisy nie miałam – nie byłam nawet pewna, czy mam jakąkolwiek przyszłość. Ale naprawdę zaskoczył mnie swoją reakcją. Nie jest zły? Cieszy się? Co dalej? Nie powiedział ani słowa. Wiedział, że tego oczekuję, ale tylko się uśmiechał. U niego jednak uśmiech mógł oznaczać absolutnie wszystko.

– Nic nie powiesz? – nie wytrzymałam.

Ale on nadal milczał. Przez kolejne minuty siedzieliśmy w absolutnej ciszy. W końcu przemówił:

– Jesteś pewna, że to moje dziecko?

Bańka mydlana pękła.

Nie, skurwielu, nie twoje! Zrobiłam je sobie z hinduskim taksówkarzem!

– Oczywiście, że pewna! Nie sypiam z nikim innym. Jak możesz mnie pytać o takie rzeczy?! – Byłam wzburzona.

– Kochanie, nie denerwuj się. Chciałem tylko się upewnić – powiedział spłoszonym głosem.

– To najbardziej kretyńskie pytanie, jakie można zadać w takiej chwili.

– Wybacz, nie mam doświadczenia.

Naprawdę brzmiał jak przestraszony chłopiec. Może faktycznie nie miał doświadczenia, a może świetnie się maskował.

– Cieszysz się? – spytałam, gdy nieco ochłonęłam.

– Bardzo – powiedział, jednak bez przekonania. – A... jesteś pewna, że chcesz je urodzić?

Czyli chyba jednak nie bardzo! To pytanie wystarczyło za wszystkie deklaracje. Zrozumiałam, że Mohammed wcale nie ma ochoty zostać ojcem. Jeśli nawet zdecyduje się urodzić to dziecko, on nigdy go nie uzna.

I wtedy zaświtała mi w głowie myśl. Może ta ciąża jest moim wybawieniem? Nie będzie chciał mnie takiej – grubej, opuchniętej, z humorami. Nie będzie chciał mnie z dzieckiem. Będę musiała odejść z linii lotniczych, stracę prawo do przebywania w Dubaju, a on zainteresuje się jakąś inną naiwną stewardesą. Przez jakiś czas wydawało mi się, że to plan genialny w swojej prostocie. Idealny sposób na ucieczkę. Od początku chciałam tego dziecka, ale teraz pragnęłam go jeszcze bardziej.

– Tak, jestem pewna. Jestem tego absolutnie pewna. Chcę zostać mamą. Ty możesz zostać tatą, ale nie musisz. Nie oczekuję od ciebie absolutnie niczego.

– To nie takie proste, kochanie. Ale tym zajmiemy się później.

– Co nie jest proste? Albo chcesz zostać ojcem, albo nie. To bardzo proste.

– Mój głupiutki bąbelek... Nie utrudniaj. Chodź, mam dla ciebie wspaniałą niespodziankę.

– Co takiego?

– Zobaczysz. Zbieraj się. Jedziemy na wycieczkę – powiedział, kończąc drugą szklankę porannej whisky.

Kilka minut później wsiedliśmy do jego czarnego maserati. Mo usiadł za kierownicą. Nie byłam pewna, czy to dobry pomysł. Nie wydawał się pijany, ale nie zmieniało to faktu, że pił. On nie widział w tym nic niewłaściwego. Mało tego: gdy tylko wyjechaliśmy poza Dubaj, wyciągnął z zamontowanej w samochodzie lodówki butelkę chivas regal. Pomagając sobie zębami, uwolnił zakrętkę, po czym uraczył się obfitym haustem. Teraz byłam już przerażona. Ale zanim zdążyłam zareagować, puścił do mnie oko i przycisnął pedał gazu. Zrozumiałam, co robi. Chce mnie przestraszyć. Czyżby to był jego sposób na pozbywanie się niechcianych ciąż? Chciał, żebym w panice poroniła? A może miał zamiar nas zabić? Całą trójkę w komplecie.

Mohammed bawił się doskonale. Nadal popijał swoje schłodzone whisky i przyciskał pedał gazu. Bałam się patrzeć na prędkościomierz, ale w końcu zerknęłam. Pędziliśmy dwieście kilometrów na godzinę. Autostrady w Emiratach pozwalają na takie prędkości, ale rozsądek zdecydowanie ich zakazuje, zwłaszcza jeśli kierowca ma krew obficie wzbogaconą alkoholem. Byłam przekonana, że ta wycieczka skończy się wypadkiem, ale nie byłam w stanie wydusić z siebie słowa. I tylko w duchu modliłam się, by w końcu się zatrzymał.

Ten koszmar trwał prawie godzinę. Skończył się na przedmieściach Al Ain. Maserati zahamowało z piskiem opon przed bramą jakiegoś tandetnego, ale ewidentnie niezwykle drogiego pałacu. Wrota się otworzyły i podjechaliśmy przed wejście. Służba zareagowała natychmiast. Jeden z hinduskich lokajów odebrał kluczyki od Mohammeda, który zwinnie wyskoczył z auta. Drugi ze służących sięgnął do bagażnika po torbę.

– Wysiadka, moja księżniczko! – zawołał z uśmiechem Mo, zaglądając do samochodu.

Był w doskonałym humorze, a ja wciąż siedziałam jak sparaliżowana. Dopiero gdy upewniłam się, że wszystkie moje członki są na swoim miejscu i funkcjonują jak dawniej, powoli wytoczyłam się z maserati. Świat wokół mnie wirował. Czułam, że zaraz zwymiotuję. Chciałam jak najszybciej znaleźć się w łazience, ale nie zdążyłam. Zwymiotowałam wprost na marmurowe schody prowadzące do

posiadłości.

– Aż tak ci się tu nie podoba? – zażartował Mo. – W sumie ci się nie dziwię. Poprzednia właścicielka kompletnie nie miała gustu.

Poprzednia właścicielka? To wskazywałoby na to, że nowym właścicielem jest Mo. Kim była jego poprzedniczka? Jedno wiedziałam o niej na pewno i tu musiałam się zgodzić z Mohammedem: była osobą całkowicie pozbawioną gustu, lecz na pewno niepozbawioną pieniędzy.

Mo, o dziwo, się przejął. Wziął mnie pod ramię i zaprowadził do najbliższej, choć i tak oddalonej o kilkadziesiąt metrów od wejścia łazienki, wyłożonej obrzydliwym piaskowcem w kolorze moich wymiocin. Strumień zimnej wody i chwila odpoczynku pomogły mi dojść do siebie.

– Jesteś skończonym idiotą! – wrzasnęłam po wyjściu. – Kto tak jeździ?!

– Tylko ci, którzy potrafią! – odpowiedział z wyraźną dumą.

Wiedziałam, że dalsza dyskusja na ten temat nie ma sensu.

– *Habibi*, rozchmurz się. – Pocałował mnie czule. – Chodź, pokażę ci coś absolutnie zachwycającego. – Złapał mnie za rękę i delikatnie pociągnął za sobą.

Biegąc przez długi korytarz, który był połączeniem wpływów arabskich i starogreckich, wymieszanych z ewidentnym uwielbieniem do tandetnych landszaftów, powtarzałam sobie, że o gustach się nie dyskutuje. Ale to miejsce wymykało się wszelkim regułom. Nie mogłam uwierzyć, że ktoś po tym, jak powstały te wnętrza, powiedział: Wow, świetna robota – i zapragnął tu zamieszkać. Ja dostałabym tu chronicznej bulimii.

Na szczęście miejsce, do którego zaprowadził mnie Mo, zgodnie z jego zapowiedzią okazało się absolutnie zachwycające. Zupełnie jakby ktoś urządził ten pałac najbrzydziej, jak się da, tylko po to, by wywołać jeszcze większy zachwyt nad tym, co znajdowało się na jego dziedzińcu.

Ogród, w którym się znalazłam, był jak z najpiękniejszego snu. Idealnie przyszyty trawniki, dywany kwiatów i kurtyny wodne, dzięki którym prawie całą przestrzeń spowijała niemal mistyczna mgła. Byłam zachwycona. Uśmiechałam się bezwiednie.

– To jest niezwykle... Czyj to pałac? Czyj jest ten ogród?

– Mój – odparł Mo. – Od jakiegoś czasu jest mój.

– Nie mówiłeś mi o nim. A czyj był wcześniej?

– Nie mówiłem ci jeszcze wielu rzeczy. Jak ci się podoba?

– Ten ogród jest magiczny.

– Prawda? Pałac nadaje się do zburzenia, ale ogród jest niezwykły. W przyszłym tygodniu zaczyna się tu przebudowa. Mam zamiar zrobić z tego miejsca prawdziwą perełkę. Chciałem ci to pokazać, żebyś mogła później zobaczyć, do jakich cudów jest zdolny twój mężczyzna.

– Wierz mi, dobrze wiem, do czego jesteś zdolny – rzuciłam z ironią.

– Kochanie, nie psuj atmosfery. Spędźmy dzień w tym pięknym ogrodzie. Obiad powinien być już gotowy. Umieram z głodu.

Wciąż nie byłam pewna, czy jestem w stanie cokolwiek zjeść, ale perspektywa spędzenia dnia w tym zachwycającym ogrodzie bardzo mi się podobała. Na równo przyszytym trawniku ustawiono przykryty białym obrusem gustownie zastawiony stół. Gdy tylko przy nim usiedliśmy, wokół nas zaczęła się krzątać służba. Wyrośli znikąd – z tacami, półmiskami, dzbanami. Po chwili do moich nozdrzy dobiegły wspaniałe zapachy. Nie byłam pewna, czy powinnam jeść cokolwiek, co powstało na polecenie Mohammeda.

Mo nie czekał na mnie. Natychmiast zabrał się do jedzenia, jakby chciał mi dać do zrozumienia, że posiłek jest bezpieczny. Pochłonął zawartość swojego talerza z podobną prędkością, z jaką prowadził samochód. Gdy tylko skończył, przeprosił mnie, obiecując, że za chwilę wróci. I w niepokojąco szybkim tempie pobiegł w kierunku pałacu.

Zostałam zupełnie sama w tym pięknym, magicznym ogrodzie. Nawet obserwująca nas z oddali służba zniknęła. Nie byłam tym zaniepokojona. Zamknęłam oczy. Było mi dobrze i błogo. Wystawiłam twarz do słońca i upajałam się jego promieniami.

Pierwsze warknięcie zupełnie zignorowałam. Myślałam, że to dźwięk przesuwanych stołów

albo silnika jakiegoś samochodu w oddali. Ale kolejne zdawało się znacznie bliższe. Otworzyłam oczy. To, co ujrzałam, zupełnie mnie sparaliżowało.

Obok stołu, nie dalej niż dwa metry ode mnie, stał majestatyczny biały lew. Piękny i przerażający zarazem. Patrzyłam na zwierzę w twórcę. Byłam pewna, że właśnie zaserwowano obiad, a ja jestem daniem głównym. Chwilę później obok lwa pojawiła się piękna lwica. Przyczłapała leniwie i położyła się na trawie nieopodal. Wkrótce samiec zrobił to samo. Para nie spuszczała ze mnie wzroku. Byłam przekonana, że najmniejszy ruch z mojej strony będzie dla nich sygnałem do ataku. Tkwiłam w bezruchu. Nie wiedziałam, jak długo to potrwa i jaki będzie finał tej historii. Wiedziałam jedno: mój psychiczny narzeczony postanowił rzucić mnie na pożarcie lwom albo przynajmniej porządnie nastraszyć. To nie był przypadek, że zniknął tak nagle, a zwierzęta pojawiły się właśnie podczas jego nieobecności.

W pewnym momencie lwy zerwały się energicznie. Patrzyły na mnie – wyprężone, dostojne, gotowe do skoku. Ale potem, ku mojemu zdziwieniu, obróciły się i odeszły alejką w głąb ogrodu, by zniknąć za idealnym w formie parkanem.

W dalszym ciągu bałam się poruszyć. Dopiero gdy wrócił Mo, odważyłam się zmienić pozycję.

– W co ty grasz? – zapytałam przez ściśnięte strachem gardło.

– O co ci chodzi, kochanie? – Udawał zdziwionego.

– Dobrze wiesz, o co mi chodzi! Wypuściłeś lwy, żeby mnie przestraszyć, chyba temu nie zaprzeczysz?

– Jakie lwy? O czym ty mówisz, kochanie?

– Lwy! Para lwów. Białe lwy. Żywe!

– A nie było tu przypadkiem pary dżinów? Chyba za dużo czasu spędziłaś na słońcu.

Tego mi nie wmówi. Wiedziałam, że lwy były prawdziwe.

– Naczytałaś się bajek o szejkach i teraz wydaje ci się, że każdy, kto ma pałac, ma też lwa. Zapewniam cię, że tu ich nie ma. – Mo siedł w zaparte, dopóki nie odpuściłam.

A może faktycznie to moja wyobraźnia nakręcona przez adrenalinę, słońce i stan, w jakim byłam, spletała mi figla? Gdyby Mo miał lwy, pewnie by się nimi pochwalił wcześniej.

– Jedźmy już stąd – powiedziałam.

– Nie podoba ci się?

– Podoba, po prostu chcę już wrócić do Dubaju. Nie czuję się najlepiej.

– Wrócimy. Najpierw jednak musimy porozmawiać. Co z tym robimy?

– Co robimy z czym?

– Z tym. – Mo wskazał na mój brzuch.

Poczułam się okropnie. W moim łonie nie było jeszcze w pełni ukształtowanego dziecka, ale bolało mnie to, w jaki sposób o tym mówił. Spojrzałam na niego ze złością, choć z trudem powstrzymywałam łzy.

– Wiesz, że to przestępstwo? – zapytał po chwili.

– Co takiego?

– Ciąża. Ciąża poza małżeństwem.

– Sama sobie tego dziecka nie zrobiłam – warknęłam. – Jeśli chcą mnie wpakować za to do więzienia, ty też pójdziesz siedzieć.

– Chcesz się o tym przekonać? – Mo zaśmiał się cynicznie.

Dobrze wiedziałam, że nic mu nie grozi, a on dobrze wiedział, że idiotyczne prawo tego kraju daje mu nade mną przewagę. Może mną manipulować, a w konsekwencji zmusić do aborcji.

– Mo, pozwól mi odejść... – powiedziałam zdesperowana. – Wyjadę, urodzę to dziecko w Polsce. Nikt się nie dowie.

– Nie mogę tego zrobić. Serce by mi pękło. Za bardzo cię kocham. Mówiłem ci już przecież, że nikomu cię nie oddam.

– Mo, proszę... Pozwól mi chociaż urodzić to dziecko. Moja babcia się nim zajmie, a ja do ciebie wrócę.

– Nie zniosłbym rozłąki.
– Możesz pojechać z nami.
– Myślę, że jednak będzie dla nas lepiej, jeśli się pozbędziemy tego problemu. Po co mamy się kłócić?

Był nieprzejednany, a ja coraz bardziej przerażona.

Nie odzywałam się do niego przez całą drogę powrotną do Dubaju. Głowę miałam pełną gorzkich słów, których nie byłam w stanie wypowiedzieć. Wiedziałam, że jestem całkowicie zdana na jego łaskę. I że tylko cudem zdołam ocalić to dziecko.

Kale zachowała zimną krew.

– Przynajmniej masz jasność w sprawie. Może powinnaś polatać jeszcze trochę i uśpić jego czujność. W naszych workowatych mundurach spokojnie ukryjesz ciążę. A potem pojedziemy razem do Stanów i urodzisz w moim mieście. Moi rodzice na pewno chętnie się zajmą tym dzieckiem przez jakiś czas. I tobą się zaopiekują. U nas cię nie wytrapi.

Pomysł Kale był szalony, ale może w tym szaleństwie jest metoda? Kochana Kale!

– Nie chciałabym ściągać na was niebezpieczeństwa – zawahałam się. – Tacy psychole jak Mo są gotowi na wiele.

– Nie bój się. On czerpie siłę z twojego strachu. Pomyśl o tym. Dzisiaj wylatuję, ale daj znać, to wprowadzę rodziców w temat.

Kale dała mi nadzieję, że jeszcze nie wszystko stracone. Ciążę mogłam z powodzeniem ukrywać jeszcze przez kilka miesięcy. Nasze mundury są naprawdę obszerne, a ja jestem z natury bardzo szczupła. Później ukryłabym się w Stanach. Rodzice Kale mieszkają na jakimś zadupiu. Miałam możliwość zniknąć z radarów mojego niezrównoważonego chłopaka.

Przespałam się z tym, a rano napisałam do Kale, żeby porozmawiała z rodzicami. Wiedziałam, że będzie trudno, ale jeśli chciałam urodzić to dziecko, dać mu szansę na przeżycie, nie miałam innego wyjścia.

– Zraniłaś mnie bardzo. Czuję, że nie jestem dla ciebie najważniejszy – powiedział Mo, gdy następnego dnia spotkaliśmy się w jego apartamencie.

Oczywiście, że nie jesteś, psycholu!

– Dlaczego tak mówisz? Dobrze wiesz, że jesteś – zapewniłam, wspinając się na wyżyny aktorstwa.

– Nie czuję tego. Cały czas mówisz o tym bękarcie, a teraz jeszcze chcesz ode mnie uciec.

– O czym ty mówisz? Wcale nie chcę od ciebie uciec!

– Czyżby? Masz zamiar bez mojej zgody urodzić dziecko w Stanach. Moje dziecko! Jak możesz robić takie rzeczy? Czy wiesz, jak bardzo mnie to rani?

Skąd on o tym wie?

– O czym ty mówisz? W jakich Stanach? Ja nie mam nikogo w Stanach – szłam w zaparte.

– Wiedziałem, że będziesz zaprzeczać. Twoje kłamstwa bolą mnie jeszcze bardziej. – Mo kontynuował tyradę, próbując wzbudzić we mnie poczucie winy. Był w tym coraz bardziej żalosny, ale nie można mu było odmówić determinacji.

O urodzeniu dziecka w Stanach rozmawiałam tylko z Kale. Czyżbyśmy miały w domu podsłuch? To wyjaśniałoby zagadkę szerokiej wiedzy Mohammeda na temat mojego życia. Byłam przekonana, że mnie podsłuchuje, i nie miałam zamiaru ukrywać swoich podejrzeń.

– Założyłeś podsłuch w naszym apartamencie?

– Ubliżasz mi! – powiedział groźnym tonem. – Podsłuchy są dla tanich leszczy. Nie zniżyłbym się do takiego poziomu. Ale widzę, że intuicja mnie nie myli. I zapewniam cię: ta ucieczka się nie uda. Jeśli planujesz jakąś intrygę ze swoją czekoladową koleżaneczką, gwarantuję ci, że poniesiecie klęskę i obie słono tego pożałujecie. Kale ma całkiem sympatycznych rodziców, a oni bardzo ładny dom. Szkoda, żeby coś im się stało. Wiesz, te domy w Stanach są takie łatwo palne... – Mówił to wszystko

spokojnym głosem. Można w nim było wyczuć nutę podszytej ironią troski.

Te słowa wystarczyły, bym wiedziała, że pomysł Kale spalił na panewce. Nie mogłam jej narażać.

Gdy zadzwoniła do mnie jeszcze tego samego dnia, byłam tego absolutnie pewna.

– U moich rodziców był pożar! Muszę tam natychmiast lecieć – powiedziała roztrzęsiona.

– Boże... Wszystko z nimi w porządku?

– Na szczęście tak. Ktoś podłożył ogień pod ich drzwi... Byli w domu i szybko się zorientowali. Tata mówi, że wszystko jest OK, ale bardzo się o nich martwię.

– To on... On to zrobił. – Ledwo mogłam wydobyć z siebie głos.

– O czym ty mówisz? Kto?

– Kale, nie rozumiesz? Powiedział, żebym cię w to nie mieszała. A to ma być ostrzeżenie.

– Ale skąd on może o tym wiedzieć? Przecież rozmawialiśmy dwa dni temu.

– Wystarczyło. On mnie podsłuchuje. Wie wszystko. Co za skurwiel!

Naprawdę chciałam urodzić to dziecko. Im bardziej Mo naciskał na aborcję, tym bardziej byłam przekonana, że muszę je chronić. Nie wiedziałam tylko jak. Gdybym chociaż mogła zadzwonić do babci i szczerze z nią porozmawiać. Ale nie chciałam jej w to mieszać. Nie mogłam jej martwić, zwłaszcza że wiedziałam, iż Mo nie pozwoli mi do niej polecieć. Byłam zdruzgotana.

Przez kolejne kilka dni bardzo intensywnie pracowałam. Dwa loty transatlantyckie z rzędu. Niezgodne z procedurami, ale częste w ArabAir. Nigdy wcześniej mnie to nie martwiło, teraz jednak bałam się o dziecko. W dalszym ciągu nie mogłam powiedzieć o ciąży nikomu w pracy, ale bardzo dobrze się z tym kryłam.

W końcu też udało mi się po kryjomu pójść do lekarza. Zrobiłam to w Londynie. Prywatnie. Wizyta kosztowała fortunę, ale była warta każdego funta. Okazało się, że to już dwunasty tydzień, co z jednej strony mnie przestraszyło, bo oznaczało znacznie mniej czasu na ewentualną ucieczkę. Ale z drugiej strony maluszek miał już trzy ciężkie miesiące za sobą. Wszystko było dobrze, zarodek rozwijał się prawidłowo.

Na zdjęcia USG patrzyłam jak zahipnotyzowana przez dobrą godzinę. Sfotografowałam je komórką, a wydruk ukryłam pod podszewką walizki. Do Dubaju wróciłam przeszcześliwa.

Mohammed też sprawiał wrażenie podekscytowanego, gdy do mnie zadzwonił.

– Witaj, kochanie. Cieszę się, że już jesteś. Musimy się dziś spotkać. Kupiłem kilka fantastycznych obrazów. Moi ludzie właśnie wieszają je w naszej sypialni. Bądź gotowa o dwudziestą. Wyślę samochód!

Nie oponowałam. Dobry humor Mo dawał mi nadzieję, że może wreszcie uda mi się go przekonać do mojego wyjazdu. Naprawdę byłam gotowa do niego wrócić, gdyby tylko pozwolił mi urodzić dziecko w Polsce i oddać je pod opiekę babci. To byłoby idealne rozwiązanie. Problem w tym, że on nie tylko chciał mnie mieć na wyłączność. Nagle zachciał też tego dziecka. Gdybym tylko mogła, oddałabym mu pod zastaw wszystko, co miałam. Ale nie miałam niczego poza sobą.

Czasami myślałam, że byłoby lepiej, gdyby Mohammed był prostym, stereotypowym Arabem. Dlaczego nie mógł mnie po prostu poślubić jako drugą czy trzecią żonę, zatknąć w jakiejś wybudowanej na pustynnych przedmieściach willi, początkowo obiecywać złote góry, a potem zupełnie olać. Dlaczego nie mógł być Arabem, który robi mi gromadkę dzieci, a od czasu do czasu spuści lanie? Wiem, to niedorzeczne, ale czasami naprawdę wołałam, żeby mnie bił. Siniaki znikają znacznie szybciej niż rysy na psychice.

Bicie kobiet w islamie obrosło w wiele legend. Rację mają ci, którzy mówią, że islam nakazuje

bić kobiety. Nie myślą się również ci, którzy mówią, że to nieprawda. Wszystko zależy od interpretacji zapisów Koranu i od tego, która wersja jest w danej sytuacji wygodniejsza.

Zwolennicy teorii o boskim nakazie bicia kobiet często powołują się na zapis, który w sumie nie pozostawia pola do interpretacji: „Mężczyźni stoją nad kobietami ze względu na to, że Bóg dał wyższość jednemu nad drugim, i ze względu na to, że oni rozdają ze swojego majątku. Przeto cnotliwe kobiety są pokorne i zachowują w skrytości to, co zachował Bóg. I napominajcie te, których nieposłuszeństwa się boicie, pozostawiajcie je w łóżach i bijcie je! A jeśli są wam posłuszne, to starajcie się nie stosować do nich przymusu. Zaprawdę, Bóg jest wzniosły, wielki!”⁶⁵.

Obrońcy islamu twierdzą, że słowa o biciu są źle interpretowane i że chodzi o opiekę nad kobietami. Powołują się na koraniczne nauki, zgodnie z którymi mężczyźni mają wręcz obowiązek uchronić przed grzechem swe niemoralne żony, ale powinni to robić w trzech stopniowanych w swej kategoryczności krokach. Pierwszy krok, napomnieć: „Wzywaj ku drodze twego Pana z mądrością i napomnieniem! Rozmawiaj z nimi w najlepszy sposób! Zaprawdę, twój Pan zna najlepiej tych, którzy zeszli z Jego drogi; i On zna najlepiej tych, którzy idą drogą prostą!”⁶⁶. Drugi krok, gdy napomnienie nie skutkuje, to zaprzestanie współżycia (dla wielu kobiet z pewnością to raczej nagroda). Chodzi tu o cytowane wyżej „pozostawianie ich w łóżach”, które uczeni w Piśmie interpretują jako prostą wskazówkę, by w łóżu małżeńskim odwracać się do żon plecami. Wreszcie ostatni krok, który polega na karceniu. I w tym cały problem, bo forma karcenia jest interpretowana bardzo szeroko. Krok pierwszy wyczerpuje słowa, znakiem tego w kroku trzecim należałoby przejść do czynów. Wielu Arabów znajduje potwierdzenie swojego prawa do używania przemocy fizycznej u radykalnych, aktywnych w internecie imamów, którzy do tematu traktowania kobiet podchodzą bardzo konserwatywnie. Co zaskakujące, mnóstwo kobiet opowiada się za przemocą ze strony męża, jeśli jest ona „zasłużona”, a to jakby zmniejsza wagę problemu. Poza tym w krajach takich jak Emiraty kobiety pudrują siniaki za pomocą kart kredytowych swoich mężów, a okazjonalnego szturchańca traktują jak cenę tego luksusu.

Nie wszyscy Arabowie jednak biją swoje żony. Jeśli mężczyzna jest pewny swojej męskości, żaden religijny nakaz, żadne przyzwolenie nie spowoduje, że podniesie rękę na słabszego. Zasada ta dotyczy absolutnie każdego mężczyzny, każdej religii i każdej szerokości geograficznej.

FRA67–DXB, a w zasadzie FRA–DXB–ISL68–DXB. W korytarzu tuż przy łazience minęłam zasłaniającą twarz kobietę w abai i shalli. Moją uwagę zwróciła krew na jej dłoni. Starła się ukryć ranę na spuchniętych ustach, ale nie zauważyła, że eksponuje tym samym szkarłatną plamę na ręce. Domyśliłam się, co się stało, ale pozwoliłam jej wejść do właśnie zwolnionej łazienki. Poczekalam jednak, aż z niej wyjdzie.

– Czy wszystko w porządku, M’am?

– *Shokran! Bismillah!* – odpowiedziała spłoszona, po czym minęła mnie i ruszyła w kierunku swojego fotela. Siedziała na środkowym miejscu pomiędzy kobietą w nikabie a wyraźnie zdenerwowanym mężczyzną.

Wiedziałam, że coś jest nie tak, dlatego postanowiłam ich obserwować. Podeszłam do galley i powiedziałam o tym innym stewardesom. Chwilę później zaalarmował nas piskliwy krzyk. Na miejscu natychmiast zjawiała się cała załoga obsługująca tę część samolotu.

To był szokujący widok. Na kobiecie w nikabie siedzącej przy oknie siedział okrakiem mężczyzna (nie mam pojęcia, jak się tam zmieścił) i bił ją na odlew po głowie. Druga dostawała razy z otwartej dłoni od zdenerwowanego faceta siedzącego obok niej. Obaj darli się na kobiety po arabsku, a one tylko od czasu do czasu wydawały z siebie mimowolne jęki.

Scenie przyglądali się niektórzy pasażerowie. Jedni przerażeni, inni po prostu żądni sensacji. Byli też tacy, głównie Arabowie, którzy nie widzieli powodu, by się mieszać, i koncertowo ignorowali przedstawienie. Na tym locie był marshal⁶⁹ – wezwany na miejsce bardzo sprawnie obezwładnił jednego z mężczyzn. Drugim zajął się jeden ze stewardów. Panowie, którzy ewidentnie mieli

olbrzymie problemy z alkoholem i temperamentem, nie bardzo chcieli się poddać.

– To moja żona, moja żona! – krzyczeli jeden przez drugiego, jakby miało to w jakikolwiek sposób uzasadnić ich zachowanie. Bo skoro żona, można bić i nikomu nic do tego.

Niestety mężczyźni byli wysportowani i wprawieni w bójkach (ze swoimi workami treningowymi nie rozstawali się nawet w podróży). W pewnym momencie obaj wyrwali się tym, którzy ich obezwładnili, i rozpoczęła się regularna bójka. Poinformowany o sytuacji kapitan podjął decyzję o lądowaniu w najbliższym porcie. Dostaliśmy pozwolenie od lotniska międzynarodowego w Stambule i wkrótce zaczęliśmy podchodzenie do lądowania. Bójka tymczasem zataczała coraz szerszy krąg – do walki z dwoma krewkami mężczyzn dołączyło kilku innych pasażerów. Wzmocnione posiłki dały przewagę jasnej stronie mocy, ale ta ciemna też dostała wsparcie. Co ciekawe, do swoich mężów na chwilę dołączyły pobite żony, broniąc ich przed ciosami! Szybko jednak zostały wyeliminowane przeze mnie i moją koleżankę. Odciągnęłyśmy je i usadziłyśmy na miejscach. Nie mogłam zrozumieć, co powoduje bitą kobietą, że staje po stronie swojego oprawcy. Dzisiaj już wiem.

Po lądowaniu w Turcji krewkami pasażerami zajęła się lokalna policja. Na pożegnanie zatrzymani mężczyźni krzyczeli, że to moja wina, że jestem „niewierną dziwką” i że Allah mnie ukarze. Możliwe. Na razie kara czekała na nich. I to dotkliwsza, niż się spodziewali. Ponieważ do bójki doszło na pokładzie emirackiego samolotu, obie pochodzące z Jordanu pary dostały dożywotni zakaz wjazdu na terytorium Zjednoczonych Emiratów Arabskich. Musiało im to mocno skomplikować życie, bo mieszkali tam od wielu lat.

65 Koran 4:34.

66 Koran 6:125.

67 Kod międzynarodowego lotniska we Frankfurcie.

68 Kod międzynarodowego lotniska Stambuł-Atatürk.

69 Ochroniarz pracujący na pokładzie samolotu; często pracuje w ukryciu, udając zwykłego pasażera.

ROZDZIAŁ 16

Maha

– Za chwilę podadzą kolację – zapowiedział Mo, nalewając mi lampkę wina.

Nie powinnam pić, ale bałam się odmówić. Nie chciałam rozpoczynać tematu dziecka. Wiedziałam, że robi to celowo.

Wypiłam dwa łyki. Wino było okropnie niedobre. Gorzkie, cierpkie, piekące. Zastanawiałam się, czy faktycznie ma taki smak, czy to moje poddane huśtawce hormonalnej kubki smakowej tak histerycznie reagują na alkohol. Nigdy wcześniej nie narzekałam na smak win serwowanych przez Mo, żeby nie ujawniać swojego dyktanctwa w tej kwestii, ale też nie byłam fanką. Jeszcze jeden łyk. Okropne. Jak płyn do mycia naczyń.

– A tymczasem, kochanie, chodź do sypialni. Pokażę ci te obrazy. Będiesz zachwycona. – Pociągnął mnie za rękę.

Chwilę później stałam na miękkiej kremowej wykładzinie naprzeciwko łóżka, w którym spałam już wiele razy. Było świadkiem wielu uniesień i masy upokorzeń. Dookoła na zamocowanych pod sufitem, niemal niewidocznych linkach wisały ramy z czarno-białymi grafikami. Wielkoformatowe obrazy tworzyły dość przygnębiający nastrój. Jak w wypadku wina, nie chciałam wyjść na niewydurowaną, ale jakoś nie potrafiłam zrozumieć zachwyty Mo.

– Jak ci się podoba? – zapytał z dumą.

– Nie bardzo wiem, co przedstawiają.

– To prace znanej artystki zatytułowane „USG”!

I wtedy do mnie dotarło. Patrzyłam na poszatutowane, przeskalowane, przerobione, ale wciąż rozpoznawalne zdjęcia USG naszego dziecka. Dokładnie te, które miałam w swoim telefonie. Nagle zrobiło mi się słabo. Poczułam ostry skurcz w dole brzucha. Chwilę później osunęłam się na podłogę.

Byłam świadoma, choć wydawało mi się, że świat stracił ostrość. W sypialni pojawił się jeszcze jeden mężczyzna. On i Mo przenieśli mnie na łóżko. Pamiętam strzępki ich rozmowy:

– Wypiła?

– Niewiele!

– Poczekajmy jeszcze. Trzeba ją obserwować.

Straciłam przytomność.

Gdy się obudziłam, byłam zupełnie naga. W pierwszym odruchu złapałam się za brzuch. Bałam się, że zrobili coś dziecku, ale chyba wszystko było OK. Nadal byłam w ciąży. Otaczały mnie wielkoformatowe zdjęcia maleńkiego zarodka, który rósł w moim łonie. Cieszyły mnie, gdy dostałam je od lekarza, ale tu, wykradzione w zupełnie niewyjaśniony sposób przez Mohammeda i powieszone pod sufitem, wyglądały jak w przerażającej, makabrycznej świątyni.

Próbowałam wstać, ale wciąż czułam się bardzo słabo. Rozejrzałam się. Moją uwagę zwróciła mała fiolka z tabletkami stojąca na szafce nocnej po stronie, którą zawsze zajmował Mo. Methotrexat. Nie miałam pojęcia, co to za lek. Wzięłam komórkę i wstukałam nazwę w wyszukiwarkę, literka po literce. Czyżby Mo znowu nafaszerował mnie jakimś świństwem? Już nawet się z tym nie kryje? Jednak gdy przeczytałam wskazania do stosowania methotrexatu, kompletnie nie wiedziałam, co mam myśleć o tym odkryciu. Albo jest to kolejna manipulacja tego psychologa, albo zachowanie Mo ma bardzo poważną przyczynę.

„Najcięższa, oporna na leczenie postać uogólnionej łuszczycy pospolitej”.

Ja nie byłam chora na łuszczycę. Mohammed też raczej nie. Tę chorobę trudno ukryć, zwłaszcza w zaawansowanym stadium, a skóra Mo była zdrowa i piękna.

„Choroby autoimmunologiczne, np. reumatoidalne zapalenie stawów”.

Znowu nie mogło chodzić o mnie, ale o Mohammeda raczej też nie. Ludzie, którzy cierpią na zapalenie stawów, są niemal inwalidami. On był sprawny, nie wyglądał na kogoś, kto ma jakiegokolwiek ograniczenia ruchowe.

I wreszcie:

„Leczenie nowotworów złośliwych i ostrych białaczek, kiedy występują wskazania do leczenia doustnego”.

Ostra białaczka? Nowotwór? Czyżby Mo chciał mi w ten sposób coś powiedzieć? To by wyjaśniało wiele jego zachowań. Może nie wynikały one ze złej woli, tylko z ciężkiej choroby, z jaką się zmagą? Ludzie cierpiący na nowotwory nie zawsze zachowują się normalnie, ale zawsze zasługują na wyrozumiałość.

Wyskoczyłam z łóżka i pobiegłam go poszukać.

Siedział w salonie. Zamyślony, zrelaksowany, spokojny. Usiadłam obok niego i przytuliłam się. Wydawał się zaskoczony, ale odwzajemnił uścisk.

– Dlaczego mi nie powiedziałeś? – zapytałam cicho.

– O czym?

– Mo, nie musisz przede mną udawać. Zostawiłeś przypadkiem tabletki koło łóżka. Jesteś chory?

Znowu się zamyślił. A więc jednak. Poznałam jego tajemnicę. Pewnie potrzebował chwili, by się z tym pogodzić. Przez cały czas naszej znajomości był tym niezłomnym, męskim, idealnie pięknym facetem bez skazy. Teraz skaza wyszła na jaw. Wstydził się. Wiedziałam to. Nie wiedziałam tylko, jak powinnam się w tej sytuacji zachować. Miałam jednak nadzieję, że teraz, gdy wszystko się wydało, może wreszcie będziemy mieli szansę na normalne życie. Zwycięzimy z jego chorobą, będziemy mieli dziecko, pobierzemy się.

Moje życie wreszcie się ułoży.

Maha triumfowała. Po rzekomym samobójstwie Sabiry zajęła miejsce pierwszej żony Rashida. Tak naprawdę nie zmieniło to niczego w jej statusie, bo Rashid zgodnie z prawem obie żony wyposażył w bardzo podobny majątek, ale Maha spełniła swoje ambicje. Bycie pierwszą żoną stanowiło dla niej swego rodzaju nobilitację, choć de facto na zawsze pozostała tą drugą. Jej ego mógłby polećtać jedynie fakt, że musiałaby się wypowiedzieć w sprawie potencjalnej kolejnej żony Rashida, jeśli ten zdecydowałby się takową wziąć. Ale dla niej oznaczałoby to kolejną konkurentkę, a za tym Maha bynajmniej nie tęskniła.

Zgodnie z wolą Rashida ośmioletni Hassan i siedmioletni Hamid po śmierci ich matki zamieszkali w domu Mahy. W ramach łagodzenia traumy przeprowadzili się do nowego domu wraz ze swoimi filipińskimi nianiami, które znali od urodzenia, mimo że Sabira, jak na Emiratkę, była bardzo zaangażowaną matką, i na pewno nie odczuli jej braku.

W dzisiejszych czasach w Zjednoczonych Emiratach Arabskich kobiety, nawet te z klasy średniej, raczej widują, niż wychowują swoje dzieci. Podnosząca się nieustannie stopa życiowa powoduje, że w większości domów pracują służący z biedniejszych krajów Azji, a w roli niań najlepiej się sprawdzają właśnie Filipinki. Są radosne, uśmiechnięte, często śpiewają i w porównaniu z innymi imigrantami najlepiej mówią po angielsku. Ale nie zawsze tak było. Jeszcze dwie dekady temu kobiety przywiązywały do opieki nad dziećmi dużo większą wagę. No, chyba że były to dzieci pozostawione w spadku po znienawidzonej konkurentce. Maha nie miała zamiaru zajmować się Hassanem ani Hamidem i przy każdej możliwej okazji faworyzowała swoje córki.

Minęło kilka lat pełnych nienawiści i jadu sączącego się pomiędzy Mahą a Mohammedem. Macocha wyczekiwała momentu, gdy pasierb wyjedzie na studia – i doczekała się go.

Z majątku męża czerpała pełnymi garściami. W końcu znudzona ciągłymi zakupami w galeriach handlowych postanowiła się zająć urządzaniem wnętrza. To na jej żądanie Rashid

sfinansował kupno pałacu w Al Ain. Urządziła go sama, osobiście doglądając prac architektów, którzy nanosili na projekty wszystkie jej fantazje, nawet te, których realizacja groziła estetyczną katastrofą. Maha nie znosiła sprzeciwu i każdy, kto miał z nią do czynienia, wolał nie wchodzić w dyskusję. Wszystko, byle nie słyszeć jej nieprawdopodobnie denerwującego, piskliwego głosu, który w furii zmieniał się w prawdziwy jazgot. Posłuszna i potulna była wyłącznie w obecności męża. Tylko przed nim czuła respekt.

Mohammed był na ostatnim roku studiów, gdy ojciec pilnie wezwał go do domu. Miał dla niego wiadomość, która wkrótce miała całkowicie odmienić życie młodego chłopaka.

– Zaawansowana białaczka. Mam przed sobą najwyżej rok życia – oznajmił krótko, gdy usiedli w cieniu jego mrocznego gabinetu.

– Tato, przecież to się da wyleczyć. Masz dużo więcej niż rok. Nie możesz tak po prostu nas zostawić, nie jestem jeszcze gotowy...

Mohammed nigdy nie odczuwał wobec ojca wyższych uczuć. Tym bardziej łyzy, które napłynęły mu do oczu na wieść o diagnozie, były dla niego czymś zupełnie zaskakującym. Mieli raczej partnerski kontakt. Rashid zawsze szanował go jako swojego następcę, ale nigdy nie było w nim ciepła, prawdziwej ojcowskiej miłości. Nie myślał o nim jak o synu, tylko jak o kolejnym elemencie biznesowej układanki, którą od czasu, gdy sam przejął schedę po własnym ojcu, z pieczołowitością układał. Ich kontakty były bliskie, ale mechaniczne, interesowne, płytkie. Tamtego dnia jednak na moment połączyło ich coś więcej. To był pierwszy i ostatni raz, gdy Mohammed przytulił się do własnego ojca – poczuł, że go ma, że nie jest zupełnie sam na świecie. Incydent ten jednak nie zmienił niczego w ich relacjach. Te zresztą i tak nie miały przed sobą przyszłości.

Oficjalną przyczyną śmierci Rashida Al Sayeeda wcale nie była białaczka, ale tragiczny wypadek samochodowy. Mężczyzna wiedział, że jest nieuleczalnie chory, a analizowanie szans na wyleczenie to tylko mało skuteczna próba pocieszania. Nawet jeśli istniała kuracja, która mogłaby przedłużyć mu życie, byłoby to okupione intensywnym leczeniem, osłabieniem, utratą godności. A on nie wyobrażał sobie siebie w roli pacjenta zdanego na łaskę lekarzy. Nie miał jednak zamiaru dać się pokonać jakiejś białaczce. Postanowił odejść na własnych zasadach. Bez informowania kogokolwiek o swoim planie, bez słowa wyjaśnienia, po wieczornej modlitwie wsiadł do jednego ze swoich mercedesów i gnając z olbrzymią prędkością, skierował go na betonowy słup przy zjeździe z autostrady na trasie do Abu Zabi. Zginął na miejscu.

Rashid dokładnie to zaplanował. W chwili gdy jego samochód zmieniał się w metalową miazgę, by kilka sekund później stanąć w płomieniach, prywatnym samolotem do Paryża leciał jego sekretarz i najbliższy współpracownik, powiernik najskrytszych tajemnic – Samir. Miał przekazać Mohammedowi list i zabrać mężczyznę do Dubaju.

„Synu,

to Twój czas. Nie rozpaczaj nade mną, myśl o tym, co przed Tobą. Wszystkie prawne kwestie związane z przejściem firmy powierzyłem Samirowi. Jeśli tylko takie będzie Twoje życzenie, on nadal będzie Ci wiernie służył.

Nie żałuj niczego, co robisz. Wątpliwości to oznaka słabości, a ta nie przystoi prawdziwym mężczyznom.

Niech Allah ma Cię w swojej opiece i zawsze prowadzi Cię ku mądrym decyzjom.

Rashid Al Sayeed”

Mohammed nie potrzebował wyjaśnień. Obecność Samira mogła oznaczać tylko jedno.

Jeszcze zanim przeczytał list, wiedział, że ojciec nie żyje. I tak nie mieli przed sobą długiej przyszłości.

Postąpił tak, jak życzył sobie tego ojciec. Nie żałował, nie rozpaczał, myślał wyłącznie o przyszłości. Żałował tylko jednej rzeczy – że nawet w ostatnich słowach swego ostatniego listu Rashid nie nazwał się jego ojcem. List podpisał tak jak każdy inny biznesowy dokument. Dla niego przekazanie władzy w firmie było tylko kolejnym kontraktem, nawet w obliczu ostateczności.

Finalny rok studiów Mohammed skończył, kursując pomiędzy Paryżem a Dubajem. Interesy ojca wymagały jego obecności. Na szczęście okazało się, że Rashid doskonale przygotował go do nowej roli. Młody Mo stanął na czele firmy bez większego trudu.

Tymczasem na Mahę padł błady strach. Wiedziała, że Rashid był jedynym gwarantem luksusowego życia, a Mo będzie chciał ukrócić jej swawole. Ale jej położenie stało się dużo trudniejsze, gdy jej najstarszy pasierb na dobre rozgościł się w gabinecie swojego ojca.

Rashid przygotował się na odejście, ale nie posprzątał biurka, nie uprzątnął dokumentów, nie pozbył się tego, co zbędne, nie zostawił instrukcji. Całe życie kontynuował to, co odziedziczył – i wyobrażał sobie, że po jego śmierci będzie tak samo. Że jego dzieło będzie kontynuowane, bez żadnych zmian. Porządki w gabinecie uznał więc za całkowicie zbędne.

Mohammed oczywiście miał zupełnie inne zdanie na ten temat. Kiedy był już gotowy emocjonalnie, zaczął pomału przeglądać sterty dokumentów, które zostawił ojciec, aż któregoś dnia trafił na białą kopertę z trzema czarno-białymi fotografiami. Przedstawiały dwie bliskie jego sercu osoby – zmarłą mamę i ukochanego wuja Hamzę. Mohammed zamyślił się, widząc ich uśmiechnięte twarze, ale ciekawość szybko zajęła jego myśli. Koperta była zaadresowana jednym słowem, wykaligrafowanym po arabsku z niezwykłą atencją imieniem: „Rashid”. Gdy Mo wyjął z niej zdjęcia, jego uwagę zwróciła tkwiąca w środku kartka, również perfekcyjnie wykaligrafowana:

„Mężu,

z wielkim bólem serca, ale też powodowana bezgraniczną miłością do Ciebie, przekazuję Ci te fotografie. Trafiły w moje ręce przypadkiem i niech Allah poświadczy me słowa, że długo myślałam, czy przekazać Ci je, wiedząc, jak wielkie spowodują cierpienie.

Obiecałam Ci jednak uczciwość i żyć bym nie mogła w spokoju, tajemnicę tę skrywając, że Twa pierwsza żona i brat Twój rodzony tak wielkiej zdrady się dopuścili, zaufania Twego i serca dobrego nadużywając.

Niech Allah ma ich w swojej opiece przed gniewem Twym, a rozumem i sercem Twoim kieruje tak, byś zgodnie z karą sprawiedliwość im wymierzył – lub wybaczył, jeśli potrafisz.

Twoja kochająca, na zawsze oddana żona
Maha”.

Dla Mohammeda sprawa była jasna. Miał w rękę niezbity dowód na to, że Maha spreparowała zdjęcia i zatrula umysł jego ojca, by ten myślał, że Sabirę i Hamzę łączył romans. Doskonale wiedziała, że Rashid nie jest skłonny do wybaczenia, a już na pewno nie wybaczy zdrady, zwłaszcza że chodziło nie tylko o jego żonę, ale i brata, o którym i tak nie miał najlepszego zdania. Lekkomysłność Hamzy doskonale pasowała do tej układanki. Tylko on mógł się wdać w romans, który nie miał szans skończyć się szczęśliwie, a pociągnął za sobą na samo dno nieszczęście wielu osób. Tyle że prawda wyglądała zupełnie inaczej.

W poczuciu narastającej wściekłości Mo wezwał do siebie Samira. Sekretarz ojca, a teraz jego prawa ręka, był jedyną osobą, która mogła wiedzieć cokolwiek więcej o intrydze Mahy.

– Wiesz, kto jest autorem tych zdjęć? – zapytał, gdy Samir usiadł naprzeciwko niego.

– Nie, autor nie jest mi znany. Mam jednak wrażenie, że nie ten, kto zrobił te zdjęcia, jest tu poszukiwany, ale jego mocodawca...

– Sugerujesz, że zostały zrobione na zlecenie?

– Nie, nie sugeruję tego. Mówię to wprost. I chyba nie muszę mówić, kto je zlecił? – W głosie Samira pobrzmiwała chęć odwetu. Jako świadek wszystkiego, co działo się za kulisami pałacu Rashida, był w pozycji niemego obserwatora, bez prawa do komentarza. Do jego zadań należało wykonywanie poleceń, ale ten niezwykle wnikliwy i bardzo inteligentny mężczyzna miał swoje zdanie. I zdecydowanie nie był fanem Mahy. Nie mógł zrobić nic, by uchronić Sabirę, ale teraz, gdy nadarzyła się okazja na jej pomszczenie, nie zamierzał jej zaprzepaścić.

– Natychmiast poślij po Mahę – polecił Mo. – Ma się tu zjawić bez zwłoki. Przekaż jej, że jeśli nie dotrze do mnie w ciągu dwóch godzin, osobiście złożę jej wizytę. Przy okazji zabierz z jej pałacu moich braci i siostry. Niech służba przygotuje im pokoje u mnie.

Maha początkowo zignorowała zarządzenie Mohammeda, jednak gdy zobaczyła, że ochroniarze wyprowadzają z pałacu nie tylko Hamida i Hassana, ale i jej córki, zrozumiała, w jakiej trudnej pozycji się znalazła. Mimo to nie pojechała do swojego pasierba. W ostatnim akcie sprzeciwu wyczekała chwili, gdy Mohammed osobiście zjawi się w Al Ain.

– Zabiłaś moją matkę! – krzyknął, gdy tylko się spotkali.

– Sama się zabiła. Była niespełna rozumu, biedaczka. – Maha próbowała ironizować.

– Dobrze wiesz, że wydałaś na nią wyrok śmierci. Dobrze wiesz, że nie popełniła samobójstwa. Dobrze wiesz, że jej śmierć jest konsekwencją twojej intrygi!

– To nie była intryga. Ja tylko stanęłam w prawdzie. Moim obowiązkiem było poinformowanie twojego ojca o tej zdradzie. Mogła się nie zabawiać z twoim żalosnym wujaszkiem!

– Nigdy się z nim nie zabawiała! Doskonale wiem, jak wyglądały ich relacje. Do domu mojej matki przyjeżdżał wyłącznie dla mnie i moich braci. Zresztą nie jesteś warta tego, żeby z tobą o tym dyskutować. Zakończymy tę farsę. – To mówiąc, Mohammed klasnął w dłoń.

Na ten sygnał do pokoju wszedł Samir z czarną skórzaną teczką. Wyjął z niej elegancką papeterię oraz pióro i położył je przed Mahą.

– Synu, co zamierzasz? – zapytała zdezorientowana kobieta.

– Jak śmiesz mnie tak nazywać? W twoich ustach to obelga! – oburzył się Mohammed, po czym dodał sarkastycznie: – Byłem pod wrażeniem twojej kaligrafii. Masz szansę znowu się wykazać. Pisz!

Maha zamilkła. Ze strachu przełknęła ślinę. Spodziewała się, co ją czeka, choć wciąż jeszcze miała nadzieję, że uniknie kary. Traciła ją z każdym słowem, które dyktował jej pasierb.

„Życie bez mego ukochanego Rashida straciło sens. Proszę o wybaczenie wszystkich, których skrzywdziłam swoim postępowaniem i tym nagłym odejściem. Niech Allah ma Was w swej opiece.

Maha Al Sayeed”

Łzy zaczęły spływać po policzkach Mahy, ale nie zawahała się ani przez chwilę. Dobrze wiedziała, że ten list to dla niej wyrok śmierci.

– Pozwól mi chociaż pożegnać się z córkami... – wyłkała.

– Ja nie miałem okazji pożegnać się ze swoją mamą – powiedział Mohammed i ponownie klasnął w dłoń.

Maha się ożywiła, myśląc, że na ten znak do pokoju wejdą jej dzieci. Zamiast nich jednak pojawił się Ayman, lekarz i przyjaciel Mohammeda, z którym ten znał się od najmłodszych lat. Ayman przyniósł ze sobą małą fiolkę i postawił ją na stole, naprzeciwko Mahy.

– Wolisz to zrobić tutaj czy w swojej sypialni? – Pytanie odbiło się o ściany przestronnego salonu.

Wszyscy milczeli przez dłuższą chwilę, choć napięcie powoli stawało się nie do zniesienia.

– Czy to działa natychmiast? – szepnęła Maha.

– Będziesz miała około godziny – odparł Ayman. – To ta sama substancja, która zakończyła życie Sabiry Al Sayeed.

– Co za ironia! Cóż, kto pod kim dołki kopie... czy jakoś tak – powiedział Mo z cynicznym uśmiechem. – A teraz zejź mi z oczu. I niech cię piekło pochłonie!

Maha, pilnowana przez Samira, poszła do swojej sypialni. Wypełniła życzenie Mohammeda, wiedząc, że nie ma innego wyjścia. Doskonale zdawała sobie sprawę, że w pełni zasłużyła na karę. Dwie godziny później nie żyła.

Po śmierci Mahy Mohammed przejął jej pałac w Al Ain. Długo się zastanawiał, czy go zburzyć, czy wyremontować. Do czasu podjęcia decyzji postanowił, że zamieszkają w nim jego lwy, istoty równie krwiożercze, jak poprzednia lokatorka, ale zdecydowanie dużo bardziej szlachetne.

– Więc twój ojciec nie żyje?

– Od wielu lat.

– Przecież jeszcze kilka miesięcy temu mieliśmy zjeść z nim kolację... – Nic z tego nie rozumiałam.

– Mój głupiutki bąbelek... Co ci się znów ubzdurało? Jakże mógłbym cię zaprosić na spotkanie z moim nieżyjącym tatą. To pewnie przez tę ciążę, przy której zachowaniu tak się upierasz.

Bolało mnie, że wciąż krytykował mój stan. Szczerze nie chciał tego dziecka, a ja zaczynałam wpadać w panikę. Gdy Mo czegoś nie chciał, to coś raczej nie miało szansy się wydarzyć.

Próbowałam sobie przypomnieć wszystkie momenty, w których Mo wspominał o swoim ojcu, tak jakby ten żył, ale nie potrafiłam. W głowie miałam kompletny mętlik. Nie byłam już nawet pewna, czy to zaproszenie na rodzinną kolację kiedykolwiek miało miejsce. Czy naprawdę byłabym w stanie to wszystko wymyślić? Ale gdyby Mohammed chciał tkwić w kłamstwie, nie opowiedziałby mi tej historii z takimi szczegółami. A przynajmniej nie uśmierciłby w niej swojego ojca. Nie wiedziałam już, co jest prawdą, a co fikcją.

Z emocji i zmęczenia zasnęłam. Po kilku godzinach obudził mnie ból brzucha. Ból, jakiego boi się każda ciężarna kobieta. Przesunęłam dłoń w okolicę pępka. Zjechałam niżej i poczułam lepką maź. Podniosłam głowę. Leżałam w kałuży własnej krwi. Nawet nie krzyknęłam. Opadłam na łóżko, a z moich oczu popłynęły łzy. Wiedziałam, co to oznacza. Wiedziałam, że już nie jestem w ciąży, a dziecko, na które tak bardzo się cieszyłam, odeszło, choć wciąż jeszcze było we mnie. Byłam dziwnie spokojna, choć rozpacz rozdzierała mi wnętrze.

– Mo? – zawołałam cicho.

Przebudził się, słysząc mój głos. Gdy na mnie spojrzał, skoczył na równe nogi.

– Nie ruszaj się! – krzyknął.

Złapał za telefon i powiedział kilka słów po arabsku. Chwilę później do pokoju weszła pielęgniarka. Podeszła do mnie ze strzykawką.

Znowu zasnęłam.

Na jednym z moich pierwszych lotów w pierwszej klasie młoda kobieta poroniła. Byłam tego świadkiem. Wtedy nawet nie pomyślałabym, że mnie też może to kiedyś spotkać. To było porażające doświadczenie, i to z wielu powodów.

Kobieta leciała ze swoją matką, bardzo piękną, ale niezwykle szorstką, około pięćdziesięcioletnią Emiratką. Miały dołączyć do swoich mężów w Londynie. Około dwóch godzin przed lądowaniem na Heathrow usłyszałyśmy jęki. Natychmiast pobiegłam sprawdzić, skąd dochodzą. Okazało się, że wydawała je dziewczyna spiesząca do łazienki. Krople krwi znaczyły każdy jej krok. Wiedziałam, że jest w ciąży, wiedziałam też, co w takiej sytuacji oznacza krew. Poinformowaliśmy o sprawie kapitana. Istniało prawdopodobieństwo, że będziemy lądować awaryjnie. Matka pobiegła tuż

za nią, ale ponieważ nie zmieściły się w łazience obie, stała przy drzwiach i krzyczała coś po arabsku. Miałam wrażenie, że w panice instruuje dziewczynę, co ma robić, ale Mia – tunezyjska stewardesa, która leciała ze mną na zmianie – dobrze rozumiała, co mówi kobieta.

- Co za okropne babsko – mruknęła.
- Dlaczego tak mówisz? – zdziwiłam się. – Martwi się o córkę.
- Nie, kochana, ona się wcale nie martwi. Ona ją wyzywa!
- Jak to? Przecież ta dziewczyna prawdopodobnie poroniła.
- Właśnie dlatego ją wyzywa. Nie mogę tego słuchać.

Mia podeszła do kobiety i zaczęła z nią rozmawiać po arabsku. Ta początkowo wyglądała na zaskoczoną, ale wkrótce znowu zaczęła wrzeszczeć. Tym razem na Mię. Nie mogłam nie zareagować. Podeszłam do nich. Kobieta jakby szukała zaczepki. Wiedząc, że nie zrozumie arabskich wyzwisk, przeszła na angielski:

– Następna przylazła sensacji szukać!
– Nie szukam sensacji, M'am. Chciałam sprawdzić, w czym mogę pomóc...
– Chcesz pomóc? Chcesz pomóc? – powtarzała jak w amoku. – Chcesz pomóc, to wsadź dziecko z powrotem do brzucha mojej córki. To ścierwo nawet dzieciaka utrzymać nie potrafi! Allah mnie pokarał, ale za jakie grzechy?

Rozumiałam cierpienie niedoszłej babci, ale jej reakcja naprawdę mnie zszokowała. Od tej pory było tylko gorzej. Drzwi łazienki się uchyliły i wysunęła się z niej przerażona, zapłakana, przygarbiona dziewczyna. Trzymała się za brzuch i łkała. Mamusia przywitała córkę silnym ciosem w głowę, a następnie wyszarpała ją z łazienki i pchnęła w kierunku kabin. Cały czas biła ją i kopała.

– Szmata nie córka! Dziecka nie potrafi utrzymać! Co z ciebie za kobieta! Tylko kamieniem w łeb wałnąć. Już twój mąż się z tobą rozprawi... – Wepchnęła młodą na miejsce, nieustannie okładając ją po głowie.

Mia ruszyła za nimi, próbując odciągnąć kobietę, ale ta biła na oślep raz córkę, raz Mię. Po chwili do kabiny dobiegł steward z kajdankami i sprawnie spętał rozwścieczoną pasażerkę. Ja w tym czasie sprawdziłam stan zdrowia dziewczyny. Była przerażona i osłabiona, ale już nie krwawiła. Do lądowania zostało niewiele czasu. Awaryjne nie miałyby sensu, choć nadal było rozważane.

– Nawet się nie ważcie lądować gdzie indziej niż w Londynie! – wrzasnęła matka dziewczyny, słysząc naszą rozmowę. – Nic mnie nie obchodzi, niech się wykrwawi, co to za córka, co nawet dziecka nie donosi! Z synami takich problemów nie ma!

Z całego serca współczułam tej dziewczynie. Wiedziałam, że z nami jest bezpieczna, ale przecież nie mogliśmy jej zatrzymać.

Chwilę po przylocie do Londynu kobieta była wolna i mogła wymierzyć sprawiedliwość córce. Zapewne chętnie dołączyli do niej mąż i zięć. Byliśmy wobec tego zupełnie bezradni.

To mnie przypadło w udziale sprzątnięcie łazienki po poronieniu. Trzymałam w dłoni ten mały płód. Nie był jeszcze dzieckiem, ale to nie miało znaczenia. Przecież za kilka tygodni by się nim stał. Nie mając innego wyjścia, włożyłam go do czarnego worka na śmieci. A później się rozpłakałam. To wtedy zrozumiałam, jak wielką tragedią jest poronienie, niezależnie od tego, w którym miesiącu ciąży do niego dochodzi. A teraz, jako niedoszła matka, wiem jeszcze, co czuje kobieta, którą to spotkało.

– Przykro mi, kochanie. Wiem, że chciałaś tego dziecka. – Mo pocałował mnie w czoło, gdy tylko się obudziłam.

Nie miałam pojęcia, co się działo, gdy podano mi lek usypiający, ale mogę się domyślać, że przeszłam zabieg usunięcia obumarłego płodu. Czułam się koszmarnie. Psychicznie i fizycznie. Łzy płynęły mi po policzkach niekontrolowanymi strugami. Jak to się mogło stać? Przecież wszystko było w porządku. Słyszałam bicie serca dziecka. Londyński lekarz zapewniał mnie, że ciąży nic nie zagraża.

- Ty go nie chciałaś. Ono o tym wiedziało i odeszło... – wyłkałam.
- To nie tak, że nie chciałam. Raczej nie wiedziałam, jak sobie z tym wszystkim poradzić –

powiedział Mo łagodnie.

Wtedy zrozumiałam, że jego zachowanie może mieć związek z chorobą. Przypomniałam sobie o swoim odkryciu. O tabletkach, które znalazłam na szafce nocnej. Jakby zostawił je tam celowo. Mohammed chciał mi powiedzieć coś, co nie przechodziło mu przez gardło. Wstydził się tego.

– Powiesz mi w końcu, o co chodzi? – zapytałam cicho. – Na co chorujesz? Jakie są rokowania? Czy to białaczka?

Skinął głową, ale nie wyglądało na to, że ma zamiar zabrać głos. Spuścił głowę. Milczał. A ja nie naciskałam.

Dochodziłam do siebie przez kolejne dwa dni, a później rzuciłam się w wir pracy. To najlepszy sposób, żeby zapomnieć. Na mnie działał. W przelocie widywałam się tylko z Kale, dzwoniłam do domu i starałam się żyć tak normalnie, jak to tylko było możliwe w mojej sytuacji.

Reakcja Kale na wiadomość o raku Mohammeda była łatwa do przewidzenia.

– Karma – orzekła. – Dostał, skurwiel, za swoje. Mam nadzieję, że z tego nie wyjdzie.

– Jak możesz tak mówić?

– Ty naprawdę mu współczujesz? Po tym wszystkim, co ci zrobił? To pieprzony narcyz! Nawet teraz, gdy straciłaś dziecko, on jakimś cudem spowodował, że przejmujesz się nim, a nie sobą. Ma, na co zasłużył!

– Pewnie zachowywał się tak, bo nie radził sobie z chorobą.

– Dziewczyno! O czym ty mówisz? Który chory na białaczkę manipuluje SMS-ami swojej dziewczyny? Kto podrzuca zakrwawione apaszki? Straszy lwami? Przecież to są zachowania psychopaty, którego jara zapach strachu. Na pewno nie człowieka walczącego z rakiem.

Wiedziałam, że Kale ma rację, ale wtedy nie chciałam się z nią zgodzić. Naprawdę bardzo współczułam Mohammedowi, zwłaszcza że wiedziałam o jego genetycznym obciążeniu. Po ojcu odziedziczył nie tylko fortunę, ale i tę koszmarną chorobę.

– Nie wiesz, jak reagują ludzie na takie diagnozy – upierałam się. – Może on właśnie w ten sposób próbuje sobie radzić.

– Ty chyba naprawdę postradałaś zmysły! – Kale była wyraźnie wzburzona. – A skąd w ogóle pewność, że choruje? Powiedział ci?

– Znalazłam leki na szafce nocnej i sprawdziłam, na co są... a potem go zapytałam.

– Co to za leki? Pamiętasz nazwę? Przyjaciółka Raluki pracuje w laboratorium w siedzibie ArabAir. Sprawdzimy to.

Podaliśmy Kale nazwę leków, ale nie kryłam rozczarowania. Wiedziałam, że się o mnie martwiła, i wciąż pamiętałam, jak wiele była w stanie poświęcić, by uratować moje dziecko, ale nie mogłam się oprzeć wrażeniu, że przesadza. Przecież ludziom chorym na raka należy się pomoc, współczucie, taryfa ulgowa. Nawet jeśli wcześniej popełniali błędy.

ROZDZIAŁ 17

Gołębki

Robert napisał do mnie, kiedy byłam w Auckland. Poprosił, żebym zadzwoniła, gdy tylko będę mogła. To był bardzo wyczerpujący lot. Najdłuższy, jaki może się przytrafić w ArabAir. Po siedemnastu godzinach w powietrzu byłam ledwo żywa. Odpisałam mu, że zadzwonię, jak tylko dotrę do Dubaju.

„Tylko na pewno, to bardzo, bardzo ważne”.

Zaniepokoiłam się.

„OK, obiecuję! Ale wszystko w porządku?”.

„Tak”.

Uspokoił mnie. Skoro wszystko w porządku, to cała reszta może poczekać.

Zadzwoniłam kilka dni później, ale telefon Roberta milczał. Próbowałam kilka razy, bez skutku. W końcu postanowiłam zadzwonić do jego mamy.

– Robert wyprowadził się jakiś czas temu do Wrocławia – usłyszałam. – Stał na nogi, pracę dostał i już z nim całkiem dobrze. Nawet nie wiesz, jak się cieszę, Aniu... Nie dzwonił do mnie od kilku dni, zajęty pewnie w tej nowej pracy, ale jak tylko się odezwie, powiem mu, że dzwoniłaś.

Ucieszyło mnie, że Robert wyszedł na prostą. Wciąż miałam wyrzuty sumienia po tym, co mu się przydarzyło. Arabskie więzienie musiało się mocno odbić na jego psychice. Każdego by zniszczyło. A do tego on wiedział, że znalazł się w nim bez winy. I jeszcze ja, pałająca do niego bezpodstawną nienawiścią. Byłam bardzo ciekawa, co chce mi powiedzieć.

Wieczorem wreszcie odebrał. Nie brzmiał na człowieka, który uwolnił się od demonów. Przeciwnie – miałam wrażenie, że go osaczyły.

– Posłuchaj, chciałem ci tylko powiedzieć... A w ogóle jest Kale? Co u niej? Chciałem powiedzieć, że między nami koniec, nie chcę, żebyś miała jakieś nadzieje. Nigdy do siebie nie wrócimy. Pozdrów ode mnie Kale.

To było bardzo dziwne. Robert ewidentnie nie był sobą. Dziwny głos i płatanina wątków. Przecież on nawet nie znał Kale. Dlaczego o nią pytał? I dlaczego nagle tak usilnie próbował przekonać mnie do tego, że nasz związek się skończył? Ja wiedziałam to od wielu lat. A może to jakaś bardzo koślawą próbą wywołania zazdrości. Czyżby myślał, że uwierzę w romantyczny związek między nim a Kale, zakochaną zresztą bez pamięci w Danielu?

– Robert, nie bardzo wiem, o co chodzi. Czy ty jesteś trzeźwy?

– Jestem!

– To, co mówisz, nie brzmi zbyt składnie. Wiem, że nasz związek się skończył. Rozmawiałam z twoją mamą, słyszałam, że poukładałaś sobie życie, bardzo się z tego cieszę.

– A Kale, o której będzie? – rzucił, jakby w ogóle nie słyszał tego, co właśnie powiedziałam.

– Dlaczego pytasz o Kale? Przecież wy się nie znacie.

– Proszę, podaj mi jej numer i nie zadawaj pytań.

– Robert, nie mogę. To jej prywatny numer.

– Podaj, proszę – nalegał.

Nagle przyszło mi do głowy, że chodzi o moje zbliżające się urodziny. Chcą mnie czymś zaskoczyć? W końcu dałam się przekonać i podałam mu numer Kale. Nie chciałam im psuć niespodzianki.

– A kiedy będzie w domu? – zapytał jeszcze raz.

– Nie wiem. Poczekaj, sprawdzę... – Rzuciłam okiem na wiszący na naszej lodówce grafik. Wpisywałyśmy swoje loty, żeby wiedzieć, kiedy pracujemy, a kiedy mamy szansę się spotkać. – Będzie jutro.

- Ty też będziesz?
- Tak, ale tylko do południa. Potem mam lot.

Robert zadzwonił do Kale następnego dnia dokładnie kwadrans przed południem. Właśnie nakładałam toczek, gdy weszła do mojej sypialni.

- To do ciebie – oznajmiła. – Robert.
- Co? Dlaczego nie dzwoni na mój telefon?
- Porozmawiaj z nim. – Kale podała mi swój telefon.
- Aniu, posłuchaj mnie uważnie i skup się – usłyszałam głos Roberta. – Czy na początku znajomości z tym całym Mohammedem nie zgubiłaś przypadkiem komórki? – Dzisiaj brzmiał zupełnie inaczej: konkretnie i rzeczowo.
- Chyba nie... – zawahałam się. – Nie przypominam sobie.
- Jesteś pewna? Pomyśl! Rozgryzłem to.
- Co rozgryzłeś?
- Jestem przekonany, że on zhakował twój telefon. Ale żeby to zrobić kompleksowo, nawet sprawny haker potrzebuje jakieś dwie, trzy godziny. Poza tym na pewno nie zrobił tego sam. Jesteś pewna, że nie miał takiej okazji?
- Miał mnóstwo okazji, przecież nie raz u niego spałam...
- Ale to musiało być, zanim zaczęłaś dostawać te wszystkie okropne wiadomości.

I wtedy mnie olśniło! Oczywiście! Przecież po naszej pierwszej randce w Londynie zgubiłam komórkę. Później ktoś dostarczył mi ją na lotnisko. Potem zaczęły się te wszystkie wiadomości. Od tego czasu Mohammed wiedział o każdym moim ruchu. Wiedział, z kim i o czym rozmawiam. Wiedział moje zdjęcia, mógł nawet je wykraść.

– Już pamiętam! Tak, w Londynie, po pierwszej randce z Mo, faktycznie straciłam telefon na kilka godzin.

– No i wszystko jasne. – Robert ze świstem wypuścił powietrze. – Posłuchaj, pozbądź się komórki. Zniszcz kartę, utop, spal. Tylko nie wyrzucaj, bo zbyt szybko się zorientuje. Przepraszam za tę dziwną rozmowę wczoraj, ale nie mogłem ci tego powiedzieć wprost, a chciałem, żeby usłyszał, że nic nas już nie łączy. Chciałem cię chronić. Bo nadal cię kocham, Aniu...

To nie był czas na takie rozmowy.

– Teraz wszystko rozumiem – odparłam cicho. – Zrobię, co mówisz.

Wyjęłam swój notes i pospiesznie przepisałam do niego kilka najważniejszych numerów, po czym wyjęłam z aparatu kartę i przecięłam ją nożyczkami do paznokci. Następnie wrzuciłam komórkę do garnka z wodą. Miałam iPhone'a. Nawet deszcz byłby w stanie go trwale uszkodzić. Garnek z wodą zrobił to jeszcze skuteczniej.

– Zostaw to, bo się spóźnisz na lot – powiedziała Kale, której Robert zdążył wcześniej naświetlić całą sprawę. – Ja się tym zajmę. A ty może wreszcie przejrzyj na oczy w sprawie tego śmiertelnie chorego biedaka.

Wiedziałam, że Kale zniszczy mój telefon doszczętnie, by Mo nie miał najmniejszej szansy mnie namierzyć. Była zdesperowana, by udowodnić mi swoją rację.

Gdy wróciłam do domu, Raluca i Kale już na mnie czekały. Obie miały bardzo posępne miny. Milczały, gdy usiadłam przy stole naprzeciwko nich.

– O co chodzi? – spytałam.

Raluca przesunęła w moją stronę jakąś ulotkę.

– Czytaj!

Methotrexat. Lek, który bierze Mo.

– Już to czytałam w internecie.

– Wszystko? Przeczytaj to, co jest zakreślone.

Spojrzałam na ulotkę i podświetlone żółtym markerem zdanie:

„Methotrexat działa toksycznie na zarodek i powoduje wady płodu, może spowodować poronienie”.

Podniosłam wzrok na moje współlokatorki.

– OK, ale co to ma wspólnego z Mo?

– Serio nie rozumiesz?! – zirytowała się Kale. – On naprawdę odebrał ci rozum! Twój ukochany, cierpiący na wyimaginowanego raka, wcale nie jest chory. Uśmiercił twoje dziecko, a potem jeszcze sprawił, że sama to odkryłaś. To nie on bierze te leki, to ty je wzięłaś!

Potrzebowałam chwili, by ochłonać. Dopiero gdy przeczytałam to zdanie po raz drugi, dotarło do mnie, co się stało. Kale miała absolutną rację. Mohammed podał mi ten lek celowo. Nie poskutkowało szaleńcza jazda ani straszenie lwami. Musiał się uciec do swoich farmaceutycznych zamiłowań. Wiedział, co spowodują te tabletki. Skoro nie chciałam się poddać aborcji dobrowolnie, znalazł sposób, by mnie do niej zmusić. Zaprawił tabletkami wino, które mi podał. Dlatego moje dziecko umarło. To nie było samoistne poronienie. To było morderstwo dokonane przez jego ojca. A potem wystarczyło mnie uśpić i posprzątać. Miałam wrażenie, że za chwilę pęknie mi serce.

– Musisz się od niego uwolnić. Raz na zawsze – powiedziała Raluca. – Skoro był zdolny do czegoś takiego, będzie zdolny do wszystkiego.

– No właśnie tego się boję – szepnęłam. – Przecież jestem z nim tylko po to, żeby chronić swoich bliskich...

– Jedną bliską istotę już straciłaś – powiedziała ze smutkiem Kale. – Miałas z nim zostać tylko po to, żeby dać sobie czas na ucieczkę. Ale znowu cię omotał. Zaczęłaś mu współczuć, a uczucia odżyły. Przecież jeszcze kilka dni temu broniłaś go jak lwica, gdy zasugerowałam, że udaje chorobę.

Kale miała rację. Mohammed miał nade mną władzę i niezależnie od tego, co mi robił, ja zawsze do niego wracałam. Byłam w matni.

– Nie mamy zbyt dużo czasu – podjęła Kale. – Zorientuje się, że coś jest nie tak, jak tylko będzie chciał cię skontrolować za pomocą twojej komórki. Powiedz mu, że ją zgubiłaś.

Przez kolejne dni żyłam bez telefonu. Początkowo bardzo mi go brakowało, głównie ze względu na ograniczenie kontaktów z Maćkiem i babcią. Na szczęście dużo latałam i dzwoniłam do nich z hotelowych telefonów, nie bacząc na horrendalne koszty połączeń. Było jednak warto. Uspokajałam babcię, zapewniałam, że wszystko u mnie w porządku, choć było to coraz trudniejsze.

– Ja tu, dziecko, zawsze na ciebie czekam, ale pamiętaj: mój czas kiedyś się skończy. Tak bardzo chciałabym cię jeszcze zobaczyć... – Miała taki smutny głos, że z trudem hamowałam łzy.

– Babciu, nie mów tak, proszę. Serce mi pęka... Niedługo przylecę, obiecuję. Jeszcze tylko chwilę. A jak przylecę, to już zostanę. Zobaczysz. Czekaj na mnie.

– Będę czekać. Śmierć przegonię miotłą, jakby przyszła, ale będę czekać. – Ptysia próbowała obrócić wszystko w żart, ale mnie nie było do śmiechu. Tak bardzo chciałam być już w domu, z dala od wszystkiego, co tu się wydarzyło. Z dala od człowieka, który – zdawać by się mogło – żył tylko po to, by niszczyć moje życie.

Alan Turing był matematycznym geniuszem i idolem niemal każdego komputerowego geeka na tej planecie. To jego talent leży u zarania prac nad nowoczesnymi komputerami i sztuczną inteligencją, a korzysta z niego większość naukowców pracujących nad rozwojem tej technologii i tworzeniem inteligentnych robotów. W czasie drugiej wojny światowej Turing pracował nad złamaniem kodu Enigmy. Wprawdzie prace te zapoczątkowali jeszcze przed wojną polscy kryptolodzy, ale Niemcy zdołali na tyle skomplikować mechanizm maszyny, że konieczna była pomoc Brytyjczyków. W efekcie zbudowana przez Turinga maszyna o nazwie Christopher skutecznie łamała kody Enigmy, przechylając

szalę zwycięstwa na stronę aliantów. Po wojnie Turing zaczął prace nad pierwszymi komputerami, ale wkrótce zostały one przerwane. Geniusza postawiono przed sądem za homoseksualizm, który w tamtych czasach w Wielkiej Brytanii był karany. Skazany stanął przed wyborem: więzienie lub chemiczna kastracja. Wybrał to drugie. Wstrzykiwany mu estrogen zrujnował jego zdrowie i doprowadził do samobójstwa. Turing dokonał go bardzo symbolicznie – ugryzł jabłko nasączone cyjankiem. Został pośmiertnie ułaskawiony i oficjalnie przeproszony przez rząd kraju, którego losy mogły być dużo bardziej tragiczne, gdyby nie jego geniusz. Popkultura wpisała Turinga na listę ikon. Trafił na koszulki, kubki, a nadgryzione jabłko na komputerach firmy Apple podobno jest hołdem dla jego geniuszu.

Robert często chodził w koszulce z wizerunkiem Alana Turinga i żartobliwym hasłem: „I passed Turing Test70”. Z tego, co wiem, to w niej przyleciał do Dubaju – i to w niej z niego wrócił. Chyba nie zdawał sobie sprawy, że będzie ona miała wpływ na jego przyszłość i zainspiruje ludzi, którzy będą chcieli go skrzywdzić. Mimo że powrót do normalnego życia wymagał od niego sporego wysiłku, dzielnie sobie z tym radził. Wrocławska firma komputerowa, w której pracował, zajmowała się programowaniem aplikacji na komórki. Robert szybko dał się poznać jako prawdziwy talent. W krótkim czasie awansował na głównego programistę i złapał wiatr w żagle. Wynajął kawalerkę niedaleko miejsca, gdzie kiedyś razem mieszkaliśmy. Chyba nadal miał nadzieję na powrót do dawnych czasów. Wiedział, że to, co odkrył na temat Mohammeda, musiało mi dać do myślenia. To był koronny argument przemawiający za moim powrotem do Polski. Nie wyobrażał sobie, że po tym wszystkim nadal będę dziewczyną Mo. Nie wiedział też jednak, do czego tak naprawdę jest zdolny ten człowiek.

Miałam słabość do Roberta i nie wykluczałam, że kiedyś do siebie wrócimy, choć wydawało mi się, że kierują mną tylko sentymenty i rozsądek. A to chyba trochę za mało, żeby budować na tym związek. Dużo silniejsze uczucia żywiłam do Mohammeda – tyle że obecnie była to czysta, wrząca jak lawa nienawiść.

Gdy tylko dotarłam do hotelu w Amsterdamie, zadzwoniłam do Maćka.

– Nareszcie. Kiedy w końcu kupisz sobie nowy telefon? Nie można się z tobą skontaktować! – zirytował się na dzień dobry.

– Nie mam czasu tego załatwić, ciągle latam. Ale przecież dzwonię.

– Dzwonisz, tylko że do ciebie zadzwonić nie można. Ty wiesz, co się stało...

– Co? Babcia? – Zmroziło mnie.

– Nie, z babcią wszystko w porządku. Ale chyba powinnaś zadzwonić do mamy Roberta.

– Co się dzieje?

– Po prostu do niej zadzwoń – uciął.

Zaniepokojona, natychmiast wybrałam numer mamy Roberta.

– Ja nie wiem, jak to się mogło stać – łkała do słuchawki. – Jak mógł mi to zrobić... moje jedyne dziecko! Przecież już wszystko było dobrze... Chodził jeszcze do psychologa, ale mówił, że już mu lepiej. Ja tego pojąć nie mogę! W głowie mi się nie mieści... Całe życie miał przed sobą...

Domyślałam się już, co chce mi powiedzieć. I tak bardzo nie chciałam tego usłyszeć. Łzy napłynęły mi do oczu.

– Proszę mi powiedzieć, co się stało.

Po drugiej stronie na chwilę zapadła cisza. W końcu mama Roberta powiedziała rozedrganym głosem:

– Policja mówi, że to samobójstwo... Ale ja nie wierzę. Robuś by się ze mną pożegnał, list chociaż zostawił. Oni twierdzą, że nie wszyscy samobójcy zostawiają listy, ale przecież mówił, że w piątek przyjedzie. Nawet gołąbki wstawiłam, bo śmiał się, że za nim chodzą, ale musiałam zamrozić,

no bo do piątku... Odmrozę, jak wróci... Bo ja nie wierzę, że jego nie ma. To jakaś pomyłka... przecież pomyłki się zdarzają.

W aktach sprawy wszystko składa się w prostą historię. Chłopak po traumie i wielomiesięcznej terapii targa się na swoje życie. Zdolny komputerowiec, fan Alana Turinga postanawia ze sobą skończyć dokładnie w taki sam sposób jak słynny naukowiec. Nadgryza jabłko z wbitymi w miąższ kryształkami cyjanku potasu. Umiera. Brak listu pożegnalnego nie jest dla policji żadną podejrzaną okolicznością. Robert nawet sam to jabłko kupił. Policja znalazła paragon z Biedronki. Historia leczenia u psychiatrów i psychologów tylko potwierdziła tezę o samobójstwie.

Zawsze będę wdzięczna Robertowi za jego miłość. Żałuję, że nie mieliśmy szansy, by mogła prawdziwie rozkwitnąć. Był prawdziwym mężczyzną, moim rycerzem. To dzięki niemu Mohammed stracił nade mną część kontroli. To w dużej mierze dzięki Robertowi mogłam się wyrwać z opresji. Nie zdążyłam mu powiedzieć, co jeszcze się wydarzyło w Dubaju, ale niedawno on opowiedział mi to za pośrednictwem swojego pamiętnika. Pisanie go było częścią terapii Roberta. Dostałam go od jego mamy. Zapisał w nim wspomnienia z Dubaju. Wstrząsnęły mną...

Wszystko się zaczęło przy odprawie paszportowej. Chwilę po tym, jak podałem dokument ubranemu w tradycyjne szaty, wymuskanemu urzędnikowi, przy stanowisku pojawiło się dwóch strażników granicznych. Poprosili, żebym poszedł za nimi. Nie wiedziałem, o co chodzi, ale nie byłem zestresowany. Przecież nie było powodu, by mnie tu zatrzymano. Przyjechałem na legalne zaproszenie, moja wiza miała sponsora, byłem chroniony. Wiedziałem, że za chwilę wszystko się wyjaśni.

Zaprowadzili mnie do małego pokoju, w którym nie było nic oprócz czterech krzeseł, stołu i portretu jakiegoś szejka na ścianie. Mężczyźni rozmawiali ze sobą wyłącznie po arabsku, a ja przysłuchiwałem się im, coraz bardziej zaniepokojony, stojąc w kącie sali. W pewnym momencie jeden z nich złapał mnie za kark i przesunął w kierunku stołu, niemal wciskając mnie w stojące przy nim krzesło. Drugi zwinnym ruchem wykręcił mi ręce do tyłu i zakął w kajdanki. Teraz byłem już przerażony.

– Panowie, o co tu chodzi? Ja nic nie zrobiłem – powiedziałem po angielsku, ale mężczyźni mnie zignorowali. Podawali sobie tylko mój paszport, każdy z nich oglądał go tak uważnie, jakby mieli w nim znaleźć dowód zbrodni. Potem wyszli z salki i zostawili mnie w niej na dwie, może trzy godziny. Byłem zmęczony, spragniony i spanikowany. Nie wiedziałem, co mogło tak bardzo zaważyć na mojej opinii. Przecież nie tak dawno przekraczałem tę samą granicę i z uśmiechem, bez cienia wątpliwości zostałem przywitany w Dubaju. A teraz traktowali mnie jak groźnego przestępcę.

Potem było już tylko gorzej. Przyszło po mnie dwóch uzbrojonych po zęby policjantów. Odpięli przymocowane do krzesła kajdanki tylko po to, by zapiąć je ponownie, kiedy na ich rozkaz wstałem. Pchnęli mnie i wyprowadzili z pokoju. Długim korytarzem przez zaplecze lotniska zaprowadzili mnie prosto do opancerzonej furgonetki. Nikt ze mną nie rozmawiał. Nikt niczego nie wyjaśnił. O nic nie zapytał. Zresztą i tak strach odebrał mi mowę.

W furgonetce było przeraźliwie duszno. Śmierdziało jakimś smarem, co w połączeniu z wysoką temperaturą przyprawiało mnie o mdłości. Po dwudziestu, może trzydziestu minutach później samochód zaparkował na wybetonowanym ponurym dziedzińcu. Otaczał go piaskowy mur zwieńczony płataniną drutu kolczastego. Nie miałem wątpliwości, że przywieziono mnie do lokalnego aresztu. Zerknąłem na tabliczkę przy wejściu: „Al Awir Deportation Jail”71. Potwierdziła moje przypuszczenia. Nadal jednak nie wiedziałem, dlaczego się tu znalazłem.

Mężczyźni wyciągnęli mnie z furgonetki i poprowadzili do budynku, który z zewnątrz nie wyglądał nawet w połowie tak obskurnie jak w środku. Obrzydliwe, pomalowane na miętowy kolor korytarze z wszechobecnymi szarymi kratami, okropne kamienne posadzki i odór chemikaliów pomieszanych z moczem. To miejsce przyprawiało o mdłości.

Wciśnięto mnie do małego pomieszczenia, w którym stało tandetnie zdobione biurko. Posadzono mnie naprzeciwko niego. Po długim czasie – chyba minęła godzina, choć nie mogłem być

tego pewien, bo w zasięgu wzroku nie było żadnego zegara, a mojego zegarka i telefonu mnie pozbawiono – po drugiej stronie biurka zasiadł ociężały Emiracczyk ubrany w lokalną kandurę. W dłoni trzymał mój paszport i modlitewne korale. Ewidentnie wolałby je turlać między palcami, zamiast pracować. Z ciężkim akcentem zapytał po angielsku:

– Imię?

– Robert. Łatwiej będzie przepisać z paszportu – powiedziałem uprzejmie, próbując go sobie zjednać.

Mężczyzna oblizal dwa grube palce, po czym zaczął mozolnie wertować mój paszport, szukając strony z danymi. Gdy ją znalazł, sapnął i zabrał się do powolnego wklepywania moich danych do komputera. To też zajęło mu sporo czasu. Zebrałem się na odwagę i spytałem spokojnym głosem:

– Może pan mi powie, co się stało, że znalazłem się w tym miejscu? Ja naprawdę nie zrobiłem nic złego. To musi być jakieś nieporozumienie.

Mężczyzna przerwał stukanie w klawiaturę, spojrzał na mnie spod zwieszonych z nosa okularów, ewidentnie niedopasowanych i za małych na jego korpulentną twarz. Przez chwilę patrzył beznamiętnie, po czym sapnął i wrócił do pisania. Wiedziałem już, że od niego też niczego się nie dowiem.

Kiedy skończył pisać, kazał mi przyłożyć wszystkie palce po kolei do czytnika zamontowanego na skraju biurka. Odciskałem palce jeden po drugim na jego komendy:

– Następny. OK. Następny. OK. Następny. OK...

Gdy skończyłem, podniósł słuchawkę starego telefonu ze skręconym w pęki kablem i powiedział coś po arabsku. Chwilę później przyszedł po mnie strażnik ubrany w miętowy mundur (kto wybrał ten kolor?) i zaprowadził mnie do pokoju obok.

Pomieszczenie przypominało obskurny gabinet pozbawionego uprawnień lekarza szarlatana. Pobrano mi krew, po czym kazano zdjąć koszulkę i postawiono przed urządzeniem RTG.

Kilkanaście minut później półnagiego zaprowadzono mnie do łaźni, gdzie na rozkaz musiałem zdjąć resztę ubrań. Tutaj zostałem poddany nieco bolesnej, ale jednocześnie dość kojącej kąpeli. Woda z założenia pewnie miała być lodowato zimna, ale temperatura panująca na pustyni zrobiła swoje. Byłem tak spragniony, że podczas kąpieli łykałem wodę.

Nie dali mi ręcznika. Woda szybko ze mnie spłynęła, a reszta wyschła w mgnieniu oka. Kazali mi nałożyć granatowy uniform, który przypominał trochę lekarski kitel. Zaskoczyło mnie jednak, w jak dobrym był stanie.

Cela, do której trafiłem, dorosła do wyobrażeń arabskiego więzienia. Była najbardziej obskurnym pomieszczeniem, w jakim kiedykolwiek przebywałem. Nikt się nie pokusił nawet o tynk, nie wspominając o farbie. Nie wiedziałem, czym jest wyłożona podłoga, ale przypominało to coś w rodzaju zmuszającego gumoleum posypanego grubą warstwą przybrudzonego piachu. W rogu stała muszla bez deski klozetowej. Nie miała też spłuczki. Domyśliłem się, że do spłukiwania służy wystający ze ściany kawałek brudnego szlauchu, przymocowany do niewielkiego przyrdzewiałego kraniku.

Przy ścianach stały dwie piętrowe metalowe prycze, z których zajęta była tylko jedna. Siedział na niej posepnie wyglądający Hindus, może Pakistańczyk. Nie mówił ani słowa po angielsku i był absolutnie przerażony. Poza nami w celi nie było nikogo. Jedyne źródło oświetlenia było słońce wpadające przez pozostawione w górnej części ścian okrągłe otwory o średnicy około piętnastu centymetrów. Nie dawały wiele światła, ale i tak były błogosławieństwem.

Usiadłem na wolnej pryczy po przeciwnej stronie celi. Spojrzałem na mojego współwięźnia i uśmiechnąłem się słabo. Odwrócił głowę. Wyraźnie nie miał ochoty na interakcję. Zresztą wkrótce i ja nie byłem do niej zdolny. Potworny ból brzucha odebrał mi siłę – cena, jaką płaciłem za picie wody pod prysznicem. Następnie przyszedł kryzys emocjonalny, cały stres w końcu znalazł ujście. Trząsłem się i płakałem przez kilka godzin.

Byłem okropnie spragniony. Usychałem. To był fizyczny ból. Miałem wrażenie, że mój przełyk skleił się od braku płynów i niedługo po prostu zaciśnie się na dobre, ale i z tym musiałem się nauczyć żyć. Kubek wody, który dostałem następnego ranka, był najbardziej wykwinnym płynem, jaki w życiu

piłem. Jeść nie byłem w stanie. Ból brzucha, choć już nie tak ostry jak w nocy, nadal nie odpuszczał, a breja, jaką nam zaserwowano, zwiastowała tylko kolejne kłopoty gastryczne. Zresztą nie byłem głodny. Stres i strach pozbawiły mnie apetytu. Zastanawiałem się, jak długo mogą mnie tu trzymać. Przecież w końcu ktoś się o mnie upomni. Tylko kiedy? I czy zdąży?

Po kilku dniach wezwano mnie na spotkanie z przystojnym Arabem w średnim wieku, ubranym w kandurę i pachnącym duszącymi perfumami. Powiedział, że jest prawnikiem i reprezentuje niejakiego Mohammeda Al Sayeeda, właściciela firmy, dla której miałem pracować. To sponsor mojej wizy. Pomyślałem, że to dla mnie jedyna nadzieja. Przecież przedstawiciel firmy, która mnie rekrutowała, mógł zaświadczyć, że nie stanowią żadnego zagrożenia, nie jestem przestępcą.

– Pańska sytuacja nie wygląda zbyt różowo – zaczął. – Jesteśmy bardzo zaniepokojeni nielegalną działalnością i pana powiązaniami ze światem przestępczym. W świetle tego, co ujawniło nasze śledztwo, oczywiście nie jesteśmy w stanie powierzyć panu stanowiska w naszej firmie. Sytuacja jest o tyle poważna, że zachodzi podejrzenie o próbę podjęcia szpiegostwa na szkodę państwa. A to przestępstwo zagrożone nawet karą śmierci.

Nadzieja prysła. Zrobiło mi się słabo. Nie wiedziałem, jak to się mogło stać. Nie byłem żadnym szpiegiem! Ale nie miałem jak tego udowodnić. Tutaj nikt ze mną nie rozmawiał, nikt mnie nie przesłuchiwał.

– Ale ja nie jestem szpiegiem... – wydusiłem.

– Cóż, dowody świadczą przeciwko panu. Pozostanie pan w więzieniu do czasu procesu. Sąd zdecyduje o pańskim losie. Nie jesteśmy w stanie nic dla pana zrobić. Naszym obowiązkiem jest dbać o dobrostan kraju. Jesteśmy wzburzeni faktem, że próbował pan nadużyć naszego zaufania. Niestety to wszystko, co mam w tej sprawie do powiedzenia – wyrecytował mężczyzna, wstając od stołu.

W końcu moja sytuacja była jasna. Ale wcale mnie to nie pocieszało.

– Czy mógłbym się skontaktować z rodziną? – spytałem.

– Zobacz, co da się zrobić. Ale do czasu procesu prawdopodobnie nie będzie to możliwe.

– A czy mogę wykonać chociaż jeden jedyny telefon... Proszę...

Wtedy prawnik zrobił rzecz zupełnie niespodziewaną – podsunął mi leżącą na stole komórkę.

– Może pan zadzwonić tylko pod ten numer. Zdaje się, że kobieta, która jest jego właścicielką, to pańska dobra znajoma.

Na aktywnym ekranie telefonu widniało jedno słowo: „Anna”. Moja Ania? Ręce miałem spętane kajdankami, więc mężczyzna nacisnął za mnie zieloną słuchawkę, a potem przełączył telefon w tryb głośnomówiący.

Po kilku sygnałach usłyszałem jej głos:

– Halo?

– Ania? Nie mogę uwierzyć... Jesteś! – wycharczałem moim przesuszonym z pragnienia głosem.

– Co się stało? Nie brzmisz najlepiej!

– Jestem w areszcie! Im kompletnie odbiło...

Prawniki nacisnął czerwoną słuchawkę i zabrał telefon. Sekundę później do sali wszedł strażnik. To była moja jedyna szansa na kontakt ze światem. Ostatnia, choć wtedy wciąż jeszcze miałem nadzieję, że się powtórzy. Trzymałem się tej nadziei przez kolejne dni kurczowo, jak tonący dobrze naostrzonej brzytwy.

Katalog przestępstw karanych tak zwaną *capital punishment*⁷² jest w Zjednoczonych Emiratach Arabskich bardzo bogaty. Na karę śmierci sąd może skazać za morderstwo, terroryzm, gwałt i zdradę stanu, ale także za szpiegostwo. Życie można też stracić za homoseksualizm, zdradę małżeńską, przemyt narkotyków, obrazę uczuć religijnych, a nawet za krzywoprzysięstwo i apostazję. Są trzy sposoby wykonywania kary śmierci: ukamienowanie, rozstrzelanie i powieszenie. Współcześnie pod naciskiem organizacji praw człowieka i w obawie o reputację wśród turystów i ekspatów emirackie sądy nie szafują karą śmierci. W ciągu ostatniej dekady dokonano tylko dwóch

egzekucji. W pierwszej stracono kobietę, której udowodniono aktywność terrorystyczną i zabójstwo amerykańskiego nauczyciela. Drugim skazanym był pedofil, który zgwałcił i zamordował ośmioletniego chłopca. Fakt, że kara śmierci jest wykonywana w tym kraju rzadko, nie zmienia faktu, że pozostaje realnym zagrożeniem, zwłaszcza przy bardzo uznaniowym sądownictwie, wszechobecnej korupcji i niedbalstwie organów ścigania.

Myśl o tym, że zostanę skazany na karę śmierci w arabskim kraju, spędzała mi sen z powiek. Nie żeby sen w ogóle był możliwy. Lepkie powietrze, wysokie temperatury, głód i ciągle pragnienie powodowały, że mój organizm wpadł w rodzaj letargu, ale chyba nigdy nie zasypiałem.

Z czasem zacząłem myśleć, że kara śmierci po kilku latach spędzonych w takich warunkach jest aktem łaski. Nie sądzę, by którykolwiek z więźniów błagał o zachowanie go przy życiu w tym upokarzającym karcerze.

Dni mijały, a godziny odmierzały tylko dochodzące z oddali wezwania na modlitwę, które zawsze łączyły się z chwilowym poruszeniem na korytarzach. Nie wiedziałem, ile czasu minęło, odkąd mnie tu przywieziono, do momentu gdy ponownie wywołano mnie z mojej klatki, szumnie zwanej celą. Dopiero w Polsce zorientowałem się, że straciłem trzy miesiące życia. Tego dnia zaprowadzono mnie do pokoju, gdzie oddano mi moje ubrania i kazano się przebrać. Potem odprowadzono mnie do furgonetki i odwieziono na lotnisko. Strażnicy więzienni odstawili mnie do stanowiska, przy którym młody mężczyzna w kandurze dokonał odprawy paszportowej. Mój bagaż – zgodnie ze zdawkową informacją, jaką mi przekazał – został już nadany. Pracownik trzymał moją kartę pokładową i paszport do momentu, gdy dotarliśmy do bramki. Wtedy mi je podał i powiedział: „Twój samolot!”. Nie mogłem uwierzyć. Był do Warszawy. Wracałem do domu! Zniszczony, wykończony, ledwo żywy, ale szczęśliwy. Rozsypanie się dopiero w Polsce.

W dalszej części zeszytu znalazłam głównie skomplikowane rysunki, wykresy i kilka notatek wskazujących na to, że Robert próbował się dowiedzieć, kim jest jego oprawca i dlaczego wpakował go do więzienia.

Musiał to rozgryźć, gdy się zorientował, że Mohammed zha-kował mój telefon. Wiedział, że jestem w niebezpieczeństwie, ale zanim zdążył cokolwiek zrobić, zmarł w niewyjaśnionych – dla mnie – okolicznościach, które policja określiła mianem samobójstwa. Do dziś jestem pewna, że się nie zabił. Złożyłam w tej sprawie wyjaśnienia, ale z pewnością dochodzenie prawdy potrwa, a możliwe, że nigdy nie znajdą dowodów na winę Mo. Ja wiem swoje. Nakłanianie do samobójstw to tradycja rodu Al Sayeed, a może nawet ulubiony sport mieszkańców Zatoki Perskiej.

Wspomnienia Roberta przeczytałam dopiero niedawno, kilka lat po jego śmierci. Żałuję, że tak późno. Nie wiedziałam, że to Mo próbował go zatrudnić w Dubaju. Nie połączyłam tych faktów. Od początku chciał się pozbyć konkurencji. Gdybym miała tego świadomość, mogłabym ostrzec Roberta. Mogłabym go ocalić.

Jego mama nigdy nie wyjęła gołąbków z zamrażarki. Ciągle czeka na syna.

70 Z ang. – Zdałem Test Turinga. Test Turinga sprawdzał inteligencję maszyn liczących i pierwszych komputerów. Zdanie go oznaczało, że inteligencja poddanego testowi jest wyższa od inteligencji komputera. W dawnych czasach nie było to trudne; dziś ze względu na zaawansowanie technologiczne to coraz większy wyczyn.

71 Areszt Deportacyjny Al Awir.

72 Z ang. – kara śmierci.

ROZDZIAŁ 18

Plan

Po śmierci Roberta byłem całkowicie zdruzgotana. Przez kilka godzin siedziałam na podłodze pokoju hotelowego i nie byłem w stanie się podnieść. Pomyślałam wtedy, że ja też nie wyjdę z tego cało – i zupełnie intuicyjnie zaczęłam spisywać swoją historię na kartkach hotelowego notesu. Postanowiłam, że może zostawię je w pokoju, gdy będę wyjeżdżała, może ktoś je znajdzie i będzie w stanie mi pomóc. A może będzie to jakiś dowód w sprawie, na wypadek gdybym ja też miała „popęłnić samobójstwo”.

Musiałam się podzielić swoją historią ze światem choćby w takiej formie. To było zupełnie irracjonalne i bez planu, ale naprawdę nie wiedziałam, co innego mogłam zrobić. A skoro ja nie wiedziałam, to czy mogła wiedzieć jakaś pokojówka, która prawdopodobnie znajdzie te notatki. A może okazałoby się, że jest Polką? W amsterdamskim hotelu, w którym mieszkają załogi, pracuje nas kilka. Zawiadomi władzę i ktoś mnie stamtąd wykradnie, a potem będzie ochraniał. Historia zna wiele akcji odbicia zakładników z rąk nie zrównoważonych porywaczy. Moja sytuacja różniła się od nich tylko pozornie.

Następnego dnia wsunęłam kilka zapisanych kartek pod poduszkę i wyruszyłam na lotnisko. Niczym ofiara syndromu sztokholmskiego znów miałam zamiar stawić się w miejscu, w którym czekały mnie tylko upokorzenia, ból i strach. Ale wracałam, bo wiedziałam, że cena ucieczki jest zbyt wysoka. Nie było mnie na nią stać. Poza tym on i tak by mnie znalazł.

Czekając na początek boardingu na locie AMS73–DXB, spojrzałam przez małe okienko w przedniej części samolotu. Na pokład po prawej stronie, przeznaczonej do załadunku towarów i bagażu, wjeżdżała metalowa trumna. Pomyślałam, że ja też wrócę do Polski jako HR74. I nie robiło to na mnie większego wrażenia. Po śmierci Roberta straciłam nadzieję, że wyjdę z tego żywa. To była tylko kwestia tego, z okna którego budynku wypadnę.

Z Amsterdamu wróciłam potwornie zmęczona. Przysypiałam w drodze z lotniska, ale widok, jaki ukazał się moim oczom, gdy pracowniczy bus zawinął do zatoczki przed naszym budynkiem, postawił mnie na nogi niczym zastrzyk adrenaliny.

Niedaleko wejścia stała doskonale mi znana elegancka limuzyna. Widziałam ją tu już wielokrotnie. Kiedy wraz z innymi dziewczynami wysiadaliśmy z busa, z samochodu wyszedł wysoki mężczyzna. Jego też natychmiast rozpoznałam. Był jednym z kierowców Mohammeda, wielokrotnie odbierał mnie stąd i zawoził do jego apartamentu.

Gdy mnie zobaczył, natychmiast podszedł.

– Pan Sayeed życzy sobie widzieć panią u siebie – oznajmił.

– Pan Sayeed nie może sobie mnie wzywać tak po prostu. Nie jestem jego niewolnicą ani pracownicą – odparłam oburzona i ruszyłam przed siebie.

Nie zdążyłam zrobić dwóch kroków, gdy za mną zawołał:

– Ma'm, proszę! Proszę tego nie robić.

Dotarło do mnie, że ochroniarze. Mo to nie są ludzie, którzy gdy nie dostają tego, o co proszą, odchodzą z podkulonym ogonem. Byłam na straconej pozycji, jednak postanowiłam grać twardą.

– Nie chcę widzieć Mohammeda. Przynajmniej nie teraz.

Na te słowa z samochodu wysiadło jeszcze dwóch ubranych w garnitury mężczyzn. Stanęli za mną.

– Nie róbmy scen – powiedział łagodnie jeden z nich.

– Nie chcę z wami jechać.

– Myślę, że ta kwestia nie podlega żadnej dyskusji. Nie utrudniajmy sobie życia. Zapraszamy do samochodu.

Nie miałam z nimi szans. Mohammed już wielokrotnie udowodnił, że jego macki sięgają wszędzie. Prędzej czy później i tak trafiłabym w jego ręce. Jeśli zacznę się wyrывać i krzyczeć, tylko wzbudzę niepotrzebną sensację. Ta zaś mogłaby zaprzepaścić moje szanse na wyjście z opresji w ogóle. O ile jeszcze miałam jakiegokolwiek szanse.

Wsiadłam do samochodu.

– Jest mi bardzo przykro, że nie chciałeś do mnie przyjechać, kochanie – powiedział Mo, gdy stanęłam w jego salonie.

Siedział na sofie w śnieżnobiałej kandurze, od której odbijały się promienie słońca wpadającego przez olbrzymie okna. Wyglądał, jakby to od niego biła ta jasność. Piękny anioł spowity kolorem niewinności w świetlistej poświacie. Niezła szopka.

Nigdy wcześniej nie widziałam go w tradycyjnym emirackim stroju. W takiej wersji przewijał się tylko na zdjęciach. Oczywiście wyglądał zniewalająco, ale już to na mnie nie działało.

– Kupiłem ci nowy telefon! Na tamten nie można się dodzwonić. – Wskazał na małe, misternie zapakowane pudełko.

– Upewniłeś się, że jest odpowiednio przygotowany, żebyś mógł mnie śledzić?

– Kochanie, o czym ty mówisz? To prezent.

– Mo, skończmy tę zabawę. – Nie wiem, skąd wzięłam siłę na to, by mu się postawić. Było mi wszystko jedno. – Wiem, że za pomocą mojego telefonu mogłeś mnie śledzić, wiedziałeś o każdej mojej rozmowie, każdym kroku, wykradałeś zdjęcia, wysyłałeś mi fikcyjne wiadomości z numerów zapisanych w jego pamięci. Ja to wszystko wiem... Nie wiem tylko, po co.

– Skarbie, uspokój się. Jesteś bardzo wzburzona. Przecież ja chcę tylko twojego dobra.

– Dla mojego dobra zabiłeś nasze dziecko?! – wykrzyczałam.

– Nigdy nie zrobiłbym nikomu krzywdy, a już na pewno nie skrzywdziłbym dziecka. Gniew miesza ci zmysły!

– Nie! To ty cały czas próbowałeś w nich zamieszać! Ale dosyć tego. Rób, co chcesz. Zabij mnie, wsadź do więzienia. Mnie już nie zależy...

– *Habibi*, o czym ty mówisz? Masz zły dzień! Jakże mógłbym cię skrzywdzić?

Mo podszedł do mnie i odgarnął moje włosy. Zatrzymałam jego dłoń, gdy chciał dotknąć mojej twarzy. Spojrzałam mu prosto w oczy.

– Dlaczego to robisz?

– Mógłbym cię spytać o to samo. Było mi bardzo smutno, gdy przeczytałem te okropne słowa na swój temat. Nie sądziłem, że jesteś zdolna do takiej zdrady.

O jakich słowach on mówi? Czyżby znów mnie podsłuchiwał? Zdałam sobie sprawę, że nigdy tak naprawdę nie sprawdziłyśmy, czy nasze mieszkanie jest na podsłuchu.

Tymczasem Mohammed wyjął z kieszeni jakieś pogniecione karteluszeki. Szybko je rozpoznałam. Dzień wcześniej zostawiłam je pod hotelową poduszką w Amsterdamie. Głupia, liczyłam, że trafią w ręce kogoś, kto będzie w stanie mi pomóc. Tymczasem trafiły prosto do mojego gnębiiciela, i to w tempie, który przyprawiał o zawrót głowy.

– Przynajmniej wiesz, co o tobie myślę. Bo każde z tych słów jest prawdą – powiedziałam, choć wiedziałam, że prawdopodobnie za to zapłacę.

– Dlaczego to robisz? Dlaczego niszczysz to, co jest między nami?

On chyba naprawdę wierzył w moją winę! Nie stawiało mnie to w najbezpieczniejszej pozycji.

– To ty to zniszczyłeś. Ja byłam w tobie bezgranicznie zakochana.

– Byłaś? Ja kocham cię nadal.

– A ja cię nienawidzę. Nie mogłabym kochać kogoś, kto patrzy, jak gwałcą jego kobietę, kto nią manipuluje i zabija własne dziecko. Nienawidzę cię! – krzyknęłam. A potem się rozpłakałam.

– Musimy popracować nad tym, żebyś zmieniła zdanie – odparł Mohammed.

W tym momencie w salonie pojawił się dobrze mi znany lekarz. Poczułam ukłucie w tylną

część ramienia i powoli osunęłam się w ramiona Mo.

– Spałaś jak aniołek – usłyszałam, gdy tylko otworzyłam oczy. – Zasnęłaś tak nagle. Te loty muszą być wykańczające. Powinnaś zrezygnować z pracy.

Mo wspinał się na wyżyny cynizmu. Kiedy wydawało się, że już wyżej nie można, on robił kolejne dwa kroki w górę.

– Zasnęłam, bo znowu coś mi wstrzyknąłeś – odburknęłam.

– Kochanie, ja panicznie boję się igieł! Jak mógłbym ci coś wstrzyknąć? Ta twoja wyobraźnia – szedł w zaparte. – Co chciałabyś dziś robić?

– Chciałabym wrócić do domu!

O dziwo, zgodził się od razu.

– Ale obiecaj mi, że będziesz miała przy sobie telefon. Nie możesz mnie pozbawiać możliwości usłyszenia twojego cudownego głosu.

Obiecałam. To w sumie niewielka cena za to, by się od niego uwolnić.

Odwiózł mnie ten sam kierowca, który dzień wcześniej niemal mnie porwał sprzed budynku. Jeśli nawet ktoś wtedy miał wątpliwości, czy wszystko, co się tu rozegrało, było w porządku, teraz się ich pozbył. Wróciłam cała i zdrowa.

W domu zastałam Ralucę.

– Minęłaś się z Kale – powiedziała, gdy tylko przekroczyłam próg. – Wróci za dwa dni, jest w Glasgow. Ale wiemy już, co zrobić.

– Poczekaj! – zawołałam, po czym wydobylam z torebki telefon od Mo.

Wyłączyłam go, zaniiosłam do sypialni i wcisnęłam pod materac. Nie byłam pewna, czy to wystarczy, więc złapałam Ralucę za rękę i pociągnęłam w kierunku łazienki. Na wszelki wypadek odkręciłam wodę. Usiadłyśmy na brzegu wanny, ale wtedy przypomniało mi się, że nadal nie sprawdziłyśmy, czy w naszym mieszkaniu nie ma podsłuchu.

– Chodźmy na spacer, co? – zawołałam i puściłam do niej oko.

Od razu wiedziała, o co chodzi.

Było upalne popołudnie. Idąc wąskim chodnikiem oddzielonym od Sheikh Zayed Road szpalerem przykurzonych piachem samochodów, zaczęłyśmy konspiracyjną rozmowę. To tu Raluca przedstawiła mi plan mojej ucieczki. Wydawał się tyle genialny, co nierealny i niebezpieczny. Ale w tamtym czasie miałam do stracenia tak niewiele, że byłam gotowa na wszystko.

Musiałam tylko się spakować i być przygotowana na wyjazd w każdej chwili. Byłam szczęśliwa i przestraszona zarazem. Do moich oczu napłynęły łzy...

– Nie płacz! – Raluca przytuliła mnie serdecznie. – Wreszcie się od niego uwolnisz.

– To ze szczęścia... – Pociągnęłam nosem. – Tylko czy to będzie dla was bezpieczne? Nie chciałabym, żeby się na was mścił...

– Spokojnie. Wszystko będzie dobrze.

Miałam sporo szczęścia, że trafiłam na Kale, Ralucę i Cathy – bo ta ostatnia, jak się okazało, również miała w tym planie swój niebagatelny udział. Wszystkie trzy współlokatorki, z którymi los połączył mnie zupełnie przypadkowo, odegrały w moim życiu rolę trudną do przecenienia.

Gdy wróciłyśmy do domu, szybko włączyłam telefon. Nie chciałam, żeby Mo cokolwiek podejrzał. Musiałam bardzo się pilnować.

Zadzwonił niemal natychmiast.

– Nie mogłem się do ciebie dodzwonić. Martwiłem się – powiedział z aktorską ulgą.

– Byłam pod prysznicem.

– Ale telefon był wyłączony. – Nie odpuszczał.
– Tak? Nie zauważyłam, musiałam niechcący coś nacisnąć.
– Nie rób tak więcej, kochanie. Kiedy nie mogę się do ciebie dodzwonić, boję się, że coś mogło ci się stać. A tego bym nie przeżył. Ja naprawdę nie mogę bez ciebie żyć.

Będziesz musiał się nauczyć, nędzny aktorzyño ze spalonego teatru. Niechęć do niego wzbierała we mnie z każdym jego słowem.

– Przepraszam. Telefon będzie włączony.

– No, mam nadzieję.

Byłam zdziwiona, że nie nalegał na spotkanie. Oczywiście nie zmartwiło mnie to. Wcale nie chciałam go widzieć. I miałam nadzieję, że nigdy więcej nie zobaczę.

Następnego dnia miałam lot do Manili. Pierwszy etap naszego planu. Moje zadanie z pozoru było proste, ale musiałam być gotowa na wszelkie ewentualności. Około dwóch godzin przed lądowaniem w Dubaju w drodze powrotnej poczułam się bardzo słabo, chwilę później zemdlałam. Poruszona załoga próbowała mnie ocucić, co udało się tuż przed lądowaniem. Z samolotu zostałam zabrana, jeszcze zanim pasażerowie opuścili pokład. Byłam na tyle przytomna, by usiąść na lotniskowy wózek inwalidzki, używany do przewozu osób starszych lub niepełnosprawnych. Zawieziono mnie prosto do samochodu ustawionego przed trzecim terminalem, a nim dalej – do laboratorium w siedzibie głównej ArabAir. Tutaj pobrano mi krew, podano kroplówkę, a po dwóch godzinach wypuszczono do domu.

Jeśli ktoś myśli, że u podstaw tego szybkiego działania leżała troska o moje zdrowie, jest w dużym błędzie. Jeśli stewardesa mdleje na pokładzie samolotu, może być przemęczona, ale – co najważniejsze do sprawdzenia – także chora, zakażona jakimś wirusem lub ciężarna. A na to w szanujących się arabskich liniach (i w Dubaju w ogóle) miejsca nie ma. Badanie krwi służy więc głównie temu, by wykluczyć te zagrażające moralności społeczeństwa ewentualności.

Gdy wróciłam do domu, Kale czekała na mnie z lampką prosecco.

– Udało się? – spytała szeptem.

– Wszystko zgodnie z planem – potwierdziłam niemal bezgłośnie.

– Fantastycznie, u mnie też. Cathy przesyła uściski. Teraz trzymamy kciuki za Ralucę.

Zadzwoił mój telefon.

Mohammed! *Fuck!* Miałam nadzieję, że niczego nie słyszał.

– Właśnie się dowiedziałem o twoim wypadku, kochanie – brzmiał na szczerze przejętego.

– Drobiazg. Nic mi się nie stało. Byłam przemęczona, nie zdążyłam zjeść i urwał mi się film...

– Może po ciebie podjechać? Ayman mógłby ci zrobić badania.

Nie mogłam w to uwierzyć! On naprawdę proponował mi usługi lekarza, który od kilkunastu miesięcy odpowiadał za moje utraty świadomości i – co bardzo prawdopodobne – za śmierć mojego dziecka?

– Dzięki, wołałabym, żeby Ayman nie zbliżał się do mnie z igłami – rzuciłam oschle.

– Widzę, że naprawdę już ci lepiej. Dobrze więc, odpocznij, wyśpij się. Wyjeżdżam na dwa dni, zobaczymy się po moim powrocie.

Nie sądź.

– Bezpiecznego lotu i do zobaczenia – odpowiedziałam najmielszym tonem, na jaki mogłam się zdobyć.

Kale przyglądała mi się przez cały czas. Obie miałyśmy w głowie tę samą myśl: Czy on już wie, czy to tylko przypadek, że zadzwonił właśnie w tej chwili.

– Myślisz, że...? – wyszeptala Kale.

– Myślę, że nie – odpowiedziałam równie cicho. Ale wcale nie byłam tego pewna.

Raluca wróciła kilka godzin później.

– Załatwione! – oznajmiła od progu.

Kale przyłożyła palec do ust, by przypomnieć jej, że musimy zachować ciszę. Na szczęście nie zdążyła powiedzieć nic więcej.

Kolejne dwa dni spędziłyśmy we trójkę. Miałyśmy co świętować. Żeby uniknąć ryzyka, musiałyśmy ograniczać pobyt w naszym apartamencie, ale centra handlowe, spa i plaża doskonale wynagradzały nam tę drobną niedogodność. Choć wiedziałam, że przede mną był ostatni, najtrudniejszy etap naszego planu, czułam olbrzymią ulgę. Jak więzień na dzień przed zakończeniem wyroku.

Przyszła czas na przygotowanie się do mojego ostatniego lotu. Wiedziałyśmy, że w Dubaju prawdopodobnie widzimy się po raz ostatni.

– Gotowa? – spytała Kale, widząc mnie w mundurze.

– Mam nadzieję – odparłam. – Ciągle nie mogę uwierzyć, że to się dzieje. Będzie mi was brakowało.

Bardzo chciałam zniknąć z orbity Mohammeda, ale było mi smutno, że moje życie w Dubaju kończy się na zawsze. Niespodziewanie dla samej siebie się rozplakałam.

– Ej... makijaż! – Kale się zaśmiała. – Kochana, kończy się tylko jakiś etap, my nigdzie nie znikamy. *Friends forever*, pamiętasz! – Wystawiła mały palec u prawej dłoni i oplotła nim mój w typowo amerykańskim geście. Potem mocno mnie przytuliła.

– Jeszcze się zobaczymy, to dopiero początek. – Raluca też mnie uściśnęła. – No, zbieraj się. Tylko pamiętaj! Bądź twarda i się nie stresuj. Wiem, że łatwo mówić, ale myśl o tym, co cię czeka, jak się stąd wydostaniesz.

Babcia, Maciek i żadnych psychicznych narzeczonych – to była wizja, która trzymała mnie wtedy w pionie. Chociaż gdy wsiadałam do busika, który przez ostatnie kilka lat zawoził mnie na lotnisko, znów ogarnęło mnie wzruszenie.

Sprawy potoczyły się bardzo szybko. Podczas standardowej odprawy do sali weszło dwóch pracowników biura. Podeszli do kapitana, który akurat dzielił się z nami ważnymi informacjami dotyczącymi lotu. Rozmawiali chwilę, po czym kapitan wywołał mnie i poprosił, żebym wyszła razem z mężczyznami.

Zaczęło się. Moment, na który czekałam od chwili, gdy dziewczyny przedstawiły mi swój plan, właśnie nadszedł. Zanim wstałam, wcisnęłam pomiędzy oparcie a siedzenie fotela mój telefon. Ostatni prezent od Mohammeda, moją smycz. Wyczyściłam go, usunęłam wszystkie numery i wiadomości, zdjęłam kod zabezpieczający, tak by nic nie wskazywało na to, że to ja go tu zostawiłam.

Zaproszono mnie do jednego z pokoiów na parterze. Tutaj bez zbędnych wyjaśnień wręczono mi dokumenty wypowiadające umowę o pracę. Mężczyzna, który mi je podał, starał się do mnie nie zbliżać. Wskazał, co mam podpisać, a ja podpisałam – bez chwili zawahania i z uśmiechem na ustach. Wiedziałam, że się udało.

Chwilę później do pokoju weszło dwóch policjantów. Skuli mnie w kajdanki. Zgodnie z prawem stanowiłam niebezpieczeństwo dla porządku w kraju i należało mnie natychmiast odizolować albo wydalić.

Prowadzono mnie jak skazańca na szafot. Po drodze napotykałam wzrok ludzi, którzy z pewnością zastanawiali się nad moją winą. Szok, niedowierzanie, sensacja. W każdej innej sytuacji tragedia – w mojej pełnia szczęścia. Największym zaskoczeniem dla nich musiała być moja reakcja. Uśmiech nie schodził mi z twarzy.

Zostałam odprowadzona do pokoju za linią odpraw i zamknięta w nim na wszelki wypadek.

Kilka godzin później znalazłam się na pokładzie samolotu lecącego do Frankfurtu. Siedziałam na miejscu w ostatnim rzędzie, traktowana jak przestępca, pilnowana przez marshala. I czułam się z tym absolutnie wspaniale.

Kilka dni wcześniej Kale poleciała do Glasgow. Dotarła tam nad ranem. Cathy czekała na nią na lotnisku. Wszystko zaplanowały już kilka dni wcześniej.

– Wspaniale cię widzieć, kochana. Jak się czujesz?

– Świetnie, jestem pod stałą kontrolą lekarzy. Wiesz, w dzisiejszych czasach HIV można kontrolować i uczynić zupełnie niegroźnym. To już nie jest wyrok śmierci.

– No, jak się okazuje, czasami może nawet uratować życie.

Dziewczyny spędziły ze sobą cały dzień, a następnego ranka udały się do kliniki, w której Cathy była umówiona na pobranie krwi. Od czasu, kiedy zaczęła się w niej leczyć, mijał już ponad rok. Zdążyła się zaprzyjaźnić z niemal wszystkimi pracownikami. Kto, jak nie ona? Nietrudno było jej namówić jedną z pielęgniarek na udział w przygotowaniu spisku mającego na celu uwolnienie mnie z rąk psychopatycznego narzeczonego.

Pielęgniarka pobrała Cathy krew i zabezpieczyła ją w fiolce, którą przywiozła Kale. Następnie włożyła do małej torby termoizolacyjnej, mającej przez kolejne dwanaście godzin utrzymać krew w niskiej temperaturze, by zapobiec jakimkolwiek zmianom. Kale odebrała torbę i pożegnała się z Cathy. Wkrótce siedziała w samolocie lecącym do Dubaju.

Na lotnisku w umówionym wcześniej miejscu spotkała się z Raluca, której przekazała torbę z cenną przesyłką. Raluca zabrała ją do głównej siedziby linii. Następnie skontaktowała się ze swoją przyjaciółką pracującą w lotniczym laboratorium – tą samą, która pomogła rozwiązać tajemnicę methotrexatu znajdującego się w mieszkaniu Mo.

Spotkały się w toalecie. Laborantka przejęła fiolkę. W laboratorium opisała ją moim nazwiskiem i podmieniła na tę, w której znalazła się krew pobrana mi po tym, jak zemdlałam na pokładzie w trakcie lotu z Filipin.

Jeszcze kilka lat temu na wyniki testów trzeba byłoby czekać kilka tygodni, bo próbki krwi wysyłane były do Turcji, ale wtedy wykonywało się je już na miejscu. Wkrótce po przebadaniu „mojej” krwi znalazłam się na czarnej liście osób, które stanowią zagrożenie dla zdrowego społeczeństwa Emiratów. Tym samym stałam się absolutną persona non grata w Dubaju.

Jako zakażona wirusem HIV musiałam być natychmiast wydalona z dożywotnim zakazem przebywania na terenie tego ekskluzywnego kawałka pustyni. Zostałam zwolniona i deportowana do portu lotniczego najbliższego mojemu miejscu zamieszkania. Kolejny lot do Warszawy był dopiero za kilkanaście godzin. Frankfurt właśnie się odprawiał, więc wciśnięto mnie na pokład samolotu do Niemiec. Było mi wszystko jedno. Byle z dala od Dubaju, byle bliżej domu. Nie pozwolono mi wrócić do mojego apartamentu po rzeczy, tak jak to było w wypadku Cathy, ale nie martwiłam się o to. Wiedziałam, że zostają w dobrych rękach. Dziewczyny wkrótce bezpiecznie wysłały je do Polski.

Moje fikcyjne zakażenie oznaczało nie tylko przymusową wyprowadzkę z Dubaju, ale też wolność od mojego oprawcy. Mohammed, choćby się dwoił i troił, nie byłby w stanie ściągnąć mnie do Dubaju. Poza tym jak większość Emiratczyków musiał być absolutnie przerażony możliwością zakażenia się wirusem HIV. Wiedziałam, że gdy tylko się dowie, da sobie ze mną spokój. A dodatkowo przeżyje sporo stresu. Mogłam go przecież zarazić.

Nie pomyliłam się. Nigdy więcej nie spróbował się ze mną skontaktować. Opuścił, a ja odetchnęłam z ulgą. Wiedziałam, że nie lubi przegrywać. Byłam jednak pewna, że prawda nawet nie przeszła mu przez myśl.

A prawda jest taka, że jestem zdrowa. Nie tylko nie noszę w sobie wirusa HIV, ale też pozbyłam się innego – dużo groźniejszego.

73 Kod międzynarodowego lotniska Amsterdam Schiphol.

74 Skrót od ang. *human remains* – ludzkie szczątki.

EPILOG

W tysiąc dziewięćset czterdziestym czwartym roku swojego pierwszego Oscara za główną rolę kobiecą odebrała Ingrid Bergman. Zagrała Paulę Alquist, młodą żonę psychopatycznego męża w filmie *Gasnący płomień* (*Gaslight*). Jako fan starych mrocznych produkcji oglądałem go jakieś dwie dekady temu, ale gdy słuchałem opowieści Anny, nie mogłem się oprzeć wrażeniu, że Mohammed się nim zafascynował. Oczywiście to tylko teoria – raczej mało prawdopodobne, by kiedykolwiek go oglądał, ale to, co zrobił Annie, wskazywało na bardzo konkretne zaburzenie, które właśnie dzięki temu filmowi zostało w psychologii nazwane.

Film opowiada historię Pauli. Wychodzi ona za męża za kulturalnego, wykształconego, czarującego muzyka. Młoda para wprowadza się do starej rezydencji przy Thornton Square dziewięć w Londynie, która niegdyś należała do ciotki Pauli. Kobieta była znaną śpiewaczką. Zginęła z rąk mordercy we własnym domu. Wkrótce po przeprowadzce Paula zaczyna podejrzewać, że dom jest nawiedzony, ale nikt poza nią nie słyszy kroków na strychu ani innych dochodzących stamtąd dźwięków. Z torebki kobiety znika broszka, którą podarował jej mąż, jakiś czas później pojawia się w niej za to jego zegarek. Każda z niewyjaśnionych historii jest dla męża kolejnym drobnym dowodem na to, że z umysłem kobiety nie wszystko jest w porządku, a jednym z najczęstszych tego objawów jest fakt, że widzi ona przygaszane światło gazowych lamp, podczas gdy zarówno służba, jak i on sam twierdzą, że to się dzieje tylko w jej wyobraźni. Okazuje się, że wszystkie niewyjaśnione okoliczności są intrygą mającą na celu wywołanie u Pauli choroby psychicznej, ubezwłasnowolnienie jej i przejęcie domu jej ciotki, w której mąż nocami szuka legendarnych klejnotów koronnych.

Manipulacje pokazane w tym obrazie są nie tylko fantazją scenarzystów. Okazuje się, że psychologia rozpoznaje podobny typ zachowań. Najczęściej sprawcami tej wyrafinowanej formy przemocy są mężczyźni. Za pomocą intryg lub zaprzeczania oczywistym faktom wmawiają swoim partnerkom, że te odchodzą od zmysłów. Manipulują realnymi zdarzeniami, twierdząc, że nigdy nie miały miejsca, że coś, co się wydarzyło, było wyłącznie snem. Próbuje sprawić, że kobieta stopniowo utwierdza się w przekonaniu o swojej chorobie psychicznej. Ten typ przemocy nazwano właśnie od angielskiego tytułu tego archiwalnego filmu – *gaslighting*. A ja właśnie wysłuchałem historii o jego współczesnej wersji. To cud, że ofiara była w stanie mi ją opowiedzieć. Takie historie z reguły kończą się tragicznie.

Kiedy skończyłem spisywać opowieść Anny, w mojej głowie zrodziły się nowe pytania. Cały czas słuchałem, nie chciałem jej przeszkadzać, ale teraz, gdy znałem już finał jej historii, miałem olbrzymią potrzebę dopytania, porozmawiania z nią o wszystkich tych trudnych do wyobrażenia rzeczach, które przeszła. Zgodziła się. I znowu, jak kilka tygodni wcześniej, spotkaliśmy się przy kawie.

Słyszałaś o czymś takim jak *gaslighting*?

Dopiero po powrocie do Polski – od psychologa, któremu opowiedziałam swoją historię. Od razu zaocznie zdiagnozował Mo i przestrzegł, że przede mną długa droga powrotna do stanu umysłu pozbawionego lęków. Ten typ przemocy jest niemal niezauważalny dla ofiary, ale jest chyba jednym z najgroźniejszych. Już to mówiłam, ale powtórzę: wołałabym, żeby mnie bił.

Naprawdę nie mogłaś tak po prostu się spakować i wyjechać z Dubaju? Przecież to się nie mieści w głowie. Gdyby Mohammed próbował zrobić ci coś w Polsce, policja by go zatrzymała.

Każdy, komu opowiadam tę historię, ma identyczne wątpliwości. Niby mogłam, ale Mohammed tak umiejętnie dawał mi do zrozumienia, że ja i moja rodzina nie jesteśmy bezpieczni, że zwyczajnie paraliżował mnie strach. Spójrz, kupił mojemu bratu niebotycznie drogi samochód. Po co?

Tylko po to, żeby mi powiedzieć, że ten samochód miewa kłopoty z hamulcami. Oczywiście można było to sprawdzić, a hamulce w razie czego naprawić, ale gdy słyszysz coś takiego, wiesz, że nie o hamulce tu chodzi. A o bezpieczeństwie zapewnianym przez polską policję wołałabym nie mówić. Sam wiesz, co się stało z Robertem.

No właśnie, co się z nim stało tak naprawdę?

Policja nadal twierdzi, że popełnił samobójstwo.

A ty w to nie wierzysz!?

Za grosz. Robert został zabity. Ale jestem zbywana i już raczej wiem, że nic się w tej sprawie nie da zrobić. Praktycznie nie mam dowodów na to, co się wydarzyło, jedyne były w moim telefonie, ale jak wiadomo, pojawiały się w nim i znikwały. Policjant, z którym rozmawiałam, powiedział mi, że w co drugim przypadku samobójstwa bliscy zmarłego twierdzą, że to niemożliwe, podejrzewają udział osób trzecich. Jestem w tej kwestii na straconej pozycji.

To brzmi trochę jak historie o dubajskiej policji...

O nie! Tego bym nie powiedziała. Nasza mimo wszystko jest skuteczna i – chcę w to wierzyć – czuje misję, jaką powierzyło jej społeczeństwo. W sprawie Roberta mają związane ręce, ale to tylko świadczy o kunszcie Mohammeda. Policja w Emiratach czuje wyłącznie pieniądze i władzę, a rządzi nią wpływy i beduińskie tradycje, bo na pewno nie prawo.

Faktycznie są tak wyrozumiali dla przestępców, którzy mają pieniądze albo bronią honoru?

Niemal każdy, kto mieszkał w Emiratach, zna historię kogoś, kto powinien siedzieć za kratami, ale puścili go wolno. Wsadzili za to kogoś, kto zawinił, choćby witając się ze znajomym. Oczywiście nie jest tak, że policja ściga wszystkich za wszystko, są na to zbyt leniwi, ale da się zauważyć ogrom niesprawiedliwości.

Nie podejrzewałaś, jakim człowiekiem tak naprawdę jest Mohammed? Nie było żadnych sygnałów?

Na początku byłam kompletnie zauroczona. Pamiętam, że nawet próbowałam znajdować w nim jakieś wady, ale bezskutecznie. Po raz pierwszy poczułam niepokój, gdy powiedział, że należę tylko do niego – i że już mnie nie wypuści. Te słowa z ust przystojnego i nieopisanie bogatego faceta chętnie usłyszałaby niejedna dziewczyna. Dla mnie jednak brzmiały złowrogo. Nie chcę udawać, że mam jakieś zdolności nadprzyrodzone albo wybitną intuicję. Nie jestem też jedną z tych dziewczyn, które wzdrygają się na myśl o monogamii. Wręcz przeciwnie, zawsze chciałam należeć do mojego księcia z bajki. Ale wtedy poczułam się zupełnie nieadekwatnie do sytuacji. Nie ogarniało mnie szczęście. Zamiast niego przeszył mnie dreszcz. To była zupełnie irracjonalna reakcja, wkrótce okazała się jednak właściwa. On w ten sposób wcale nie deklarował swojej miłości i wierności. On podpisywał kontrakt. I nie potrzebował do tego mojej zgody. Jest mężczyzną, więc w jego przekonaniu wystarczyło tylko to, czego chce on.

Zorientowałaś się, że tobą manipuluje, w jakimś konkretnym momencie czy to jednak był proces?

To zdecydowanie był proces. Ale pamiętam moment, gdy przelała się szala goryczy. Świat dawał mi znaki, ale ja nie chciałam ich widzieć. Zresztą Mo sam celowo bywał nieostrożny, jakby bawiło go to, że w tak prosty sposób może mnie przekonać do swoich racji w razie moich wątpliwości. Klóciłam się o niego z Kale. Ona pierwsza czuła, że coś jest nie tak, ale ja byłam zaślepiona. Dopiero sprawa z kolacją u ojca, która nie miała szansy się wydarzyć, bo senior rodu był już wtedy martwy, przywróciła mi świadomość. A potem ten zbiorowy gwałt. Choć nie był to pierwszy raz, gdy Mo użył mi swoim kolegom.

Wiesz, kim byli ci mężczyźni?

Ayman faktycznie był lekarzem, przyjacielem Mo z dzieciństwa. Drugi to człowiek związany z ArabAir, a trzeci to jego brat. To wiem od dziewczyn, które po moim wyjeździe przeprowadziły drobne dochodzenie. Nie wiem, ile jest w tym prawdy, choć dla mnie brzmi bardzo wiarygodnie, ale podobno każdy z nich miał swoją „narzeczoną” stewardesę. Spotykali się na takie grupówki z udziałem każdej z nich. Nie byłam jedyną.

Kumpel z ArabAir! To stąd magiczne umiejętności Mo pojawiania się na twoich lotach...

No nie tylko. On przecież mieszał w moich grafikach, zmieniał je tak, bym była dostępna na planowaną orgię albo dla niego samego. To dzięki tym znajomościom w systemie rezerwacji pojawiały się informacje o zakazie akceptowania mnie na lot, co było doskonałym sposobem na zrobienie ze mnie więźnia bez konieczności zamykania mnie w klatce, celi lub w apartamencie hotelowym bez tkanin. Okazuje się, że niektórzy ludzie wysoko postawieni w hierarchii ArabAir wykorzystują linie nie tylko do zarabiania pieniędzy, ale też do zaspokajania swoich seksualnych fantazji. Ja byłam tu tylko zabawką. Mając dostęp do systemu, który zarządza niemal całym życiem stewardesy, zdobywa się nad nią ogromną władzę.

Często się bałaś?

Wiele osób boi się latać. Ja swego czasu bałam się zostać na ziemi. Wiedziałam, że tylko na pokładzie samolotu nic tak naprawdę mi nie grozi. Zanim jednak zdałam sobie sprawę, że żyję w stanie permanentnego zagrożenia, minęło sporo czasu. Dziś widzę wszystkie te znaki, ale wtedy kompletnie ich nie dostrzegałam. Pamiętam jednak moment, gdy przejrzałam na oczy, a poczucie zagrożenia narastało z każdym dniem. Nawet gdy czytałam to, co napisałeś, myślałam sobie: Jak ta laska mogła być tak głupia? Ale to naprawdę nie wynikało z głupoty. Ci panowie znają bardzo sprytnie sztuczki.

Jak poznałaś historię matki Mohammeda? Gdy pytałaś go o nią wcześniej, zdenerwował się. Nawet próbował cię za to ukarać...

W końcu mi ją opowiedział. Wydaje mi się, że gdy sprawa z jego manipulacjami wyszła na jaw, próbował się z tego wszystkiego jakoś wytłumaczyć. Wiesz, na zasadzie: ja też miałem ciężko. No i pewnie, że miał. Jego ojciec zrobił wszystko, by zniszczyć mu psychikę, i odniósł olbrzymi sukces.

Zrobiło ci się szkoda, gdy o tym usłyszałaś?

Zrobiło mi się szkoda biednego czternastoletniego chłopca. Ale jako dorosły człowiek miał już możliwość podejmowania świadomych decyzji. On doskonale wiedział, że to jego ojciec zabił matkę. Wiedział nawet, że sfalszował jej ostatni list, tak by wyglądał na pożegnalny list samobójczyni. A mimo to sam został oprawcą kobiet. No, przynajmniej moim. Nie wiem, czy byłam jego jedyną ofiarą. Nie przypuszczam, ale nigdy nie dotarłam do informacji o jakiejś mojej poprzedniczce.

Nie chciałaś zostać żoną Mohammeda? Bogatą, zwolnioną z obowiązków...

A odniósłś wrażenie, że on szukał żony? Ja nigdy nie byłam planowana na żonę. Miałam być tylko marionetką do manipulowania i straszenia. Nawet nie do seksu, bo gdyby tu chodziło o seks, dużo łatwiej byłoby mu wynajmować prostytutki. Ale on miał inne potrzeby. Jemu chodziło o dominację, wyrafinowane poniżanie, zawładnięcie umysłem. A najbardziej kręcił go mój strach.

To chyba mało prawdopodobne, że byłaś jego pierwszą dziewczyną.

Na pewno nie byłam, ale po poprzednich nie ma śladu. Myślę, że on w opowiadaniu o swoim trudnym dzieciństwie miał jeszcze jeden cel: chciał mnie przestraszyć. Chciał mi powiedzieć, że

nieposłuszne kobiety czasami popełniają niewyjaśnione samobójstwa.

Myślisz, że chciał, żebyś się zabiła?

W pewnym momencie na pewno. Myślę, że w jego chorej głowie to był akt łaski, może nawet dowód miłości. Nie chciał mnie zabijać. Wolał, żebym zrobiła to sama. On czuł, że nawet jeśli będę udawała oddaną dziewczynę, nie będę w stanie zapomnieć o tym wszystkim, do czego się przyznał. Ale chyba nie był w stanie tak po prostu się mnie pozbyć. Może gdybym była Arabką, sprawa byłaby prostsza. Na pewno łatwiej byłoby mi to wszystko wybaczyć i zrozumieć, bo wciąż jeszcze dla większości kobiet Bliskiego Wschodu wyjaśnienia ich mężczyzn to prawdy objawione. Ale ja jestem Europejką. On doskonale wiedział, że nam usta zamyka się dużo trudniej. Poza tym zaginionymi Europejkami interesują się organy ścigania. Może wybuchnąć międzynarodowy skandal. Wolał, żebym sama je sobie zamknęła.

Jeśli chciał twojego samobójstwa, to pewnie nie miał zamiaru zbyt długo na nie czekać.

Myślałam o tym ostatnio. W gruncie rzeczy miałam sporo szczęścia. Mój pustynny książę chciał, żeby wszystko było autentyczne. Również moje samobójstwo. Wiele dziewczyn miało pecha – wypadły z okien wieżowców.

Plan twojej ucieczki nadaje się na scenariusz filmu akcji. Jak na to wpadłyście?

To był pomysł Raluki, a inspiracją było samo życie. To, co się wydarzyło z Cathy, było idealnym przykładem na to, jak bezpowrotnie zerwać więzy z Dubajem. Nie wiedziałyśmy tego na pewno, ale istniało duże prawdopodobieństwo, że jeśli Mohammed dowie się o moim rzekomym zakażeniu, po prostu straci mną zainteresowanie. Stałam się dla niego wybrakowanym, niewartym zachodu towarem.

OK, ale kiedy dowiedział się o twoim zakażeniu, pewnie sam też się przebałał.

Na pewno to zrobił gdzieś za granicą. Myśl o tym, jaki musiał być przestraszony, wprawia mnie w dobry humor. Chyba nauczyłam się od niego cynizmu.

Nie znamy wyników jego testów, ale możemy przypuszczać, że jest zdrowy. Nie bałaś się, że odkryje waszą mistyfikację?

Oj, w tej kwestii nie było cienia ryzyka. Wystarczy poznać psychikę przeciętnego arabskiego narcyza, by wiedzieć, że brak wirusa u niego przy moim rzekomym zakażeniu dodaje mu pięć punktów do boskości. Z pewnością poczuł się jeszcze bardziej wyjątkowy. Na nieszczęście kolejnej stewardesy, którą pełnym przypadkiem spotka na pokładzie samolotu.

Dlaczego o tym wszystkim opowiadasz?

Nie chcę, żeby spotkało to kolejne dziewczyny, choć wiem, że spotka. W miarę możliwości chciałabym je jednak ostrzec. Bogaci Arabowie, szejkwowie nie przestaną się jarać dziewczynami z Polski, a dziewczyny nie przestaną tam latać. I dobrze. Nie chodzi o to, żeby nie wsiadać do samolotu tylko dlatego, że czasami dochodzi do katastrofy. Różnica jest tylko taka, że katastrofy lotnicze są niezwykle rzadkie – w przeciwieństwie do przypadków, w których Europejki padają ofiarami własnej ciekawości, miłości, a czasami, no cóż – nie bójmy się tego stwierdzenia – własnej głupoty.

Już się go nie boisz?

Wiesz, ja chyba nigdy nie przestanę się go bać. Ale zrozumiałam, że ze strachem można walczyć tylko w jeden sposób – siłą i spokojem wewnętrznym. Intensywnie pracuję nad tym w czasie terapii. Ciągłe układam swoje życie w Polsce, ale też ciągle oglądam się za siebie, gdy idę ulicą.